

MAXIME CHATTAM

INNY ŚWIAT 02

KRÓLOWA MALRONCJA

Tytuł oryginału: AUTRE MONDE, MALRONCE

Przełożyła z francuskiego

Joanna Kluza



Prolog

Wielka sala o kamiennych ścianach tkwiła w połowie pod ziemią. Wąskie okna dachowe nie przepuszczały dziennego światła, latarenki dawały zaś ciepły drżący blask, wydzielając zarazem nieco zjełczały zapach, który pochodził od zasilającego je zwierzęcego tłuszczu.

Na każdym okrągłym stole stała duża świeca osadzona w kopcu stopionego wosku, który nieustannie się powiększał, przypominając wulkan pośrodku zastygłej lawy.

W głębi, wokół zardzewiałych puszek, w których walczyły ze sobą czarne skorpiony, tłoczyły się grupki mężczyzn. Wszyscy wrzeszczeli, zagrzewali pajęczaki do boju, robili zakłady.

Nieco na uboczu trzy postacie, otulone w ciemnozielone płaszcze, rozmawiały sobie spokojnie przy kuflu piwa.

– Simon niedawno odkupił jedną! – oświadczył człowiek z ciemną brodą.

– Naprawdę? Ile za nią dał? – zapytał jego kolega.

Policzek szpeciła mu pokaźna torbiel, zupełnie jakby w kąciku ust przykleił mu się kawałek chleba.

– Nie mam pojęcia, ale chyba sporo monet i niemało usług. Ale z tego co słyszałem, jest tego warta!

Trzeci z kompanów, bardziej dyskretny, pochylił się ku nim, a wówczas płomień świecy oświetlił mu od dołu twarz pokrytą kilkoma świeżymi bliznami.

– Ile ma lat?

– Mniej niż dziesięć. Simon wszedł w jej posiadanie, jak tylko oblała test.

– Dobrze znosi pepkowy pierścień?

– Wygląda na to, że tak.

– Mówi? – zapytał mężczyzna z torbielą.

Ciemnobrody opróżnił gliniany kufel z drewnianym obrzeżem.

– A skąd mam wiedzieć? – westchnął, kończąc wypowiedź głośnym beknięciem.

– Podobno Niedźwimaki ściągają z północy coraz więcej tych dzieciaków – mówił dalej mężczyzna z bliznami. – W tym tempie Poszukiwanie niedługo się zakończy.

– Podobno dzieciarnia pozakładała wspólnoty i stawia opór naszym patrolom! –

zdradził ciemnobrody.

– Są zorganizowani? – zdumiał się mężczyzna z torbielą.

– Nawet w kupie to są nadal tylko maluchy! Popatrz, my wszyscy potrzebowaliśmy zaledwie dwóch miesięcy, żeby się odnaleźć!

– Bo królowa wyłoniła się od razu! – przypomniał mężczyzna z torbielą. – Bo kazała zapalić Ognie Zjednoczenia, żeby dym wskazał nam drogę!

– Już po trzech miesiącach wprowadziliśmy handel wymienny i walutę! Wśród kamieniołomów i lasów wyrosły nowe miasta! Przeszliśmy ewolucję! Nie tak jak te małe dzikusy!

– Tylko że nikt nie jest w stanie sobie przypomnieć, co się działo przed Kataklizmem! – rozzłościł się mężczyzna z torbielą. – Banda dorosłych z amnezją! Ty to nazywasz ewolucją, tak? A jeśli dzieciaki się dowiedzą? Jeśli sobie przypomną, kim jesteśmy? Skąd się wzięliśmy?

Dwaj kompani od piwa nie zdążyli odpowiedzieć, przysunął się bowiem ku nim człowiek siedzący przy sąsiednim stole. Był odziany w szeroką pelerynę z dużym kapturem uszytą z mięsistego aksamitu w szkarłatnym kolorze.

– Przyszłość może nam zapewnić nie kto inny jak właśnie te dzieci – odezwał się spod kaptura oschły stanowczy głos. – Ale nie dzięki temu, co wiedzą, tylko kim są.

– Kim...

Mężczyzna wysunął spod peleryny dwie drobne żyłaste dłonie i opuścił kaptur. Miał około pięćdziesiątki, zapadnięte policzki, usta tak wąskie, że prawie niewidoczne, i ostry nos. Siwe krzaczaste brwi nadawały spojrzeniu twardości, zamiast włosów zaś głowę okrywał mu idealnie przylegający stalowy czepiec, który sięgał aż do karku.

– Dzieci są przyczyną tego, co się z nami dzieje – ciągnął. – Są dowodem popełnionych przez nas kiedyś błędów, źródłem krzywd! I właśnie dlatego zasługują jedynie na nasz gniew!

– Co ty o tym wiesz, starcze? – wtrącił człowiek z bliznami.

Mówca rozchylił pelerynę, odsłaniając na skórzanym plastronie czerwono-czarny herb z jabłkiem pośrodku. Herb królowej.

Trzej przyjaciele natychmiast zeszywnieli i spuścili wzrok.

– Wybacz nam, panie – przemówił mężczyzna z torbielą. – Nie wiedzieliśmy, że jesteś żołnierzem królowej.

– Jestem duchowym doradcą jej wysokości Malroncji, panowie, nauczcie się rozpoznawać to nakrycie głowy, które sprawia, że nie można odczytać naszych myśli.

Słyszałem waszą rozmowę i uważam, że zbyt pochopnie dopatrujecie się w tych dzieciakach inteligencji i wiedzy, których one nie posiadają. Nie wolno wam zapominać, że to tylko robactwo! Anarchia! Ledwie zdążyliśmy odzyskać jaką taką równowagę, a te dzieci mogłyby wszystko zepsuć. Nie miejcie więc dla nich żadnej litości!

W głębi sali ustały zakłady rozbrzmiały za to okrzyki radości i gniewu. Doradca odczekał chwilę, aż hałas ucichnie, po czym dodał:

– Gdyby to ode mnie zależało, na ulicach nie byłoby ani jednego dziecka niewolnika! Niech te, które nie mogą służyć Poszukiwaniu, też zginą!

– Tak! – zapalił się mężczyzna z bliznami. – Niech wszystkim im poderzną gardła!

– Żadnej litości dla małego robactwa – stwierdził na koniec doradca. – Oszczędzić jednego z nich, choćby ujarzmionego, to oszczędzić ich nadzieję.

Wszyscy przytaknęli, ulegając niepokojącej charyzmie osobnika.

Kiedy wyszli na ciepłe wieczorne powietrze, ciemnobrody i mężczyzna z bliznami postanowili się udać do wojskowego namiotu u wylotu miasta, gdzie natychmiast wstąpili do armii królowej Malroncji.

Tak właśnie było w królestwie ludzi. Wystarczyło podsunąć kilka pewnych stwierdzeń i wskazać wroga, by uspokoić puste albo zmałowane niewiedzą umysły. Wówczas wszelkie lęki skupiały się na celu, który należało pokonać.

Na razie schwytać tyle dzieci, ile się da.

Żeby służyć Poszukiwaniu.

Dla królowej.

Część pierwsza

Roślinne imperium

Zbyt długa droga

Świat bardzo się zmienił w ciągu zaledwie sześciu miesięcy.

Matt Carter spędził czternaście lat swego życia w olbrzymim mieście, jakim jest Nowy Jork. Wśród asfaltu i budowli ze stali i szkła, w kokonie cywilizacji, komfortie elektryczności, regularnych gorących posiłków, pod opieką dorosłych.

Dorosłych.

Co się teraz działo z tymi, którzy przetrwali Burzę? Jedni stali się krwiożerczymi prymitywnymi stworami, drudzy... Cynikami. Łowcami dzieci.

Już od dziesięciu dni wędrował na południe w towarzystwie Amber i Tobiasa. Matt był wysoki jak na swój wiek. Zbyt długie brązowe włosy smagały mu twarz przy każdym powiewie wiatru, przesłaniając ponure zdeterminowane spojrzenie. Amber miała skórę równie białą jak Tobias czarną, zaś jasne loki o rudych refleksach okalały uroczą twarzyczkę, w której tkwiły wielkie zielone oczy. W przeciwieństwie do przyjaciela Tobias, któremu delikatny puszek pod nosem tworzył zaczątek wąsów, uważał, że jest za niski.

Stanowili zgrany zespół.

Przymierze Trojga.

Juki dźwigała Kudłata, pies tak duży jak kucyk. Brakowało pożywienia. Pragnienie gasili w napotkanych rzekach, ale suszonego mięsa i liofilizowanych potraw zostało im już tylko tyle co na dnie plecaka.

Minęło dziesięć dni, odkąd opuścili Wyspę Zamków, ich sanktuarium, kryjówkę przyjaciół, pozostałych nastolatków, którzy zwali się Piotrusiami.

Dziesięć dni torowania sobie drogi wśród wysokich traw, przedzierania się przez lasy, wspinania się na wzgórza, żeby zaraz zejść z powrotem na dół.

Matt spodziewał się ujrzeć zadziwiającą faunę, zwierzęta wokół nich zachowywały jednak dystans: dobiegały ich nieliczne tajemnicze krzyki o zmierzchu, zauważali jakieś uciekające kształty pod osłoną paproci, nic szczególnego jak na krainę, która uległa

przemianie aż do tego stopnia.

Przyroda odzyskała swoje prawa z żywotnością, jakiej nigdy dotąd nie przejawiała. Wszystko porastała roślinność, zniknęły najdrobniejsze pozostałości po społeczeństwie ludzi. Zwierzęta uległy transformacji, stały się silniejsze, groźniejsze, po Burzy wyłoniły się nowe gatunki, istoty ludzkie odkrywały na nowo strach, że będą łatwą zdobyczą.

Dzień dobiegał końca, gdy trójka wędrowców postanowiła rozbić obóz w szczelinie na zboczu pagórka. Tobias, były skaut, pełnił funkcję strażnika ognia, tymczasem Amber przygotowała posiłek, a Matt posłania.

– Nie mamy więcej herbatników – ostrzegła dziewczyna. – Nawet nadal racjonując żywność, wytrzymamy najwyżej dzień, może dwa.

– Powtarzam to, co proponowałem wczoraj: zrobmy całodniowy postój, żeby zastawić sidła i zapolować – odrzekł Tobias, który układał właśnie zebrane przed chwilą drewno.

– Nie ma czasu – sprzeciwił się Matt.

– Właściwie co ci każe narzucać takie tempo? – chciała wiedzieć Amber.

– Instynkt. Musimy się spieszyć. Ktoś idzie tuż za nami.

Amber i Tobias wymienili niespokojne spojrzenia.

– Boisz się tego czegoś... – przemówiła, ścisząc głos. – Tego całego Rauperodena, jak go nazywasz?

– Właśnie tak ma na imię. Dowiedziałem się tego ze snów.

– Sam powiedziałeś, że ze snów, więc może to tylko wytwór twoich lęków i...

– Nic z tych rzeczy! – zaprzeczył natychmiast. – On istnieje. Przypomnij sobie, to on napadł na wioskę Piotrusiów na północy, on mnie szuka. To nie jest żywa istota jak ty czy ja, on panuje nad naszym światem i... nad innym, bardziej mrocznym. W każdym razie potrafi tworzyć i przysyłać obrazy, a nawet komunikować się przez sny. Nie wiem dlaczego, ale przeżyłem coś takiego. I c z u j ę, że teraz depcze nam po piętach.

– A skąd weźmiemy jedzenie? – zapytał Tobias. – Przecież musimy jeść!

– Zdobędziemy.

Co powiedziawszy, Matt rzucił płaszcz na śpiwory, które właśnie rozłożył, i opuścił kryjówkę.

* * *

Amber i Tobias spojrzeli po sobie.

– Najwyraźniej ta wyprawa mu nie służy, nie uważasz? – odezwał się Tobias.

– Źle sypia. Słyszę, jak jęczy w nocy.

Tobias dał wyraz zdziwieniu. Skąd Amber tyle wie o jego przyjacielu? Przecież wszyscy troje śpią obok siebie!

„Zdecydowanie ci dwoje dobrali się w korcu maku...”

– Słuchaj no, Amber, naprawdę wierzysz, że znajdziemy ten cały Ślepy Las?

– Nie martwię się o to, czy go znajdziemy, tylko czy się przez niego przedrzemy... Krążą słuchy, że to miejsce przerażające, nieprzebyte i zamieszkane przez jakieś ohydne stwory.

– A jeśli uda nam się przez niego przedostać, co zrobimy, jak już dotrzemy na południe?

– Poszukamy odpowiedzi na nasze pytania: Po co Cynicy porywają Piotrusiów? Dlaczego chcą za wszelką cenę dopaść Matta? Przypominam, że sam się zgłosiłeś, by iść z nami!

– Tak, wiem, tylko że... Teraz, kiedy siedzimy tutaj wyczerpani, zagubieni, zaczynam się zastanawiać. Czy dobrze robimy, sami się prosząc o kłopoty?

– Wcale się nie zgubiliśmy, zmierzamy na południe. Żałujesz, że poszedłeś?

Tobias namyślał się przez chwilę wpatrzony w czubki własnych butów, nim rzekł:

– Nie, to mój przyjaciel! Ale nadal twierdzę, że popełniamy błąd. Powinniśmy byli zostać pod osłoną Wyspy Zamków.

* * *

Godzinę później płomienie lizały trzaskające polana. Nad obozowiskiem powoli zapadała noc. Każdego dnia Tobias dostrzegał ze zdumieniem, jak bardzo Ziemia się zmieniła. Wieczorem znikąd pojawiały się gwiazdy, jakich nigdy wcześniej nie widział: liczne, intensywne, zaskakująco wyraziste. Na przestrzeni wieków ludzie zapomnieli, jak może wyglądać niebo pozbawione światła miasta, bez zanieczyszczonego powietrza. Tobias przypomniał sobie, co mówił mu drużynowy: „Kiedy spoglądamy na gwiazdy, nawet płomień świecy odległy o dwadzieścia pięć kilometrów może zafałszować obraz”. Teraz Tobias mógł podziwiać to, czego jego dalecy przodkowie się obawiali i co zarazem czcili: czystą szkatułę ciemności nawiedzoną przez tysiące nieuchwytnych dusz.

„Bo niebo to właśnie to: nieskończone kulisy naszego ziemskiego życia, codzienne echo naszych ograniczeń”.

Wszyscy troje leżeli skuleni w śpiworach wokół czerwieniejącego ogniska, mając żołądki napełnione zaledwie w połowie, i czekali, aż sen weźmie ich w swe objęcia. Kudłata przeciągnęła się, warcząc, i opadła z westchnieniem na trawę.

Jak każdej nocy, odkąd wyruszyli w drogę, w ich umysłach leżały się wątpliwości i obawy, nieustannie opóźniając chwilę pogrążenia się w nieświadomości.

* * *

Zanim wyczerpały się wszystkie zapasy, upłynęły jeszcze dwa dni.

Po drodze minęli krzewy porośnięte dużymi brązowymi i pomarańczowymi jagodami. Ilekroć pojawiła się podobna pokusa, Amber nie pozwalała swym towarzyszom ich zrywać, upierając się, że nie potrafią rozróżnić, które owoce są jadalne, a które trujące.

– Nie jesteśmy Długodystansowcami, tymi Piotrusiami, co to wędrują od osady do osady, przekazując wiadomości – powtarzała. – Nie mamy dostatecznej wiedzy, żeby podjąć takie ryzyko.

– Ach tak? – podchwycił kąśliwie Tobias z rozdrażnioną miną. – Mogę zapytać, co będziemy dzisiaj jeść?

– Trochę cierpliwości, zaraz się coś znajdzie.

– Kiedy? Jutro? Za trzy dni? Jak już umrzemy z głodu?

Wyczerpanie sprawiło, że łatwo wpadali w złość. Matt uciszył wszystkich, podnosząc rękę:

– Będziemy polować. Moim zdaniem nie mamy innego wyboru. Tobo, czy możesz coś złapać w ciągu jednego poranka?

– Spróbuję.

Podczas gdy jego przyjaciele rozbijali prowizoryczny obóz, Tobias oddalił się w leśne zarośla, żeby pozakładać wnyki. Zapamiętawszy dokładnie ich położenie, przyczaił się, czekając na łup w postaci drobnej dziczyzny, jaką miał nadzieję schwytać.

Kiedy wrócił, Amber i Matt rozmawiali właśnie o przeobrażeniu.

Przeobrażenie. Owo subtelne postępujące przekształcenie, które odmieniło życie wielu Piotrusiów, wyposażając ich w niemal nadnaturalne zdolności.

– Myślisz, że w innych wioskach też nastąpiło przeobrażenie? – zapytał Matt.

– Na pewno to, co się wydarzyło u nas, miało miejsce gdzie indziej, tylko w innym tempie. Jestem więc przekonana, że sporo Piotrusiów potrafi dzisiaj zapanować nad swoimi nowymi zdolnościami.

– Zastawiłem pięć wnyków, teraz pozostaje nam już tylko trzymać kciuki – oznajmił Tobias.

Dyskutowali, wyciągnawszy przed siebie utrudzone nogi. Postój przypadł na dobry moment: mając śmiertelnie zmęczone stopy i obolałe uda i łydki, już dłużej nie mogli.

Chociaż Matt był zdenerwowany, starał się to ukryć. Każda minuta, która mijała, nie przynosząc ich dalej, była stracona. Bał się Rauperodena.

Odkąd wyruszyli w drogę, nie było nocy, żeby o nim nie śnił. Widział jego postać unoszącą się nad polaną, obracający się ku niemu cień jego kościstej przerażającej twarzy, słyszał jego lodowaty głos, który powtarzał: „Chodź do mnie, Matt. Jestem tutaj. Chodź. Chodź we mnie”.

Mimo lęku Matt czuł, że ta przerwa jest potrzebna. Nie mogli posuwać się dalej w tym tempie. Tym bardziej że ciągle czekało ich najgorsze: przeprawa przez Ślepy Las.

Nagle Matt zorientował się, że brakuje psa.

– Widzieliście Kudłata? Nie ma jej już od dobrej chwili! – zaniepokoił się.

– Nie, rzeczywiście, zapomniałem o niej – przyznał Tobias.

Amber, która właśnie trenowała kontrolę nad swoim przeobrażeniem, jak to często robiła po posiłku, podniosła głowę, mówiąc:

– Przecież ją znasz, potrafi o siebie zadbać, nie martw się. Pewnie szuka czegoś do jedzenia.

Po kilku minutach przez ścianę paproci przedarł się włochaty pysk psa trzymającego w zębach królika. Kudłata złożyła go w ofierze u stóp Matta.

– Jesteś naprawdę wyjątkowym psem, wiesz? Dzięki, Kudłata!

Łowczyni otrząsnęła się i położyła w cieniu, najwyraźniej równie wyczerpana jak ludzcy członkowie załogi.

Na myśl o zjedzeniu świeżego mięsa Tobiasowi rozbłyły oczy.

– I co teraz robimy? Przypuszczam, że nie należy piec futra?

– Trzeba go oprawić – rzuciła Amber tonem pełnym niedomówień.

– To znaczy: odrzeć ze skóry, wyjąć wnętrzności i obciąć mu głowę? – podsunął Tobias, krzywiąc się.

– Właśnie. – Widząc grymas obrzydzenia na twarzach obu chłopców, Amber westchnęła. – Świetnie, zrozumiałam. Ja się tym zajmę. Tobias, rozpal ogień.

* * *

Zrobili sobie sjęstę, by przetrwać posiłek, i żadne z nich nie zaproponowało, żeby ruszyć w dalszą drogę. Nawet Matt, który spał wtulony w jedwabistą sierść psa.

Późnym popołudniem Tobias poszedł sprawdzić wnyki, lecz wrócił z pustymi rękami i zagniewaną miną.

Dokończyli królika jeszcze tego samego wieczoru, po czym zasnęli wśród świergotu

drapieżnych ptaków i zgiełku innych nowych stworzeń, podczas gdy liście szumiały miękko na wietrze.

Matt otworzył oczy, kiedy chłód zrobił się bardziej przenikliwy. Kudłata zniknęła gdzieś w ciemnościach, on zaś przywarł bezwiednie do Amber, przyciskając nos do jej karku, wtulony we włosy w kolorze weneckiego blondu, które zasłaniały mu część twarzy. Mimo dwunastu dni marszu jej skóra ładnie pachniała. „Całe szczęście, że namawiała nas do mycia w każdej napotkanej rzece – pomyślał zaspany. – Lubię jej zapach”.

A jeśli ona się teraz obudzi? Co sobie pomyśli?

Matt delikatnie się wycofał, odsunął się od jej ciepłych pleców.

Jeszcze była noc. Która mogła być godzina? Druga? Później?

Liście poruszały się mocniej niż poprzedniego dnia. Ptaki ucichły. „Jest dziwnie chłodno”.

Matt usiadł. Poczul na czole coś mokrego. „Zaczyna padać! Tylko tego brakowało! Rozejrzał się dokoła, przynajmniej na tyle, ile pozwalał mrok. Nie dostrzegł żadnego schronienia.

Las przecięła biała błyskawica.

Tuż po niej rozległ się długi piwniczny pomruk.

Nadchodziła burza.

Matta natychmiast ogarnął niepokój, ściskając mu żołądek i przyspieszając bicie serca. „To on!”

Rzucił się na Amber i Tobiasa i brutalnie ich obudził:

– Wstawać! Szybko!

– Co? Co? Co się dzieje? – wyjąkał Tobias jeszcze półprzytomny mimo początków paniki.

– To Rauperoden, zbliża się!

– Matt, uspokój się – powiedziała Amber. – To tylko burza.

– Nie, nie rozumiesz, on j e s t burzą. Wiem to, czuję. Chodźcie, idziemy.

– A dokąd chcesz pójść w deszczu w środku nocy?

– Trzeba ruszać dalej, nie dać się złapać.

– Ty bredzisz, Matt, potrzebujemy tylko schronienia, nic więcej.

– Ona ma rację. – Tobias przyszedł Amber z pomocą. – O ile dobrze zapamiętałem jedną rzecz z lat spędzonych u skautów, nigdy nie da się prześcignąć burzy.

Matt patrzył, jak przyjaciele zbierają pospiesznie swoje rzeczy i wypatrują w ciemnościach jakiejś skały. Tobias przywołał ich gwizdnięciem. Trzymając nad głową

kawałek świecącego grzyba, pokazał dwa olbrzymie przewrócone pnie drzewa leżące jeden na drugim. Całość stanowiła znakomite schronienie otoczone wysokimi paprociami. Kiedy się tam schowali, Matt położył dłoń na grzybie, który emanował tak nieskazitelnie białym, że aż upiornym światłem.

– Schowaj to, bo nas zobaczą.

Tobias niechętnie spełnił polecenie, po czym przytulili się jedno do drugiego oparci o Kudłatą.

Zaczęło lać, wierzchołki drzew rozświetlały błyskawice. Rozległ się tak potężny grzmot, że pod trójką przyjaciół zatrzęsła się ziemia.

– No, no! – wyrwało się Amber. – Można mieć cykora.

W nagłym silnym blasku szara kora drzew zalsniła niczym skóra węża. Zakrzywione gałęzie zamieniły się w szkieletowate ręce. Liście drżały, jakby to były skrzydła. W miarę zbliżania się burzy całe otoczenie zmieniało wygląd.

Piorun uderzył dziesięć metrów od Matta z ogłuszającym łoskotem, rozłupując jeden z kasztanowców na pół. Trójka przyjaciół przycupnęła przy drżącej Kudłatej. Wokół nich rozlał się prawdziwy potop. Po zboczu pędziły dziesiątki błotnistych strug deszczówki.

Troje nastolatków, którym woda jeszcze nie sięgnęła stóp, otuliło się kocem.

– Widzisz, to tylko burza – odezwała się Amber pod adresem Matta.

– W każdym razie jest piekielnie gwałtowna – wtrącił Tobias.

– Ciszej! – nakazał Matt ciągle niezbyt pewny siebie.

– A komu miałbym przeszkadzać przy tym harmiderze? – odparował Tobias jeszcze głośniejszym głosem, aby udowodnić przyjacielowi, że nie ma się czego bać.

Wtem nad ich głowami rozbłysły dwa potężne reflektory, omiatając okoliczne zarośla. Tobias drgnął i rozdziawił usta zarówno z zaskoczenia, jak i ze strachu.

– Szczudlarz! – szepnął Matt, ściskając rękojeść miecza.

Dwa białe promienie prześliznęły się po zasłaniającym ich pniu, po czym jęły przeszukiwać ziemię.

– Nie namierzył nas! – syknął Matt, w którym tliła się iskierka nadziei.

– Co to takiego? – zapytała rozdygotana Amber.

– Straż przyboczna Rauperodena. To ich oczy dają takie światło. Nie mogą nas zobaczyć, bo inaczej otoczą nas w jednej chwili. Kiedyśmy się na nich natykali, nigdy nie byli sami. Zostańcie tutaj i pod żadnym pozorem się stąd nie ruszajcie!

W otworze ukazała się wysoka na trzy metry postać w długim czarnym płaszczu z kapturem. Postawiła na ziemi szczudło tuż pod nosem nastolatków. Było ono pokryte grubą

mleczną skórą i zakończone trzema przypominającymi kciuki wyrostkami, które zagłębiły się w glebie, aby utrzymać równowagę.

Matt położył dłoń na ustach Amber w obawie, że dziewczyna wrzaśnie.

Reflektory oświetliły pozostałości po ognisku, które Tobias rozpałił za dnia.

Szczudlarz wydał jęk niczym wieloryb, po czym ktoś z daleka mu odpowiedział, przekrzykując łoskot burzy. Kolejny szczudlarz zjawił się, robiąc duże susy, szybszy niż człowiek w sprincie, i rzucił się na obozowisko. Spod płaszcza wynurzyła się dłoń o nieskończenie długich palcach, pomacała wygasłe polana, opalizujące ramię wyciągało się bez końca poruszane osobliwym teleskopowym mechanizmem.

– Szszszszsz! Szszszszsz... Był tu! – zawołał stwór gardłowym głosem niemal niesłyszalnym z powodu burzy.

W wygasłe ognisko uderzyły po kolei trzy błyskawice, wyrzucając snopy iskier na wszystkie strony. Nagle deszcz stracił na sile i wiatr zelżał, w jednej chwili przestało padać. Nad lasem rozciągnął się dywan mgły, nieruchomiejąc metr nad trawą. Następnie między drzewami prześliznęła się długa czarna postać.

Z miejsca, w którym się znajdowali, żadne z trójki przyjaciół nie mogło jej wyraźnie dojrzeć, Matt jednak wiedział, że to Rauperoden.

Mgła otuliła szczudlarzy, postać zaś przepłynęła tuż obok kryjówki.

– Tutaj... panie! Szszszszsz, tutaj... był... tutaj! Szszszszsz...

– Chcę go dostać! – ryknął gardłowy głos. – Znajdźcie go! CHCĘ GO DOSTAĆ!

Jego krzyk rozległ się w ciemnościach, przyprawiając o drżenie nawet mgłę.

Dwaj szczudlarze zabrali się do dzieła, omiatając oślepiającym wzrokiem pobliskie zakamarki.

„Idą na południe”, zauważył Matt.

Wtem pojawiło się trzech kolejnych szczudlarzy, potem jeszcze dwóch.

Mgła jęła się przesuwac ich śladem, postać zaś zniknęła w mroku przy akompaniamencie łopotu jakby mokrego prześcieradła.

Natychmiast znów rozpadał się rześisty deszcz, wirując pod wpływem silnego wiatru.

Matt odetchnął z ulgą.

– Mało brakowało – stwierdził.

Zaopatrzenie

Burza trwała jeszcze pół godziny, po czym oddaliła się na południe, pozostawiając po sobie przemoczoną i pachnącą przyrodę. Świt uwolnił cienie od jasnych wstęg, wiatr wreszcie ustał.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała Amber do Matta. – Że ci nie uwierzyłam.

– Teraz już wiesz, że on depta nam po piętach. Dalej, chodźcie, musimy ruszać, zanim zawrócą.

Objuczywszy Kudłatą, trójka przyjaciół wydostała się z lasu przez szczyt wzgórza, gdy tymczasem na horyzoncie wstawało słońce. Kiedy uszli jakieś dziesięć kilometrów na południe, zdołali zobaczyć gęste czarne chmury i błyskawice przecinające łąkę. Burza przemieszczała się zygzakiem, szukając drogi niczym drapieżnik węszący trop ofiary.

– Proponuję odbić w prawo i zrobić okrążenie – podsunął Matt. – Jeśli stracimy czas, to trudno. Przynajmniej porządnie się oddalimy i będziemy osłonięci.

– A dlaczego nie mielibyśmy pójść całkiem prosto? Wtedy mielibyśmy burzę na oku – odparł Tobias.

– Ona prędzej czy później i tak zawróci. Po wielu godzinach bezowocnych poszukiwań zorientują się, że nie jesteśmy przed, ale za nimi. Tylko popatrz, jak ona się rusza, ta burza się zachowuje jak wataha polujących wilków. W końcu uzmysłowią sobie, że nas wyprzedzili.

Nikt nie znalazł żadnego argumentu przeciw. Posuwali się skrajem lasu dopóty, dopóki nie mieli innego wyboru, jak wejść między drzewa i udać się na południowy zachód.

– Jak myślicie, daleko jeszcze do Ślepego Lasu? – zastanawiał się Tobias.

– Jeżeli wierzyć plotkom, jak tylko znajdzie się w polu widzenia, od razu go rozpoznamy, jeszcze trochę cierpliwości – odrzekła Amber.

– Niedługo miną dwa tygodnie, odkąd wyruszyliśmy! Już dłużej nie mogę, stopy zaraz mi się rozpadną na kawałki!

– Nie pękaj, Toby – dodawał mu otuchy Matt. – Przypomnij sobie wędrówkę na Wyspę Zamków.

– Łatwo ci mówić! Byłeś w śpiączce i ciągnęła cię Kudłata! Ja dopiero po miesiącu znów zacząłem normalnie chodzić!

Matt rzucił mu twarde spojrzenie. Chłopak w jego wieku bardzo rzadko patrzy na przyjaciela takim wzrokiem: „Wiedziałeś, w co się pakujesz”, zdawał się mówić. Za sprawą zmęczenia ten niemy komentarz zabarwiony był nutką irytacji.

Z braku ścieżki musieli się przedzierać przez zarośla, wybierając jak największe prześwity, by nie opóźnić marszu; nie sposób jednak było iść prosto, przez co mieli wrażenie, że niepotrzebnie marnują energię.

Matt kierował się kompasem. Przed wyprawą na wszelki wypadek nauczył się od Długodystansowca Bena orientacji w terenie, Ben zaś skorzystał z okazji, by zasypać go radami na temat sztuki przetrwania. Groźny świat – oto czym stał się ten kraj, ta planeta.

Właściwie co tak naprawdę wiedział? A jeśli Europa i Azja ocalały? Nikt nie miał wieści o tym, co się dzieje po drugiej stronie oceanu.

Matt schował kompas do jednej z kieszonek u pasa.

Żołądki mieli ściśnięte z głodu i kończył im się zapas wody.

W ten sposób nie wytrzymają zbyt długo.

Muszą znaleźć jakieś miasto. I to szybko.

Po dwóch godzinach marszu w milczeniu wydostali się z lasu na szczyt wzniesienia, które górowało nad długą równiną.

Trójka wędrowców przystanęła jednocześnie, Kudłata zrobiła to samo.

W oddali horyzont przesłaniał w połowie czarny mur, całkowicie zagradzając drogę na południe.

Ślepy Las.

Poprzedzały go schody z przeogromnych drzew, których wierzchołki wznosiły się stopniowo, tworząc ścianę. Dalej to już nie były drzewa. Słowo to zaczynało brzmieć śmiesznie. Pnie wyrastały na wysokość ponad kilometra. Ślepy Las stanowił łańcuch górski, w którym drzewa zastępowały kamień, a liście śnieg.

Ten przytłaczający widok utwierdził Matta w jednym: nie pomylił kierunku.

– Prawie doszliśmy... – wysapał Tobiasz jednocześnie oczarowany i przerażony.

– Wydaje nam się, że doszliśmy, bo jest niewiarygodnie wysoki – sprostowała Amber.

– Ale moim zdaniem mamy przed sobą jeszcze co najmniej dwa dni drogi.

Zupełnie stracili z oczu burzę Rauperodena. Czyżby znajdowała się już zbyt daleko,

czy też przyczaiła się za nierównościami terenu, aby wybadać każde zagłębienie ziemi?

– O nie! – zawołał Tobias. – Spójrzcie w dół, na równinę!

Ze wschodu na zachód biegł rząd nietkniętych jeszcze słupów wysokiego napięcia. Można było przejść pod przewodami. Całą ich powierzchnię porastały liany, z przewodów zwisały zaś powiewające na wietrze skupiska jakichś podłużnych kształtów.

Do zmian, które zaskoczyły Matta po wielkiej Burzy, należało zniknięcie wszystkiego, co mogłoby się stać źródłem zanieczyszczenia, jak choćby samochody czy fabryki. Nie napotkał ani jednej z tych rzeczy. One tak naprawdę nie zniknęły, raczej się rozplynęły. Słupy wysokiego napięcia podzieliły ich los, chociaż pozostała jeszcze garstka tych, które dźwigały już niepotrzebne przewody. Tak jakby Ziemia w napadzie wściekłości zapomniała uderzyć w niektóre miejsca.

Matt wiedział, że słupy pozwalają zlokalizować duże miasto – wystarczy iść wzdłuż nich. Wiedział również, że naokoło krąży osobliwa groźna fauna. Parę dni wcześniej napotkali kilku jej przedstawicieli, teraz zaś ze zdumieniem odkryli wiszące na przewodach tysiące robaków rozmaitej wielkości, małych jak pomrowiki albo długich jak ogórki. Amber już o nich słyszała. Długodystansowcy zwali je Solidarnymi Gąsienicami. Jeżeli jedna z nich spadnie na ofiarę, setki następnych natychmiast ruszają w jej ślady, całkowicie pokrywając zdobycz.

– Nie ma mowy, żebym pod nimi przeszedł! – zawołał Tobias.

– Zgadzam się z tobą – przyznał Matt.

– Tylko że Ślepy Las jest po drugiej stronie – przypomniała Amber. – Jak zamierzacie się tam dostać?

– Nie przejdziemy pod słupami – odparł Matt – tylko wzdłuż nich. Aż do miasta. Bez jedzenia dłużej nie damy rady, musimy się zaopatrzyć.

Tobias energicznie pokiwał głową. Amber wpatrzyła się w Matta. Wszyscy troje zdawali sobie sprawę, że teraz miasta stanowią siedlisko dzikich stworów, skrywają także resztki rozmaitych dóbr, których część mogliby sobie przywłaszczyć.

– Idziemy w prawo czy w lewo? – zapytał Tobias.

– Widzę sporą plamę na wschodzie, to pewnie ruiny.

Matt poprawił przewieszony przez plecy miecz i pierwszy ruszył z boczem.

Posuwali się w znacznej odległości od przewodów wysokiego napięcia, wypatrując gąsienic, gotowi puścić się biegiem przy najbliższym szeleście.

Równina wokół nich znajdowała się w ciągłym ruchu; porywy wiatru żłobiły ze świstem bruzdy w wysokiej trawie, po czym cichły. Tobias, który w końcu pozbył się łuku,

umieszczając go na grzbiecie Kudłatej wraz z jukami i śpiworami, podszedł do psa, żeby wziąć broń i nałożyć strzałę.

– Amber, jesteś ze mną? – przemówił cicho.

Dziewczyna, wyrwana z odrętwienia typowego dla znużonego wędrowca, popatrzyła uważnie na przyjaciela i rozejrzała się badawczo wokół.

Nie dalej jak pięćdziesiąt metrów od nich z lasu wybiegła sarna i pogalopowała w zarośla.

– Zaczekaj chwilę – ostrzegła Amber. – Nie dam rady pokierować strzałą aż tak daleko.

– Wiem. Matt, zostań tutaj z Kudłatą, podejźmy powolutku bliżej.

Matt spełnił polecenie, wyciągając przed siebie dłoń, żeby powstrzymać psa.

Jeszcze siedem miesięcy temu, w innym życiu, które wiódł jako zwykły obywatel Nowego Jorku, pochorowałby się, zabijając sarnę. Teraz był to czyn niezbędny, żeby istnieć. Konieczny, by przetrwać. Od kiedy przestano masowo hodować bydło, którego jedynym przeznaczeniem było trafić do rzeźni w imię konsumpcji, Matt potrafił się z tym łatwiej pogodzić. Polowali wyłącznie wtedy, kiedy zaszła taka potrzeba, nigdy częściej.

Tobias i Amber znajdowali się zaledwie jakieś trzydzieści metrów od zwierzęcia, kiedy wiatr zmienił kierunek. Sarna podniosła głowę i dostrzegła dwoje drapieżców. Skoczyła do przodu, w chwili gdy Tobias mierzył z łuku i wypuszczał strzałę.

Amber skupiła się, z całej siły przyciskając czubki palców do skroni.

Strzał nie był zbyt celny, brakowało mu impetu. Nagle drewniany pocisk zmienił tor lotu jak uniesiony gwałtownym porywem wiatru i skierował się ku biegnącej ofierze. Zwierzę miało takie same szanse, jakby ściagała je rakieta naprowadzana laserem. Mimo że zmieniło pozycję, strzała mknęła wprost na nie i za sekundę miała się wbić w jego ciało.

Właśnie wtedy utraciła prędkość i zniknęła w wysokiej trawie.

– O nie! – krzyknęła Amber. – Nie potrafię zachować kontroli przy długich dystansach.

Zwierzę było już daleko.

Matt podszedł bliżej i poklepał każde z nich przyjacielsko po ramieniu.

– To nic takiego, z czasem nabierzemy wprawy – powiedział. – Nad przeobrażeniem trzeba po prostu zapanować, prawda?

– Ale nie tak! – wykrzyknął Tobias.

Sarna zbliżała się właśnie do słupów. Dokładnie w momencie gdy przechodziła pod przewodami, jedna z gąsienic spadła na dół, a za nią dziesiątki następnych. W mgnieniu oka

zwierzę pokryły czarne kształty, które powbijały w nie swe haczykowate zęby, wczepiając się mocno. Zniknęło zasypane gąbczastymi ciałami, które zaczęły ssać.

– Już dość widziałam – oświadczyła Amber, ruszając w dalszą drogę.

Posuwali się w milczeniu, odnajdując hipnotyczny rytm wędrowca dręczonego wyczerpaniem i głodem.

Wreszcie szare chmury rozsunęły się nieco, odsłaniając promienie słońca, po czym w ciągu popołudnia całkowicie się rozstały.

Drzewa stały się mniej rozstrzelone, tworząc gaje, następnie laski. W oddali naprzeciw nich rysował się las. Matta ogarnęła nadzieja. Przed nimi wyłoniły się trzy potężne sylwetki spowite płataniną gałęzi i lian – to mogły być budynki. Bezwiednie przyspieszyli kroku powodowani słodkim przeświadczeniem, że wkrótce zjedzą porządny posiłek.

Gładkie pnie, listowie z prześwitami. Potem ściana bluszczu i zatopiony w mchu dach. Dom mieszkalny! A trochę dalej jeszcze jeden.

– To miasto! – zawołał Tobias. – Będziemy mogli się najeść!

Amber powstrzymała chłopców przed rzuceniem się do pierwszych budynków, zachęcając, żeby poszukali raczej sklepu spożywczego, w którym będą mogli zdobyć prawdziwy prowiant.

Podążali czymś, co musiało być kiedyś główną ulicą: idealnie prostym ciągiem trawy biegnącym przez las w kierunku jeszcze bardziej nieprzebytego gąszczu, który przypominał centrum miasta.

Matt zauważył ogromną polanę porośniętą skapanymi w słońcu paprociami. W samym środku zbita masa niknęła pod lianami i gałęziami.

– Wygląda jak supermarket – stwierdził. – Chodźcie.

Przebili się przez morze paproci, znalezienie zaś wejścia pod kaskadą zielonych liści zajęło im pięć minut.

– Centrum handlowe! – obwieściła triumfalnie Amber. – Świetnie!

Wewnątrz panowały całkowite ciemności; szklane kopuły w dachu były tak bardzo porośnięte mchem, że światło dzienne nie mogło się przez nie przedrzeć. Tobias wyjął swój kawałek świecącego grzyba i niósł przed sobą. Zalał ich biały, niemal srebrzysty blask.

Znajdowali się w obszernym holu, którego podłogę pokrywał prawie zupełnie dywan z liści i cierni. Na piętro prowadziły dwa ciągi ruchomych schodów. Wspiąwszy się po nich bez najmniejszego trudu, trójka przyjaciół jęła krążyć wśród sklepowych witryn. Głównie butików z ubraniami. Matt stwierdził, że wiele drzwi pozostało otwartych, zauważył poprzewracane stojaki, chociaż się do nich nie zbliżał. Korytarz, którym podążali, wychodził

na antresolę górującą nad niższymi poziomami.

Odłączywszy się od grupy, Amber przystanąła przed zakurzoną wystawą. W półmroku dało się dostrzec na półkach dziesiątki płyt, nad którymi wisiały plakaty informujące o wyjątkowych obniżkach cen. Obaj chłopcy czym prędzej ją dogonili.

– Brakuje mi muzyki – wyznała. – Tak bardzo bym chciała posłuchać jakiejś płyty.

– Ja tam wolę Internet – odrzekł Tobias, wpatrując się w ciemność.

– Tobias – zawołał Matt – mógłbyś tu poświęcić?

W blasku obok wejścia do sklepu sportowego ukazała się wysoka postać chłopaka o brązowych włosach. Matt minął kilka bieżni i atlasów, po czym zatrzymał się przed hulajnogami dla dorosłych. Wybrawszy jeden z modeli, wypróbował go na wykładzinie alejki, zataczając szerokie koła.

– Weźcie po jednej, w ten sposób będziemy się poruszać szybciej!

Amber i Tobias spojrzeli na siebie rozbawieni, po czym podbiegli ze śmiechem do hulajnóg.

Na krótką chwilę zapomnieli o głodzie i zmęczeniu, prześcigając się i wzajemnie na siebie wpadając.

Zabawę przerwało im warczenie siedzącej na progu sklepu Kudłatej.

Matt i Amber zahamowali równocześnie i zastygli obok siebie, gdy tymczasem Tobias wbił się w regał z adidasami.

– Cśś! – zawołali jednogłośnie Matt i Amber.

– Nie zrobiłem tego spec...

– Cicho! – ucięła Amber.

Nadstawili uszu, lecz nic nie usłyszeli. Kudłata, wpatrzona w główny korytarz centrum handlowego, przestała warczeć. Matt podszedł do niej i delikatnie ją pogłaskał.

– Wszystko w porządku, ślicznotko?

Pies obserwował uważnie jakiś punkt w oddali, którego ludzki wzrok nie był w stanie osiągnąć. Przejechawszy językiem po nosie, zerknęła na swego młodego pana.

– No i co? – zapytała Amber, dołączając do nich.

– Sam nie wiem, nie wygląda na spanikowaną, pewnie to lis albo coś w tym rodzaju.

– Gdzieś tu powinien być plan z wykazem sklepów – podsunął Tobias. – Chodźcie!

Matt zamierzał mu doradzić większą ostrożność, ale nie zdążył; musiał śmigać za przyjaciółmi na hulajnodze, żeby nie zostać sam w ciemnościach. Tobias jechał na czele kawalkady, odpychając się nogą. Blask kulistego grzyba dodawał im otuchy w dwupiętrowym labiryncie korytarzy. Tobias zatrzymał się przed dużym kolorowym planem centrum. Orszak

zamykała truchtająca Kudłata. Przysiadła z westchnieniem tyłem do planu, jakby pełniła straż.

– Jesteśmy tutaj... – odezwał się Tobias. – A cała strefa spożywcza znajduje się w podziemiach. Cholera! To fast foody, zapasy mrożonek już dawno pogniły. Tam dalej, na naszym piętrze, jest restauracja; jak poszperamy w magazynie, na pewno znajdziemy jakieś konserwy.

– Właśnie w tamto miejsce wpatrywała się przed chwilą Kudłata i warczała – wtrącił Matt.

– Patrzcie! – powiedziała Amber. – Supermarket! Jest po przeciwnej stronie!

– Genialnie – stwierdził Matt. – Zasuwamy.

Trzy hulajnogi popędziły na północ kompleksu, po czym zjechały na parter na ogromną powierzchnię supermarketu. Całą przestrzeń przy wejściu zajmowały telewizory z płaskimi ekranami. Odepchnąwszy się kilka razy, dotarli do działu spożywczego, zgarniając ile się dało herbatników i batonów czekoladowych, nim opanowali regały z puszkami konserw, którymi napełnili plecaki oraz juki Kudłatej.

– Musimy to robić bardziej metodycznie – mitygowała Amber. – Nie bierzmy byle czego. Tylko produkty nieprzeterminowane i łatwe do przyrządzenia.

– Doug mówił, że konserwy nie mają limitu ważności – sprzeciwił się Tobias.

– Nie wydaje mi się. Tak czy inaczej nie mamy wyboru. Weź cały zielony groszek i fasolkę, ale zostaw serca palm w słoikach, bo mają wstrętny kolor. Musimy też opróżnić całą półkę z zupkami chińskimi: są lekkie i proste w przygotowaniu.

– Nie wiem jak wy, ale ja już nie mogę patrzeć na to całe zarcie! – obwieścił Matt. – Tobias, możesz wyjąć palnik gazowy?

Rozsiedli się na środku wielkiego supermarketu i podgrzali dwie puszki fasoli w sosie pomidorowym, które pochłonęli z połamanymi sucharkami. Napelniwszy żołądki, położyli się na płaszcach wśród pudełek po ciastkach i pustych puszek po napojach gazowanych. Uwolniona z juków Kudłata od razu zniknęła. „Pewnie poszła zapolować na coś małego”, pomyślał Matt.

Odpoczywali, gawędząc przez ponad godzinę, nim powrócili do zbiórki żywności. Znalazłszy chemiczną latarkę podobną do tych, które zabrali jeszcze z Nowego Jorku, Matt przełamał ją na pół. Reakcja wyzwoliła żółte światło dostatecznie silne, by potrafili się zorientować w położeniu. Amber zrobiła to samo, dzięki czemu każdy mógł swobodnie krążyć między regałami.

Matt wędrował wzdłuż półek z płytami DVD, następnie z gramami wideo, czując

dotkliwy smutek na wspomnienie życia, które wydawało się takie odległe. „I pomyśleć, że wtedy uważałem swoje życie za pełne niespodzianek!”

Kiedy dotarł do rzędów książek, przystanął przed działem „Fantastyka naukowa”. Żółtawe światło tłumilo jaskrawość okładek, nadając im przerażający wygląd. Rozważał przez chwilę, czy nie wybrać jednej z książek, aby od czasu do czasu, gdy rozbiją obóz, uciec do innego świata, powstrzymał się jednak. Opowieści te przestały już w nim budzić taką fascynację jak kiedyś. Co do przygód zaś, miał ich codziennie pod dostatkiem, a jeśli się dobrze zastanowić, wcale nie zapierały tchu w piersiach.

Zawiesił sobie chemiczną latarkę na szyi na kawałku sznurka; chwycił jakiś komiks i oświetlał nią wertowane strony.

Drgnął, kiedy znad jego ramienia wyłoniła się niespodziewanie czyjaś dłoń i złapała latarkę.

Gdy włosy Amber musnęły go w policzki, uspokoił się natychmiast, chociaż serce nadal waliło mu jak szalone. Co ona robi za jego plecami? Czyżby zamierzała go pocałować?

Nagle Matt zaczął się zastanawiać, jak powinien zareagować. Czy pragnie, żeby go pocałowała? Uważał, że jest słodka, śliczna i bardzo silna, ale czy naprawdę...

Pociągnęła go do tyłu i zmusiła do ukucnięcia.

– Co cię napadło? – zapytał z niepokojem, chwiejąc się.

Kładąc mu dłoń na ustach, żeby go uciszyć, jednocześnie pociągnęła gwałtownie za sznurek i schowała latarkę w kieszeni nylonowych spodni. Przez włókna przebijało nikłe światło – akurat tyle, by Matt zdołał dostrzec jej przerażoną minę.

Amber uwolniła go z uścisku.

– Coś weszło do supermarketu – szepnęła jak mogła najciszej.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia, ale jest wielkie i węższy za nami.

Co powiedziawszy, chwyciła go pod brodę, nakierowując na wejście do działu kultury.

Matt prawie nic nie widział w ciemnościach. Z ogromnych dachowych okien sączył się widmowy blask.

W odległości niecałych dziesięciu metrów udało mu się wszakże dostrzec jakiś kształt: olbrzymią przemieszczającą się powoli postać, która głośno wciągała powietrze, z czymś, co zapewne było jej głową, przy podłodze. Jednocześnie wokół wydzielala jakąś substancję... Sporą ilość śliny!

To nie była Kudłata, stwór znacznie przewyższał ją rozmiarem. Miał wzrost konia.

I pomimo imponujących gabarytów poruszał się bezszelestnie.

– Nie widział cię? – szepnął Matt.

– Nie, ale nie znalazłam Tobiasa. Jeżeli dopadnie go przed nami, nie ręczę za to, co się może wydarzyć.

– Chodź.

Chwycił ją za rękę i zaprowadził na koniec alejki. Czuł skrępowanie i jednocześnie złość na siebie, że zostawił miecz razem z resztą ekwipunku przy palniku gazowym. Nie mieli żadnej broni.

Podążali za stworem równoległą alejką oddzieleni od niego rzędami regałów Patrzyli, jak podbiega do ich rzeczy i długo je wacha.

Następnie rozbłysło srebrzyste światło.

– Tobias... – rzucił przez zęby Matt.

Zawrócił w stronę butelek z wodą źródlaną i napojami gazowanymi, chcąc się zbliżyć do potwora.

Przykląkł skulony, aby wypatrzeć przyjaciela.

Tobias posuwał się powoli, pchając przed sobą wózek, z którego wystawał teleskop. Trzymał w jednej dłoni grzyb i uważnie czytał jakąś ulotkę.

Szedł prosto na stwora, wcale nie zwracając na niego uwagi, stwór zaś chciwie się weń wpatrywał. Światło zalewało go coraz bardziej.

Stwór nie miał już ani jednego włosa, mleczna skóra upodabniała go do grizzly albinosa, nie miał też uszu, tylko czarne dziury. Fafle odsłaniały pysk pełen zaślinionych zębów, łapy zakończone były żółtymi pazurami.

– Trzeba działać natychmiast albo Tobias zginie – rzuciła Amber.

– Nie mogę dosięgnąć miecza, który jest pod tym... tym czymś! Możesz go tu przyciągnąć?

– Spróbuję.

– Trzeba będzie się spieszyć. Jak tylko broń drgnie, niedźwiedź czy cokolwiek to jest wyczuje ruch.

Matt wiedział, że kolejna okazja zadania ciosu już się nie powtórzy. Jeśli stwór zareaguje, z miejsca rozniesie go na strzępy. Musiał dobrze wycelować. I mocno uderzyć.

Serce waliło mu jak młotem. Mattowi zaczynało już brakować tchu, chociaż jeszcze nawet nie zaatakował.

Amber skoncentrowała całą uwagę.

Wtem miecz się poruszył, najpierw o kilka centymetrów, potem o metr. Ślizgał się po podłodze.

– Jest za ciężki – jęknęła Amber, krzywiąc się.

Niedźwiedź, który wyczuł ruch między łapami, odskoczył na bok, wpatrując się pilnie w przedmiot. Następnie podniósł czerwone ślepia, sondując otaczającą go ciemność. Jego wzrok zatrzymał się na Amber, a w końcu na Matcie.

Powietrze zadrżało od gardłowego ryku.

Matt dostał gęsiej skórki. Odniosł wrażenie, że niedźwiedź się śmieje. Okrutnym śmiechem.

Bezlitosna Drużyna

Poruszył łapami, mięśnie zagrały pod białą skórą, szykował się do skoku.

„Już po nas!”, wrzasnął bezgłośnie Matt. Rozejrzał się w mroku w poszukiwaniu czegoś, co by się nadało jako broń. Nic.

Tobias stanął jak wryty, osłupiały na ten potworny widok.

Po chwili rozległ się okrzyk wojenny.

Po nim zaś dziesiątki wściekłych wrzasków.

Główną alejkę przecięła ze świstem wiązka czarnych strzał, wbijając się w bok niedźwiedzia albinosa, który zaryczał, rozdziawiając paszczę i odsłaniając podwójny rząd zębów niczym u białego rekina.

Natychmiast zapomniał o Amber i Matcie i popędził w stronę, skąd dobiegały krzyki. Regały zachwiały się od jego ciężkich kroków, ryk rozbrzmiewał w całym centrum handlowym.

Matt ujrzał czerwony płomień, przez halę przeleciała świeca dymna i upadła obok łap potwora.

– ŁEB! – zawołał ktoś.

Na chwilę znów rozbrzmiały świsty, niedźwiedź zmienił kurs i nadział się z ogłuszającym hukiem na boczną ścianę regału. Sterty puszek z tuńczykiem wzbily się w powietrze, po czym poturlały we wszystkich kierunkach, podczas gdy stwór wydawał ostatnie rżenie.

Matta zatkalo. Wszystko działo się tak szybko, że nie pojmował, co się wydarzyło.

Widząc tuzin strzał tkwiących w ciele niedźwiedzia, zaskoczył.

Zapłonęły dwie lampy oliwne, następnie pojawiło się dziesięć bezkształtnych postaci.

– Dopadliśmy go! – zawołał triumfalnie dziecięcy głos.

– Nikt nie jest ranny? – zapytał inny dostatecznie głośno, by do Matta dotarło, że zwracają się do nich.

Amber wyszła pierwsza, za nią Matt. Tobias, jeszcze ciągle w szoku, został z tyłu.

Stojący naprzeciw nich Piotrusie nosili zbroje zrobione z naramienników do futbolu amerykańskiego, nagolenników bramkarza i hokejowych kasków. Trzymali kusze, kije bejsbolowe, najmłodszy zaś był uzbrojony w kij do golfa.

– Jesteście cali i zdrowi? – zapytał największy z grupy.

Amber skinęła głową.

– Chyba tak – wyjąkał Tobias za ich plecami.

Duży zdjął kask, odsłaniając twarz czarnoskórego piętnasto może szesnastolatka z zieloną bandaną na włosach.

– Jestem Terrell – oznajmił, podchodząc do Matta – z Bezlitosnej Drużyny. A wy?

– Ja mam na imię Amber, on Matt, a ten tam Tobias. Wszystko w porządku, Toby?

Chłopak przytaknął słabo i postąpił krok do przodu.

Terrell, który ignorował Amber, najwyraźniej chciał rozmawiać z Mattem.

– Tropimy Wielkiego Białasa od dwóch dni – wyjaśnił. – Właśnie go zgubiliśmy, kiedyśmy zobaczyli, jak tu wchodzie. Nie zdążyliśmy nawet was powitać, jak wyściubił nos. Wielkie Białasy są diabelnie sprytnie!

– A bo co, on nie jest sam? – wtrąciła Amber zmieszana.

Nie zwróciwszy uwagi na jej pytanie, Terrell dodał:

– Przepraszamy, żeśmy was wystawili na przynętę, ale nie mieliśmy wyboru. W czasie Burzy wszystkie niedźwiedzie w okolicy zmutowały w te... obleśne cosie. Skąd się wzięliście?

– Z północy, z Wyspy Carmichaela albo Wyspy Zamków – odrzekł Matt. – Czy odwiedzali was Długodystansowcy?

– Prawdę mówiąc, jeden cztery miesiące temu i od tamtej pory nic. Nie wiemy nawet, czy wciągnął nas na listę, czy gdzieś w pobliżu są jakieś inne osady Piotrusiów, nie mamy żadnych wieści.

Najmłodszy z nich, który nie ukończył jeszcze dziesięciu lat, podszedł do trupa niedźwiedzia i pomacał jego rany kijem golfowym.

– Oho, nie chybiliśmy! – skwitował z rozbawieniem i zarazem fascynacją.

Dym ze świecy zaczynał zatruwać atmosferę, wypełniając pomieszczenie. Terrell powiedział, wskazując Wielkiego Białasa:

– Pozbierajcie strzały, wrócimy po jego mięso później, teraz trzeba wracać, bo zaraz zapadnie noc. – Następnie, zwracając się do trójki przybyszów, dodał: – Musicie iść z nami, po zmroku to miejsce jest niebezpieczne.

Przymierze Trojga wzięło swoje rzeczy, następnie Terrell zaprowadził całą bandę do podziemi. Po drodze pociągnął Matta za rękaw, oddalając się od reszty.

– Możesz ręczyć, że ta samica jest niegroźna?

– O kim ty mówisz w ten sposób? O Amber? To moja przyjaciółka! Oczywiście, że mogę ręczyć!

– Świetnie, w takim razie miej ją na oku. Jesteś za nią odpowiedzialny.

Matt patrzył osłupiały, jak tamten odchodzi i staje na czele grupy.

Przeszli pod markizą kina i wkroczyli do cichego holu.

– Oni są dziwni! – szepnął Matt na ucho Tobiasowi. – Gdybyś tylko słyszał, co on mi właśnie powiedział!

– Widziałeś, jakim potworem był ten niedźwiedź? Jeszcze teraz cały się trzęsę...

– Dlaczego oni wszyscy mnie ignorują? – zapytała Amber, podchodząc bliżej. – Zauważyliście to? Zachowują się tak, jakby mnie tu w ogóle nie było.

Matt, który wolał nie budzić niepokoju w dziewczynie, zmienił temat.

– Martwię się o Kudłatą – oznajmił. – Nie lubię jej zostawiać z tyłu.

– Nie przejmuj się, kiedy się zdecyduje nas dogonić, wyniucha nasz trop.

Terrell zastukał trzy razy w ciężkie dwuskrzydłowe drzwi, które otworzyły się, ukazując korytarz wiodący do sal projekcyjnych.

Z sufitu zwisały lampy oliwne rzucające przyćmione światło. Wzdłuż długiego korytarza piętrzyły się metalowe półki pełne puszek, zgrzewek wody mineralnej, koców, a także mnóstwa poupychanych byle jak narzędzi do majsterkowania, gier i białej broni.

Wśród zapasów krążyło kilkoro nastolatków, którzy zmierzali właśnie do sali numer jeden, kiedy zjawił się Terrell wraz z ekipą. Wszyscy natychmiast rzucili się ku niemu, zasypując go lawiną pytań, gdy wtem spostrzegli obecność trójki nieznajomych. W jednej chwili zapadła cisza.

– To są goście – wyjaśnił Terrell.

– Jesteście Długodystansowcami? – zapytała jakaś dziewczynka. – Przynosicie wieści o naszych rodzicach?

Amber przygryzła wargę, powoli kręcąc głową.

– Nie, przykro mi – odparła. – Przybywamy z północy, z wyspy, która leży jakieś dwa tygodnie drogi stąd.

– Dwa tygodnie! – wykrzyknął ktoś.

– To niedaleko – odrzekł kto inny.

– Jaja sobie robisz? Tosuperdaleko!- sprostował trzeci.

Do Matta podszedł mały siedmio – lub ośmioletni chłopiec i zmierzył go od stóp do głów.

– Macie coś dla nas? – zapytał.

– Eee... nie – odparł z zakłopotaniem Matt. – Właśnie prowadziliśmy poszukiwania.

– W jakim celu? – chciał wiedzieć Terrell, którego to bardzo zaintrygowało.

– Żeby znaleźć odpowiedzi. Pewnie nie wiecie, ale wszyscy dorośli, którzy przetrwali Burzę, ci, którzy nie zostali przemienieni w Żarłoków, Cynicy, jak ich teraz nazywamy, znajdują się obecnie na południu. Utworzyli coś w rodzaju królestwa, którym rządzi pewna królowa. Podobno na jej ziemi niebo jest czerwone, a oni polują na Piotrusiów.

– Dlaczego na nas polują? Nie zrobiliśmy nic złego! – zdumiał się mały chłopiec stojący obok Matta.

– Nie mam pojęcia, ale znaleźliśmy wiadomość, w której była mowa o „Poszukiwaniu Skór”. Właśnie dlatego tam idziemy, żeby się dowiedzieć.

Matt starannie przemilczał list gończy z własnym portretem, który znaleźli kilka tygodni wcześniej wśród rzeczy Cyników.

– To niebezpieczne! – przeraził się malec. – Złapią was!

– Mam nadzieję, że nie – wtrąciła Amber.

Terrell podniósł ręce, a wówczas wszyscy zgromadzeni ucichli.

– Wracamy z wyczerpującej wyprawy, nasi goście są zmęczeni, proponuję więc, żebyśmy udali się wspólnie na kolację, przedyskutujemy wszystko przy jedzeniu.

Oblegali salę kinową numer jeden, wielkie pomieszczenie, którego sufit ginął w ciemnościach. Na schodach paliły się dziesiątki świec, lampy oliwne zaś oświetlały przestrzeń przed olbrzymim ekranem, który w półmroku wydawał się szary. Na palnikach gazowych stały liczne rondle, z których unosił się zapach pomidorów.

– Dziś jest zupa z makaronem! – zawołał ktoś z radością.

Zebrało się tu ze dwadzieścioro Piotrusiów w wieku od siedmiu do piętnastu, szesnastu lat, jak ocenił Matt. Stanęli w kolejce po zupę, którą nalewali sobie do głębokich talerzy, następnie wszyscy usiedli w fotelach, żeby delektować się posiłkiem.

Miejsce obok Matta i Tobiasa zajął rudowłosy chłopiec w okularach sklejonych taśmą samoprzylepną.

– Cześć! Mam na imię Mike. Brakuje nam umiejętności, żeby upiec chleb, a także wiedzy na temat upraw wieloletnich, jak wyczerpiemy całe zapasy w mieście. Moglibyście nam pomóc?

– Niestety, sami też nie wiemy – przyznał się Tobias – ale jeden Długodystansowiec

opowiadał, że w jakiejś osadzie Piotrusie zaczęli uprawiać rolę. Słyszeliście o Edenie?

– Nie. Co to takiego?

– Miasto! Dziesiątki klanów Piotrusiów, którzy przybywają ze wszystkich stron i jednoczą się, żeby urosnąć w siłę, żeby zbudować miasto! Większość innowacji pochodzi właśnie od nich.

– Genialnie! A gdzie jest ten Eden?

– Z tego co wiem, w samym sercu kraju, niedaleko miejsca, gdzie przed Burzą znajdowało się Saint Louis.

Pochyliwszy się ku rudzielcowi, Matt zapytał:

– Ilu was jest?

– Dwadzieścia sześć osób. Zebraliśmy się zaraz po Burzy, najpierw w zajezdni autobusowej w śródmieściu, a potem zamieszkaliśmy tutaj. Z początku było nas więcej, ale... Później się zorganizowaliśmy i nieźle dajemy sobie radę. Wystarczy przestrzegać pewnych zasad, a wtedy wszystko jest w porządku.

– Jakich zasad?

– Po pierwsze, codziennie myć zęby, i to po kilka razy. Bo jeden kumpel miał próchnicę i bez dentysty to się szybko zamieniło w koszmar nie do zniesienia. Prawie każdego dnia musieliśmy zwiększać dawkę leków przeciwbólowych.

– W jaki sposób go wyleczyliście?

Mike wbił wzrok w talerz z zupą.

– Nie wyleczyliśmy go. Zmarł z powodu leków. Za dużo ich wziął.

Trójka nastolatków pogрузыła się w kłopotliwym milczeniu.

Amber, która trzymała się nieco na uboczu, podeszła bliżej i zapytała:

– Gdzie śpicie?

Mike zmierzył ją tak, jakby palnęła jakieś kompletne głupstwo.

– Chłopcy w sali numer dwa, dziewczyny w sali numer trzy – powiedział z zalęknioną miną.

– Coś takiego, zupełnie jak na naszej wyspie! – zauważyła ze śmiechem Amber. – Dziewczyny po jednej stronie, chłopaki po drugiej. To zabawne, że wszyscy tak robimy!

Mike skrzywił się, przytakując, niezdolny zapanować nad skrepowaniem, jakie czuł w obecności Amber. Wstał, pożegnał się z Mattem i Tobiaszem, po czym się oddalił.

– Co ja takiego zrobiłam? – zasmuciła się Amber.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o ciebie – stwierdził Matt, wpatrując się kolejno w twarze osób, które ich obserwowały i szeptały między sobą pozbijane w grupki.

Po kolacji Terrell zgromadził wszystkich wokół trójki przybyszów, a wtedy rozpoczęła się gra w pytania i odpowiedzi. Po jednym pytaniu zadawanym przez Matta lub Tobiasa padały trzy ze strony gospodarzy. Do Amber błyskawicznie dotarło, że nie jest tu mile widziana i że nie ma sensu, by wtrącała się do rozmowy. Założyła ręce na piersiach, poprzestając na słuchaniu z sercem ściśniętym z powodu tej niesprawiedliwości.

Piotrusie najbardziej martwili się tym, co się działo ze światem zewnętrznym. W jaki sposób organizują się pozostałe wspólnoty, czy jest ich dużo? Matt i Tobias udzielali jak najbardziej wyczerpujących odpowiedzi, wydobywając z pamięci wspomnienia słów zasłyszanych z ust Długodystansowców, którzy przewinęli się przez Wyspę Carmichaela.

– Dlaczego żaden Długodystansowiec się już u nas nie zatrzymał? – chciał wiedzieć jakiś mały chłopiec.

– Nie mam pojęcia – przyznał Matt. – Bardzo trudno im zlokalizować osadę Piotrusiów, muszą starannie obserwować obrzeża każdego mijanego miasta, żeby natrafić na ślady. Większość wspólnot się ukrywa ze strachu przed drapieżcami, Żarłokami i Cynikami.

– W jaki sposób Długodystansowcy znajdują wioski Piotrusiów? – dopytywało się inne dziecko.

– Nie wiem.

Mimo złożonej sobie obietnicy Amber, która pasjonowała się tym zagadnieniem, wtrąciła:

– Zaczynają od szukania sklepów spożywczych albo supermarketów i sprawdzają, czy są tam ślady ludzkiej aktywności. Następnie krążą wokół stref naturalnych ogrodów; świeże owoce są niezbędne dla zdrowia Piotrusiów, a Długodystansowcy o tym wiedzą. Jeśli zauważą ślady regularnej aktywności, istnieją spore szanse, że to obszar zamieszkały. Wtedy wystarczy tylko wypatrywać dymu z ognisk albo próbować podążyć za świeżym tropem. Potrzeba determinacji, wiele odwagi i łut szczęścia. Ale możecie być pewni, że prędzej czy później zawita tutaj jakiś Długodystansowiec, a wówczas znów znajdziecie się na liście i będą do was docierały wieści, to tylko kwestia czasu.

Wszyscy słuchali jej z uwagą i nieufnością. Ledwie skończyła, odwrócili od niej głowy

– Kontrolujecie przeobrażenie? – dodał Tobias.

– Co takiego? – zapytał jakiś upstrzony piegami wyrostek.

– Przeobrażenie. Właśnie tak nazywamy nasze zdolności. Chyba zauważyliście zmiany, jakie zaszły w waszych ciałach w ciągu ostatnich miesięcy, prawda? Jedni z was są szybsi niż kiedyś, inni silniejsi, może ktoś potrafi rozpalić ogień jednym palcem albo

przesuwać przedmioty za pomocą myśli, nic z tych rzeczy?

Głos zabrał Terrell.

– Nikt tutaj nie potrafi robić nic takiego. A teraz, dopóki pozostaniecie u nas, nie poruszajcie więcej tego tematu; wszystko, co może nas zmienić, jest złe.

– Ale...

– Przestrzegaj naszych zasad! – uciął sucho Terrell.

Matt skorzystał z zamieszania, żeby przemówić i wyjawić ich plan:

– Nie pójdziemy na zachód, żeby znaleźć przesmyk w Ślepym Lesie, zamierzamy go przekroczyć tutaj, jak tylko do niego dotrzemy.

– Przekroczyć go? – powtórzyła jakaś mała dziewczynka. – Tam jest pełno potworów!

– Liz ma rację – poparł ją Terrell. – Nie możecie iść do Ślepego Lasu. Zrobiliśmy już tam wypad i nigdy więcej do niego nie wrócimy! Pierwsza zasłona robi wrażenie, ale kiedy dotrzecie do serca Ślepego Lasu, nie dacie rady! Pnie sięgają ponad kilometr w górę! Ich liście są tak gęste, że światło dzienne nie dociera do ziemi, stale będą was otaczały ciemności i zwierzęta równie niesamowite co przerażające! Na dodatek nikt nie wie, jak daleko las się ciągnie, ile dni marszu potrzeba, żeby wyjść po drugiej stronie. Nie powinniście się tam zapuszczać!

– Mimo to podjęliśmy już decyzję – oświadczył Matt. – Podobnie jak nie możemy tutaj dłużej zostać. Goni nas czas.

– Przeciwnie, nie ma żadnego pośpiechu, czujcie się jak u siebie w domu, mamy wszystko, co potrzeba, przemyślcie to.

Matt nie chciał wspominać o Rauperodzie ani o strachu, że ich dopadnie.

– Codziennie ktoś uprowadza Piotrusiów – oznajmił. – Porywa ich na olbrzymie bambusowe wozy ciągnięte przez niedźwiedzie i wywozi na południe, do Cyników. Musimy się dowiedzieć dlaczego i znaleźć sposób, żeby położyć kres tym porwanom. Nie ma czasu do stracenia. Zaraz jutro wyruszamy.

Matt poznał po minie Tobiasa, że chętnie by jeszcze trochę został. Amber się nie odzywała, sprawiała wrażenie naburmuszonej. Matt nie pojmował nieufności gospodarzy w stosunku do swojej przyjaciółki. Nagle uświadomił sobie, że nie widzi przed sobą żadnej nastolatki. Małe dziewczynki, owszem, ale ani jednej powyżej jedenastu, dwunastu lat.

– Nie macie nastolatek w waszej wspólnoty? – zapytał.

Terrell wyglądał na zagniewanego. Czyhał na reakcję Amber.

– Nie – odparł. – To zbyt ryzykowne.

Tym razem Amber dała się ponieść:

- Ryzykowne? A co to za ryzyko? Za kogo nas macie?
- Piotrusie nie pozostają Piotrusiami do końca życia! Pewnego dnia muszą się przerodzić w dorosłych, w Cyników. U dziewczyn to następuje, jak tylko stają się kobietami.
- Jak to? – chciał wiedzieć Tobias. – Myślicie, że dorastając, można zdradzić przyjaciół?
- To pewne! Kiedy nastolatek staje się dorosły i przechodzi na drugą stronę, nadciąga taki moment, że przestaje się czuć swobodnie w naszym towarzystwie, że zaczynają go pociągać Cynicy. Zaczyna myśleć jak Cynik, reagować jak Cynik, aż w końcu nas zdradza! To się zdarzyło tutaj już dwa razy! Pierwszy usiłował nas sprzedać cynickiemu patrolowi, który przechodził przez miasto; walczyliśmy wtedy o przetrwanie. Za drugim razem to była dziewczyna, która uciekła z naszego obozu, zabierając wszystko, co się dało. Musieliśmy zmienić kryjówkę, bo nie chcieliśmy ryzykować, że przyłączy się do Cyników i wyjawy im, gdzie mieszkamy.
- Nie do wiary! – zawołał Tobias. – Teraz rozumiem! Na naszej wyspie też mieliśmy zdrajcę! Był najstarszy z całej wspólnoty. Miał na imię Colin! Ale w takim razie... to znaczy, że pewnego dnia wszyscy staniemy się Cynikami!
- Tak to już jest i nic nie można na to poradzić – stwierdził Terrell z ponurą miną. – Właśnie dlatego ustanawiamy prawa, żeby chronić większość. Jak tylko dziewczyna miesiączkuje po raz pierwszy, przepędzamy ją.
- Co? – oburzyła się Amber. – Przecież to bzdura!
- W pojedynkę nie mają na zewnątrz żadnych szans – stwierdził Matt.
- Co do chłopców – dodał Terrell – obowiązują ich pewne zakazy Rzeczy, których nie wolno robić pod żadnym pozorem.
- Na przykład? – zapytała Amber przepelniona gniewem.
- Rzeczy typowych dla chłopców! Nie wolno o nich myśleć.
- A ty? Nie jesteś już aby za stary na Piotrusia? – rzuciła Amber. – Skąd pewność, że wkrótce nie zdradzisz?
- Ustaliliśmy maksymalny wiek. Siedemnaście lat. Tyle skończę za pół roku. Wtedy będę musiał odejść, opuszczę miasto i nigdy tu nie wrócę.
- To okrutne! – zdenerwowała się Amber, wstając. – Nie zachowujecie się lepiej niż Cynicy!
- A co można innego zrobić? – oburzył się Terrell. – Z wiekiem tak czy inaczej staniemy się dorośli! Nic nie można na to poradzić!
- Być może istnieje jakiś sposób. Być może starzejąc się, możemy jednak zostać tacy

jak teraz! Trzeba spróbować! A przynajmniej w to wierzyć!

Ze łzami w oczach Amber przeskoczyła przez rząd foteli przed sobą i po schodach wybiegła z sali.

* * *

Matt znalazł ją skuloną między pustymi automatami do popcornu. Ukłękł przed nią.

– Oni nie są źli, wiesz? – powiedział. – Postępują tak, bo się boją.

– Wszyscy się boimy – odrzekła cicho. – To nie jest wystarczający powód.

Na widok głębokiego smutku, jaki odczuwała Amber, Matt zapragnął wziąć ją w ramiona. Nie odważył się jednak. Próbował ją pocieszyć za pomocą słów:

– Oni mogą się mylić. To, że Colin zrobił tak u nas, wcale nie oznacza, że mają rację, może to przypadek...

Oczy dziewczyny napelniły się łzami, broda zadrżała jej pod wpływem wzruszenia. Amber walczyła ze sobą, nim wyznała:

– Ja już jestem kobietą, Matt, to się stało jeszcze przed Burzą, ale nie jestem złym człowiekiem! Czuję bliskość w stosunku do ciebie i Tobyego, jestem Piotrusiem! I wcale nie chcę, żeby to się zmieniło!

Matt przełknął ślinę, nagle nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nie chcę stracić tego, kim dzisiaj jestem – dodała Amber.

– Będę cię strzegł, przysięgam, nie pozwolę ci się zmienić.

Amber wpatrywała się w niego, kipiąc od emocji.

– Nie jestem pewna, czy da się temu zapobiec – szepnęła.

Czując się znienacka gotowy, Matt wziął się na odwagę i położył dłoń na ręce Amber.

Dziewczyna zadrżała. Po chwili odepchnęła go.

– Muszę pobyć sama, Matt, wybacz.

Odepchnięcie było dla chłopaka jak cios sztyletem prosto w serce.

Wstał, odwrócił się tyłem do przyjaciółki i ruszył słabo oświetlonym korytarzem.

Zbawienne wytchnienie

Matt otworzył oczy, nie wiedząc, czy jest wczesny czy późny ranek. Nie sposób było się rozeznąć w czasie przy braku działającego zegarka lub okna.

Opuściwszy salę numer pięć, którą zajmował ze śpiącym jeszcze Tobiaszem, wkroczył do kinowego holu. Spotkał dwóch Piotrusiów, którzy chrupali ze śmiechem herbatniki.

Otworzywszy główne drzwi, zszedł na parter i wydostał się na zewnątrz.

Słońce stało na niebie od co najmniej dwóch godzin. Musiało być już po dziesiątej.

Matt przepatrzył polaną paproci w nadziei, że dostrzeże Kudłatą, lecz nic nie zobaczył.

Zastanowił się, gdzie właściwie się znaleźli. Wyspa Carmichaela leżała na zachód od Filadelfii. Dokąd dotarli po trzynastu dniach marszu na południe? Do Richmondu? Waszyngton mieli już za plecami, nie mogli być zbyt daleko, kiedy go mijali, mimo to wcale się nie zorientowali. A co z Oceanem Atlantyckim? Ile kilometrów brakowało do niego? Prawdopodobnie zaledwie ze sto. Matt zastanawiał się, co się z nim mogło stać. Czy nadal są w nim ryby? Czy zmienił kolor?

Z rozmyślań wyrwał go daleki grzmot, od którego włosy mu się zjeżyły na głowie. Wychodząc, zabrał tylko nóż myśliwski, nie wziął miecza. Dowodziło to braku ostrożności, za co zganił sam siebie.

W oddali na zachodzie pojawiły się wielkie czarne chmury. Zwykła burza albo...

„No jazda, powiedz to!” Matt nie był jednak w stanie wymówić imienia istoty, która go ścigała.

„Nie śnił mi się dziś w nocy, to już coś!”

Siedział przed wejściem do centrum handlowego, wpatrując się w groźne niebo, dopóki się nie upewnił, że burza zmierza na północ i ominie ich. Wstając, czuł, że wszystkie mięśnie mu zdrętwiały. Najgorzej było ze stopami. Pęcherze zniknęły, w ich miejsce pojawiły się czerwone pęknięcia, poza tym bolały go podeszwy. Nigdy by nie pomyślał, że trwający dwa tygodnie intensywny marsz może mieć tak poważne skutki dla organizmu.

Przyda się kilka dni odpoczynku wśród Bezlitosnej Drużyny.

„Niemożliwe! Nie podejmę takiego ryzyka. Trzeba się spieszyć, zwłaszcza że on depta nam po piętach”.

Poza tym nie podobały mu się spojrzenia, jakimi wszyscy obrzucali Amber. Czuł, że niedługo to się może źle skończyć. Ciekawe, jak ona się dzisiaj miewa. Spała sama w jednej z dużych sal projekcyjnych. Matt popatrzył na polanę i niechętnie zawrócił.

Znalazłszy się znów w podziemiu, zagotował wodę i przejrzał półki z zapasami, żeby przygotować śniadanie, które zaniósł w koszyku do ostatniej sali. Zapukał i wszedł do środka.

Amber siedziała na śpiworze, obok niej paliła się lampa oliwna. Uwagę dziewczyny pochłaniała kredka, którą usiłowała przesunąć trzy metry dalej.

– Dzień dobry – powiedział Matt. – Przyniosłem ci śniadanie.

Na widok przyjaciela, który wkroczył w krąg światła, skupiona surowa twarz Amber odprężyła się i rozpromieniła.

– Dzięki, Matt, to bardzo miło z twojej strony. Właśnie ćwiczyłam.

– Robisz postępy?

– Tak. W posługiwaniu się przeobrażeniem decydującą rolę odgrywa ciężar przedmiotów. Jeszcze nie potrafię przesuwac ciężkich rzeczy, w każdym razie nie bez całkowitej koncentracji i tylko przez króciutką chwilę.

Matt podał jej jabłko i filiżankę gorącej herbaty.

– Tylko takie owoce można tu dostać. Mam nadzieję, że ci to przypadnie do gustu.

– Znakomicie. – Zmieniając ton, Amber dodała: – Matt, chciałam ci powiedzieć, że przykro mi za wczorajszy wieczór, ja...

Chłopak podniósł rękę w pojednawczym geście.

– Nie przejmuj się, już o tym zapomniałem – skłamał.

O dziwo, nie był zdolny wyrazić smutku, który go ogarnął poprzedniego wieczoru. Wolał ukryć to uczucie na dnie serca i więcej o nim nie rozmawiać, szczególnie w obecności głównej zainteresowanej.

– Nie chciałabym, żebyś pomyślał...

– Nic nie myślę – uciał. – Jesteś moją przyjaciółką, i tylko to się liczy. Przymierzcie Trojga, pamiętasz?

Skinęła głową z uśmiechem.

Wtem drzwi się tworzyły i ukazał się w nich Tobiasz, który wbiegł po schodach.

– A! Tu jesteście! – zwołał. – Szukałem was! Oho, ale sobie dogadzacie! I nawet nie zaprosiliście mnie na ucztę?

– Właśnie miałem po ciebie iść – oznajmił Matt, odsuwając się od Amber, żeby nie sprawiać wrażenia zbyt bliskości.

– Nie wiem jak wy, ale ja jestem kompletnie wypompowany – ciągnął Tobias, sięgając do koszyka po ciastko. – Może moglibyśmy tu sobie odpocząć dzień czy dwa, tylko tyle, żeby nabrać sił na dalszą drogę?

Amber zmierzyła wzrokiem Matta.

– Nie – odparł chłopak. – Dzisiaj rano widziałem w oddali burzę. Nie będę ryzykował schwytania przez... niego.

– Tak się składa, że całkiem zgubił trop! – zawołał z zapalem Tobias. – Świat jest duży, może się pobłąkać chwilę! Powiedz no, czy ostatnio ci się śnił?

– Tej nocy nie.

– W takim razie się nie zbliża.

– Dlaczego tak twierdzisz? – zdziwił się Matt.

Tobias, który nigdy nie stronił od osobliwych komentarzy, wyjaśnił:

– Mam wrażenie, że Rauperoden natrafia na nasz ślad, kiedy przeszukuje twój umysł we śnie. Skoro ci się nie śni, to znaczy, że nie jest w stanie zgłębić twojej duszy, a dopóki mu się to nie udaje, nie może nas odnaleźć.

Amber wybuchnęła śmiechem.

– Toby, ciągle nie wiem, czy masz wybujałą wyobraźnię czy dar jasnowidzenia!

Matt się jednak nie śmiał, uznawszy to wyjaśnienie za słuszne.

– Jeśli o mnie chodzi, głosuję za dwudniowym odpoczynkiem. A ty, Amber?

Dziewczyna przeniosła wzrok na Matta.

– Postanowiłam towarzyszyć wam w poszukiwaniach, więc się dostosuję, przynajmniej w kwestii tempa marszu.

Matt rozważał wszelkie za i przeciw. Nie potrafił się zdecydować.

– Ale przyznam się, że nie miałabym nic przeciwko małej przerwie – dodała Amber.

– Możliwe, że jak się już znajdziemy w Ślepym Lesie, nie będziemy mogli robić postojów – wtrącił Matt. – Musimy więc tam wejść w dobrej formie. Niech będzie jeden dzień więcej z tymi Piotrusiami. Ale dla pewności wolałbym, żebyśmy się nie rozdzielali. Ja i Terrell nie nadajemy na tych samych falach.

Tobias uniósł pięść na znak zwycięstwa.

Matt spędził niemal cały poranek na wypatrywaniu Kudłatej na dworze. Rozpuścił wiadomość, że towarzyszył im w drodze pies wielkości kucyka. Słyszając to, kilkoro członków Bezlitosnej Drużyny popatrzyło po sobie z rozbawieniem. Już miesiąc wcześniej widzieli

dużego psa, który węszył po śródmieściu. Nie mogła to być Kudłata, toteż Matt długo wypytywał o jego wielkość, wygląd i zachowanie. Wydawał się równie imponujący jak jego suka i najwyraźniej nie przejawiał agresji. Po kilku dniach tutejsi Piotrusie stracili go z oczu.

Kudłata nie była jedyna w swoim rodzaju.

Po Burzy część bezpańskich psów zbiła się w sfory; każdy wiedział, że należy ich unikać za wszelką cenę, lecz obecność jeszcze jednego przedstawiciela psowatych o nadnaturalnych rozmiarach zaintrygowała Matta.

Chmury się całkowicie rozwiały, odsłaniając szafirowe niebo, upał wzmagął się z każdą godziną. W południe słońce grzało tak mocno, że Matt pogratulował sobie decyzji o przełożeniu wymarszu o dzień.

Po obiedzie Terrell spotkał się z Przymierzem Trojga, aby zaproponować dość szczególną przygodę:

– Na dworze jest gorąco. To okazja, żeby się wykapać i odpęczyć. Weźcie broń i chodźcie.

W asyście około dwudziestu członków Bezlitosnej Drużyny cała trójka udała się na piętro centrum handlowego, żeby wybrać sobie kostiumy kąpielowe. Następnie gromadą opuścili budynek i zagłębili się w las.

Terrell zabrał ich nad rzeczkę, której brzegi pełne były roślin o olbrzymich liściach, tak wielkich, że mogły służyć jako koce, po czym dotarli do małego stawu otoczonego ścianą trzciny.

Z wysokiego klifu, pełnego rozpadlin i porośniętego gęstym zielonym mchem, spływał piętnastometrowy wodospad.

– To nasza letnia łazienka! – zawołał Terrell, przekrzykując jego łoskot.

Wszyscy zdjęli ubrania i z okrzykami wskoczyli do wody.

Matt od razu spostrzegł, że dziewczęta idą na jedną stronę, a chłopcy na drugą. Amber przyglądała się temu podziałowi z westchnieniem.

Matt położył jej dłoń na ramieniu, mówiąc:

– Przecież i tak będziemy się kąpać w tej samej wodzie, nie?

Amber skinęła głową bez przekonania i dołączyła do grupy dziewcząt. Wpatrywały się w nią badawczo, z niejasnym lękiem. Ich pragnienie, żeby się zbliżyć do tej „dorosłej”, było wprost namacalne, nie pozwalał im na to jednak strach, że Amber może trzymać z Cynikami.

Matt i Tobias pływali, śmiejąc się, bawiąc w przybrzeżnym błocie, a potem zaczęli nurkować. Zorganizowano konkurs skoków, który jednogłośnie wygrał Piotruś o imieniu Diego. Na koniec wyjawiał Tobiasowi, że przedtem był w drużynie pływackiej. Wzmianka o

dawnym życiu sprawiła chłopcu przykrość, poszedł więc się wysuszyć na słońcu. Piotrusie rzadko rozmawiali o życiu przed Burzą, a Tobias wiedział dlaczego. To budziło w nich smutek i tęsknotę.

Widząc, że Amber nudzi się gdzieś na uboczu, Matt stwierdził, że ma co najmniej powyżej uszu idiotyczne zasady, i podpłynął do grupy dziewcząt. Wszystkie czym prędzej się oddaliły, tylko Amber towarzyszyła mu stylem klasycznym.

Korzystając z tego, że nikt niepowołany ich nie słyszy, wyznała Mattowi:

– Niedawno przysłała do mnie mała Liz i zasypała pytaniami na temat przeobrażenia. Można by pomyśleć, że mam jakiś dar skłaniania do zwierzeń!

– Doznała przeobrażenia?

– Tak, potwornie się boi ciemności i wyobraź sobie, powiedziała mi, że potrafi wytworzyć pod paznokciami światło! Zaledwie słaby blask, ale to już jest jakiś początek. Terrell zabrania im o tym mówić; każe zduszać w zarodku wszelkie zachodzące w nich zmiany, żeby tylko nie stali się szybciej Cynikami. On się myli! Trzeba mu to wyjaśnić!

– Nie możemy tak wpadać i robić zamieszania, Amber. Zostaniemy tu tylko dwa dni, a oni będą musieli żyć z wątpliwościami, jakie w nich zasiejemy. To zagraża ich równowadze, przecież cudem przeżyli aż do tej pory.

– Wiem, ale muszą się pogodzić z tym, że po Burzy stali się inni!

– Zdaj się na upływ czasu. Kiedy zawita do nich nowy Długodystansowiec i opowie o rozwijających się to tu, to tam przeobrażeniach, w końcu zaczną się mniej bać i zmienią swoje podejście.

Amber ubolewała nad taką postawą, uważając ją za nieco tchórzliwą, nie upierała się jednak.

Długo pływali razem wzdłuż stawu, w końcu wyszli z wody.

Po powrocie do centrum handlowego Matt późnym popołudniem spędził kolejną godzinę na przywoływaniu Kudłatej, ale bez skutku.

Wieczorem zawiadomił całą wspólnotę, że ich trójka wyrusza nazajutrz rano. Terrell jeszcze raz próbował ich od tego odwieść, kiedy zaś pojął, że jego wysiłki są daremne, oznajmił, że grupa osób odprowadzi ich na skraj Ślepego Lasu.

Tej nocy do drzwi sali numer pięć, gdzie spali Tobias i Matt, zapukała Amber. Nie chciała być sama w takim wielkim pomieszczeniu, nie tutaj. Obaj chłopcy przywitali ją z uśmiechem, zwłaszcza Matt.

Obudzili się wczesnym rankiem, w milczeniu zjedli śniadanie, następnie upewniwszy się, że niczego im nie brakuje przed podróżą, a plecaki są dokładnie napełnione, ruszyli do

wyjścia.

W holu stłoczyli się wszyscy Piotrusie z Bezlitosnej Drużyny.

Cała trójka pożegnała się z nimi, obiecując, że wspomni o nich, jeśli napotka jakiegoś Długodystansowca albo jeśli któregoś dnia uda się do Edenu, po czym pojawił się Terrell z sześcioma chłopakami. Włożyli stroje do futbolu amerykańskiego i hokeja, byli uzbrojeni w sportowe kusze z włókna węglowego, mieli przy pasach noże, na ramionach zaś plecaki.

Ledwie znaleźli się na dworze. Matt poszukał wzrokiem Kudłatej, przekonany, że będzie na niego czekała gotowa do drogi.

Nie było jednak ani śladu psa.

Nie chciał ruszać bez niej.

„Ma dobry węch, potrafi odnaleźć nasz trop, dogoni nas”.

Serce mu się krajało na myśl, że ma odejść, nie wiedząc, czy wszystko z nią w porządku. „Gdziekolwiek jest, jeśli da radę, to nas znajdzie. Znam ją, jestem tego pewien”.

Terrell czekał, żeby dać rozkaz wymarszu.

Matt zasignalizował, że są gotowi.

Popatrzył po raz ostatni na polanę paproci i ruszył w drogę.

O słońcu i cieniach

Słońce jest najgorszym wrogiem wędrowca.

W miarę jak było coraz wyżej na niebie, jego promienie sprawiały, że powietrze stawało się ciężkie i parne, temperatura ciągle rosła, a w południe panował taki upał jak na plaży w środku lata, tyle że bez wiatru.

Matt dał za wygraną: zdjął kamizelkę kuloodporną, którą nosił pod płaszczem, i zawiesił przy plecaku.

Cała grupa starała się pozostać jak najdłużej w cieniu, Bezlitosna Drużyna pościagała kaski, które zwisały teraz z plecaków, i posuwała się skrajem lasu, woląc nawet zwolnić tempo, byleby iść lasem, a nie przez pogrążoną w spiekocie otwartą przestrzeń. Przemierzone popołudniem wzgórza odurzyły wędrowców, którzy co chwila wspinali się w po stromych ścianach i schodzili w dół po skąpanych w słońcu zboczach. Każdy strumień, każde bajoro stawały się pretekstem do dłuższego postoju.

Terrell obliczył, że dotarcie do przedproża Ślepego Lasu zajmie im trzy dni. W tych warunkach oznaczało to trzy dni piekła.

Mattowi wydawało się kilka razy, że gdzieś w oddali, na jakimś szczycie góry albo na skraju lasu, widzi jakiś ruch, zawsze jednak gdy przystawał, by się lepiej przyjrzeć, już nic nie było.

Wieczorem rozbili obóz w cieniu olbrzymiej skały, w otwartym wgłębieniu u jej stóp tworzącym niszę. Melvin, na oko trzynastoletni Piotruś, zabrał się do rozpalenia ognia z dużą zręcznością, podczas gdy wszyscy rozkładali śpiwory lub koce wokół płomieni.

Jeden z chłopców wyjął z plecaka plastry świeżego mięsa, które upiekli i zjedli łączywie. Kiedy Tobias zapytał, skąd je wzięli, i usłyszał, że to zabity dwa dni temu Wielki Białas, posiłek już mniej mu przypadł do gustu. Ciągle jeszcze drżał na wspomnienie niedźwiedzia albinosa.

Gdy trawili przy akompaniamencie trzaskających płomieni, Terrell zapytał Matta:

– Jak sądzisz, co to jest to całe Poszukiwanie Skór?

Wsparty na łokciach Matt wzruszył ramionami.

– Kiedy sobie pomyślę o Piotrusiach, których Cynicy wywożą na wielkich wozach, wyobrażam sobie najgorsze.

– Twoim zdaniem oni... odzierają Piotrusiów ze skóry? Po co? Kilku chłopców wydało ciche okrzyki zgrozy.

– Nie mam pojęcia, mogę wam powiedzieć tylko tyle, że to musi być dla nich bardzo ważne. Liczymy, że się dowiemy.

– Ale jak się już przedostaniecie na terytorium wroga, o ile wam się to w ogóle uda, co zrobicie, żeby was nie zobaczyli?

– Teraz trudno powiedzieć, będziemy improwizować na miejscu. Na pewno będziemy się trzymać w sporej odległości od cynickich patroli. Mam nadzieję, że zdołamy dotrzeć do ich obozu i dzięki obserwacji damy radę pojąć, o co tam biega. Bo inaczej...

Ponieważ zamilkł, Terrell pociągnął go za język:

– Bo inaczej co?

– Bo inaczej trzeba będzie zaryzykować i ukraść informacje. Zobaczymy. Często ich tu widujecie?

– Nie, na szczęście prawie nigdy. Za to jest sporo Żarłoków.

Na wzmiankę o tych dzikich istotach, kiedyś ludziach, Mattowi zrobiło się niedobrze.

– Dużo z nich przeżyło? – zapytał. – Bo są tacy... głupi, że myślałem, że większość nie dotrwa do końca zimy

– Niestety tak – odrzekł Terrell. – Zdołali się przystosować, nawet utworzyli grupy, mieszkają w jaskiniach albo dołach, które przykrywają gałęziami. Nie należy ich lekceważyć: Żarłocy stali się niebezpieczni. Polują na małe zwierzęta, ale nigdy nie przepuszczą okazji, żeby włożyć do garnka coś większego. Trzy tygodnie temu mieliśmy z nimi kłopot.

– Wy też używacie słowa „Żarłok” – zauważył Tobias. – Czy usłyszeliście je od jakiegoś Długodystansowca?

– Właśnie. Przekazał nam całe słownictwo używane przez Piotrusiów, wszystko, co sam wiedział. Od tamtej pory minęło sporo czasu, pewnie pojawiło się dużo nowości.

– Wcale nie tak wiele – zaprzeczył Tobias. – A macie w okolicy skararmeusze?

– Co to takiego?

– Miliony skarabeuszy, które posuwają się po dawnych autostradach. Nigdy ich nie widzieliście?

– Nie.

– To niesamowite widowisko! Ich brzuchy wytwarzają światło, z jednej strony niebieskie, z drugiej czerwone, nie mieszają się ze sobą. Są ich całe miliony!

– Co one robią? – zapytał Melvin zafascynowany.

– Nikt nie wie. Krążą i tyle. Nie wiadomo, skąd ani dokąd idą, ich widok po prostu robi super wrażenie!

– Chciałbym je kiedyś zobaczyć – powiedział Melvin, któremu oczy aż błyszczały z rozmarzenia.

Kiedy w końcu zasnęli, po duchocie dnia, która dała im się we znaki, nadeszła chłodniejsza noc.

Nazajutrz Matta dopadły mdłości. Bulgotało mu w brzuchu i przeczuwał, że będzie chory. Podejrzywał, że to sprawa wody z bajora. Mimo to udało mu się utrzymać tempo, przy tym dzień był mniej upalny niż poprzedni. Po południu ujrzeni na zachodzie dym z ogniska, wąską smużkę, która nie powiększyła się wraz z upływem godzin. Nie był to zatem pożar lasu. Z obawy przed cynicznym patrolem (choć Terrell utrzymywał, że nawet Żarłocy potrafią rozpaść ogień) wydano zarządzenie, że nie będą się zbliżać, by sprawdzić, co to jest.

Ze względów bezpieczeństwa wieczorem nie rozpalili ognia, tylko zjedli sardynki w puszkach z sucharkami.

Matt, Tobias i Amber spali obok siebie, dziewczyna między chłopcami.

Kiedy trzeciego dnia Matt otworzył oczy, poczuł w dłoni włosy Amber i ciężar jej ciała na swoim. Nie ośmielił się ruszyć i został tak przez chwilę, napawając się jej gorącą obecnością.

W końcu rozwarł szerzej powieki i wtedy się zorientował, że to wcale nie Amber.

Obok leżała Kudłata pogrążona w głębokim śnie.

Matt podskoczył z radości i z całej siły przytulił psa, który z trudem uchylił ślepią, tak jakby się jeszcze nie wyspał, i wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

Trzeci dzień okazał się dla Matta przyjemniejszy; powrót Kudłatej był niczym balsam dla jego duszy, poza tym uspokoił obawy co do postaci, która ich rzekomo śledziła – bez wątplenia to była ona.

Odkąd pierwszego dnia przekroczyli wzgórze, na horyzoncie widniała czarna gigantyczna masa Ślepego Lasu. Przesłaniała cały widok.

Teraz, gdy znajdowali się już całkiem blisko, Matt mógł dostrzec wyraźnie przedproże, które Terrell nazywał pierwszą zasłoną. Był to pas ogromnych drzew, które wydały się chłopcu jeszcze większe niż sekwoje z dawnego życia. Pierwsza zasłona ciągnęła się na odległość kilku kilometrów, jej wierzchołki wznosiły się stopniowo, tworząc stromy

dach prowadzący do prawdziwego Ślepego Lasu. W porównaniu z nim przedproże sprawiało wrażenie maleńkiego. W niebo wzbijały się pnie wysokie jak góry, szerokie jak kilka boisk piłki nożnej.

Jak natura mogła postawić taką ścianę?

I to zaledwie w ciągu siedmiu miesięcy.

Po Burzy rośliny nie tylko opanowały miasta, ale rosły w alarmującym tempie, szybciej niż las tropikalny, ich mutacje zaś nie przestawały zaskakiwać.

Grupa szła przez długą równinę, przemierzywszy piętnaście kilometrów w niecałe cztery godziny, po czym dotarła do pierwszych kęp paproci, gajów topolowych i dębowych.

Gdy Matt sobie uświadomił, że tej nocy będą spać u stóp Ślepego Lasu, po raz pierwszy od opuszczenia Wyspy Carmichaela ogarnęły go wątpliwości. Czy wędrówka tędy jest rzeczywiście rozsądna? Miejsce to zdawało się należeć do innego świata, on zaś nie miał najmniejszego pojęcia, co może ich tam czekać.

Pograżony w zadumie Matt został nieco w tyle. Widział przed sobą swych towarzyszy podążających naprzód w milczeniu, z determinacją.

Było już za późno, żeby zawrócić.

* * *

Wieczorem rozbili obóz niecały kilometr od bocznych łańcuchów, pod majestatycznym dębem. Tobias wyjął lornetkę i skorzystał z zachodu słońca, by poczynić obserwacje ornitologiczne. Matt już zapomniał, że kiedyś przyjaciel pasjonował się ptakami.

– Nie oddalaj się! – rzucił z niepokojem.

– Dobrze, tatusiu! – zakpił Tobias, wspinając się na skałę.

Wszyscy odpoczywali na śpiworach, masując sobie stopy, ochlapując twarze wodą ze strumyka albo po prostu leżąc w cieniu gałęzi. Kudłata ruszyła upolować coś na kolację, wróciwszy po godzinie, wyciągnęła się obok plecaka Matta i zasnęła, cicho pochrapując.

Matt wydobył ze skórzanej kieszonki przy pasie kamień do ostrzenia, delikatnie go zmoczył i zaczął pocierać o klingę miecza.

Za każdym razem gdy powtarzał ten gest, stawał mu przed oczami obraz ostrza zagłębiającego się w ciała przeciwników. Najpierw prawie nieuchwytnie drżenie, gdy czubek przebija ubranie i skórę, potem opór, który należy pokonać, a następnie wrażenie, że zanurza się w miękkie masło. Zanim poznał to doświadczenie osobiście, nawet nie był w stanie sobie wyobrazić, że może być aż tak traumatyczne.

Nie dość, że okaleczył ciała żywych istot, czasem także ludzkich, to jeszcze pozbawił

je życia.

Zabił.

Żeby przetrwać, żeby chronić innych.

Mimo to przecież zabił.

Musiał żyć z tym poczuciem winy, ze wspomnieniem przemocy, zadanych przez siebie śmiertelnych ran, uśmiercania. Krwi, jęków, rzeżenia umierających.

Tobias, który wreszcie opuścił swe obserwatorium, ukląkł naprzeciw Matta.

– Musisz to zobaczyć – powiedział cicho.

Widząc jego wylęknioną minę, Matt pojął, że to coś ważnego.

Wdrapali się na wierzchołek skały, po czym Tobias podał mu lornetkę.

– Widzisz tam to stado ptaków, które tworzy na niebie literę V? Poobserwuj je przez lornetkę.

Matt ustawił ostrość. Powiększenie nie pozwalało dokładnie stwierdzić, jaki to gatunek, Matt zastanawiał się więc, co przyjaciel chce udowodnić.

– Przypuszczam, że powinienem zauważyć coś niezwykłego?

– Obserwuj je, nic więcej.

Klucz kierował się w stronę Ślepego Lasu. Widziane przez lornetkę pnie strzelały w górę z jeszcze większym rozmachem, potężniejsze niż drapacze chmur. Czyżby ptaki zamierzały zniknąć w Ślepym Lesie?

Nabrały wysokości tuż przed tym, nim się zanurzyły w mroku drzew, następnie zatoczyły szerokie koło, wznosząc się zaś spiralą do góry, machały skrzydłami ze zdwojoną siłą.

Właśnie wtedy coś wyłoniło się z ciemności i porwało jednego z ptaków.

Po chwili wciągnięty został kolejny ptak w locie. Potem jeszcze jeden.

Nagle Matt spostrzegł coś, co przypominało cienki nieskończenie długi język, który smagał powietrze, chcąc pochwycić jednego z nieostrożnych podróżnych i pożreć go wśród gałęzi.

– O w mordę! – wykrzyknął, nie wypuszczając z rąk lornetki.

– Widziałeś? Można dostać cykora, nie? Nie dałem rady zobaczyć, co to właściwie było, coś podobnego do dużej jaszczurki.

– Biorąc pod uwagę odległość i ten kawał jezora, który się nam pokazał, myślę, że stwór to jakiś olbrzym – stwierdził na koniec Matt drżącym głosem. – Kolos.

Po trzydziestu sekundach żaden ptak nie pozostał przy życiu. Matt oddał lornetkę przyjacielowi i opadł na kamień.

– Mam nadzieję, że to coś żyje wyłącznie na wysokościach – oznajmił.

Tobias usiadł obok niego.

– To nie wszystko. Parę razy widziałem, jak liście się ruszają, tylko że to nie był wiatr! Ogromne coś, które wysłało niezbyt silne czerwone światło, mrugało przez jakąś minutę, a potem nic. No i jest jeszcze coś w rodzaju olbrzymich wazek! Przysięgam! Naprawdę się zastanawiam, czy dobrze robimy, pakując się w to.

Matt już miał się podzielić własnymi wątpliwościami, powstrzymał się jednak. Przecież sam odczuwał przemożną potrzebę, żeby nie tracić czasu, sam prowadził przyjaciół, sam zarażał ich uporem, okazując pewność siebie i zdecydowanie. Jeżeli zwątpi, staną się mniej silni.

A w przeddzień wśliznięcia się do Ślepego Lasu nie powinni sobie na to pozwolić.

Stłumił niepokój i nakazał sobie być ufnym i dodawać innym otuchy.

Da radę.

Tylko jak długo?

Miód, zarodniki i chityna

Chociaż słońce jeszcze dobrze nie wstało, Terrell już sprawdzał stan swoich oddziałów. Zapięte plecaki, manierki napełnione wodą ze strumyka – byli gotowi.

Podszedł do Matta i rzekł:

– Pora sobie powiedzieć: „Zegnaj”.

– A dlaczego nie: „Do widzenia”?

Terrell podał Mattowi rękę.

– Może.

Matt i Tobias się pożegnali, kiedy jednak nadeszła kolej Amber, Terrell potraktował ją jak powietrze. Odezwał się, wskazując przedproże Ślepego Lasu:

– Prosto na południe, odwagi, nie róbcie zbytniego hałasu, nie palcie ognisk, nie świećcie za mocno, jednym słowem, cały czas starajcie się nie rzucać w oczy. – Pochyliwszy się ku Mattowi, dodał pod adresem Amber: – I uważaj na nią, teraz to kobieta, nabije ci głowę złymi pomysłami i zanim się zorientujesz, zrobi z ciebie Cynika.

Matt zamierzał go poczęstować jakąś miazdzącą repliką, ale nic nie przyszło mu na myśl. Chciał bronić Amber, nie wiedział jednak, co powiedzieć. To porządna dziewczyna, nie musi się niczego obawiać z jej strony.

Terrell i jego banda zanurzyli się w wysokiej trawie, po czym na dany znak zniknęli za zagajnikiem.

– Teraz nasza kolej – oświadczył Matt, zarzucając plecak na ramiona, ponad pasem od miecza.

– Zacząłem się już do nich przyzwyczajać – oznajmił z żalem Tobias. – Dziwnie będzie zostać tylko we troje. Chyba nawet za nimi zatęsknię.

– A ja nie! – rzuciła Amber, otwierając pochód.

W miarę jak się zbliżali do skraju pierwszej zasłony, w ciągu niecałych dwudziestu minut światło przygasło. Poranne słońce zdawało się uwięzione za gęstą kotarą, toteż Matt od

razu pojął, dlaczego słowo „zasłona” tak bardzo pasuje do tego lasu.

Lawirowali wśród sięgającej im do pasa trawy i wielkich niczym koła samochodu margerytek o jedwabistych płatkach.

Potem nastąpiła chwila, której tak się bali.

Tylko po to, by przebrnąć przez pierwszą zasłonę, musieli się wspiąć na korzeń wysoki na dwa metry, następnie przedarli się przez płatanię gigantycznych pniaków, nim trafili wreszcie na stały ląd. Wszystkie rośliny występujące wśród drzew miały nadnaturalne rozmiary, niekiedy ich liście były większe niż deski surfingowe. Im głębiej zapuszczali się w las, tym potężniejsze rosły tam drzewa. Po godzinie marszu Matt nie był już w stanie dojrzeć ich wierzchołków.

Światło jeszcze bardziej przygasło, toteż podwoili ostrożność, żeby nie wpaść do jakiegś nory, nie byłoby bowiem nic gorszego, niż zwichnąć sobie tutaj nogę w kostce.

Mijając krzewy obsypane wielobarwnymi jagodami, Amber musiała po raz kolejny obstawać, żeby chłopcy ich nie jedli.

Kudłata podążała za nimi bez trudu, podskakując, jeśli trzeba było pokonać jakąś skarpe, i zostawiając kępki sierści na kolcach, kiedy wdrapywali się na wysokie pniaki i przeciskali przez gęste zarośla.

Przez cały ranek wędrowali w wolnym tempie, okrążając zbyt dziwaczne rośliny, posuwając się wzdłuż pni szerokich jak domy, wspinając się na strome zbocza albo nadkładając drogi, żeby nie schodzić do niecki, której dno wyściełała mgła.

W południe zjedli niewiele, czując się niezbyt pewnie, i prędko ruszyli dalej.

Nawet Kudłata sprawiała wrażenie czujnej; węszyła z podniesionym łbem, błyskawicznie odwracała pysk w kierunku, skąd dobiegał każdy podejrzanymy odgłos, co dodatkowo trwożyło trójkę wędrowców, gdyż zazwyczaj była uosobieniem spokoju.

Pierwsze wycieki zauważył Tobias.

Maszerowali wśród olbrzymich roślin przypominających pięciometrowe karczochy: niektóre, te ponacinane, uwalniały bursztynową ciecz. Tobias podszedł do lepkiego soku zaintrygowany jego słodkawym zapachem. Zanim Amber zdążyła go powstrzymać, zanurzył palec w ciągnącym się płynie i przytknął do nosa. Wydzielał apetyczną woń. Znajomą.

Wsadził palec do ust.

– To miód! – zawołał.

Gdy Matt się z nim zrównał, też nabrał odrobinę i połknął.

– Na dodatek jest zadziwiająco dobry! – ucieszył się.

– Zwariowaliście? – oburzyła się Amber. – Czy zdajecie sobie sprawę, że to mogłoby

was zabić? A jeśli w nocy będziecie się zwijać z bólu, co ja zrobię zupełnie sama pośród tego wszystkiego?

Matt nie pozwolił jej skończyć, za to posmarował wargi sporą porcją miodu. Amber była zbyt zaskoczona, by krzyżeć, stała więc wpatrzona w niego, osłupiała pod wpływem zniewagi. Kiedy jednak po chwili polizała językiem miód, zmieniła front.

– Rzeczywiście, jest naprawdę smaczny – przyznała.

– Napełnijmy nim puste manierki! – zaproponował Matt.

Każdy nabrał po dwa litry nektaru, po czym Tobias pochylił się nad nacięciem.

– Jak sądzicie, te nacięcia są naturalne? – zapytał.

– Teraz, kiedy to powiedziałaś... – odrzekła Amber. – Nie, to wygląda jak ślady, na dodatek nad nimi i pod spodem są równoległe nacięcia.

– Ślady pazurów – obwieścił Matt.

– Tak uważasz? – powiedział z niedowierzaniem Tobias.

– Jestem pewien – odparł chłopak drewnianym głosem.

– A gdyby to był...

Tobias zamilkł, widząc, że przyjaciel pokazuje palcem na ziemię. Odcisk w pulchnej glebie. Dwa razy większy niż odcisk słonia, z czterema bruzdami z przodu jak ślady po potężnych pazurach.

– Moim zdaniem lepiej stąd spadać – stwierdziła Amber, podnosząc pełną manierkę.

Ruszyli szybkim krokiem, rozglądając się bacznie dokoła. Zaledwie pięć minut po opuszczeniu wielkich karczochów ich oczom ukazał się wspaniały widok.

W nielicznych promieniach słońca, jakie zdołały się przebić przez wierzchołki drzew, na łądygach roślin sięgających trzydziestu, czterdziestu metrów migotały złote pączki przypominające gigantyczne fiołkoworóżowe tulipany.

Przymierze Trojga bezwiednie zwolniło kroku pod tym błyszczącym firmamentem. Po dokładnym przyjrzeniu okazało się, że to żółte zarodniki w kształcie małych kotwic, nie większe od czekami do wspinaczki. Ogarnęły ich dreszcze – Matt przypuszczał, że to z powodu wiatru.

Po chwili jeden zarodnik oderwał się od przezroczystego włosa, którym był przytwierdzony do roślin. Powoli spadł na ziemię, po czym wiatr zrzucił kilka następnych. W ciągu paru sekund setka zarodników poszybowała w dół.

Kiedy pierwsze wylądowały u ich stóp, przerażona Kudłata wskoczyła w paprocie.

– Jakie to piękne – powiedziała z zachwytem Amber.

– Zupełnie jak te kwiaty, na które się dmucha, a wtedy dziesiątki drobinek wlatują do

góry jak chmara pyłu! – przytaknął Tobias.

Jeden z zarodników musnął Amber, która schwytała go w locie.

– Blee! – zawołała. – To się lepi!

Zaczęła się szamotać, chcąc się pozbyć zarodnika, nie zauważyła jednak, że inne przyklejają się jej do ramion, rąk i pleców.

Nagle wszystkie pięć zarodników, które się do niej przyczepiło, wstało i ruszyło w przeciwnym kierunku.

– Co to... – wyjąkał Tobias. – Amber! Ty... Ty wisisz!

Zarodniki uczepliły się jej ubrania i mocno trzymały niczym haczyki.

– Nici! – zauważył Matt. – Są połączone prawie niewidocznymi niciami!

Gdy nici się napięły, Amber z krzykiem oderwała się od ziemi.

Tobias zadarł głowę. Wtem pojawiły się dwie olbrzymie kapsuły, otwierając coś w rodzaju czerwonych oleistych paszcz.

– MIĘSOŻERNA ROŚLINA! – wrzasnął Tobias i przebiegł pomiędzy zarodnikami, żeby się dostać do Kudłatej i swojego łuku.

Amber została pociągnięta ku paszczom wydzielającym soki trawienne.

Tymczasem Matt chwycił za jelec miecza i wydobył go z pochwy na plecach. Wskoczył na skałę i zaczął chłostać ze świstem powietrze.

Gdy przeciął wszystkie pięć nici, Amber spadła na ziemię i złapała się Matta. Przytuliła się do niego mocno.

W tej samej chwili dwa kolejne zarodniki wczepiły się w jego plecak, usiłując go podnieść do góry. Amber wyjęła mu z rąk miecz i porąbała je.

Wtedy zadrżała cięciwa łuku.

Tobias celował w miotające się w powietrzu paszcze, lecz jego strzały nie sięgały tak wysoko.

– Wypad! – krzyknął Matt, ciągnąc ich za sobą.

Lawirowali między złotymi harpunami i biegli dopóty, dopóki jakiś punkt z boku nie sprawił, że zwolnili zdyszani.

Na horyzoncie nie było żadnego zarodnika.

Zasapana Amber wsparła ręce na kolanach.

– Ładnie się zaczyna już pierwszego dnia! – oznajmiła.

Kiedy odzyskali oddech, ruszyli dalej, aż dotarli do małego stawu pełnego czarnej wody. Byli tak zmordowani, że postanowili tu zostać na noc. Amber zaproponowała, żeby umyli się w stawie, Matt i Tobias jednak odmówili. Po przygodzie z zarodnikami nie chcieli

się narażać na kolejne przykre niespodzianki. Pomimo sprzeciwu chłopców Amber uklękła na błotnistym brzegu. Kiedy tuż przy jej twarzy pojawił się pysk ogromnej ryby, dziewczyna pognęła do obozowiska, a wtedy wszyscy troje zarządzili, że jeśli nie natrafiają na czystą wodę, nie będą się myli aż do końca wędrówki przez Ślepy Las.

Idąc za radą Terrella, nie rozpalili ognia i zjedli zimne potrawy: tuńczyka z kukurydzą z puszek, a na deser ciastka. Noc zapadła jeszcze szybciej niż za przedprożem.

W miarę jak mrok gęstniał, w okolicznych zaroślach jęły się pojawiać białe światła. Nieruchome.

Matt chwycił miecz i podszedł do najbliższego.

Rozgarnął liście krzewu; źródło blasku było dość imponujące.

Gigantyczny owad.

Serce od razu zabiło mu mocniej. Chłopak już się szykował do zadania ciosu czubkiem broni, gdy spostrzegł, że stwór jest martwy.

Pusty.

Był to tylko pancerz mrówki. Kiedy żyła, musiała być długości labradora. Jej łapy zniknęły, zostało tylko gładkie sztywne ciało podzielone na kilka segmentów.

– Co to jest? – zapytał Tobias, zerkając Mattowi przez ramię.

– Możecie podejść, to zdechła mrówka.

– Ale wielka! – zawołała Amber.

– To jej chitynowy pancerz tak świeci? Nie do wiary!

– Chitynowy pancerz? – powtórzył Matt.

– Tak, albo jeśli wolisz, skóra. Słuchaj no, wygląda, że jest mocny.

Tobias wymierzył w odwłok kilka kopniaków, które wydały głuchy odgłos.

– Masywny – obwieścił. – Lepiej nie wpadać na gniazdo tych stworów, kiedy są żywe!

– W tym miejscu jest ich pełno – stwierdziła Amber. – Żadna się nie rusza. Wszystkie zdechły?

Matt poszedł sprawdzić pozostałe światła i powrócił, kiwając potakująco głową.

– Coś na kształt pola bitwy.

– Albo cmentarza – dodał Tobias. – Co oznacza, że mogą się pojawić znowu.

– Wracajmy do obozu – zaproponował czym prędzej Matt. – Ufam, że Kudłata wyczuje zbliżające się niebezpieczeństwo, jak będziemy spali. Poza tym przynajmniej zobaczymy te całe mrówki z daleka!

Nieco później Amber zasnęła przytulona do psa. Jednak ani Tobiasowi, ani Mattowi nie udało się pójść w jej ślady. Miejsce to przyprawiało ich o nerwowość.

Wszystkie mrówcze szkielety świeciły w nocy niczym przykute do ziemi duchy.

Chłopcy rozmawiali przez chwilę szeptem.

Po czym wyczerpanie wzięło górę i powieki same im się zamknęły.

Nie spostrzegli mgły pędzącej wśród pni jak fala.

Oddychali równo przez sen.

Mgła otoczyła obóz.

Sny i rzeczywistość

Mimo że jego postać była delikatna niczym prześcieradło, zamykała w sobie cały świat ciemności. Jego ciało stanowiło drzwi do zaświatów, martwą ziemię, jałową i mroczną, zamykającą duszę.

Oddzielona w ten sposób istota miała w sobie wszystko z potwora.

Szybkiego, potężnego, bezlitosnego.

Rauperoden mknął od drzewa do drzewa otulony płaszczem i otoczony eskortą szczudlarzy.

Uciszył burzę i posuwał się wolniej, za to bardziej bezszelestnie. Jego kończyny łopotały na wietrze, kiedy bezustannie zmieniał kierunek.

Był coraz bliżej, wiedział o tym.

Chłopiec znajdował się tuż-tuż.

Mógł go niemal wyczuć węchem.

Dusza Rauperodena wirowała wokół własnej osi, w sercu bezkresnej czarnej skały, podekscytowana, niecierpliwa.

Trzeba nawiązać kontakt, zlokalizować go.

Rauperoden się skupił. Gdzieś na tym należącym doń terytorium znajdowały się szemrzące studnie, włazy prowadzące ku dalekim planom, przejście do odmiennych stanów świadomości i podświadomości. Poszukał tego, który ocierał się o rzeczywistość świata, tej kruchej niewidzialnej warstwy łączącej każdą istotę nie poprzez to, co wie, ale poprzez to, czego nie wie. Maleńkiej niewyczuwalnej nici przypominającej wir, który się wymyka spod ukrytej strony jego umysłu.

Podświadomość każdej istoty składa się z sieci cieni i tłumionych pragnień. Z tabu.

Rauperoden zanurzył swą duszę w tej skomplikowanej sieci, badając wszystko, co po niej krążyło, z bystrością przewyższającą bystrość prądu elektrycznego płynącego w przewodzie.

Marzenia senne i koszmary rozciągały swe kształty, dopóki nie stały się wystarczająco elastyczne, by wydostać się poza śpiącego, by się rozprzestrzenić, niekiedy nawet mieszając się z innymi.

Rauperoden przeszukiwał owe strzępy snów, zlepki myśli, rzucając się na każdy obraz, każde słowo unoszące się na tym obszarze.

Zanim poczuł, że zbliża się do Matta, minęło sporo czasu. Chłopak spał i coś mu się śniło. Znajdował się tutaj, całkiem blisko, Rauperoden mógł niemal poczuć tak charakterystyczny smak jego snów.

I nagle tam był.

Rozpoznawszy wir, na który polował, Rauperoden uniósł go powoli, delikatnie, żeby przypadkiem nie obudzić chłopca.

Po czym znalazł się na progu jego duszy.

Składającej się z dwóch identycznych form.

Jego świadomość, częściowo beczynna, lśniła blaskiem drżącym w spokojnym rytmie. Z kolei podświadomość wydzielala mocne światło, była w ruchu, czerpiąc ze swej bliźniaczej siostry energię, którą przetwarzała, aby się zasilić.

Rauperoden wśliznął się do środka, już nie miał czasu do stracenia, chłopiec pod żadnym pozorem nie może mu się wymknąć.

Wreszcie był o krok od odczytania jego myśli.

Podświadomość zareagowała na obecność nieznanego gwałtownymi przebłyskami, które natychmiast zaburzyły sny chłopca.

Rauperoden wiedział, że musi działać szybko.

Zapuszczył sondy, które przebiły substancję mózgową niczym świdry, i zabrał się do wysysania informacji.

Teraz chłopiec miał koszmary.

Widział, jak Rauperoden go osacza.

Gotów wciągnąć.

Rauperodenowi udało się zdobyć to, czego szukał. Zlokalizował chłopca, który utrwalił w pamięci przebytą drogę.

W głowie kłębiły się kolejne myśli, ale jeszcze nie był w stanie ich odczytać.

Jasne włosy... Czarnoskóry chłopiec... Włochate zwierzę...

Rauperoden został odepchnięty przez potężny przebłysk, po czym podświadomość chłopca gwałtownie osłabła, budzić się zaczęła natomiast świadomość.

Oślepił go bolesny wybuch światła, dusza Rauperodena została zaś brutalnie

wepchnięta do studni, odesłana do zimnego niegościnnego świata.

* * *

Matt zerwał się, łapiąc ze świstem potężny haust powietrza, z czołem zroszonym potem.

W ciągu pierwszych sekund po przebudzeniu zastanawiał się, gdzie jest.

Kiedy wracało wspomnienie lasu, jednocześnie pojawiała się wspomnienie Rauperodena we śnie.

Nie tylko czarnego kształtu, który go osaczył, szepcząc, ale także jego szkaradnej natury: istoty zdolnej przebić się przez czaszkę, żeby czytać w jego umyśle.

Do Matta dotarło, co się właśnie wydarzyło i jakie to może mieć następstwa.

Nadal było bardzo ciemno, z odległych wierzchołków dochodziło jednak niebieskawe światło. Wkrótce miało wstać słońce.

Wokół obozowiska mgła utworzyła blade gniazdo; Matt sam nie wiedział, czy należy się go obawiać, czy z niego cieszyć, skoro stanowiło dla nich zasłonę.

Wyciągnął dłoń do Tobiasa, potem do Amber, żeby ich obudzić.

– Znalazł nas! – powiedział cicho.

– Co? Kto taki? – zapytał jeszcze zaspany Tobias.

– On... Rauperoden.

Tym razem Tobias uniósł się całkiem przytomny.

– Przyśnił ci się?

– Tak. I tym razem... było inaczej.

– Jak to? – chciała wiedzieć Amber.

Matt usiadł, otulając się śpiworem aż po samą szyję, żeby się osłonić przed wczesnoporannym chłodem.

– Myślę, że nie zachował takiej ostrożności jak zwykle, ja... nie potrafię tego wyjaśnić, ale to wyglądało tak, jakby się spieszył albo obawiał, że nie może nawiązać kontaktu. On się rzucił.

– Czy to znaczy, że poczułeś go... w sobie? – upewniła się dziewczyna.

– Właśnie tak. Tobias, miałeś rację, istnieje związek między moimi snami a Rauperodemem, on się nimi posługuje, żeby nas dopaść. Wie, gdzie jesteśmy. Zbliża się.

Matt zmarszczył brwi.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Amber.

– Nie... To znaczy.. Myślę, że w pośpiechu czegoś nie zamknął... Kiedy mnie...

przeszukiwał, ja też zdołałem zobaczyć coś w nim. Jego serce, a raczej coś na kształt duszy, nie należy do tego samego świata co my, on ją nosi w sobie, jego ciało to przejście do duszy, którą ukrywa. Do miejsca... To... to jakaś makabra! Coś jakby czyściec, gdzie ludzi może zamknąć, są przykuci do niego, służą mu, a on się nimi żywi.

– Pozwolił ci to wszystko zobaczyć? – zdziwił się Tobias.

– Nie, nie zrobił tego specjalnie, odnoszę wręcz wrażenie, że w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Tak czy inaczej nie mamy ani chwili do stracenia, trzeba ruszać w drogę, on depcze nam po piętach.

– Daleko jeszcze? – zapytała Amber.

– Nie wiem, może dzień, może dwa, nie potrafię zrozumieć, co poczułem, to było jak przewód między nami, mogliśmy się w sobie nawzajem zanurzyć. Bardzo nieprzyjemne doznanie.

Matt skrzywił się i wstał w samych spodenkach. Amber odwróciła głowę. Chłopak wskoczył w dzinsy włożył sweter i tym razem także kamizelkę kuloodporną, zanim zjadł trochę płatków, które ze sobą zabrali. Amber ubrała się wewnątrz śpiwora.

– Zaczynam mieć po dziurki w nosie tych płatków! – zaklął Tobias. – Zdażyły już całe rozmięknąć, na dodatek niedługo się przeterminują, lepiej, żebyśmy się nie pochorowali!

– I ty to mówisz? – wytknęła mu Amber, szcztokując włosy – Zwykle jesteś gotów jeść byle co!

– Tak, ale tu chodzi o płatki! Śniadanie jest ważne!

Amber parsknęła śmiechem.

– Nie przejmuj się, jeśli chcesz znać moje zdanie, nic ci nie grozi.

Matt w pośpiechu umył zęby. Nie mając pewności, kiedy znów natrafi na źródło wody pitnej, oszczędnie wypłukał usta jednym łykiem. Następnie spakował swoje rzeczy i zapiął plecak.

Gdy tylko objuczyli Kudłatą, cała grupa mogła ruszyć na spotkanie nowego dnia.

Wiedzieli, że dzisiaj wejdą do samego serca Ślepego Lasu.

* * *

Przymierze Trojga maszerowało przez wzgórze porośnięte cedrami, które były wyższe niż wieżowce w Nowym Jorku, a ich obwód przekraczał trzydzieści metrów. Owa spektakularna masa wydzielala lekko gorzki zapach, który wcale nie był niemiły.

W miarę upływu czasu mgła się rozproszyła.

Trudnościom jednak nie było końca: od samego rana cała trójka musiała uważać, żeby

nie zaplątać się nogami w ciernie albo nie wpaść do dziury, roślinny firmament nie przepuszczał bowiem dziennego światła.

Właśnie dotarli na szczyt pagórka, gdy idąca na przedzie Kudłata znieruchomiała i szczeknęła cicho zaskoczona, unosząc łeb.

Jeżeli do tej pory roślinność wydawała im się wybujała ponad miarę, teraz dosłownie ich zatkało.

Stali u stóp gigantycznego muru.

Korzenie drzew tworzyły kłębowisko bezwładnych gąsienic wspinających się na ponad sto metrów. Ponad nimi wznosiły się kolosalne pnie, których gałęzie ginęły gdzieś w niebie.

Przymierze Trojga sprawiało wrażenie zminiaturyzowanych, nie większych niż mrówki.

– Czuję się, jakbym stała u stóp góry – szepnęła Amber zdjeta pełną szacunku bojażnią.

– Ten las wydaje się taki... ogromny! Zupełnie jakby tu był od zarania dziejów! – dodał Tobias.

Kudłata również wpatrywała się weń z respektem przemieszonym z lękiem.

Kiedy Matt bez słowa ruszył przed siebie, pies zawył przeciągle na znak protestu.

Chłopak poprowadził grupę ku czemuś, co przypominało przejście między wysokimi korzeniami. Musieli się na nie wdrapywać, by pokonać parę pięt, aż w końcu zagłębili się w Ślepy Las.

Nie zdążyli przejść nawet kilometra, gdy światło dzienne zniknęło. Krajobraz przed nimi tonął w atramentowym mroku.

Tobias wyjął świecący grzyb i umieścił go na końcu kostura.

– Powinieneś mieć przy sobie łuk – ostrzegł Matt.

– Uwiera mnie, cięciwa ociera mi się o ramię przy każdym kroku.

– Wieczorem przyszyjemy ci kawałek skóry, jeśli chcesz, ale to miejsce wcale mi się nie podoba, moim zdaniem byłoby rozsądniej, gdybyś miał przy sobie broń.

Przyznawszy mu niechętnie rację, Tobias zdjął z grzbietu Kudłatej łuk i kołczan. Matt zapytał, odwracając się ku Amber:

– A propos, czy ty masz jakąś broń?

– Mam sztylet, który zabrałam z wyspy tego dnia, kiedyśmy wyruszyli.

– To wszystko?

– To aż nadto, zresztą i tak nie umiem się nim posługiwać, nie zapominaj, że razem z

Tobiasem tworzymy tandem.

- Wiem, ale... wolę, żebyśmy byli gotowi. Na wszelki wypadek.
 - Nie przejmuj się – odparła, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu, i poszła dalej.
- Zbliżywszy się do niej, Tobias szepnął po długim wahaniu:
- Co to jest tandem?
 - Para zawodników współdziałająca ze sobą w obronie tych samych barw.
 - Aha.

Tobias wyglądał na lekko zawiedzionego, tak jakby wyobrażał sobie coś bardziej ekscytującego.

Posuwali się przez labirynt kory, przechodząc pod naturalnymi łukami olbrzymich karp; wdrapywali się na drewniane ściany, okraczali niezgłębione niecki w przewróconych pniach, a nawet byli zmuszeni pełzać w wilgotnej kiszce pod tak ogromnym korzeniem, że bez niebezpiecznej wspinaczki nie dało się po nim przejść.

Po trzech godzinach marszu w tym tempie wykończeniu zrobili wreszcie postój, żeby odsapnąć. Najbardziej zdumiało ich to, że znajdowali także rośliny swojego wzrostu: pola paproci, krzewów i zarośli. Ponad nimi zaś wznosiły się te kolosy niczym kolumny jakiegoś pałacu bogów.

W lesie rozbrzmiewały osobliwe odgłosy: dalekie pohukiwania, przenikliwe krzyki dobiegające z wysokości, basowe skargi podobne do dźwięków wydawanych przez wieloryby, wycie małp. Jeśli jednak nawet od czasu do czasu dostrzegali jakiś drobny cień przeskakujący z gałęzi na gałąź albo odlatujący, nigdy nie widzieli wyraźnie żadnego zwierzęcia. Tobiasowy grzyb rzucał snop światła szeroki na niecałe dziesięć metrów, cała reszta zaś pozostawała ścianą hałaśliwych ciemności; mieli wrażenie, że poruszają się na dnie otchłani.

Matt regularnie sprawdzał kompas, bojąc się, że zbczą z właściwej drogi, ponadto zaczynał mu przeszkadzać brak orientacji w czasie. Skąd będą wiedzieli, że pora jeść, spać? Czy powinni zaufać własnym organizmom?

Matt pocieszył się, powtarzając sobie, że z biegiem dni powoli przywykną do tego rytmu. Instyktownie będą wiedzieli, kiedy przystanąć.

Wtem zza nisko rosnących liści wyłoniło się jakieś światło. Białe i dość intensywne.

- Myślicie, że mieszkają tu jacyś ludzie? – odważył się zapytać Tobias.
- Sam sprawdź... – odrzekł Matt.
- Nie – ucięła Amber. – Proponuję wręcz, żebyśmy poszli naokoło.
- Moglibyśmy zyskać dodatkowe źródło światła – sprzeciwił się Matt.

– Albo narazić się na dodatkowe niebezpieczeństwo!
– Głosuję za tym, żeby podejść bliżej. A ty, Tobias?
– Eee... Nie wiem. Dobra, zgoda, rzucimy okiem, a jeśli będzie groźnie, obejdziemy to.

Amber westchnęła, wznosząc ręce do nieba.

– Dlaczego zadaję się z dwoma facetami?!

Światło wcale się nie znajdowało tak blisko, jak sądzili, kiedy zaś wreszcie do niego dotarli, ku swemu zaskoczeniu odkryli polankę, a dziesięć metrów nad ziemią zawieszono coś, co przypominało latarenkę.

Jej blask pozwalał dojrzeć pierwsze gałęzie i liście normalnej wielkości. Matt przypuszczał, że powiększają się, w miarę jak gałąź wznosi się coraz wyżej. Na czubku drzewa każdy liść miał pewnie rozmiary basenu olimpijskiego.

– Co to takiego? – zastanawiał się głośno Tobias.

Pochyliwszy się, żeby lepiej widzieć, Amber odrzekła:

– Wygląda jak świetlista kula, coś jak plafoniera.

– Może gdybyśmy pociągnęli, dałoby się ją zdjąć. Ciekawe, czy na ziemi też by działała.

Tobias wydobyl łuk i założył strzałę na cięciwę. Matt powstrzymał go gestem i powiedział:

– Na górze coś jest, zdaje się, że twoja plafoniera jest połączona z czymś w rodzaju... tyczki.

Matt chwycił bierwiono i rzucił na polankę, celując pod kulę.

Rosnące przed trójką przyjaciół krzewy natychmiast się rozsunęły i wyłoniła się z nich pełna lśniących zębów wielka paszcza, nad którą widniały ogromne czarne ślepie.

Potwór, którego każdy kieł był równie duży jak Matt.

Bardzo spadające gwiazdy

Lepki, pokryty olbrzymimi brodawkami jęzor polizał rzucone przez Matta bierwiono, wypluł je czym prędzej i schował się do monstrualnej mordy.

Czarne ślepia się poruszyły, zadrżały dwie szczeliny będące nozdrzami.

Stwór szukał ofiary.

Matt złapał swych dwoje towarzyszy i mocno przycisnął do siebie, dając im w ten sposób znak, żeby stali bez ruchu.

Już sam łeb tego paskudztwa przewyższał wielkością wszelkie formy życia, jakie Mattowi udało się spotkać do tej pory. Nie śmiał sobie nawet wyobrazić rozmiarów całego cielska. Co to było? Rodzaj gąsienicy? Dziwaczna plafoniera była połączona z jego łbem żółtawą anteną, stwór zaś przypominał rybę, jaką Matt widział już kiedyś w telewizji, na filmie dokumentalnym o faunie z morskich głębin.

– Nie zauważył nas – szepnął Tobias, robiąc krok w tył, żeby dać dyla.

– Zaczekaj! – powstrzymał go Matt. – On na coś czyha...

Po kilku sekundach niesamowita morda na powrót zniknęła w swojej kryjówce w zaroślach, pozostawiając polanę w pułapce oświetlenia.

– Teraz – zarządził cicho Matt.

Wycofali się ostrożnie, kiedy zaś się dostatecznie oddalili, przyspieszyli kroku, chcąc jak najbardziej zwiększyć dystans między nimi a potworem.

– Może następnym razem mnie posłuchacie – podsumowała Amber. – Po tym miejscu nie należy się spodziewać niczego, absolutnie niczego dobrego. Im szybciej się przedostaniemy, tym lepiej.

– Nie wiemy, ile czasu nam to zajmie, prawda? – odezwał się Tobias.

– Nie. Co najmniej kilka dni.

Pomimo wyczerpania zmusili się do trzygodzinnego marszu (nikt nie miał ochoty zasnąć w pobliżu takiego zagrożenia), aż w końcu rozbili obóz pod sklepieniem utworzonym

przez pień drzewa. Jaskinia z kory porośnięta grubym zielonym mchem zapewniła im dość wygodne schronienie.

Ponownie zjedli zimny posiłek, na widok zaś Kudłatej, która wyruszyła upolować kolację, Matta coś ścisnęło za serce. Pies oddalał się bojaźliwie. Chłopak zawahał się, czy ma go zawołać, podzielić się z nim jedzeniem, nie zrobił tego jednak. Kudłata jest dostatecznie duża, żeby dać sobie radę, przecież nie będzie się niepotrzebnie narażać, a zresztą czy zjadłaby zimną fasolkę szparagową? Tak czy inaczej powinien oszczędzać zapasy, może nie wystarczy im na całą podróż, a co zrobią, jeśli rezerwy się skończą w samym środku lasu?

Matt czuwał, dopóki Kudłata nie wróciła, kiedy zaś położyła się obok niego, wreszcie mógł zmrużyć oko.

Zasypiając, rozmyślał o Rauperodenie. A jeżeli w nocy znów przyjdzie badać jego umysł? Jest niedaleko, więc to całkiem możliwe.

Próbował się uspokoić; przecież gdyby Rauperoden ponownie zostawił otwarte drzwi, mógłby to wykorzystać, żeby go wybadać... Wzbraniał się wszakże przed tym. Nie miał ochoty poczuć tego wszystkiego, co Rauperoden skrywał. Matt zdążył ujrzeć przedsmak spustoszenia tej ziemi, gdzie krążyła jego dusza, doświadczył niepokoju, smutku, gniewu i wszelkich zamieszkujących tam strachów i powinien się uznać za szczęśliwca, skoro żadne z tych uczuć się na niego nie rzuciło. Teraz bowiem, kiedy o tym myślał, odnosił wrażenie, że wszystko to żyje w Rauperodenie niczym sfora polująca na ofiarę.

Może jeśliby zamknął swój umysł, mógłby się spokojnie zdrzemnąć, nie pozwalając sobie na marzenia senne, albo...

Matt zapadł w sen.

Czarny kształt łopotał na wietrze i we mgle. Przemykał z błyskawiczną prędkością wokół Matta w poszukiwaniu jakiejś szczeliny, przez którą mógłby się wśliznąć. Chociaż chłopak nie był w stanie działać, wyczuwał wokół siebie złowrogą obecność. Jego sen był niczym góralska chata z kilkoma oknami i drzwiami, które musiał bez przerwy sprawdzać, aby się upewnić, że nikt nie włamał się do środka. Rauperoden krążył naokoło po lesie, coraz szybciej, rzucając się na każdą szybę, aby się przekonać, czy jest zamknięta, usiłując sforsować każdy zamek, ale bezskutecznie. Na razie.

Matt biegał z pokoju do pokoju.

Jeżeli któreś z wejść ustąpi, będzie musiał się pospieszyć. Wskoczyć do szafy, ostatniej kryjówki, jaka mu pozostała.

Przez całą noc Rauperoden próbował wejść do środka.

Matt dał radę.

Tobias musiał nim mocno potrząsnąć, żeby go obudzić.

– Amber i ja nie możemy już dłużej kimać, widocznie jest późno – ostrzegł. – Nie chcieliśmy cię budzić, ale to trwa już zbyt długo.

– Zgoda – odrzekł Matt, przeciągając się.

Czuł się wycieńczony. W ogóle nie odpoczął tej nocy.

Poza ich kryjówką panowały całkowite ciemności. Matt nie potrafił przywyknąć do tego bezustannego obezwładniającego mroku.

– Śniłeś o n i m? – zapytał Tobias.

– Tak. Chciał we mnie wejść i... wczoraj, kiedy zdołałem się zorientować, czym jest, coś się wydarzyło. Zrozumiałem mechanizmy, nie potrafiłbym tego jasno wytłumaczyć... Ale dziś w nocy nie udało mu się we mnie... wniknąć.

– To dlatego masz taką minę? Wyglądasz na wykończonego!

– Poradzę sobie.

* * *

Kolejny dzień marszu okazał się jeszcze trudniejszy niż poprzedni. Z powodu kokonu ciemności, który ich nieustannie otulał, zaczynały im puszczać nerwy. Coraz bardziej nierówny teren często zmuszał ich do zawracania i szukania innej drogi, dalszej, a okrażenie każdego drzewa zabierało im godzinę.

Z góry jęły dobiegać osobliwe nawoływania, przenikliwe i głośne, coś jak ryk, który znieczeka zaczął świdrować, przybierając ostre tony, aż stawał się nie do zniesienia.

Potem za plecami Przymierza Trojga rozległ się krzyk pawia. Następnie zadrżały liście z tak niesamowitym, tak imponującym szelestem, że wszyscy padli na ziemię, a Kudłata wczłogała się pod kępę przezroczystych kwiatów.

Coś przemknęło tuż nad ich głowami.

Tobias czym prędzej chwycił świecący grzyb i schował go do kieszeni, aby pograżyli się w ciemnościach.

Szelest niespodziewanie się przybliżył, jakby cały las wstał. Przez listowie przemknęły razem setki kształtów podobnych do ławicy ryb; jazgot stał się tak ogłuszający, że trzej wędrowcy, leżąc na ziemi i osłaniając rękami głowy, odnieśli wrażenie, iż tysiące zwierząt rzuciło się na liście, które spadły teraz na nich porozrywane.

Rój oddalił się na południowy wschód równie szybko, jak się pojawił, zostawiając po sobie stertę okaleczonych gałęzi.

Gdy Tobias wyciągnął grzyb, mogli obejrzeć szkody. Roślinność ponad nimi była tak

gęsta, że wydawała się nietknięta.

Wieczorem, wbrew radom Terrella, rozpalili małe ognisko, mieli bowiem dość jedzenia zimnych konserw. Ledwie trochę podgrzali swoje dania, zgasili ogień, żeby nie zwabić drapieżników.

Matt lękał się zasnąć.

Potrzebował odpoczynku, bał się wszakże Rauperodena.

Był tak wyczerpany, że zaledwie w ciągu paru minut zapadł w sen.

Podczas gdy spali, pogrążony w wiecznym mroku Ślepy Las nadal żył. Małe istotki ześliznęły się wzdłuż gałęzi, aby poczuć nowe zapachy, wokół rozległy się dziwne głosy, jakich ludzkie ucho nigdy nie słyszało.

W oddali na wysokościach drgały czerwone, pomarańczowe, potem żółte światła.

Przymierze Trojga spało zaledwie od pięciu godzin, gdy Matt zerwał się gwałtownie z ziajany.

Dopadł do Tobiasa i mocno nim potrząsnął; wywołane przez nich zamieszanie obudziło Amber.

– Jest całkiem blisko! Szybko! – wykrzyknął Matt. – Wstawajcie! Musimy uciekać!

– Uspokój się! – zawołała Amber. – Skąd wiesz? Może to tylko zły sen?

– Nie, jestem pewien, poczułem to, on tu jest, tuż obok, chodźmy, nie ma chwili do stracenia!

Pozbierali swoje rzeczy w ogromnym pośpiechu, po czym Matt sprawdził na kompasie, gdzie jest północ, by ich poprowadzić.

Po pewnym czasie podłoże stało się mniej twarde i znaleźli się w przepelnionej niepokojącym chłupotem bagiennej strefie, z której wydostali się po przemierzeniu długiego urwistego zbocza.

Niekiedy kora gigantycznych drzew tworzyła schody lub rampy, na które Matt nie bardzo miał ochotę się zapuszczać – wspinaczka na szczyt wydawała się możliwa, tylko po co? Czy w górze da się przedostać z jednej gałęzi na drugą? I czy to na pewno będzie bardziej bezpieczne?

Matt nie zaryzykował.

Prowadził grupę energicznym krokiem, robiąc niewiele postojów. Jeśli zgodnie z jego przekonaniem Rauperoden był tak blisko, nie mogli sobie pozwolić na zmniejszenie tempa.

Muszą jednak odpoczywać, jeść, spać!

Odsunął od siebie ten problem – będą się pożywiać na stojąco, a co do spania... to się zobaczy.

Mimo wszystko z każdą godziną zwalniali. Nawet Kudłata dyszała z wywieszonym językiem.

– Dłużej tak nie możemy, Matt – ostrzegła trzeźwo Amber.

– Jeszcze trochę, tylko troszeczkę...

– Mówisz tak już od dobrej chwili, jesteśmy wypompowani, trzeba zrobić postój.

Matt skapitulował przed uporem dziewczyny, usiedli więc na grzybach, które posłużyły im za taborety, chrupiąc herbatniki i kostki czekolady.

– Chętnie bym się napił mleka – mruknął Tobias. – Brakuje mi dobrego świeżego mleka!

– Przecież mamy miód! – wykrzyknęła Amber, wyciągając manierkę.

Gęsty słodki płyn poprawił im humor.

Wkrótce ruszyli dalej. Matt rozglądał się dokoła, jakby był w stanie przebić wzrokiem mur ciemności, który ich bezustannie otaczał.

Weszli w zasłone traw, które sięgały im ponad głowy, myśląc, że po kilku krokach się skończą, po pewnym czasie jednak do nich dotarło, że znaleźli się na bezkresnym polu. Posuwali się naprzód, zaś ostre krawędzie źdźbeł tak długich jak łodygi dojrzałej kukurydzy raniły im ramiona i dłonie. Chcąc uniknąć licznych zadrapań, musieli zwolnić.

Kiedy po dwóch godzinach zdołali się wreszcie stamtąd wydostać, natrafili na kilka świeżych kup zielonego koloru i wielkości piłki do rugby.

– Nie wiem, co je zostawiło, ale wcale nie mam ochoty tego spotkać – skwitował Tobias.

Ruszyli naprzód ze zdwojoną ostrożnością, uważając, by nie nadepnąć na suchą gałąź i zachowywać milczenie.

Matt miał już dość; według jego obliczeń zbliżał się wieczór. Nawet lęk przed Rauperodenem nie potrafił go skłonić do dalszego marszu. Musiał podjąć jakąś decyzję.

Chłopak odpiął plecak i rzucił go pomiędzy rosnące wokół brązowe grzyby.

– Na dzisiaj koniec – postanowił. – Nie damy rady iść dalej.

Amber i Tobias odetchnęli z ulgą, jednocześnie sapiąc ze zmęczenia, po czym padli na mech.

– Myślałem, że umrę! – jęknął Tobias.

Odpoczywali przez pół godziny, nawet nie rozpakowawszy swoich rzeczy; chcieli tylko nabrać trochę sił przed posiłkiem.

Wtem z tyłu, w odległości niecałych dziesięciu metrów, wyłoniły się białe oślepiające oczy.

Ledwie omiótł ich świetlisty promień, po lesie poniosła się długa przenikliwa skarga, którą natychmiast podchwycili kolejni zwiadowcy.

– Szczudlarze! – zawołał Matt, któremu żołądek podjechał do gardła ze strachu.

Chwyciwszy własny plecak, pognał do Tobiasa i pomógł mu włożyć jego ekwipunek, po czym puścili się biegiem. W panice Tobias nie zauważył, że pędzi coraz szybciej, że coraz prędzej przebiera nogami i zaskakująco łatwo zostawia przyjaciół w tyle.

Tylko że świecący grzyb, który niósł na końcu kostura, umykał wraz z nim, stopniowo pograżając w ciemnościach Amber i Matta, a także nieodstępującą swego pana Kudłata.

– Tobias! – ryknął Matt, któremu już brakowało tchu. – Zaczekaj... na nas!

Przerażenie sprawiło, że Tobias ogłuchł. Miał w głowie tylko jedną jedyną myśl: uciekać. Prędko i daleko.

Jego przeobrazenie zdawało się nasilać – teraz biegł równie szybko jak sprinter olimpijczyk. Liście drapały go po twarzy, on jednak w ogóle się tym nie przejmował. Wspomnienie tamtych szczudlarzy, z którymi się zmierzili w Nowym Jorku, wystarczyło, żeby przyćmić wszelki ból.

Nagle Amber, Matt i pies zatonęli w całkowitym mroku.

Matt chwycił przyjaciółkę za rękę.

– Zaraz... wyciągnę... chemiczną latarkę – wysapał.

Szczudlarze nadciągali pędem ze wszystkich stron, byli coraz bliżej. Wtem Matt uświadomił sobie, że nie zdąży otworzyć plecaka i poszukać latarki.

Było już za późno.

Wolał więc popchnąć Amber za siebie i dobyć miecza.

– Nie pozwolę im cię dopaść – oświadczył.

– Może dałoby się z nimi pogadać, znaleźć jakiś kompromis?

– Nie, to żołnierze Rauperodena, a ja wiem, że on chce mnie dopaść. Wiem też, że to zła... rzecz. Przygotuj się, jak się zaczniesz, uklęknij i osłoń się.

Wtedy Matt spostrzegł w górze dziesiątki gwiazd. Białych światełek na wierzchołkach niebotycznych drzew.

Zauważył, jak jedno z nich przepływa po firmamencie czarnych liści: mała spadająca gwiazdka, która zniknęła wśród gałęzi. Czym tak naprawdę są? Świecącymi gaśienicami zawieszonymi sto metrów nad ziemią?

Pierwszy zwiadowca doskoczył do Matta, oświetlając go swymi dwoma reflektorami. Chłopak zasłonił oczy ramieniem.

Wyczuwając przed sobą jakiś ruch, mimo oślepiającej jasności ujrzał zbliżające się

doń ramię pokryte opalizującą skórą. Ogromne palce rozczapierzyły się, by go pochwycić.

Matt przeciął mieczem powietrze i poczuł opór, odrąbując pierwsze paliczki.

Zwiadowca wydał przenikliwy, wstrętny dla ludzkich uszu okrzyk.

Amber i Matt również wrzasnęli.

Z boku wyłonił się kolejny szczudlarz, po nim następny.

Matt zakręcił mu przed nosem młynka, usiłując obciąć wszystko, co się dało. Kudłata rzuciła się na jedną z wysokich widmowych postaci i ugryzła ją z warkotem, zmuszając do cofnięcia.

Wielkie dłonie szczudlarzy przesuwają się w przód i w tył, markując ciosy. Nadbiegali już następni – Matt zdołał dostrzec reflektory jakichś dziesięciu stworów.

„Nie dać się złapać!”

Wiedział, że schwytanie byłoby gorsze niż śmierć. Musiał spróbować wszystkiego, zaryzykować wszystko, byleby nie wpaść w ręce Rauperodena. Lepiej zginąć w walce, niż na to pozwolić.

Miecz świszczą, obcinając niekiedy pozbawione ciała kończyny napastników; Matt się nie poddawał. Kudłata robiła co w jej mocy, żeby ich powstrzymać, gryząc wrogów z doskoku.

Wtem Matt spostrzegł, jak tuż przed nim odrywa się kamień i mknie w kierunku głowy jednego ze szczudlarzy. Trafił go w oko, które zgasło od uderzenia przy akompaniamencie przenikliwego wycia.

„Amber!”

Może we dwójkę mają jakieś szanse, żeby odeprzeć atak...

Kudłata zamierzała przewrócić jednego ze szczudlarzy, który właśnie podbiegł do Matta, dostała jednak potężny cios szczudłem i potoczyła się w zarośla. Szczudlarze natychmiast natarli ze zdwojoną siłą.

Do chłopaka dotarło, że wszystko stracone. Byli zbyt liczni, zbyt ruchliwi i zbyt sprytni.

To już koniec. Stracił wszelką nadzieję.

Gdy usłyszał w oddali łopot prześcieradła, serce zamarło mu w piersi.

O n tu jest.

Obawiając się kolejnego sprytnego manewru ze strony szczudlarzy, Matt nagle podniósł głowę.

Gwiazdy nadal się ruszały.

Rosnąc w oczach.

„Schodzą. Spadną tutaj! Prosto na nas!”

Matt, którego uwagę zaprzętało coś innego, nie dostrzegł za plecami zwiadowcy; czyjaś ręka otoczyła mu klatkę piersiową, unieruchamiając uzbrojoną dłoń.

– NIE! NIE! – ryknął na całe gardło. – BIEGNIJ, AMBER! UCIEKAJ!

Inny szczudlarz pochwycił dziewczynę, zanim zdążyła się podnieść.

I wtedy spadające gwiazdy dosłownie wystrzeliły z morza liści, zwiadowców zaś zasypał pióropusz błyskawic.

Przy akompaniamencie głośnych trzasków i charkotu gwiazdy ciskały błyskawice, które odepchnęły stwory w ciągu kilku sekund. Jedna z nich zbliżyła się do Matta i wyrwała go z łap szczudlarza, który zachwiał się przeszyty elektryczną strzałą.

Gwiazda natychmiast ruszyła z powrotem do góry tak szybko, że Matt poczuł, jak wszystkie narządy zjeżdżają mu do nóg.

Zapało mu dech w piersiach.

Zakręciło się w głowie.

Próbował walczyć, ale to było zbyt silne, kiedy zaś ulatywał na szczyty Ślepego Lasu, stracił przytomność.

Zielony!

Kiedy Matt doszedł do siebie, przez chwilę wydawało mu się, że ciągle jeszcze śni, leżąc w ciasnej kuli w towarzystwie jakiejś dziwnej istoty odzianej w futurystyczny strój.

Zamknął oczy, skupił się i ponownie je otworzył.

Istota ciągle tam była. Jej sztywny biały napierśnik, hełm i nagolenniki lśniły w ciemności, oświetlając wnętrze kuli z plecionych drewnianych listewek.

Kula drżała, niekiedy nawet się kolebała, gwałtownie uderzając o coś z trzaskiem.

Matt uświadomił sobie, że są w ruchu. Mrówki w kończynach i zawroty głowy nie ustawały.

„Wjeżdżamy do góry. To winda! Na dodatek żołądek mi podpowiada, że pędzimy na złamanie karku!”

Mimo blasku, jaki rzucała zbroja, Matt nie potrafił dojrzeć rysów twarzy tego, który się pod nią skrywał. Miał długie włosy, sprawiał wrażenie dobrze zbudowanego i trzymał się kurczowo uchwytów nad głową, by nie upaść przy każdym uderzeniu.

Miecz, plecak, chlebak i płaszcz leżały u jego stóp, Matt ciągle jeszcze miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

Wjazd trwał długo, obliczył, że kilka minut.

Nagle kula zwolniła i znieruchomiała, czemu towarzyszyła seria zewnętrznych stukotów.

Matt słyszał echo, jakieś głosy, tak jakby kula znalazła się w obszernym hangarze. Drewno znów zaczęło trzeszczeć, kiedy ktoś się przy nim krzątał, potem z boku otworzył się właz. Ktoś pomógł Mattowi wysiąść, a za nim podążył natychmiast osobliwy wojownik.

Pomieszczenie było duże i długie, z podłogą, ścianami i sufitem z desek, bez okna, oświetlone wyłącznie przez latarenki zawierające jakąś miękką substancję, która dawała białe światło. Ściany trzeszczały i skrzypiały, jakby się znajdowali pod pokładem statku.

Matt stał przy wielkim kole, na które nawinięte było kilkaset metrów czarnej liny.

Przed chłopcem stanął wyprostowany wojownik.

Jego hełm okazał się czaszką gigantycznej mrówki.

Do Matta wreszcie dotarło, co się wydarzyło.

Nie było żadnych spadających gwiazd, tylko ludzie w chitynowych mrówczych pancerzach pochodzących od tych samych owadów, na których cementarz natknęło się Przymierze Trojga. Ludzie w zbrojach, które emanowały srebrzystym blaskiem.

Czyżby wisieli na drzewach? Na konopnych linach?

Wszystkie spojrzenia wycelowane były w niego.

Wówczas Matt uzmysłowił sobie, że to Piotrusie.

Nie było żadnych dorosłych, tylko dzieci i nastolatki.

Inni.

Światło zdawało się odbijać w ich oczach jak w oczach kota schwytanego w światła reflektorów samochodu. Wokół tych maleńkich okrągłych zwierciadeł błyszczały zielone tęcza. Nawet ich włosy, również zielone, były dziwaczne.

– Jakie plemię cię wyгнаło? Jaką zbrodnię popełniłeś? – zapytał chłopak, który go uratował.

– Plemię? Nie – odrzekł Matt. – Nie mam swojego plemienia. Ja... jestem Matt, przybywam z północy i właśnie przechodzimy przez Ślepy Las, żeby...

– Ślepy Las? O czym ty mówisz?

– A co z moimi przyjaciółmi? Czy znaleźliście dziewczynę, lekko rudawą blondynkę, i chłopca w moim wieku, czarnoskórego, on...

– Zamknąć go! – rozkazał jakiś głos za plecami Matta. – Później się zobaczy, co z nim zrobić, na razie trzeba ruszać w dalszą drogę.

Matt zaprotestował, natychmiast jednak zaprowadzono go przez wąski korytarz i bezceremonialnie wepchnięto do małej izdebki z drewnianym cebrem i wiszącą na ścianie konwią z wodą.

Kiedy kroki ucichły w oddali, Matt opadł z rozpaczą na podłogę.

A jeśli Amber i Tobiasowi nikt nie udzielił pomocy? W jaki sposób ich odnajdzie?

„Po pierwsze, musiałbym się stąd wydostać, a nawet nie wiem, gdzie jestem!”

Wtem pomiędzy szpar w deskach dobiegł znajomy głos:

– Matt? Czy to ty?

Serce zabiło mu mocniej.

– Amber?

– Tak! Och, jak się cieszę, że tu jesteś! Tobias też jest z nami, w celi po mojej lewej.

– Toby?

Matt wydał niekończące się westchnienie, jego radość zmaćił jednak nagle obraz psa.

– A co z Kudłatą? – zapytał przerażony.

– Niestety, Matt, nie widziałam jej ani nie słyszałam.

Kolejne westchnienie, tym razem smutne.

– Gdzie my jesteśmy? Macie jakiś pomysł? – przemówił.

– Wjechaliśmy do góry, tego jestem pewna! A w ustach jednego z... Piotrusiów usłyszałam słowo „okręt”.

– Okręt? Niemożliwe, przecież na szczycie Ślepego Lasu nie może być wody!

– Matt, widziałeś, jacy oni są dziwni? Ich oczy...

– Tak, nie są tacy jak my. Musimy się stąd wydostać.

– Niby jak? Drzwi są zaryglowane! Już próbowałam.

– Wykorzystaj swoje przeobrażenie! Powinnaś umieć podnieść rygiel, nie?

– Nie widzę go, a nie potrafię wpłynąć na coś, czego nie widzę. Matt zaklął.

– W takim razie ja spróbuję – odparł – jeżeli mam dość sił, żeby rozwalić drzwi.

– Nie rób tego. Nie wiemy, kim oni są, czego od nas chcą ani do czego są zdolni.

Zaczekaj.

– Przecież nas zamknęli!

– Ale też ocalili przed szkodnikami! Cierpliwości, kiedy się już lepiej rozeznamy w sytuacji, będziemy mogli działać. Skorzystajmy z tego, żeby odpocząć, jestem wykończona i Tobias też.

– Jak on się czuje?

– Dobrze.

– Przynajmniej jesteśmy cali i zdrowi.

Wtem cała otaczająca ich drewniana struktura zaczęła skrzypieć, a wtedy Matt domyślił się, że ruszyła.

„To naprawdę przypomina statek! Gdzie my, u licha, jesteśmy?”

Matt ugasił pragnienie i zastanowił się nad propozycją Amber. W gruncie rzeczy się nie myliła, nadarzała się okazja, żeby trochę odzignąć.

Po dobrej godzinie przyszli po nich. Spotkawszy się w wąskim korytarzu, Amber, Tobias i Matt uścisnęli się szybko na powitanie, zanim znów ich rozdzielono.

Poprowadzono ich przez labirynt korytarzy do długiej sali, której umeblowanie stanowiły niekończący się stół i jakieś dwadzieścia krzeseł umieszczonych wokół niego. Kiedy Przymierze Trojga zostało wpuszczone przez pięciu Piotrusiów uzbrojonych w noże i

toporki, siedzące w głębi trzy nastolatki właśnie o czymś szeptem rozmawiały. Posadzono ich naprzeciw dziewczyn, za którymi siedziało na ławce dwóch chłopaków.

Wszyscy mieli włosy tak soczyste zielonego koloru jak trawa w promieniach słońca i jednakowo przenikliwe szmaragdowe oczy.

– Znajdujecie się na Statku Matce – oznajmiła jedna z dziewczyn. – My jesteśmy jego kapitanami. Do jakiego plemienia należycie?

– Do żadnego – odparł Matt. – Jesteśmy wolnymi Piotrusiami.

– Tutaj nikt nie może przetrwać, nie mając własnej wspólnoty! – odrzekła najstarsza z trzech kapitanek.

Amber pochyliła się do przodu, wtrącając:

– My nie pochodzimy stąd, jesteśmy wędrowcami i pragniemy się tylko przedostać przez Ślepy Las na południe.

– Co nazywacie Ślepym Lasem? – zapytała dziewczyna o pызatych policzkach.

– No cóż, to miejsce – wyjaśniła Amber. – Ten las, tak olbrzymi i tak wysoki, że światło dnia nie dosięga do ziemi.

– To Suche Morze. Właśnie tak je nazywamy. Kiedy was znaleźliśmy, błądziliście w jego otchłani. Wasze krzyki przyciągnęły uwagę naszych ludzi. Mielście szczęście, że akurat nurkowali niedaleko!

– My wcale nie błądziliśmy! – sprostował Matt.

Najstarsza z kapitanek czym prędzej dodała:

– Trzeba być zabłąkanym albo szalonym, żeby się przedzierać przez trzewia Suchego Morza, zamiast przejść po jego powierzchni!

– Czy to znaczy, że jesteśmy nad nim? – wydukała Amber.

– Owszem, płyniemy. A więc wy naprawdę nie jesteście stąd? Czy za morzem ktoś jeszcze ocalał? Czy jest was dużo?

– Tak, prawdopodobnie setki, a nawet tysiące.

Na twarzach trzech kapitanek odmalowało się zdziwienie.

– To pewnie jakiś podstęp! – stwierdził jeden z chłopaków, zwracając się do nich. – Żeby uspić naszą czujność i zrobić wyłom w naszej obronie! Klan Dziobów jest do tego zdolny!

Najstarsza, która zdawała się mieć największy posłuch, pokręciła głową, mówiąc:

– Tylko idiota by poświęcił trzech swoich pobratymców, wysyłając ich w otchłań i licząc na łut szczęścia, na to, że ich znajdziemy To niemożliwe! Poza tym przejrzelśmy ich ekwipunek, posiadają dużo przedmiotów z przeszłości, żaden tutejszy klan ich tyle nie ma.

– Musicie nam uwierzyć – nalegała Amber. – Chcemy się tylko przedostać przez Ślepy Las, przepraszam, przez Suche Morze.

Wówczas zabrał głos Matt, który zapytał.

– Czy kiedy nas ratowaliście, nie zabraliście ze sobą dużego psa? Naprawdę bardzo dużego?

Kiedy pokręcili przecząco głowami, Matt westchnął głęboko, żeby stłumić ból, który przygniatał mu pierś. Kudłata jest stracona.

„To nie jest zwyczajny pies, da sobie radę, znajdzie wyjście z lasu!”

W głębi duszy jednak wcale nie był tego taki pewien. To miejsce było gorsze od dżungli, Kudłata miała bardzo nikłe szanse, żeby przetrwać tu więcej niż kilka dni.

Jedna z kapitanek przysunęła się do swych towarzyszek i szepnęła:

– Już samo ich istnienie mogłoby zakwestionować wiarę w Drzewo Życia! Mogłoby zachwiać równowagą naszej wspólnoty!

– Nie – odparła druga. – Wystarczy na nich spojrzeć: oni nie są tacy jak my.

Matt, który wszystko słyszał, oświadczył:

– Zaufajcie nam, możemy was wiele nauczyć o tym nowym świecie, który powstał za morzem. Nie chcemy wam zrobić krzywdy!

Kapitanki wstały i po naradzie z obydwoma chłopcami oznajmiły:

– Zabieramy was ze sobą do Gniazda, naszego pływającego miasta. Tam Rada Kobiet zdecyduje, co dalej.

– Co dalej? – powtórzył Tobias, który milczał aż do tej pory.

– Owszem, zdecyduje, czy jesteście naszymi więźniami czy gośćmi albo czy należy was przegnać w głąbiny

– A kiedy dotrzemy do tego waszego Gniazda?

– Jutro rano, jeśli będą sprzyjające wiatry. Tymczasem będziecie pasażerami tego statku. Nie zakujemy was, ale nie kręćcie się bez nadzoru, bo inaczej zostaniecie związani. Dostaniecie posiłek. Od tej pory aż do spotkania z Radą dla własnego dobra starajcie się nie rzucać w oczy.

Dziewczyny sobie poszły wraz z dwójką chłopców, zostawiając do pilnowania trzech strażników.

– Płyniemy! – wpadła w zachwyty Amber. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak jest na zewnątrz!

– Nie podniecaj się tak – uciszył ją Matt. – Jak na razie nie przywitali nas z otwartymi ramionami.

– Ufam im, wyglądają na piekielnie inteligentnych!

– To dlatego, że dowodzą tu dziewczyny, to ci się podoba – roześmiał się Tobias.

– Nie gadaj głupstw!

Kiedy drzwi się ponownie otworzyły, przyniesiono każdemu z nich po sporej misce gorącej zupy z kawałkami białego mięsa i po ciepłej, całkowicie zielonej bułce.

– Pieczywo! – rozmarzył się Tobias. – Mam już dość jedzenia sucharków!

Pochłonęli kolację w mgnieniu oka, po czym zaprowadzono ich na górę, do pokoju z łóżkiem i dwoma hamakami zawieszonymi na belkach. W głębi znajdowało się wielkie okno, przez które w ciemnościach nic nie było widać. Amber rzuciła się ku niemu.

– To prawdziwa szklana ściana! Mam na myśli odzysk! Ramy okienne są z aluminium w przeciwieństwie do reszty statku, który chyba jest cały z drewna.

Widząc, że naciska na klamkę, aby otworzyć okno, Matt ostrzegł:

– Nie powinnaś tego robić, w ogóle nie mamy pojęcia, co jest na zewnątrz!

Nie posłuchawszy jego rady, Amber przesunęła drzwi okienne, wpuszczając do niedużego pokoju świeże powietrze.

– Nic nie widzę! – wykrzyknęła. – O! Tak! Zaczekajcie, to... to ocean!

Przebijający się przez chmury promień księżyca pozwalał dojrzeć ciemny, względnie płaski horyzont. Amber poczuła powiew wiatru we włosach.

Matt wciągnął ją do środka i zamknął okno.

– To niebezpieczne! – burknął. – Chcesz, żeby cię porwał jeden z tych stworów, które żyją na dole?

Amber pogderała trochę pro forma, nim spostrzegła ich plecaki. Wszystkie rzeczy z wyjątkiem broni zostały im zwrócone.

Chłopcy odstąpili łóżko Amber, następnie rozłożyli sobie koce w hamaku, aby uczynić go bardziej miękkim.

Rozsunąwszy zasłonę w kącie pokoju, Amber natrafiła na krzesło z dziurą służące jako sedes, żelazną miskę, nad nią zaś kran.

– Ależ oni sprytni! – powiedziała z podziwem.

– Chyba raczej podejrzani! – odparował Tobias, odwracając się do niej plecami. – Są zieloni! Ich włosy, oczy, a nawet usta mają nienaturalnie zielony kolor!

Jednocześnie uwagę Tobiasa przykuła jedna ze szklanych latarek. Miękka substancja w jej wnętrzu dawała srebrzyste światło, nie wydzielając ciepła.

– Wygląda jak galaretko – stwierdził.

Matt obserwował drzwi, wsparłszy ręce na biodrach.

– Zamknęli na klucz – obwieścił. – Jesteśmy pasażerami pod nadzorem. A gdybyśmy tak spróbowali się po cichu wymknąć w nocy, tak jak na Wyspie Carmichaela?

– Jeżeli zawiedziesz ich zaufanie już pierwszego dnia, jak mają nas później zaakceptować? – sprzeciwiła się Amber. – Nie, prześpij się, a jutro dowiemy się o nich czegoś więcej.

Matt nie podzielał entuzjazmu przyjaciółki, nie upierał się jednak. Skorzystał z kąpki, żeby się umyć; chociaż w kranie było raczej słabe ciśnienie, czysta woda dobrze mu zrobiła. Wskoczył do hamaka w spodenkach i podkoszulku.

Tobias poszedł w jego ślady, Amber natomiast spędziła za zasłoną więcej czasu. Kiedy się stamtąd wynurzyła z zamiarem położenia się do łóżka, kazała im odwrócić głowy, a wtedy Tobias zauważył, że nie „zgasili” lamp na miękką substancję. Szukał sposobu na pozbycie się światła – wyłącznika, jakiegoś produktu, schowka – ale nic nie znalazł. Z braku laku odważył się dotknąć dziwacznej materii, wyjął ją z klosza i wsadził do małej walizki.

– Blee, to obrzydliwe! Bardzo lepkie i zimne!

Kiedy powtórzył całą operację z drugą lampą, wreszcie mógł się położyć z powrotem.

Przez okno zaglądały promienie księżyca, wydobywając z mroku zmęczone twarze trójki przyjaciół. Na zewnątrz, kilka metrów niżej, statek otaczało czarne i osobliwie ciche morze.

– I pomyśleć, że płyniemy na wysokości kilometra – zachwyciła się Amber.

– Myślisz, że to oni go zbudowali? – zapytał Tobias. – Ten statek wygląda na naprawdę duży

– W każdym razie nie mogę się doczekać, żeby go zwiedzić i poznać ten lud. Mamy sobie nawzajem tyle do powiedzenia!

– Wydajesz się naprawdę radosna, a przypominam ci, że jesteśmy zamknięci!

– Oni się zabezpieczają, to normalne.

Matt włączył się do rozmowy:

– Jutro, przyjaciele, jutro się przekonamy, czy oni są naszymi sprzymierzeńcami czy wrogami.

Długo jeszcze rozprawiali, aż w końcu silne kołysanie statku sprawiło, że powieki Amber i Tobiasa się zamknęły.

Natomiast Matt leżał w ciemności, wpatrując się ciągle w sufit. Myślał o Kudłatej.

Smutek długo nie pozwolił mu zasnąć.

Słońce i przestrzeń

Światła słonecznego stale przybywało, stawało się ono coraz bardziej oślepiające.

Tego ranka w pokoju skąpanym w złotych promieniach, po wielu dniach spędzonych w mroku, Przymierzu Trojga bardzo trudno było otworzyć oczy. Zdołali wstać dopiero po półgodzinie.

Śniadanie przyniesiono im o wiele później, do Matta więc dotarło, że obudzili się za wcześnie.

Na tacy znajdowało się coś przypominającego owoce, chociaż nigdy wcześniej nic podobnego nie widział, oraz pękaty dzbanuszek jakiejś białej cieczy, którą uznał za mleczko kokosowe. Delektowali się każdym kęsem świeżego słodkiego posiłku.

Po pewnym czasie ktoś po nich przyszedł i zaprowadził na główny pokład. Posuwając się wąskimi korytarzami pełnymi schodów, przez luk wydostali się na otwartą przestrzeń u stóp wysokiego masztu opasanego linami.

Trójce wędrowców zapało dech.

Płynęli na pokładzie olbrzymiego żaglowca. Cztery maszty, do których przytwierdzono po kilka wielkich kul z brązowej skóry, unosiły cały statek niczym kosz latającego balonu. Matt naliczył od sześciu do dziesięciu balonów na każdym maszcie, na widok zaś chłopca, który krążył po małym trapie na wysokości, sprawdzając wiązania napiętych lin, zakreśliło mu się w głowie.

Jeszcze wyżej, na wierzchołku grotmasztu, zainstalowano bocianie gniazdo. Dostatecznie obszerne, by pomieścić kilka osób.

Matt dostrzegł jakieś uwijające się tam postacie, które ciągnęły za konopne liny w kierunku czegoś, co z początku wziął za chmury.

Statek napędzały ogromne żagle niczym latawce, daleko na niebie wydymające się na wietrze, przyczepione do relingu nieskończenie długimi linami.

Zamroczone rozmachem dzieła Matt stopniowo odzyskiwał zmysły, ciągle nie mogąc

wyść z podziwu dla geniuszu Piotrusiów.

Główny pokład miał piętnaście metrów szerokości; kasztele na dziobie i rufie wznosiły się niczym dwupiętrowe budowle. I właśnie na ich poziomie ze dwadzieścia osób zajmowało się w najlepsze szorowaniem pokładu, zawiązywaniem lub rozwiązywaniem węzłów albo wspinaniem się po masztach wzdłuż lin odciągowych oplatających okręt jak pajęcza sieć.

W świetle dnia ich włosy miały jeszcze jaskrawszy kolor, spojrzenia były jeszcze bardziej przenikliwe, Matt zauważył też, że ich paznokcie nie są brązowe, jak mu się wydawało poprzedniego wieczoru przy oświetleniu na niższych poziomach, ale tak samo zielonkawe. Niektórzy mieli blade usta, inni ciemne, lecz zawsze zielone. Chłopiec uznał, że widocznie po ataku Burzy rozwinęli się w samym sercu tego zielonego lasu, wchłaniając część tworzących go soków.

– Ejże! Ruchy! – krzyknął jeden z ich strażników.

Poszli za swym przewodnikiem aż do schodów kasztelu na rufie i wspięli się na dach, gdzie czekały trzy kapitanki w otoczeniu kilku członków załogi. Pośrodku królował otwarty na wiatry duży mostek wraz ze stołem i inkrustowaną busolą z boku.

– To wy zbudowaliście ten okręt? – zapytała Amber.

– Tak. Skończyliśmy zaledwie miesiąc temu. Poświęciliśmy mu całe nasze zapasy i energię – odparła najstarsza kapitanka. – Mam na imię Orlandia.

– Clemantis – powiedziała druga, występując naprzód.

– Faellis – dodała trzecia.

Przedstawiwszy swoich przyjaciół, Amber zadała kolejne pytanie:

– Jak tego dokonaliście? Przecież to tytaniczna praca, która wymaga konkretnej wiedzy!

– Nie jesteśmy tacy jak wy – wyjaśniła Orlandia, której oczy lśniły niczym klejnoty. – Posiadamy specjalne zdolności.

Amber i Matt zerknęli na siebie.

– Niby jakie? – chciał wiedzieć ten ostatni.

– Szybko myślimy, niektórzy z nas są w stanie zapamiętać całą książkę, tylko ją kartkując, inni wytwarzają małe błyskawice, jak na przykład ci wojownicy, którzy was uratowali, jeszcze inni są silniejsi od byka, poza tym wokół Gniazda mamy materiałów pod dostatkiem. Mimo to budowa Statku Matki zajęła nam pięć miesięcy.

Amber posłała Mattowi kolejne spojrzenie.

Orlandia miała na myśli przeobrażenie. Tutaj także odczuwali jego skutki. Najwyraźniej jednak mieli nad nim pełną kontrolę, tak jakby opanowali jego możliwości o

wiele wcześniej niż Piotrusie ze stałego lądu.

– Wow! – zawołał Tobias.

Wszyscy odwrócili się w jego kierunku. Stał oparty o reling i podziwiał widok.

Bezkres ciemnozielonego morza. Zagłębienia i fale zdawały się zastygłe w bezruchu, ledwie drżały pod wpływem wiatru.

Płynęli ponad wierzchołkami drzew.

– W ogóle nie znacie Suchego Morza? – upewniła się Clemantis.

– Nie, przyglądamy mu się po raz pierwszy – przyznała Amber.

– To wierzchołek lasu głębokiego na ponad kilometr. Liście są tak gęste, że czasami można się prześliznąć po powierzchni. Kiedy urządzamy wyprawy w głębiny, musimy używać obciążenia, żeby zanurkować.

– Właśnie wczoraj to robiliście, kiedyście nam pomogli?

– Zgadza się. W ładowni-hangarze Statku Matki znajduje się właz, przez który spuszcza się kulę z plecionych drewnianych listewek. Jest zawieszona na linie, za którą się ją podnosi. Nasi rolnicy wchodzi do kuli i zjeżdżają jak się da najniżej.

– Rolnicy?

– No przecież w głębinach Suchego Morza jest sporo jadalnych korzeni, roślin leczniczych i substancji o właściwościach użytkowych.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła Amber bardzo podekscytowana.

– Opowiedzcie nam o krainie, z której przybyliście.

– Tak naprawdę to nie jest kraina, tylko cały kraj! To znaczy to, co z niego zostało.

– A więc Suche Morze wszystkiego nie zalało?

– Nie, chyba nawet mogę zapewnić, że stanowi jedynie część kraju.

– Czy ci, którzy przeżyli na dole, to sama młodzież? Nie ma dorosłych? – wtrącił jakiś chłopiec z tyłu.

– Eee... owszem, są dorośli – przyznała Amber, której zrzęda mina.

Wdała się w szczegółowe wyjaśnienia na temat tego, czym się stało życie wśród Piotrusiów, Żarłoków i Cyników, następnie opowiedziała im własną historię, a także o Wyspie Carmichaela i wytłumaczyła, że wyruszyli na poszukiwanie na południe, aby odkryć, co knują Cynicy.

Amber mówiła ponad godzinę bez przerwy.

– Jak to się dzieje, że wszyscy dorośli są agresywni? – zdziwiła się Faellis. – Próbowaliście z nimi porozmawiać, zawrzeć pokój?

– Nie ma sposobu – zapewnił Tobias. – Teraz to są dzikie bestie. A jedyne, czego

chcą, to nas uwięzić i wywieźć na olbrzymich wozach ciągnionych przez niedźwiedzie.

– Celem naszej wyprawy jest dowiedzieć się, co robią z porwanymi Piotrusiami – powtórzyła Amber – w jaki sposób się zorganizowali i kto jest ich królową.

„A także zrozumieć, dlaczego ta królowa chce mnie dopaść za wszelką cenę – pomyślał Matt. – Nie wspominając o Rauperodzie!”

– Piotruś to ładne imię – zauważyła Clemantis. – My się nazywamy Ludem Gai.

– Gai? – powtórzył Tobias. – Co to znaczy?

– Pierwotnie Gaja to była bogini grecka. To symbol wszechpotężnej Ziemi, jej dusza. Właśnie ona rozpętała Burzę, żeby ukarać ludzi za ich występki. Nas oszczędziła, przekształcając tak, żebyśmy pozostali z nią w większej harmonii, żebyśmy ją bardziej szanowali. Przedtem wszyscy byliśmy...

– Clemantis! – ucieła Orlandia.

Matt dostrzegł rosnące zakłopotanie obydwu kapitanek. Faellis mówiła dalej:

– Wystarczy na nas popatrzeć: chlorofil opanował nasze komórki, teraz jesteśmy bliżsi natury, wyczuwamy różne rzeczy, na przykład drzenie drzewa, wiatr śpiewa nam piosenki, kiedy tylko przystaniemy, żeby posłuchać. Nasze życie przewróciło się do góry nogami.

Matt zadał pytanie, które od dobrej chwili paliło mu usta:

– Wczoraj wzięliście nas za członków pewnego plemienia. O co chodzi?

– O inne dzieci, o Piotrusiów, jak je nazywacie. Przeżyły Burzę, ale nie są takie jak my; są podobne do was, nie otrzymały błogosławieństwa Gai. Są rozsiane po całym Suchym Morzu, tworzą małe plemiona, które usiłują nas złupić.

– Czy to znaczy, że są waszymi wrogami? – zapytała z ubolewaniem Amber.

– Tak, zazdroszczą nam wszystkiego, czego dokonaliśmy od czasu Burzy.

Matt przyjrzał się stojącym naprzeciw przedstawicielom Ludu Gai. Co takiego zmieniło ich wszystkich równocześnie, i to w taki sposób? Dlaczego inni Piotrusie ze Ślepego Lasu nie ulegli takiej metamorfozie?

– Czy wiecie, co wywołało waszą... tę przemianę, tę wrażliwość na chlorofil? – zapytał.

– To sprawka Gai, jej wybór.

– Na pewno istnieje bardziej rozsądne wytłumaczenie, nie uważacie?

Wtem jakiś chłopiec postąpił krok naprzód i szybkim gestem wy dobył długi pręt przypominający floret, którego koniec pokrywała różowa substancja podobna do wyżutej gumy.

Czubek przeciął powietrze i zatrzymał się tuż przed nosem Matta.

– Trochę szacunku dla Matki Gai! – zawołał chłopiec przepelniony pogardliwą wyniosłością.

Matt cofnął się; incydent ten położył kres rozmowie. Posadzono Przymierze Trojga na ławce z tyłu, we wnęce, z której mogli podziwiać krajobraz.

Przejaśniło się, pod białym firmamentem utrzymały się tylko nieliczne obłoki. Załoga krzątała się, sprawdzając balony, wykrzykując rozkazy z lin odciągowych, co pewien czas zaś jedna z kapitanek schodziła z mostka, aby się przyjrzeć manewrom. Matt zauważył wcześniej rury zakończone różkami, do których mówili oficerowie. Był to system komunikacji między głównym pokładem a położonym czterdzieści metrów wyżej bocianim gniazdem. Trzy kapitanki były jedynymi dziewczynami na statku. Do Matta dotarło, że najstarsi nastolatki z drewnianymi floretami u pasa dbają o bezpieczeństwo, najwątlejsi służą jako oficerowie i można ich rozpoznać po hełmach w kształcie przepołowionej skorupy gigantycznego orzecha, cała reszta zaś pełni wachtę.

– Są bardzo drażliwi w kwestii swojego pochodzenia – zauważył Tobias.

– Oni coś ukrywają – stwierdziła Amber. – Kiedy Clemantis o mało się z czymś przed nami nie wygadała, widzieliście, jak Orlandia postawiła ją do pionu?

– Nie podoba mi się to – przyznał Matt. – Dlaczego Piotrusie, którzy mieszkają na Suchym Morzu, zamierzają im wypowiedzieć wojnę? To nie ma żadnego sensu, wszyscy powinni sobie nawzajem pomagać. To podejrzane.

– Jesteśmy pierwszymi lądowymi Piotrusiami, jakich spotkali – doszedł do wniosku Tobias. – Jesteśmy odkrywcami! A to nam daje prawo do nadania im takiej nazwy, jaką chcemy. Lud Gai brzmi beznadziejnie, proponuję ich nazwać ChloroPiotrusiofilami przez duże C i duże P bo są wyjątkowi!

Matt parsknął śmiechem.

– Skoro tak chcesz – rzekł.

Gdy nagle odezwała się syrena, Matt ujrzał, jak jeden z chłopców z ochrony dmie ze wszystkich sił w róg.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Tobias.

Z niższych pokładów wyskoczyło kilku ChloroPiotrusiofilów w białych chitynowych zbrojach z mrówczych pancerzy, trzymających przed sobą łuki, podczas gdy pozostali wyciągnęli z dziobowego kasztelu cztery potężne kusze na kołach i ustawili je przy prawej burcie.

Przymierze Trojga przywarło do relingu, aby swobodnie śledzić cały manewr.

Matt podążył wzrokiem za lasem rąk, które wskazywały horyzont.

W odległości mniejszej niż sto metrów pod listowiem pulsowało czerwone światło.
Mrugało niczym kogut na policyjnym samochodzie.

Widząc Orlandię, Matt zapytał:

– Co się dzieje?

– Czerwone Requiem!

– A czy to niebezpieczne?

Orlandia odwróciła głowę i zatopiła wzrok w jego oczach. Była przerażona.

– Na całym Suchym Morzu nie ma nic gorszego.

Wygnanie

Tobias drżał.

– To jakiś potężny potwór, mam rację?

Orlandia z trudem przełknęła ślinę, dzieląc swą uwagę pomiędzy zbliżające się ku nim światło a własną załogę i Przymierze Trojga.

– To rodzaj gigantycznej ośmiornicy, która się posuwa, owijając macki kolejno wokół gałęzi – wyjaśniła. – Pulsowanie oznacza stopień poruszenia: im jest intensywniejsze, tym bardziej ona chce walczyć. Jeśli się zbliży na mniej niż pięćdziesiąt metrów, nie będziemy mieli wyboru.

– A trudno zabić to diabelstwo? – zapytał Tobias.

– Jeżeli rozpocznie się walka, jedyne, co możemy zrobić, to zyskać na czasie, zanim nas zniszczy albo się zmęczy. Nie można jej zabić, jest o wiele za silna.

Częstotliwość pulsowania światła rosła.

– Nałożyć kuszolitry! – wrzasnął ktoś.

Matt spostrzegł, że do każdej kuszy ładują długą wydrażoną strzałę, którą napelniają kilkoma litrami gęstej brunatnej cieczy, a następnie zamykają jej ruchomą część.

– To niesamowicie silna trucizna, którą pozyskujemy z pewnego gatunku drzew – wyjaśniła Orlandia, podążając za wzrokiem Matta.

Chłopak podziękował jej skinieniem głowy. Pomimo okoliczności ku swojemu zdumieniu po raz pierwszy stwierdził, że jest ładna.

Potężne mruganie nabrało szalonego tempa.

Znajdowało się niecałe sześćdziesiąt metrów od nich i stale się zbliżało.

Cała załoga zastygła z zaciśniętymi pięściami albo trzymając się kurczowo relingu. Nikt się nie ruszał, wszystkie oczy wpatrzone były z lękiem w horyzont.

Nagle Czerwone Requiem przestało mrugać. Znajdowało się teraz w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt metrów; szkarłatne światło docierające spod listowia zgasło, by

rozbłysnąć z jeszcze większą siłą. Dowódca żołnierzy ChloroPiotrusiofilów podniósł dłoń w kierunku kuszolitrow i dał obsłudze znak, aby zaczekała.

Poruszyło się kilka drzew; Mattowi wydało się, że widzi wśród gałęzi gąbczaste cielsko, Czerwone Requiem zniknęło jednak w głębinie, wznosząc chmurę liści i gałązek, które poszybowały aż na główny pokład. Unoszący się kilka metrów nad wierzchołkami drzew Statek Matka ani drgnął, chociaż pod spodem hektary lasu skrzypiały, falując niczym rozwścieczone morze.

W jednej chwili znów zapadła cisza.

Przez okręt przeszło zbiorowe westchnienie ulgi.

Tobias gwizdnął przeciągle, po czym oświadczył:

– Muszę przyznać, że miałem cykora!

– Ten stwór to najgorsze, co może nas tu spotkać – powiedziała Orlandia. – Módlcie się, żeby się nigdy więcej nie nadziać na żadnego z nich, bo wielu naszych zginęło w ich łapskach.

Co rzekłszy, z ponurą miną wróciła na mostek.

Przed południem statek zaczął płynąć szybciej, Matt zaś dostrzegł kolejne ożywienie na pokładzie. Zrozumiał je, kiedy ujrzał skałę, ku której się kierowali.

W miarę jak się zbliżali, usłyszał kilka razy słowo „gniazdo” wypowiedziane przez radosnych teraz marynarzy.

Ponad powierzchnią wystawało pięć ogromnych pni połączonych kładkami z desek i napiętych lin, tworzących sieć ulic i tarasów.

Matt zauważył też coś w rodzaju nabrzeża, wielki pomost rozciągający się nad Suchym Morzem.

Rozpoczęto podejście do brzegu, jakichś czterdziestu ChloroPiotrusiofilów doskoczyło do masztów, gdy większość żagli opadła, pozostało zaledwie kilka kwadratów płótna unoszących się na niebie. Matt był zaskoczony zręcznością załogi zawieszanej tak wysoko. Zwinięto olbrzymie białe żagle na najwyższych rejach. Statek Matka zwolnił.

Gniazdo okazało się o wiele większe, niż Matt początkowo przypuszczał. Dęby przewyższały grotmaszt, a to nie było byle co. I choć istniała skomplikowana sieć kładek zawieszonych pomiędzy drzewami, Matt dostrzegł także podłogę, która otaczała każdy dąb, łącząc je wszystkie szerokimi pomostami wspartymi gdzieś pod zielonym listowiem. W cieniu, u stóp dębów, skupiały się drewniane budowle. Matt zauważył również kilka prostopadłościanów, które mogły być domami mieszkalnymi ukrytymi wśród liści.

Poza Gniazdem falowała masa zieleni, której nie mógł wyraźnie zobaczyć. Przy jego

zachodniej krawędzi przycumowane były trzy okręty, bez porównania mniejsze od Statku Matki, raczej skromne łajby. Z balonów spuszczone powietrze, toteż spoczywały bezpośrednio na powierzchni liści, zagłębiając się w nie na dobre dwa metry.

Na keję wyległ tłum, aby podziwiać manewr dobijania do nabrzeża; Przymierze Trojga przez ponad godzinę mogło się bacznie przyglądać twarzom i sylwetkom.

Wszyscy nosili piętno chlorofilu, wszyscy mieli jaskrawe czupryny i świdrujący wzrok.

– Jest ich niesamowicie dużo! – stwierdził ze zdumieniem Tobias.

– Na moje oko... co najmniej pięciuset – obliczył Matt.

– Co najmniej!

Gdy statek przybił do nabrzeża, Orlandia rozkazała „odciąć Dmuchaczowi pożywienie”. Na te słowa usadowiona na masztach załoga zaatakowała rzędy balonów; ciągnąc za liny, marynarze wypuścili z nich gorące powietrze.

W kilka minut Statek Matka obniżył się o parę metrów, zanurzając się do połowy kadłuba w gęstych liściach.

Tymczasem na kei grupa ChloroPiotrusiofilów przywiozła drewniany trap i zamocowała go na głównym pokładzie przez otwór w nadburciu, które właśnie zdemontowano.

Załoga zbiegła po kładce, by wśród entuzjastycznych okrzyków paść w ramiona towarzyszy.

Clemantis, zwracając się do Przymierza Trojga, rzekła:

– Chodźcie ze mną, przedstawię was.

Radosny zgiełk ucichł w jednej chwili na dźwięk rogu, który zabrzmiał pod centralnym dębem.

Tobias wpadł w panikę, sądząc, że to wróciło Czerwone Requiem, szybko jednak pojął, że to coś zupełnie innego.

Wszyscy ChloroPiotrusiofile spokojnie stali wyprostowani. Rozsunęli się, robiąc przejście pośrodku nabrzeża.

Z półmroku spod masywnego drzewa wyłoniła się niepewnie jakaś postać. Dwóch żołnierzy w chitynowych zbrojach popychało ją grotami włóczni. Chłopak pod przymusem ruszył nabrzeżem, Matt zaś wyczuł w jego zachowaniu strach.

Czego się bał? Przecież bez wątplenia był ChloroPiotrusiofilem, o czym świadczyły zielone włosy.

Matta zaniepokoiła złowroga cisza, jaka nagle zapadła nad miastem i nad statkiem.

Wszyscy wpatrywali się w nieszczęśnika bez słowa.

Matt pochylił się ku Clemantis i zapytał:

– Co się dzieje?

– Najwyraźniej to wygnanie.

– Jednego z waszych?

– Tak, poznaję go, ma na imię Paleos.

– Co się z nim stanie, jeżeli go wygnacie?

– Zostanie wypędzony z Gniazda bez nadziei na powrót. Musi się zanurzyć w otchłań Suchego Morza.

– Ale przecież... on umrze!

– Z całą pewnością. To najcięższa kara, jaka w ogóle istnieje. Żeby być skazanym na wygnanie, trzeba popełnić zbrodnię albo dopuścić się poważnej zdrady. Rada Kobiet prawie nigdy nie orzeka tej kary, ponieważ to najgorsze, co się może przytrafić. Nie mam pojęcia, co mógł zrobić Paleos, że zasłużył na taki los.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku biednemu chłopcu, który szedł, potykając się na drżących nogach. Tłum rozstępował się, w miarę jak się zbliżał, tak jakby każdy unikał kontaktu z nim.

Na skraju kei Paleos obejrzał się na Gniazdo i jego mieszkańców. Był to wysoki, umięśniony i przystojny chłopak, chociaż wyraźnie strach opanował każdą cząsteczkę jego ciała.

– Dobrze... wiecie, że wszystkich nas to spotka – powiedział.

– Rada Kobiet wydała wyrok, który jest ostateczny! – odparł jeden z żołnierzy. – A teraz odejść.

Drugi strażnik w zbroi podał Paleosowi worek i długi nóż, ten zaś wziął je, po czym postawił stopę na pierwszym stopniu schodków kończących nabrzeże.

Wyprostowany zaczął się zagłębiać w prześwit między liśćmi.

– Nie jestem zbrodniarzem! – wybuchnął.

I zniknął w gęstwinie Suchego Morza.

Zejściu na ląd towarzyszyła przytłaczająca konsternacja. Początkowe śmiechy i poklepywania po plecach ustąpiły miejsca westchnieniom i spuszczeniu wzroku.

Trzy kapitaniki wysiadły wśród ostatnich, za nimi zaś Przymierze Trojga i mała eskorta. Na ich widok wszyscy ChloroPiotrusiofile się cofnęli, wymieniając wylężnione spojrzenia.

– Zostaniecie doprowadzeni przed oblicze Rady Kobiet, która postanowi o waszym

losie – wyjaśniła Orlandia.

– Waszą wspólnotą dowodzą dziewczyny? – zapytała Amber.

– Tak. Jesteśmy mądrzejsze i mniej impulsywne niż chłopcy. Oni pełnią funkcję naszych doradców, potrafią analizować sytuację, ale to my podejmujemy decyzje.

– A chłopcy się na to godzą?

– Dzięki temu są wolni od wszelkiej presji, uczestniczą we wszystkim, nie musząc wybierać, nikt się nie uskarża.

U stóp wielkiego dębu jęli się wspinać po ścieżce z desek, która wiła się wokół niego niczym ślimak, wznosząc się łagodnie.

Po drodze Tobias wśliznął się między Amber i Matta, po czym szepnął:

– Co zrobimy, jeśli nas tu nie zechcą?

– Trzeba ich przekonać, żeby nam pomogli – odrzekła Amber. – Sami widzieliście, że Ślepy Las jest zbyt duży i zbyt niebezpieczny, aby można mieć nadzieję na pokonanie go bez pomocy. Jeśli odeślą nas na dół, będziemy...

– Martwi? – dokończył Tobias, któremu szczerłość Amber raczej nie dodała otuchy. – Po głębszym zastanowieniu już wolę, kiedy mnie okłamujesz!

– Jeżeli odmówią nam wsparcia – odezwał się Matt – niech zwrócą broń i dadzą trochę zapasów, a poradzimy sobie.

Amber chwyciła go za ramię, mówiąc:

– Nie upieraj się, Matt, w końcu Ślepy Las nas pokona. Widziałeś, jaki jest ogromny? Rozciąga się na wszystkie strony, wielki jak ocean. Nigdy nie wyjdziemy stąd żywi, jeśli będziemy się posuwać dołem!

Przerażony Tobias zgodził się z nią.

– Ona ma rację! Trzeba ich przekonać za wszelką cenę, tylko to nam pozostało.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – ciągnęła Amber – ale czuję, że nadajemy na tych samych falach. Oczywiście czasem są... dziwni, mimo to ufam im. Trzeba zrobić wszystko, żeby nam pomogli. Potrzebujemy odpoczynku, jedzenia i środka transportu na południowy kraniec tego Suchego Morza. Matt, obiecaj, że nie będziesz im się sprzeciwiał.

– Nie czuję ich. Oni coś ukrywają.

– Bo są inni i tyle.

Przemierzywszy ponad dwadzieścia metrów, dotarli do długiej platformy zajętej częściowo przez dom, który porastał zielony mech. Wewnątrz na ścianach wisiały drewniane spodki zawierające po kawałku miękkiej substancji, która rzucała białe światło na ławki i brązowe dywany. Clemantis skinęła na członków Przymierza Trojga, by usiedli i zaczęli,

tymczasem Faellis i Orlandia wymknęły się przez dwuskrzydłowe drzwi.

Korzystając z chwili swobody, Amber zapytała Clemantis z niewinną miną:

– Dziś rano odniosłam wrażenie, że chciałaś nam coś powiedzieć, nie myłę się?

– To nic takiego.

– Więc czemu to przed nami ukrywasz?

Clemantis posłała jej spłoszone spojrzenie, następnie wpatrzyła się czujnie w szerokie drzwi.

– Nie wolno mi poruszać tego tematu. Jesteście obcy.

– Czy to nie jest dobra okazja, żeby się zaprzyjaźnić?

Clemantis, którą ta uwaga najwyraźniej wzruszyła, popatrzyła na Amber uważnie.

W tej samej chwili powróciła Orlandia, wołając:

– Rada zaraz nas przyjmie. Przygotujcie się!

Kiedy obaj jej towarzysze wstawali, Amber szepnęła do ucha Clemantis:

– Czy powinniśmy się ich obawiać?

Po krótkim wahaniu Clemantis odparła takim samym konspiracyjnym tonem:

– One nie są tak do końca przyjazne. Jeśli uznają, że możecie nam zagrozić choćby w najmniejszym stopniu, wygnają was bez namysłu. Mówcie szczerze. A przede wszystkim niech twoi przyjaciele nie okazują nawet cienia agresji!

Cała grupa wkroczyła do łukowato sklepionej sali, której jedną ze ścian stanowiła kora samego dębu. W głąb drzewa prowadził szeroki na trzy metry otwór, a w bieli, warstwie drzewnej tuż pod korą, wycięto schody, które oświetlone lampami na miękką substancję prowadziły w górę.

Mały orszak ruszył pod przewodnictwem Orlandii, by stanąć przed obliczem Rady Kobiet.

Rada pod gwiazdami

Amber, Matta i Tobiasa umieszczono w okrągłym pokoiku, do którego przyniesiono im jedzenie. Wszyscy troje pokonali tyle stopni schodów, że czuli się, jakby dotarli na wierzchołek drzewa. Paliły ich uda i łydki.

– Czy nie powinniśmy się spotkać z Radą? – zdziwiła się Amber.

– Owszem, ale przedtem musicie nabrać sił – wyjaśniła Clemantis – żebyście nie byli zmęczeni.

– Zmęczeni? – powtórzył Matt. – A co to ma być za rada? Jakaś walka czy jak?

Pytanie to rozbawiło Clemantis.

– Nie – odrzekła z uśmiechem. – Żeby Rada mogła podjąć najlepszą decyzję, jej członkinie będą potrzebowały jak najwięcej szczegółów, które będziecie im musieli podać dziś po południu.

– A kiedy się zobaczymy z członkiniami Rady? – chciał wiedzieć Tobias.

– Wieczorem. Rada zbiera się tylko po zmroku.

Zjedli wspólnie gorący posiłek: białe mięso podobne do kurczaka i purée z ziemniaków, które pachniało wilgotną ziemią. Następnie Clemantis i Orlandia pożegnały ich, ustępując miejsca dwunastce chłopców w różnym wieku. Najmłodszy nie mógł mieć więcej jak osiem lat, najstarszy zaś szesnaście. Kiedy usiedli za stołem naprzeciwko Przymierza Trojga, najstarszy wypalił:

– Faellis przedstawiła nam okoliczności, w jakich się spotkaliście, i wszystko, co mówiliście o waszym świecie.

– To nasz wspólny świat – wtrącił Matt. – Ślepy L... przepraszam, Suche Morze jest jego częścią!

Chłopak, któremu to wyjaśnienie najwyraźniej nie przypadło do gustu, długo mierzył Matta wzrokiem, nim dodał:

– Liczy się tylko to, że teraz znajdujecie się tutaj, w Gnieździe, i że obowiązują tu

ściśle zasady. Będziemy więc musieli rozważyć, czy jesteście mile widziani, czy stanowicie potencjalne zagrożenie.

Tym razem żaden z członków Przymierza Trojga nie ośmielił się mu przerwać, chociaż zżerało ich pragnienie, by zapewnić, że nikomu nie zagrażają w najmniejszym nawet stopniu.

– Odbudowaliśmy się dzięki Drzewu Życia – ciągnął chłopak. – Będziecie się musieli postarać je uszanować, podobnie jak nasze wierzenia.

Amber skinęła głową na znak zgody, Tobias i Matt natychmiast zrobili to samo.

– Świetnie, mam na imię Torshan. Na początek wpuscimy wam to do żył. Chodźcie.

Torshan i jego towarzysze wstali i poprowadzili trójkę przybyszów wąskim korytarzem wydrążonym w bieli drzewa. Po zejściu kilku stopni w dół zatrzymali się w czymś w rodzaju białej jaskini, pośrodku której wznosił się drewniany filar. Z głębokiego nacięcia, które wyglądało na naturalne, sączył się gęsty bursztynowy płyn.

– Oto sok Drzewa Życia – oświadczył Torshan, nabierając cieczy do kubka. – Musicie wypić jego krew.

– Co to... co to z nami zrobi? – zapytał Tobias.

– Wypicie krwi Drzewa Życia jest równoznaczne ze wstąpieniem do naszego plemienia. Jeżeli po tym nas okłamiacie, będzie to bezsprzecznie oznaczało, że jesteście wrogami. Nikt nie ma prawa kłamać, kiedy w jego ciele płynie krew naszego świętego drzewa.

Podał kubek Tobiasowi, który chwycił go po krótkim wahaniu. Szukał wzrokiem wsparcia u Amber i Matta, którzy zachęcili go gestem. Upił łyk i podsunął naczynie Amber. Sok miał gorzki smak, był kleisty, trudny do przełknięcia. Kiedy oboje poszli w ślady Tobiasa, Torshan zawołał z ulgą:

– Jesteście dziećmi Drzewa Życia, przynajmniej na jakiś czas. Chodźmy, rozpocznijmy spotkanie.

* * *

Na Przymierze Trojga spadła lawina pytań. Przez długie godziny wszyscy troje odpowiadali na każde po kolei: Skąd dokładnie pochodzą? Co robili w głębinach Suchego Morza? W jaki sposób się poznali? Co wiedzą na temat innych plemion? Przesłuchanie trwało bez końca, każda odpowiedź rodziła bowiem następne pytanie. Chociaż chłopcy przeprowadzali je uprzejmie i z szacunkiem, Matt zauważył między nimi pewien dystans; ich uśmiechy i przyjazny ton były jedynie przejawem grzeczności.

Na wspomnienie Kudłatej i jej zniknięcia ścisnęło mu się serce. Strasznie tęsknił za psem.

Mimo że Torshan zostawił innym ogromną swobodę w wyborze pytań, to on przewodniczył obradom. Wkrótce było jasne, że każdy kieruje się własnymi obawami; najmłodszy wykazywał się mniejszą subtelnością, ale nie czuł najłżejszego nawet zakłopotania, podczas gdy Torshan postępował z o wiele większym sprytem, wyciągając informacje niepostrzeżenie.

Kiedy Matt miał opowiedzieć, czym było to coś, co ich zaatakowało tuż przed ocaleniem, zawahał się. W pierwszym odruchu zamierzał to przemilczeć, zachować istnienie Rauperodena dla siebie. Miał jednak świadomość, że nie wolno mu kłamać. Jeśli go przyłapią, natychmiast wygnają całą trójkę, nie dając im drugiej szansy.

„Skąd będą wiedzieli, że kłamię?”

Ciągle się wahał.

– No więc? – zniecierpliwiał się ChloroPiotrusiofil siedzący naprzeciw niego. – Czy wiecie, co was zaatakowało i z jakiego powodu?

– Szczudlarze – rzucił Matt ku ogromnemu zdziwieniu Tobiasa.

Amber posłała mu porozumiewawcze spojrzenie, Mattowi zaś wydawało się przez moment, że dostrzega w nim dumę.

– Bardziej znani jako zwiadowcy – dodał. – Stanowią armię bardzo potężnej i bardzo niebezpiecznej istoty: Rauperodena.

– W życiu nie słyszałem o podobnej bestii, może my nazywamy ją inaczej. Opisz nam go.

– To nie ma sensu, mogę was zapewnić, że nigdy go nie widzieliście. Przybywa z północy i... poluje na mnie.

– Dlaczego akurat na ciebie?

– Nie mam pojęcia. Po prostu czuję to i tyle. Zupełnie jakby mój instynkt dostrzegał całe zło, jakie w nim jest, pragnienie niszczenia, i jestem pewien, że w żadnym razie nie mogę wpaść mu w ręce. Ratując nas wczoraj i zabierając na Statek Matkę, bardzo mnie od niego oddaliliście; teraz tak prędko mnie nie znajdzie, dziękuję wam za to.

Torshan przyglądał mu się przez chwilę, dopóki Matt nie zaczął mówić dalej. Opowiedział o tym, co najważniejsze: dlaczego idą na południe – żeby uciec przed Rauperodinem, ale także żeby się dowiedzieć czegoś więcej na temat Cyników i uprowadzanych Piotrusiów oraz żeby zrozumieć, co list gończy z jego portretem robił w rzeczach pewnego żołnierza.

– Wygląda na to, że jesteś kimś bardzo cennym, Matcie Carterze – zauważył Torshan.

– Nie będę was okłamywał: moja obecność tutaj może wam przysporzyć kłopotów na długi czas. Moi przyjaciele i ja nie chcemy tu zostać, tylko odpo...

Torshan przerwał mu, unosząc przed siebie otwartą dłoń:

– Wyrazicie swoje życzenia, gdy nadejdzie pora. Nie dbamy o to, czego chcecie, ale o to, kim jesteście.

Pytania ciągnęły się aż do wieczora, kiedy to całą trójkę dopadło zmęczenie i przeraźliwy ból głowy.

Wtedy chłopcy zostawili ich samych, zapewniając im posiłek i jakże wyczekiwany odpoczynek, podczas którego Przymierze Trojga zastanawiało się w milczeniu nad wszystkim, co się wydarzyło od poprzedniego dnia.

Posłano po nich po długim czasie. Matt przypuszczał wręcz, że jest późna noc; właśnie drzemał, gdy Torshan wszedł do pokoju, by ich zabrać.

Poprowadzono ich ku kolejnym schodom, którymi wspięli się na okrągły dziedziniec pod gwiazdami.

Miękka substancja w sześciu czarkach rozsiewała srebrzysty blask. Nie było tam żadnych drzwi, tylko wysoki na trzy metry kolisty mur.

Nagle Matta ogarnął niepokój, wrażenie, że trafił na środek areny, jak w starożytnym Rzymie, i czeka, aż wypuszczą wygłodniałe lwy.

Wtem rozległ się kobiecy głos z wysoka, ze szczytu muru, tak jakby był tam balkon. Matt na próżno usiłował przebić wzrokiem ciemności, dostrzegł tylko ostatnie gałęzie dębu tuż pod niebem. Głos ginął wśród liści.

– Stoicie przed Radą Kobiet.

Drugi głos, tuż obok pierwszego, dodał:

– Wysłuchałyśmy relacji naszych doradców na temat waszych odpowiedzi.

– Nadeszła pora decyzji – obwieścił trzeci głos, o wiele młodszy.

– W świetle tego, co nam przedstawiono – oznajmił pierwszy – uważamy, że mamy obowiązek udzielić wam gościny. Drzewo Życia, które nie jest naszą własnością, pomogło nam. Każde istnienie, które pragnie się pod nim schronić, powinno móc to uczynić, o ile jego intencje są czyste, bez żadnych ukrytych myśli. Jesteście tu zatem u siebie, podobnie jak my.

– Torshan zostaje wyznaczony, aby ułatwić wam rozgoszczenie się, ustali również, w jaki sposób będziecie się mogli przysłużyć wspólnocie zależnie od swoich umiejętności.

Amber podniosła rękę jak w szkole.

– Słuchamy cię – rzekła jedna z dziewczyn.

– Powinnyście wiedzieć, że nie prosimy o gościnę... Tak naprawdę wcale nie chcemy zostać, tylko odpocząć wśród was, zanim ruszymy dalej. I właśnie dlatego pragniemy waszej pomocy.

– Nikt nie opuszcza Gniazda, jeśli nie musi.

– Ale jak wam zapewne przekazano, jesteśmy w trakcie czegoś w rodzaju misji. I nie możemy tu zostać zbyt długo, nie narażając was.

– Istota, która was ściga, nie zdoła się wydostać z otchłani w pojedynkę. Bądźcie spokojni, nawet jeśli przetrwa mimo czyhających na dole zagrożeń, tutaj nie natrafi na wasz trop.

Matt się skrzywił, wcale bowiem nie podzielał tego optymizmu. To tylko kwestia czasu, dni, tygodni, może nawet miesięcy, ale Rauperodenowi uda się znów nawiązać kontakt, a co za tym idzie, zlokalizować Matta i szperać w jego myślach.

– Musimy kontynuować podróż. Być może gra toczy się o przetrwanie naszego ludu, Piotrusiów – powiedział dobitnie, aby dobrze go usłyszano.

Nad areną zaległa cisza.

– Jedyne, o co prosimy – ciągnął Matt – to pomoc w dotarciu do południowego brzegu Suchego Morza.

– To długa podróż! – przeraził się czwarty głos.

– Rzeczywiście – przytaknął pierwszy. – Bardzo długa podróż, zważywszy na czas, jaki zajmie podjęcie decyzji, jakkolwiek ona będzie. Sprawiacie wrażenie uzdolnionych, nasz dobrobyt zależy od takich osób jak wy. Pozostanie w Gnieździe oznacza włączenie się do naszego projektu przyszłości. Wszyscy jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

– Moja siostra mówi prawdę. A wy, wędrowcy, nie spieszcie się, pomieszkajcie tutaj i zastanówcie się nad swoimi poszukiwaniami. Za pięć nocy wróćcie, aby nas powiadomić, czy chcecie zostać, czy też iść dalej. W tym drugim wypadku będziecie musieli nas przekonać, bo nie zaryzykujemy życia, żeby was zaprowadzić daleko stąd bez rzeczywiście dobrego powodu.

– Właśnie: bez doskonałego powodu! Inaczej zostanieie tutaj dla własnego, ale i dla naszego bezpieczeństwa.

Kiedy Rada Kobiet opuszczała miejsce zebrania, do ich uszu dobiegł szelest materiału.

Matt popatrzył na przyjaciół.

Spoglądali na niego z takim samym niepokojem.

Wszyscy troje zadawali sobie pytania. Miejsce to zaczynało przypominać wygodną piękną klatkę.

Tak czy inaczej więzienie.

Wizyta z przewodnikiem

Nazajutrz rano Matta obudziło ciche pukanie do drzwi. Miał teraz najwygodniejsze łóżko od początku nowego życia, tego po Burzy. Poprzedniego wieczoru zasnął jak kamień i nic mu się nie śniło.

Światło dnia przenikało przez grube zasłony udające aksamit. Matt miał cały pokój tylko dla siebie, podobnie jak Tobias i Amber. Pomysł ten spodobał się dziewczynie, chłopcy natomiast upatrywali w nim sposobu, żeby ich rozdzielić, osłabić.

Matt wstał nie do końca rozbudzony i otworzył drzwi Torshanowi, który objaśnił mu, dokąd powinien się udać, żeby zjeść śniadanie.

Spotkali się wszyscy czworo na tarasie na wysokości jakichś dwudziestu metrów. Pomimo listowia mogli podziwiać widok na keje, ogromne hangary i liczne sznurowe kładki pomiędzy pięcioma dębami Gniazda. W górze na wielu kolejnych tarasach wznosiły się okrągłe lub prostokątne domki. Życie w Gnieździe toczyło się już na całego: wciągano na bloczkach beczki i skrzynie, transportowano długie deski na nabrzeże, na plac budowy, Matt spostrzegł nawet grupę, która wsiadała właśnie na Statek Matkę, aby dokonać inspekcji.

– Ile was jest? – zapytał Torshana.

– Sześćset dwanaścioro. Przepraszam, sześćset jedenaścioro.

– To aluzja do wygnania Paleosa, prawda?

Zaskoczony Torshan zmierzył chłopaka od stóp do głów.

– Zgadza się.

– Co takiego zrobił?

Torshan odpowiedział dopiero po chwili zakłopotany:

– Popęłnił podły czyn. To znaczy... no wiesz, z dziewczyną...

– Spał z dziewczyną? – rzekł dobitnie osłupiały i zarazem pełen podziwu Tobias.

– To kategorycznie zabronione! – rzucił Torshan, który zdążył się już opanować.

– W takim razie dziewczynę też wygnano? – zmartwił się Tobias.

– Nie, ponieważ przyznała się do przestępstwa i wyjawiała, że dała się namówić Paleosowi, bo się w nim zakochała. Rada jej wybaczyła i dała drugą szansę.

– Dlaczego to zabronione? – wtrąciła się Amber. – Przecież to... naturalne, a wy utrzymujecie, że jesteście bliscy życia, natury!

– Skoro Drzewo Życia postanowiło ocalić tylko nas i w ten sposób wyróżnić, nie stało się tak przez przypadek – odparł Torshan z cieniem agresji w głosie. – Nie ma już dorosłych, a raczej zgodnie z tym, co twierdzicie, są źli. Tu rządzi Drzewo Życia; gdyby chciało narodzin kolejnych dzieci, ocaliłoby też dorosłych! Jesteśmy dziećmi lub nastolatkami i musimy nimi pozostać!

– I myślisz, że unikając wszelkich kontaktów seksualnych, będziecie wiecznie młodzi? – parsknęła śmiechem Amber.

– Przypomnijcie sobie wczorajszą obietnicę! – zdenerwował się Torshan. – Musicie uszanować nasze wierzenia!

Amber już miała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język, więc tylko pokręciła głową, sadowiąc się wygodnie na wyplatany bambusowy krześle.

Matt i Tobias wpatrywali się w nią jednocześnie ze zdumieniem i podziwem. Nie dość, że potrafiła się przeciwstawić, to jeszcze poruszyła temat tabu, nie czując ani odrobiny wstydu.

Śniadanie dobiegło końca w kłopotliwym milczeniu. Torshan pokazał im, gdzie mają umyć swoje naczynia, następnie wyjaśnił, że woda zasilająca Gniazdo pochodzi ze zbiorników na wierzchołkach drzew, do których wpada deszczówka – wystarczy odkręcić kran, a różnica w poziomach wytwarza odpowiednie ciśnienie. Podobnie rzecz się ma ze Statkiem Matką, którego cały bok zajmują zbiorniki w kształcie kul.

– W jaki sposób zdobyliście krany, okna i wszystko, co się bierze z dawnego życia? – chciała wiedzieć Amber.

Torshan posłał jej świdrujące spojrzenie.

– Urządzając ekspedycje w głąbiny. Ciągle istnieją ruiny dawnego świata.

– Często tam schodzicie?

– Czasami. Te wyprawy są tak niebezpieczne, że staramy się ich unikać.

– A czy rzeczywiście da się pływać po tym całym Suchym Morzu? – odezwał się Tobias.

Torshan skinął potakująco głową.

– Liście na powierzchni rosną tak gęsto, że mogą utrzymać nas, a nawet nasze statki! Tylko trzeba uważać na czarne dziury.

– Czarne dziury? Co to takiego?

– Bardziej lub mniej rozległe strefy, gdzie liście są rozproszone. Jeśli spróbujecie popływać po Suchym Morzu, przekonacie się, że to możliwe, nieprzyjemne, ale możliwe, z kolei jeśli natkniecie się znienacka na czarną dziurę, zabraknie liści, które by was utrzymały, i wtedy spadniecie.

– Na sam dół? – wystraszył się Tobias.

– To się zdarza.

– To dlatego wasze statki są wyposażone w balony – zauważył Matt. – Żeby się unosić nad powierzchnią, żeby uniknąć ryzyka wpadnięcia w czarną dziurę.

– No właśnie.

Tymczasem Amber podchwyciła:

– W jaki sposób napełnicie balony gorącym powietrzem?

– Z pomocą Dmuchaczy To wielkie pomrowiki, niektóre naprawdę olbrzymie. Jedząc, wytwarzają bardzo dużo ciepła, a ponieważ pożerają liście, nietrudno je wyżywić. Wystarczy ich nałapać do ładowni, pozamykać w żelaznych skrzyniach połączonych z balonami za pośrednictwem rur i gotowe!

Tobias gwizdnął z podziwu.

– A jak zbudowaliście to miejsce, Gniazdo? – zapytał.

– Rozumiem, że chcecie się wszystkiego dowiedzieć. Chodźcie, na początek sobie pozwiedzamy.

Torshan poprowadził ich od kładek do tarasów, od schodków wydrążonych w pniach do ramp przymocowanych na zewnątrz, na korze drzew. Wszędzie, gdzie się pojawiali, ChloroPiotrusiofile przerywali pracę, aby przyjrzeć się uważnie trójce przybyszów.

– To dlatego, że zazwyczaj normalni ludzie, tacy jak wy, są wrogami – wyjaśnił Torshan. – Nigdy nie mogą tu swobodnie spacerować. Wy jesteście pierwsi.

– Dlaczego toczycie ze sobą wojnę?

– Jesteśmy pomysłowi, zaradni i jak sami widzicie, zbudowaliśmy sobie wygodne miasto. Chcą je nam odebrać.

– Moglibyście sobie nawzajem pomagać!

– Oni są inni, nie uznają wiary w Drzewo Życia, bo ich nie przekształciło. Czują się upokorzeni. A szczerze mówiąc, skoro Drzewo Życia ich nie wybrało, to znaczy, że nie są tego godni.

– W takim razie dla was my troje jesteśmy istotami niższego rzędu, zgadza się?

Torshan na widok narastającego gniewu Amber wykazał się mądrością, przybierając

bardziej pokorny i przyjacielski ton:

– Przybywacie z dołu, u was jest inaczej. Tutaj obowiązują nasze zasady, nasz styl działania, to zupełnie inny świat.

Nie pozwoliwszy Amber mówić dalej, pociągnął ich w innym kierunku, aby im pokazać warsztaty tkackie: tutaj wszelkie włókna roślinne nadające się do wykorzystania przekształcano albo w motki, albo w tkaniny do wyrobu ubrań, dywanów, pościeli, zasłon, lin, żagli i wszystkiego, co się mogło przydać w codziennym życiu. Następnie Przymierze Trojga zostało poprowadzone na tyły Gniazda, gdzie rósł bambusowy las.

– Tak było już wtedy, kiedyśmy się tutaj osiedlili; to rodzaj gigantycznego korzenia wyrównującego powierzchnię, na której rosną wszystkie rośliny. Na wschodnim brzegu są nasze ogrody, pochodzi stamtąd większość owoców, które jecie, zbieramy też z gałęzi bulwy, które smakują jak ziemniaki.

– A co jest w tamtym bambusowym lesie, na końcu tej drogi? – zapytał Matt.

– Dowiecie się dziś wieczorem. Chodźmy dalej, zostało jeszcze sporo do zwiedzenia.

Torshan pokazał im keje; okręty służyły czasem do wypraw badawczych, głównie jednak do zdobywania pożywienia: całe zużywane przez nich mięso pochodziło z równie koniecznych, co niebezpiecznych polowań. Po drodze Amber zapytała go o ich osobliwe imiona, on zaś wyjaśnił, że po Burzy każdy wybrał sobie nowe. Kiedy chciała się dowiedzieć więcej o tym okresie, zaczął się wykręcać i zmienił temat, popychając ich w stronę trudnej do pokonania sznurowej drabiny, aby dotrzeć do punktu obserwacyjnego, z którego rozciągała się rozległa panorama.

– Stąd ostrzegamy przed wszelkim niebezpieczeństwem! – zawołał. – Przed atakiem wroga albo wygłodniałym stworem. Na drzewach Gniazda jest rozsianych kilka posterunków.

Strażnik przywitał ich z taką samą nieufnością jak cała reszta ChloroPiotrusiofilów.

Następnie przeszli przez kuchnię wyposażoną w wykute w kamieniu wielkie piece na drewno, przez salę treningową, w której ćwiczyli się wojownicy w chitynowych pancerzach, i na koniec przez bibliotekę.

Ta ostatnia została wydrążona w podstawie głównego dębu; miała trzydzieści metrów średnicy, w drzewie wywiercono otwory, aby wpuścić światło słoneczne. Wzdłuż ścian ciągnęły się wielobarwne rzędy. Tysiące książek. Pośrodku stało pięć olbrzymich stołów otoczonych ławkami, na których mogło siedzieć blisko dwieście osób. Panowała tam niemal nabożna cisza. Czwórka przybyszów krążyła, szepcząc, by nie rozpraszać bez mała setki czytelników.

Mijając jeden ze stołów, Tobias wskazał na umieszczone co trzy metry czarki, w

których świeciła łagodnie miękka substancja.

– Jak działa to ustrojstwo? Próbowałem je niedawno zgasić, ale bez powodzenia!

– Wydobywamy ją z głębin; reaguje na wibracje. Zaczyna świecić, kiedy ktoś idzie korytarzem albo mówi. Jeśli pozostaniesz nieruchomo i nie będziesz się odzywał, po paru minutach przestanie wchodzić w rezonans i zgaśnie.

– Super! To genialne!

Amber pochyliła się ku Torshanowi, aby nie musieć podnosić głosu, i powiedziała:

– Widzę, że oni wszyscy szybko czytają. Czy to też część zmian, które się w was dokonały?

– Tak. Niektórzy potrafią szybko czytać, a przede wszystkim wszystko zapamiętują! To dzięki nim mogliśmy się tutaj wykazać tak wielką pomysłowością i zbudować Statek Matkę.

– Skąd ta nazwa? – zapytał Matt.

– Ponieważ dzięki temu okrętowi możemy wypływać dalej, próbować nurkować głębiej i dłużej i zapewnić sobie pożywienie oraz materiały niezbędne do przetrwania. On będzie matką naszego rodzaju.

Nagle uwagę Tobiasa przykuły ciężkie drzwi z dużym drewnianym zamkiem pośrodku. Powyżej wyrzeźbiona była czaszka.

– Co to takiego?

– Nic – odparł czym prędzej Torshan, popychając ich w przeciwnym kierunku. – Zapomnijcie o tym miejscu.

Gdy na zewnątrz zabrzmiał dźwięk rogu, wszyscy ChloroPiotrusiofile podnieśli głowy i zebrali swoje rzeczy.

– To pora posiłku – uprzedził ich przewodnik. – Każdy udaje się do kuchni po swoją rację żywności, a potem możecie sobie iść, gdzie wam się żywnie spodoba, żeby dzielić tę chwilę, z kim chcecie. Zostawiam was, żebyście sobie wszystko przemyśleli. W razie czego będę przy dużym hangarze na nabrzeżu. Wszyscy zostali powiadomieni, że tu zamieszkaliście, uzbrójcie się w cierpliwość, trochę potrwa, zanim ich spojrzenia staną się bardziej przyjazne, musicie zrozumieć, że tutaj wasza odmienność budzi strach. Zastanówcie się nad rolą, jaką chcielibyście odegrać, żeby się w pełni zrealizować w naszej wspólnocie. Widzimy się wieczorem!

Torshan odprowadził ich do kuchni, gdzie podano im gorący posiłek w drewnianych miskach, po czym Przymierze Trojga poszło odpocząć na zawieszanej kilka metrów wyżej platformie.

- Nie ma obawy, że skończę w tej bibliotece – skwitowała Amber.
- A co ze mną? – poskarżył się Tobias. – Skoro ty jesteś mózgiem naszej grupy, a Matt zbrojnym ramieniem, dzięki czemu załapie się do wojowników Gniazda, co zrobią ze mną? Dadzą mnie do kuchni?
- Nie przejmuj się, nikogo nigdzie nie dadzą na tej... wyspie – odrzekł Matt.
- Zauważcie, że wcale nie twierdzę, że to miejsce jest nieprzyjemne – wyjaśnił Tobias.
- Oni mają wszystko, tu jest cholernie ładnie i pewnie na dłuższą metę moglibyśmy się zakumplować. Jeśli się dobrze zastanowić, to by mógł być nawet mały raj dla naszej trójki. Wątpię, żeby Rauperoden dał radę cię tutaj znaleźć, a tym bardziej Cynicy!
- Nie wolno tracić czujności – przypomniała Amber. – Nie wyruszyliśmy na południe wyłącznie dla Matta, ale także po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tej całej królowej i jej machinacjach!
- Tobias wybałuszył oczy, mówiąc:
- Przypominam ci, że na początku miałaś nas tylko kawałek odprowadzić, nic więcej, sama tak powiedziałaś!
- To był tylko pretekst, żeby się z wami zabrać, Toby, tylko pretekst – odparła Amber, przewracając pobłażliwie oczami.
- Tak czy inaczej mamy pięć dni na przekonanie Rady Kobiet, żeby nas zawieźli na brzeg Suchego Morza – podsumował Matt. – Po tym czasie będziemy musieli nie tylko poradzić sobie sami, ale z pewnością uciec stąd.
- A niby jak zamierzasz się do tego zabrać? – zapytał Tobias.
- Jeszcze nie wiem. Byłem wobec nich maksymalnie uczciwy, wszystko im o nas powiedziałem, ale wcale mi się nie wydaje, żeby w zamian oni byli równie szczerzy.
- W tym się z tobą zgadzam! Oni coś ukrywają.
- Matt, nie powiedziałeś wszystkiego – sprostowała Amber. – Ani razu nie wspomniałeś o przeobrażeniu.
- Przypuścimy, że zachowałem trochę dla siebie, na wypadek gdyby...
- Więc co robimy, żeby ich przekonać?
- To kwestia polityki – stwierdził Matt. – A w tego typu sporach im więcej wiesz o przeciwniku, tym lepiej. Trzeba poznać ich sekrety, odkryć, czego nie chcą nam pokazać albo wyjawić.
- A gdybyśmy tak im zaufali? – podsunęła Amber. – To prawda, że są trochę tajemniczy, to znaczy można to zrozumieć, potrzebują czasu, żeby nas zaakceptować! Nie jestem pewna, czy robienie czegoś za ich plecami to najlepszy sposób, żeby zdobyć ich

szacunek.

– Matt ma rację – sprzeciwił się Tobias. – Nie możemy sobie pozwolić na czekanie z założonymi rękami. – Wypinając pierś, zwrócił się do przyjaciela: – No to jak się do tego weźmiemy?

– Torshan powiedział, żebyśmy zapomnieli o tamtych drzwiach w bibliotece; moim zdaniem właśnie od nich powinniśmy zacząć. Mamy pięć dni, żeby znaleźć sposób, jak tam wejść.

Oczy chłopców wpatrywały się w Amber.

– O nie! – odparła kategorycznie. – Już widzę, jak obaj tam idziecie! Mowy nie ma!

– Twoje zdolności intelektualne zapewniają ci wstęp do biblioteki – nie dawał za wygraną Matt.

– To bardzo zły pomysł!

– Amber, to ważne. Jeżeli za pięć dni nie pozwolą nam odejść, znajdziemy się w kropce, oni zaczną nas pilnować, żebyśmy się chyłkiem nie wymknęli albo nie zrobili jakiegoś głupstwa. Trzeba działać teraz!

Dziewczyna głośno westchnęła z rezygnacją.

Matt wyciągnął przed siebie dłoń. Tobias położył na niej swoją, po chwili wahania przyłączyła się do nich także Amber i wspólnie wykrzyknęli:

– Przymierze Trojga!

Rodzina tajemnica

Po południu Amber poszła powiedzieć Torshanowi, że dokonała wyboru. Pragnie pracować w bibliotece, wykorzystać swój umysł dla dobra wspólnoty.

Jednocześnie Matt i Tobias przemierzali Gniazdo w poszukiwaniu planu. Postanowili, że Matt dołączy do grupy wojowników, aby nauczyć się metod obrony i zasad bezpieczeństwa ChloroPiotrusiofilów, za to Tobias ciągle nie potrafił się zdecydować.

– Naucz się pływać jednym z tych statków – zaproponował Matt. – Nigdy nie wiadomo.

– Myślisz, że bym potrafił?

– Dlaczego nie?

– To się rzadko zdarza, ale czasem mam wrażenie, że...

– Co takiego?

– No wiesz, przy was obojgu czuję się trochę jak wioskowy głupek.

Matt chwycił przyjaciela za ramiona.

– Nie mów tak, Toby, Amber jest mocna w rozumowaniu, to prawda, ja mam teraz sporą siłę, ale ty jesteś naszym spoiwem. Posiadasz wszystkiego po trochu. Musisz się po prostu nauczyć godzić analizowanie z działaniem, a wtedy wierz mi, staniesz się najzdolniejszy z całej trójki!

Tobias uśmiechnął się z zażenowaniem.

– To miłe...

– Jazda, chodź, mamy tylko pięć dni, żeby się dowiedzieć, kim naprawdę są ci ludzie i jak ich przekonać, by nam pomogli.

Matt pochwalił się określonymi umiejętnościami bojowymi, Tobias zaś oświadczył, że ma dobrą orientację i że ciekawi go, jak funkcjonują żaglowce. Przedstawivszy się nowym kolegom, resztę popołudnia spędzili na obserwowaniu i słuchaniu, żeby nazajutrz być gotowi do działania.

Wieczorem spotkali się z Amber przy kolacji, ledwie jednak rozpoczęli rozmowę, do ich mieszkania wszedł Torshan.

– Dziś w nocy zapraszam was na ceremonię Drzewa – oznajmił. – Sami się przekonacie, trzeba to przeżyć, żeby uwierzyć. Tymczasem jedźmy!

Nad Suchym Morzem prędko zapadł zmrok, toteż wśród dębów Gniazda wszędzie rozblęły dziesiątki srebrzystych świateł.

Po posiłku Torshan wręczył każdemu upleciony z długich liści ciemnobrązowy płaszcz z kapturem i poprowadził ich na zewnątrz, ku nabrzeżu.

Wszyscy ChloroPiotrusiofile poschodzili z drzew i udali się w tym samym kierunku: do bambusowego lasu.

Wraz z zachodem słońca pojawiła się chłodna bryza, Amber otuliła się więc płaszczem i nałożyła kaptur. Czuała się bezpiecznie w tym kokonie.

Bambusy ocierały się o siebie na wietrze, wydając rytmiczną litanię głuchych dźwięków towarzyszących szelestowi liści.

Wypełnione miękką substancją lampy oświetlały korową drogę aż do polany, gdzie w drzewie wydrążono amfiteatr. Na samym dole, pośrodku, obracała się powoli nad ziemią świetlista kula o średnicy trzech metrów, przypominająca planetę.

– O mój Boże! – zawołała Amber. – Co to jest?

– Dusza Drzewa Życia – wyjaśnił Torshan.

Wszyscy ChloroPiotrusiofile zajęli miejsca w amfiteatrze, który wkrótce się zapełnił, po czym rozpoczęła się ceremonia.

Do świetlistej kuli podszedł długowłosy chłopiec i wyciągnął ku niej dłoń.

Torshan przysunął się do Przymierza Trojga i szepnął:

– Za każdym razem kto inny dostępuje zaszczytu, żeby odnowić porozumienie. Zaraz obudzi duszę, żeby do nas przemówiła. Patrzcie!

W miarę jak dłoń chłopca zbliżała się do kuli, jej obroty nabierały coraz większego przyspieszenia, jednocześnie dał się słyszeć cichy krystaliczny gwizd. Wtem palce chłopca musnęły światło, a wtedy wiatr znad bambusowego lasu omiół ławki amfiteatru, poruszając włosami na głowach, przyklejając ubrania do ciał i zmuszając widzów, by chwycili się jeden drugiego, jeśli nie chcieli zgiąć się wpół.

Zaczęło grzmieć, po czym natychmiast błyskawice oświetliły czarne chmury. Gdzieś z otchłani nocy dobiegł grzmot.

I zupełnie jakby burza przemieściła się w mgnieniu oka, wokół bambusowego lasu spadł deszcz błyskawic.

Amber aż podskoczyła, Tobias trzymał się blisko niej.

Znienacka świetlista kula znieruchomiała, a wyciągnięte ramię chłopca, którego dłoń zniknęła w jaskrawym blasku, otoczyły kłęby pary. Pod rękę wśliznęły mu się arabeski dymu, wydostały się pod kołnierzem, dotknęły jego twarzy; wkrótce chłopiec stał się jedynie ulotnym kształtem, w którym pulsowało białe światło.

Amber poczuła na przedramionach łaskotanie i jakiś ciężar napierający na jej lewy bok. Skulony Tobias całkiem się w nią wtulił.

Wtedy z kuli wydobyła się z przenikliwym gwizdem fala światła, kiedy zaś otarła się o Przymierze Trojga, Amber doznała wrażenia, że przeszył ją na wskroś prąd. Z trudem rozróżniała coś, co przypominało mruganie niebiesko-czerwonego światła pośrodku kuli, a potem wewnątrz muru z mgły nastąpił zielony wybuch. Jej nozdrza owionął zapach lasu po obfitym deszczu.

Woń próchnicy, pachnących ziół, mięty i bazylii, odgadła Amber, a także silniejszy zapach: gorącego soku.

Wtem dziewczynie się wydało, że kula do niej mówi, że snuje opowieść utkaną ze zmysłów, kolorów, zapachów, drgań. Niestety, owo porozumienie trwało tak krótko, że Amber nie zdążyła się przyjrzeć natłokowi emocji.

Poczuła błogość, od której zakręciło się jej lekko w głowie.

Otoczająca chłopca chmura została wessana przez kulę, która znów jęła się obracać, podczas gdy gdzieś w oddali rozlegały się grzmoty cichnącej burzy.

Wszyscy mrugali powiekami, patrząc niewidzącym wzrokiem. Jedni wpadali w ekstazę, inni zachowywali się bardziej powściągliwie, wszyscy jednak odczuli wprawiającą w euforię moc świetlistej kuli.

– Och, można dostać od tego cykora! – wyrwało się Tobiasowi. – Widzieliście, jak to wnika w człowieka? Myślałem, że wejdzie mi do mózgu! To było jednocześnie straszne i fantastyczne!

– To dusza Drzewa Życia – oświadczył z dumą Torshan. – Kto dostąpi zaszczytu dotknięcia go, może zobaczyć życie, przeszłość, przyszłość ściśle ze sobą powiązane. My, widzowie, czujemy jedynie falę uderzeniową, która jest skutkiem tej podróży.

– To musi być upajające doświadczenie – zauważył Matt.

– To najbardziej nieprawdopodobne uczucie, jakie znam – wyznał Torshan.

Amber przysunęła się do chłopców, mówiąc:

– Odniosłam wrażenie, że ta... jak ją nazywacie, „dusza” jest żywa i że mnie sonduje.

– Ja też! – odparł natychmiast Tobias.

– Ona jest żywa! – przytaknął z zapalem Torshan. – To dusza naszego drzewa. Kiedyśmy tu przybyli i odkryli ją, od razu się dowiedzieliśmy, że ona na nas czeka, że to będzie nasze Gniazdo.

– W jaki sposób wylądowaliście tutaj? – chciała wiedzieć Amber. – Skąd się wzięło tyle młodzieży i dzieci?

Torshan, najwyraźniej zakłopotany, wzruszył ramionami.

– Wszyscy byliśmy związani, a przed Burzą odgrywaliśmy rolę tych słabych. Burza wszystko zmieniła, potasowała karty na nowo i teraz jesteśmy Ludem Gai, dumnym i potężnym!

– Nie rozumiem, byliście wszyscy razem, zanim nasz świat się zawalił?

Torshan machnął ręką, mówiąc:

– To stare dzieje, bardziej liczy się teraźniejszość.

Amber natychmiast odparowała:

– Zrozumienie, kim jesteśmy i skąd przychodzimy, ułatwia nam obranie właściwej drogi.

– W takim razie potraktuj naszą historię jak rodzinną tajemnicę, której nie mamy ochoty wyjawiać.

Co powiedziawszy, Torshan obrócił się na pięcie i ruszył w stronę tłumu, który właśnie opuszczał amfiteatr pośród szmeru rozmów.

Członkowie Przymierza Trojga zaczęli czekać, aż arena opustoszeje, i dopiero wtedy podnieśli się z miejsc.

– Bardzo bym chciała spróbować – oznajmiła Amber, wpatrując się w kulę, która obracała się wolno wokół własnej osi.

– Nie teraz – ostrzegł Matt, obserwując górne trybuny. – Śledzą nas.

Faellis, kapitanica o pyzatyach policzkach, bacznie im się przyglądała, wprawdzie ze sporej odległości, za to w towarzystwie czterech żołnierzy w chitynowych zbrojach.

– Może jeśli poprosisz, zgodzą się, żebyś ty była następna – rzekł pełen ufności Tobias.

– Nie ma co się rozmarzać, jesteśmy obcy – przypomniał Matt.

* * *

– Czy zauważyliście, jak każda wzmianka o przeszłości wprawia Torshana w zakłopotanie? – zapytała konspiracyjnym tonem Amber. – Trudno mi uwierzyć, że wszyscy się znali przed Burzą.

– Drzwi w bibliotece – zawyrokował Matt. – Kiedy go o nie zapytaliśmy, też miał zmieszana minę. Jeżeli ukrywają jakąś tajemnicę, to właśnie za tymi drzwiami. Chodźmy do łóżek, zaczekajmy, aż wszyscy zasną, wtedy będziemy mogli tam zajrzeć.

– To zbyt niebezpieczne! – sprzeciwiła się Amber. – Nic nie wiemy o tym miejscu, o panujących tam zagrożeniach. Dajcie mi popracować w bibliotece chociaż dzień czy dwa, trochę poobserwować i powęszyć. Potem ruszymy do akcji.

Matt niechętnie się zgodził.

– Chodźcie – powiedziała Amber, rzucając szybkie spojrzenie na Faellis i jej gwardię przyboczną. – Nie budźmy podejrzeń, pora wracać.

Kiedy cała trójka ruszyła ku drodze przez bambusowy las, Faellis i jej ludzie podążyli za nimi, trzymając się w sporej odległości, zbierając jednocześnie lampy na miękką substancję.

Gdy znaleźli się z powrotem w Gnieździe, Faellis obejrzała się na las, który znów pograżył się w ciemnościach. Podniosła do ust gwizdek i dmuchnęła.

Rozległ się dziwny głuchy odgłos i natychmiast cały bambusowy las zaczął drżeć. Liście poruszały się z ogromną szybkością.

Amber mogłaby jednak przysiąc, że wcale nie było wiatru.

Nie ma czasu do stracenia

Matt trzymał gardę z floretem wysuniętym przed siebie, gotów smagnąć przeciwnika.

W wielkiej sali treningowej unosił się zapach drewna sandałowego. Wszystkie oczy zwrócone były na chłopców, którzy zaraz mieli stoczyć pojedynek.

Chcąc go wypróbować, dowódca wojowników kazał Mattowi walczyć z dwoma dość zwinnymi nastolatkami, których Matt łatwo i szybko pokonał. Obaj stosowali tę samą taktykę: użyć siły, zadać jeden zdecydowany cios blisko rękojeści floretu, aby go odsunąć, a następnie skorzystać z zaskoczenia, runąć na przeciwnika i dotknąć go drewnianym ostrzem. Tylko że Matt nie dał się podejść. Brutalne uderzenie w broń wcale go nie wzruszyło; trzymał gardę jeszcze mocniej. Strategia obróciła się wręcz przeciwko obu chłopcom, którzy nadziali się na niego siłą rozpędu.

Po Burzy Matt zdecydowanie nie był już taki sam. Prawdę mówiąc, nie poznawał się. Jego osobowość uległa metamorfozie: stał się zuchwały, energiczny i gotów się przystosować do stresujących sytuacji, podczas gdy dawniej jedynie o tym marzył, jednocześnie bojąc się szkolnych mięśniaków. Pamiętał pierwsze dni po Burzy: strach, płacz, ucieczkę z Nowego Jorku, przemoc. Wszystko to tak bardzo się różniło od gier fabularnych, które wtedy tak uwielbiał. Często zastanawiał się nad źródłem owej przemiany: czy Burza tylko ujawniła te jego cechy, czy też całkowicie go odmieniła?

Teraz Matt musiał się wykazać inteligencją. Nie mógł nadal podążać tą drogą, nie budząc podejrzeń co do swej nadnaturalnej siły, a zarazem wcale nie miał ochoty przegrać walki. Wiedział, że zwyciężając, zyskałby częściowy szacunek zgromadzonych. Gdyby wzbudził podziw i lęk, szybciej by go zaakceptowali, a przynajmniej łatwiej by udzielili informacji i wsparcia.

Stojący naprzeciw szermierz o imieniu Butrax wykręcił młynka, wywijając floretem w powietrzu i pracując nogami; Matt nie miał pewności, czy tamten chce na nim zrobić wrażenie, czy natrzeć nań w odpowiedniej chwili. Niezbyt dobrze widział z powodu hełmu,

który musiał nosić na głowie, czegoś w rodzaju olbrzymiej łupiny orzecha otwartej z jednej strony i z wywierconymi otworami na oczy.

Wtem Butrax zrobił wypad i natarł na przeciwnika z wyprostowanym ramieniem, usiłując go trafić; ostrze floretu śmignęło tuż przed torsem Matta, który w ostatniej chwili wykonał błyskawiczny ruch biodrami, unikając ciosu, a kiedy szykował się do riposty, poczuł, jak czyjaś wielka dłoń chwyta go za dolną część hełmu i odpycha do tyłu.

Matt zachwiał się i chciał odzyskać równowagę, ale natychmiast zaczepił o coś stopą i przewrócił się na plecy. Butrax nie przestrzegał żadnych reguł – właśnie podstawił mu nogę. Matt, który z powodu upadku stracił oddech, spodziewał się, że przeciwnik się cofnie i przeprosi, on jednak podniósł floret i z całej siły się zamachnął.

Matt przeokołkował kilka metrów dalej. Butrax ze świstem bombardował parkiet potężnymi ciosami, które o mało nie dosięgły Matta. Butrax stracił parę cennych sekund, poprawiając hełm, żeby celniej trafić. Matt wstał na jedno kolano, kiedy zaś odparował kolejny atak, oba drewniane ostrza zwały się z łoskotem aż do okrągłych jalców, które stuknęły o siebie. Już miał wstać, gdy Butrax rąbnął go z całej siły, aż mu zahuczało w głowie. Matt się zatoczył, nieprzyjacielski floret podniósł się w górę, obrócił i opadł ze świstem prosto na twarz Matta.

Chłopak bez namysłu wyciągnął przed siebie broń, trzymając mocno, by odparować cios. Floret Butraxa od razu się złamał pod wpływem uderzenia, Matta zaś roztrzaskał się na hełmie młokosa, rozbijając go na pół. To, co pozostało z klingi Matta, walnęło w czoło Butraxa, przecinając skórę i pozostawiając długą krwawiącą ranę.

Matt czym prędzej wypuścił broń, podbiegł do niego i przeprosił.

Dowódca wojowników odepchnął go.

– Dostał tylko to, na co zasłużył! – warknął. – Cofnij się! Słuchaj no, jesteś diabelnie silny! Jak ty to robisz?

– Ja... po prostu miałem stracha, to wszystko.

Dowódca posłał mu podejrzliwe spojrzenie i powoli pokiwał głową.

– Skoro tak twierdzisz... W każdym razie nie jesteś niezdara, brakuje ci tylko techniki, ale jesteś zwinny i masz dużą siłę. Chodź, nauczę cię pchnięć.

Dowódca chwycił ze stojaka drewniany floret i rzucił Mattowi.

– Gdzie nauczyłeś się bić? – zapytał chłopak.

– Wcześniej uprawiałem szermierkę.

– Wcześniej? To znaczy przed Burzą?

Dowódca wzruszył ramionami zakłopotany.

– Jazda, trzymaj gardę! – rozkazał.

Matt mierzył go przez parę sekund wzrokiem: wysoki, mniej więcej szesnastoletni chłopak o zielonych włosach i szmaragdowych oczach, które nie zdradzały żadnych emocji. Trudno było stwierdzić, czy należy oczekiwać pomocy z jego strony, czy też mieć się przed nim na baczności. Po czym przybrał pozycję. Matt znalazł Tobiasa przed kuchnią czekającego w kolejce po posiłek. Po chwili dołączyła do nich Amber i razem usiedli na końcu nabrzeża, w cieniu statku, który unosił się na wierzchołku drzewa.

– Mam wieści – oświadczyła od razu Amber. – Dotyczące tamtych drzwi w bibliotece. Nikt nie chce o nich mówić, to tabu, w dodatku nie dość, że kazali mi zmienić temat, to jeszcze zabronili się do nich zbliżać! Tylko jedna dziewczyna, ta najbardziej rozmowna, zgodziła się opowiedzieć coś więcej: właśnie tam ukrywają swój sekret!

– Jeszcze jeden powód, żeby tam pójść – stwierdził Matt.

– Jest pewien problem – ciągnęła Amber. – Najprawdopodobniej pilnuje ich ktoś w rodzaju strażnika.

– Jak to: ktoś w rodzaju? – wtrącił Tobias. – Co to za strażnik?

– Nie mam pojęcia, odpowiadała wymijająco, tylko że kiedy wymówiła słowo „strażnik”, wyraźnie widziałam na jej rękach gęsią skórę! Właśnie wtedy pomyślałam sobie o wczorajszym wieczorze. Kiedy opuściliśmy bambusowy las, Faellis przytknęła do ust gwizdek, a kiedy dmuchnęła, cały las się zmienił. Coś się zaczęło poruszać, jakby go strzegło! Moim zdaniem to ten sam rodzaj strażnika.

– Musimy zdobyć ten gwizdek – oświadczył Matt.

Tobias przewrócił oczami, zdecydowanie mniej zdeterminowany od przyjaciela.

– A jeśli on nie ma żadnego związku ze strażnikiem drzwi?

– Wątpię, żeby mieli ich kilku, to na pewno ta sama istota. Tak czy inaczej nie możemy dłużej czekać.

Amber przełknęła kęs mięsa, które przypominało na wpół ugotowanego tuńczyka, i podniosła do góry drewnianą łyżkę, mówiąc:

– Każde doświadczenie może czegoś nauczyć; musimy się jeszcze sporo dowiedzieć od ChloroPiotrusiofilów.

– Trzeba się jakoś zorganizować, żeby stąd uciec – oświadczył z naciskiem Matt, pochylając się do przodu. – Wieczorem zabierzemy gwizdek Faellis!

– W ten sposób nie sprawimy, że nas zaakceptują i pomogą nam! – sprzeciwiła się Amber.

– A kto powiedział, że się dowiedzą? Wślizniemy się do jej pokoju, pożyczymy sobie

gwizdek, a zanim się obudzi, odłożymy go niepostrzeżenie na miejsce.

Amber wcale nie ukrywała, że plan ten nie budzi jej entuzjazmu. Skończywszy jeść w milczeniu, pełna wątpliwości wróciła do biblioteki.

To nie był dobry plan.

* * *

Wieczorem zjedli kolację w towarzystwie Torshana, który zasypał ich pytaniami o pierwszy dzień jako niezależnych członków wspólnoty. Amber i Matt odpowiadali wymijająco, woląc się delektować gorącym posiłkiem, za to Tobias okazywał szczerą entuzjazm. Znał już na pamięć nazwy wszystkich masztów, różnych części okrętu, zaproponował nawet, że pokaże, jakie węzły nauczył się robić.

Torshan omiół z zadowoleniem cały krajobraz rozciągający się z ich tarasu.

– Prędko się przekonacie, że kiedy się już zamieszka w Gnieździe, nie ma żadnego powodu, by je opuszczać! – stwierdził.

– Tylko że to nie jest nasz dom – wyrwało się Amber.

Torshan popatrzył na nią z rezerwą.

– Czy na tej Ziemi istnieje jeszcze miejsce, które moglibyście nazwać domem? Nie wydaje mi się.

– Tam, gdzie są nasi przyjaciele.

– Czy w ogóle ich jeszcze macie?

– Co ty sobie myślisz? – oburzyła się Amber. – Że wszyscy Piotrusie, którzy nie są tacy jak wy, to dzikusy? Że jesteśmy pozbawieni dobroci i życzliwości? Świat jest duży, ci, co przeżyli, z każdym miesiącem coraz lepiej dają sobie radę. Zamknięci w swojej wieży z kości słoniowej nie macie bladego pojęcia, co się wokół was dzieje.

Jej tyrada zepsuła Torshanowi humor na resztę wieczoru, toteż zmył się jak niepyszny, zostawiając ich wreszcie samych.

Ledwie jego postać zniknęła na końcu kładki, Matt pochylił się nad stołem i rzekł z miną spiskowca:

– Trzeba zaczekać, aż wszyscy zasną. Chyba namierzyłem wszystkie posterunki: są zwrócone głównie na zewnątrz Gniazda. Powinniśmy się dostać do pokoju Faellis bez problemu.

– Nadal uważam, że to zły pomysł – zaprotestowała Amber. – Nie powinniśmy pędzić na oślep!

– Instynkt mi podpowiada, że należy się mieć przed nimi na baczności, oni coś

ukrywają! Gdyby byli tacy sprytni i otwarci, już by nam oddali broń. Nie będę czekał jeszcze jednej nocy.

Gdy więc minęła północ, jęli przemierzać schody i tarasy Gniazda, aby dotrzeć do mieszkania Faellis. Po południu Matt odwiedził wszystkie punkty kontrolne, chcąc się oswoić z tutejszym systemem ochrony, teraz zaś starannie je omijał. Kiedy tylko się zbliżali, miękka substancja rozbłyskiwała wewnątrz drzew pod wpływem drgań wywołanych przez ich kroki. Przystanęli przed okrągłymi drzwiami.

– Zdaje się, że to tutaj – oznajmił Matt. – Przynajmniej widziałem, jak tu wchodziła.

– Śledziłeś ją? – zdziwiła się Amber.

– Krótko, przed wieczorem.

– Lepiej mieć w tobie przyjaciela niż wroga – skwitowała dziewczyna, unosząc brwi.

Matt, któremu serce tłukło się w piersi, położył dłoń na klamce. Przekręcił i lekko pchnął.

Drzwi, które nie były zamknięte na klucz, obróciły się na zawiasach.

Matt wyciągnął szyję, omiatając pokój uważnym spojrzeniem. Światło z korytarza rzucało srebrzysty blask na duże biurko, prymitywną szafę i coś, co wyglądało na nogi łóżka.

Wszedł i zobaczył skuloną pod pościelą Faellis.

„Gwizdek, muszę znaleźć ten cholerny gwizdek!”

Wśliznął się za biurko, wypatrując reakcji Faellis. Nie ruszała się „Wysuwanie szuflad może narobić hałasu”, złorzeczył w duchu. Za jego plecami do mieszkania wszedł Tobias. Wspólnie przeszukali biurko i półki, kiedy zaś Matt zbliżał się do szafy, Tobias poklepał go po ramieniu, wskazując nocny stolik.

Leżał na nim gwizdek.

Tobias już miał się rzucić w tym kierunku, lecz Matt powstrzymał go, chwytając za ramię. Teraz z kolei on pokazał palcem kawałek miękkiej substancji spoczywający w czarce na stoliku. Jeśli się zbliżą na mniej niż dwa metry, drgania mogą ją uaktywnić.

– Nie możemy tam podejść – szepnął Matt towarzyszowi na ucho.

Tobias obejrzał się na drzwi i skinął na Amber. Dziewczyna spełniła polecenie z grymasem niezadowolenia.

– Czy możesz przyciągnąć do nas gwizdek? – zapytał cicho.

Amber nabrała powietrza i skupiła się.

Gwizdek uniósł się powoli, po czym ruszył ku nim przez pokój.

Matt wystawił dłoń, na którą opadł gwizdek.

Uśmiechnął się z triumfem.

Zeszli na dół do ogromnej biblioteki. Nocą, za sprawą promieni księżycy wpadających przez wysokie okna i długich stołów, sala robiła duże wrażenie. Cała trójka zatrzymała się przed drzwiami z trupią czaszką.

– Jak można wyrzeźbić coś tak brzydkiego? – oburzyła się Amber.

– Nie wybrali jej przypadkowo – zauważył Tobias. – Przecież trupia czaszka to symbol niebezpieczeństwa, nie? Być może szykujemy się właśnie do popełnienia strasznego głupstwa...

– To niechybnie symbol śmierci – dodała Amber.

Matt ukląkł przed drewnianym zamknięciem.

– Amber, jak sądzisz, mogłabyś uruchomić mechanizm w środku?

– Jeśli zdołam go zobaczyć, to na pewno tak. Daj mi popatrzeć... Och, nic nie widzę. Będzie nam potrzebne światło.

Tobias podbiegł do stołów i jeszcze zanim zdążył złapać którąś z czarek zawierających miękką substancję, ta wpadła w rezonans pod wpływem jego kroków i rozjarzyła się. Zaniósł ją Amber, która mogła rozpocząć dalsze oględziny.

– Nie wiem, jak to zrobić, ale przypuszczam, że jeśli popchnę wszystkie zasuwę w tym samym kierunku, powinno się udać...

Rozległo się kolejno kilka trzasków i nagle drzwi się otworzyły.

Przyjaciele popatrzyli po sobie w widmowym świetle miękkiej substancji.

– Oto chwila prawdy – powiedział Matt z mniejszą pewnością siebie, niżby chciał.

Tajemnica ChloroPiotrusiofilów

Przymierze Trojga posuwało się wąskim korytarzem; Matt podążał pierwszy.

– Kiedy należy użyć gwizdka? – zaniepokoił się Tobias.

– Myślę, że sami się o tym przekonamy – odrzekł Matt, nawet nie zwalniając.

Weszli do pomieszczenia wewnątrz drzewa, pośrodku którego widniał duży otwór na las. Jedną trzecią sali, z tyłu, zajmował skomplikowany system bloczków, krążków i niekończący się zwój lin wyższy od Matta.

Tobias zajrzał do szybu.

– Och! – wykrzyknął, natychmiast się cofając. – Zdaje się, że to prowadzi prosto w głębiny!

Lina przytrzymała małą drewnianą gondolę, w której mogły się pomieścić ledwie trzy osoby. Amber gwałtownie pokręciła głową, mówiąc:

– Nie zejść tam!

– Jednak będziesz musiała – oznajmił Matt bez cienia wahania.

Cała gondola zatrzeszczała, kiedy odsunął ruchome skrzydło służące jako drzwi i wszedł do środka.

– Może lepiej by było wrócić tu z bronią – zaproponował Tobias.

Matt zmierzył przyjaciół od stóp do głów.

– Zmówiliście się czy co? Jazda! Pewnie druga okazja się już nie trafi!

Co powiedziawszy, zabrał się do rozsypywania liny przytwierdzającej gondolę do krawędzi szybu.

Tobias wszedł do środka, trzymając się kurczowo burt, i natychmiast usiadł na okrągłej ławce.

Amber westchnęła. Matt podał jej rękę.

– No chodź, przecież wiesz, że bez ciebie jesteśmy jak dzieci we mgle, prawda?

– Jeśli myślisz, że dam się nabrać na twój dziecienny urok, coś ci powiem: wsiadam, bo

nie zniósłabym, że nigdy się nie dowiem, co się stało, gdybyście nie wrócili!

Matt poczuł ukłucie w sercu. Co ona rozumie przez „dziecięcy urok”? Określenie to wcale mu się nie spodobało. Mając jednak coś ważniejszego i pilniejszego do roboty, w końcu odczepił liny i zajął miejsce obok przyjaciół, po czym uruchomił jedyną dźwignię.

Znajdujący się za ich plecami mechanizm zaczął zgrzytać, przekładnie poszły w ruch i krucha łódź jęła schodzić w dół. Zjechała z gigantycznego pnia przez serce jego korzenia pod powierzchnię Suchego Morza.

Tobias trzymał przed sobą czarkę z miękką substancją, jakby to był skarb. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że las pod nimi jest oświetlony.

– Patrzcie! – zawołał. – Wszędzie są setki świateł!

– W każdym razie to nie jest miękka substancja – stwierdziła Amber.

Żołędzie wielkości piłki do rugby emanowały bardzo jaskrawym zielonkawym blaskiem.

Trójka nastolatków obserwowała niesamowite widowisko: utworzoną przez tysiące gałęzi okrągłą niekończącą się przepaść o średnicy ponad dziesięciu metrów, okoloną owymi świecącymi strąkami.

Wtem ściany z liści się poruszyły, przez las przebiegło drzenie i coś prześliznęło się wzdłuż korzenia, zanurzając się równocześnie z gondolą.

– Wdziałem tam jakiś kształt! – wykrzyknął Tobias. – Jakiegoś olbrzymiego stwora! Gwiżdż, Matt, gwiżdż!

Matt wyjął z kieszeni gwizdek i przyglądał mu się przez chwilę. Był wycięty w drewnie, cienki i długi, niemal jak flet.

Liście zatrzęśły się tuż obok trojga wędrowców.

Matt przytknął gwizdek do ust i dmuchnął. Wydobył się z niego lekki głuchy dźwięk, a wtedy wszelki ruch w lesie zamarł.

Tobias rozluźnił napięte ramiona i otarł twarz wierzchem dłoni.

– Na ogół jestem ciekawski, ale tym razem ucieszę się, nie wiedząc, co to!

Gondola zsuwała się coraz szybciej; pęd powietrza rozwiewał im włosy do tyłu, oni zaś wczepili się palcami w ławkę.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zwolnić? – zapytała Amber, przekrzykując wiatr.

Matt opuścił dźwignię do połowy i gondola straciła prędkość.

Szyb zdawał się nie mieć końca. Podniósłszy głowę, Matt nie dostrzegł już ogromnego drzewa, od którego rozpoczęli podróż, tylko gigantyczny komin wytworzony przez świecące pulsujące owoce.

Następnie, mimo że chłopak nie wykonał najmniejszego ruchu, gondola zaczęła hamować, po czym gwałtownie stanęła.

Na przestrzeni stu metrów żadna żołądź nie rozsiewała już swego blasku, jedyne źródło światła stanowiła miękka substancja, którą Tobias zabrał ze sobą. Matt się podniósł i dokładnie obejrzał podtrzymującą ich linę – była idealnie napięta.

– Zaczepiła o coś? – zapytała z niepokojem Amber.

– Nie wydaje mi się. Toby, poświeć tutaj, dobrze?

Kiedy Tobias spełnił prośbę, ich oczom ukazała się gałąź, potem niecały metr niżej ziemia.

– Jesteśmy! – zawołał. – Zjechaliśmy na sam dół! No nie, wyobrażacie sobie, jaka długa i mocna jest ta lina?

– Przede wszystkim wyobrażam sobie, jakie tu czyhają na nas niebezpieczeństwa – odparła Amber. – Nie mam bladego pojęcia, jak to coś działa, ale chyba powinniśmy się tym zainteresować, żeby wrócić na górę...

Matt otworzył drzwi i zeskoczył na ląd.

– ChloroPiotrusiofile nie skonstruowali tego wszystkiego bez powodu. Chodźcie, zrobimy spacer po okolicy.

Zanim Amber zdążyła znów zaprotestować, Tobias dał susa, dołączając do przyjaciela, jeśli więc nie chciała zostać sama w ciemnościach, nie miała innego wyboru, jak pójść w jego ślady.

Matt, który obawiał się, że nie zdołają dotrzeć zbyt daleko z powodu roślinności, ze zdumieniem stwierdził, że wcale nie jest gęsta.

– Czujecie ziemię? – odezwała się Amber. – Nie jest normalna!

Tobias ukląkł i pomacawszy palcami podłoże, natknął się na skorupę betonu.

– Faktycznie, coś tutaj było przed Burzą. Coś, co nie zniknęło całkowicie.

– Poświeć no tam – poprosił Matt.

Kiedy Tobias przysunął świecąca kostkę, z mroku wyłonił się mur, a w nim wysokie na ponad pięć metrów drzwi. Wśród gałęzi i czarnych liści kryła się kolosalna budowla obrośnięta nieprzebytym gąszczem.

– To jest ta tajemnica, którą chcą ukryć za wszelką cenę? – zdziwił się Tobias.

– Wejźmy do środka – rozkazał Matt i pchnął skrzydło drzwi, które zaskrzypiały.

Minęli olbrzymi murowany hol pokryty warstwą kurzu i ziemi. Po obu jego stronach wiły się równie wielgachne schody.

– Robi wrażenie! – powiedział Tobias z jednakowym szacunkiem, jaki wzbudziłyby w

nim katedra. – Gdzie my jesteśmy?

Z pięter wyłoniło się jakieś dziesięć latających i świecących gąsienic, które zapikowały wokół trojga nastolatków, tworząc wianuszek brzęczących diod, nim pomknęły, znikając w bocznych korytarzach.

Matt doszedł do schodów. Powoli wspiął się na piętro, uważając, by nie hałasować. Teraz, gdy Tobias był obok, z balkonu nie mógł już dojrzeć parteru, skręcił więc w długi korytarz z przeszkloną ścianą. Za szybami panował mrok. Gdzieś usiłowały się przedostać do środka czarne cienie czepiające się ich niczym macki. Natrafili na amfiladę pustych sal, następnie na coś, co przypominało sypialnie.

Łóżka zostały pozbawione materacy, szafy były puste.

– Przynajmniej wiemy, gdzie zaopatrują się w sprzęt – skwitował Matt.

Amber skinęła głową i dodała:

– To miejsce przywodzi mi na myśl szkołę z internatem.

Zapomniawszy na chwilę o zasadach dobrego wychowania, Tobias zapytał:

– A co, byłaś w internacie?

Ku ogromnemu zdziwieniu chłopca Amber odrzekła:

– Tak, i sama tego chciałam.

– Chciałaś mieszkać w internacie? Ale dlaczego?

– Wierz mi, gdybyś doszedł do wniosku, że twoja matka nigdy nie porzuci wraku człowieka, z którym się związała mimo stosowanej przez niego przemocy, byłbyś gotów na wszystko! Nie cierpiałam mojego ojczyma...

Tobias przyglądał się dziewczynie w ciemnościach. Była wściekła.

– To nie jest szkoła – stwierdził Matt. – Spójrzcie.

Położył palec na tabliczce w korytarzu. Pomiędzy dwoma oknami widniał szereg liter i strzałek. „Izba przyjęć”, „Świetlica”, „Pokój zabaw”, „Pokój rodziców”, niżej zaś: „Izba chorych A2”, „Izba chorych A3”, „Blok operacyjny”...

– To szpital – dodał. – Szpital dziecięcy.

– No tak! – wykrzyknęła Amber. – Oczywiście! Przecież Torshan o nim wspominał! „Byliśmy najsłabsi” – powiedział. – „A Burza wszystko zmieniła”.

– I to jest ta cała tajemnica? – powtórzył rozczerwony Tobias.

– To dlatego wszyscy się znali przed Burzą.

– I szpital zamienił ich w ChloroPiotrusiofilów?

Amber pokręciła przecząco głową, gdy tymczasem za ich plecami znów jęła krążyć eskadra świecących gąsienic.

– Otóż to były słabe, bardzo wrażliwe organizmy. Skutki Burzy okazały się dla nich silniejsze niż dla nas.

– Burza zakłóciła kod genetyczny roślin – przypomniał Matt – żeby szybciej się rozwijały, żeby były silniejsze, żeby odzyskały należne im miejsce. Po drodze nasz kod genetyczny wspiął się na wyższy szczebel, żeby przyspieszyć nasz rozwój, dać nam szansę na przetrwanie, i stąd się wzięło przeobrażenie. Wygląda na to, że chore dzieci były aż tak podatne, że przejęły po trochu z każdego.

– I robią z tego tajemnicę! A powinni być raczej dumni! – zdziwił się Tobiasz.

– Przypuszczam, że nie chcą wspominać czasów, kiedy byli chorymi dziećmi – oświadczyła Amber. – Przed Burzą byli na uboczu i delikatni, teraz nadal są na uboczu, za to mają siłę. Są w harmonii z przyrodą o wiele większej niż my, przypomnijcie sobie, co mówili: ich zdaniem zostali wybrani. Wzmianka o przeszłości przypomniałaby ich dawną słabość, to musi być bolesne.

Matt pozbierał walające się po podłodze pozółkłe papiery i podniósł przed siebie.

– To był jeden z największych szpitali dziecięcych na świecie! – oświadczył. – Właśnie dlatego jest ich w Gnieździe tak dużo. No nie, wyobrażacie sobie ponad sześciuset Piotrusiów w harmonii z wiatrem i drzewami, zdolnych do nadzwyczajnych wyczynów fizycznych i umysłowych?! Jaką by to nam dało przewagę nad Cynikami!

– Aha! Możesz śnić dalej! – roześmiał się drwiąco Tobiasz. – Nie chcą nam nawet pozwolić odejść, więc jeśli myślisz, że możesz ich nakłonić do walki w naszej obronie, grubo się mylisz!

– Tobo ma rację – przytaknęła Amber. – Lepsza by była odwrotna sytuacja: wszyscy Piotrusie powinni zamieszkać w Gnieździe, żeby nic im nie groziło, żeby znaleźli się z dala od Cyników.

– Gniazdo jest za małe, a poza tym ChloroPiotrusiofile nigdy by się na to nie zgodzili! – Matt sprowadził ich na ziemię. – Owszem, trzeba przyznać, że są trochę wyjątkowi. I to do tego stopnia, że czują się wybrańcami Drzewa czy czegoś tam...

– I na dodatek mają tę dziwną świetlistą kulę! – wtrącił Tobiasz. – Może naprawdę są wybrańcami.

– Wybrańcami czego? Nie daj się nabrać na ten ich folklor! Nie ma żadnych wybrańców, jest tylko garstka tych, co ocalili i poddali się superpotężnym skutkom Burzy na swój własny sposób: dorośli, dzieci i przyroda, która odzyskuje swoje prawa.

Świecące gaśienice nagle znieruchomiały, po czym pomknęły pod sufit i zniknęły w głębokiej szparze.

Przymierze Trojga czujnie się poderwało zaskoczone tą gwałtowną ucieczką.

– Wygląda na to, że coś weszło do budynku – szepnęła Amber.

– Ja chyba też to słyszałem – przyznał Tobias.

– OK, wychodzimy! – zawołał Matt, rzucając się w stronę korytarza.

– Jeżeli zdali sobie sprawę, żeśmy im ukradli gwizdek, całe zaufanie szlag trafi! – oburzyła się Amber.

Ruszyli ku balkonowi, zwalniając na ostatnich metrach. W dole nie było żadnego światła.

– Ja jednak mogę przysiąc, że słyszałam jakiś hałas – upierała się cicho Amber.

Tobias przechylił się przez kamienną balustradę z ręką wyciągniętą przed siebie, aby oświetlić hol miękką substancją.

Z początku nie dostrzegł niczego szczególnego, tylko zakurzony marmur, wielkie drzwi wejściowe... Po czym podniósł wzrok.

Z żyrandoli zwisały dwa olbrzymie pająki, tak wielkie jak samochody. Czekały zastygłe na tej samej wysokości co trójka przyjaciół, otworzywszy szeroko monstrualne paszcze. W Przymierze Trojga wpatrywało się sześcioro wyłupiastych lepkich oczu urzeczonych tym apetycznym widokiem. Szczękoczułki rozchyliły się, odsłaniając paszcze pełne włókien.

Miękka substancja zaczęła coraz mocniej drżeć i nagle czarka wysunęła się z rąk Tobiasa.

Ich jedyne źródło światła jęło zniknąć, pogrążając trójkę nastolatków w ciemnościach w towarzystwie przerażających stworów.

Następnie sześcian srebrzystego światła znieruchomiał w powietrzu, czarka roztrzaskała się w holu, a miękka substancja błyskawicznie zawróciła, trafiając prosto w rękę Amber.

Jak za naciśnięciem guzika Matt chwycił Tobiasa za płaszcz, pociągnął za sobą i puścił się pędem. W tej samej chwili oba pająki wskoczyły na balkon, słysząc zaś miękki odgłos ich sflaczałych cielsk uderzających o podłogę, chłopiec domyślił się, że są tuż za jego plecami. Matt biegł tak szybko, jak tylko mógł; Tobias wkrótce go wyprzedził. Amber znajdowała się metr dalej.

Łapy pajaków poruszały się tuż-tuż, wybijając piekielny rytm.

Matt nie miał przy sobie żadnej broni.

Zaraz ich dopadną. Rozejrzał się dokoła w drgającym świetle, które Amber trzymała w dłoniach.

Oskardy strażackie. Czerwone szafki. Drzwi do sal.

„Czerwone szafki!”

Matt rzucił się ku nim, rozbił łokciem szkło, złapał za toporek strażacki i podniósł przed sobą, by dać odpór ohydrom.

Pierwsza natychmiast na niego skoczyła.

Matt uderzył tak mocno, jak tylko zdołał.

Stal zagłębiła się w miękkim mięsie, przebiła chrząstki, po czym z brzękiem rąbnęła o kafelki.

Z przepołowionego cielska wydobył się mdlący odór.

Drugi pajak, ostrożniejszy, usiłował pochwycić Matta pazurami, którymi zakończone były jego włochate łapy. Chłopiec odskoczył do tyłu i zamachnął się toporkiem, jednym ciosem odrąbując koniec łapy.

Potwór wydał z siebie przeciągły ostry jęk skargi przepełniony wściekłością i cierpieniem. Amber trzymała się z tyłu, Matt zaś z trudem wyczuwał ruchy bestii, która cofała się w ciemnościach.

Kiedy jednak skuliła odnóża, do Matta dotarło, co zaraz nastąpi. On także zgiął ręce, przyciskając broń do ramienia. Gdy pajak rozpostarł z powrotem odnóża, by się nań rzucić z rozchylonymi szczękoczułkami gotów ugryźć, toporek świsnął tak szybko jak wystrzelony z kuszy pocisk i utkwiał między jego oczami. Cios zadany przez Matta okazał się tak silny, że zatrzymał w miejscu potwora, który mimo swego ciężaru zwałił się nie na niego, lecz u jego stóp.

Matta aż zatkało.

Wszystkie mięśnie zastygły mu z wysiłku.

– O mój Boże! – jęknęła Amber.

Gdy Matt podniósł głowę, dostrzegł jakieś zamieszanie na końcu korytarza. Cały hol zapępniały pajaki. Zaalarmowały je krzyki pobratymców.

Było ich tak dużo, że Mattowi wydawało się przez moment, jakby ściany się ruszały.

I wszystkie biegły ku nim.

Działanie i jego następstwa

Matt rzucił toporek i puścił się pędem, ślizgając się na zakrętach, przeskakując przez stopnie, raczej wyważając, niż otwierając drzwi przeciwpożarowe. Tobias właśnie wpadł w poślizg na wirażu, gdy wtem coś wybiło szybę w najbliższym oknie, po czym pojawiły się dwie długie łapy usiłujące go pochwycić. Przeturlał się po posadzce, unikając w ten sposób pazurów.

Nagle sufit zaczął skrzypieć. A zatem ścigają ich także na wyższym piętrze. Są wszędzie.

Wpadli do wielkiej sali pełnej w połowie pustych regałów: biblioteka. Nie zdążyli nawet złapać tchu, gdy pajak dał susa na półki, wkrótce inne zrobiły to samo. Regały zaczęły się chwiać, po czym przewróciły się wszystkie po kolei niczym jakieś gigantyczne domino. Amber, Tobias i Matt wyprysnęli na środek pomieszczenia, starając się prześcignąć chyboczące się meble. Pajaki wyskakiwały w górę, nie zważając na ruchy regałów narastające jak fala.

Szyby w kilku oknach roztrzaskały się na kawałki.

Matt uświadomił sobie, że przed nimi nie ma już dalszej drogi. Zaraz zostaną otoczeni. Muszą walczyć.

„Jest ich za dużo! Nigdy nie damy rady wszystkim!”

Troje nastolatków zwolniło i stanęło do siebie plecami, aby stawić czoło niebezpieczeństwu, które czyhało z każdej strony. Po suficie, po ścianach, w alejkach: wszędzie z szelestem maszerowały pajaki.

Coś przecięło zniecka powietrze i natychmiast zważyło z nóg jednego ze stworów. Po chwili to samo spotkało następnego.

Przy wybitych oknach stała grupa wojowników ChloroPiotrusiofilów, dzierżąc w dłoniach napięte łuki i włócznie. Matt osłupiał na ich widok. Byli tak dobrze zorganizowani, że zaledwie pół tuzina zdołało utrzymać z dala ze dwadzieścia, potem ze trzydzieści pajaków.

Był wśród nich Torshan, który dał im znak, by podbiegli. Ledwie znaleźli się blisko, Amber spróbowała się usprawiedliwić:

– Naprawdę nam przykro, nie chcieliśmy..

– To nie jest odpowiedni moment, chodźcie za mną!

Poprowadził ich przez okna na pierwszym piętrze na szeroki balkon. Na wysokości balustrady unosiło się kilka drewnianych kul podobnych do tych, w których się wznieśli za pierwszym razem. Oślaniani przez wojowników ChloroPiotrusiofilów wdrapali się do środka i w niecałą minutę cały oddział został ewakuowany.

Matt odprężył się, słysząc szum jadącej w górę kuli. Odgłos ocierających się o nią gałęzi, zawrót głowy i skrzypienie drewna – wszystko to dodało mu otuchy.

– Dziękuję – powiedział, odwracając się do Torshana, który dzielił z nimi gondolę.

Torshan bez słowa wyciągnął dłoń. Matt bardzo zakłopotany położył na niej gwizdek.

– Nie mieliśmy zamiaru zrobić nic złego, przecież wiesz – dodał. – Po prostu chcieliśmy... się dowiedzieć, kim naprawdę jesteście. Nie wyjawiliście nam wszystkiego!

Torshan nie zwracał nań uwagi, zapatrzony w dal, Matt pojął więc, że nie warto się upierać.

Dotarłszy na okręt flagowy ChloroPiotrusiofilów, Statek Matkę, z którego wypuszczono gondolę, zostali wysadzeni na brzeg, gdzie czekało na nich ponad pięćdziesiąt osób o zaciętych twarzach.

Nagle Matt sobie uświadomił, że otaczający ich strażnicy nie są tu po to, by ich ochraniać, lecz eskortować. Tłum się rozstał, robiąc miejsce dla Orlandii, najstarszej kapitaniki. Miała srogą minę, jej wzrok ciskał błyskawice.

– Dopuszciliście się aktu zdrady – rzuciła. – Od tej chwili jesteście więc naszymi więźniami. Jutro wieczorem zbierze się Rada Kobiet, która zadecyduje o waszym losie. Straż, zabrać ich.

Zanim Amber zdążyła odpowiedzieć, żołnierze w chitynowych zbrojach popchnęli ich brutalnie do góry, ku rzędowi drewnianych klitek zawieszonych na linach. Całą trójkę rozdzielono i zamknięto w osobnych celach, po czym strażnicy się oddalili.

– No i masz! – westchnęła Amber zza okratowanych drzwi.

– Dobra, zgoda, palnęliśmy głupstwo – przyznał Tobias – ale chyba nie będą nas tu trzymać aż do jutra wieczór?

– Jak myślicie, co z nami zrobią? – zapytał Matt.

Tobias, który jak zawsze miał bujną wyobraźnię, czym prędzej podsumował:

– Może rzucą na pożarcie jednemu z tych ohydnych stworów, które żyją pod Suchym

Morzem? Bez żartów, sądzicie, że nas zabiją?

– To nie w ich stylu – odparła Amber. – Za to mogą nas wygnać. Tak jak tamtego chłopaka, któregośmy widzieli pierwszego dnia.

– To by oznaczało skazanie nas na śmierć – stwierdził ponurym tonem Matt. – Teraz już wiemy: nie sposób się przedrzeć dołem przez Ślepy Las, to zbyt niebezpieczne. Moim zdaniem powinniśmy się przygotować do obrony. Jakie jeszcze informacje mogłyby się nam przydać?

– Zdajemy sobie sprawę, że posunęliśmy się za daleko – oznajmiła Amber – że nie chcieliśmy im zaufać, chociaż otworzyli przed nami drzwi, że ich zdradziliśmy! Szczerze mówiąc, nie mamy nic na swoje usprawiedliwienie. Od samego początku to był zły pomysł, a ja o tym wiedziałam.

– Więc co robimy? – odezwał się ze skrucą Tobias.

– Już nic! – zdenerwowała się Amber. – Wygnają nas i będą mieli całkowitą rację!

Zamknięty w drewnianej klitce Matt pokręcił głową.

– Nie zejdem z powrotem do tego lasu – obwieścił. – Nie wytrzymamy tam nawet dwóch dni. Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Nie mam wam nic do zaproponowania – rzuciła Amber z rozdrażnieniem. – Uważam, że już dość głupstw popełniliśmy.

Wszyscy ucichli, każde z nich wyciągnęło się w milczeniu na sienniku, który pełnił rolę łóżka. Mimo późnej pory nikt nie zdołał zasnąć.

Zastanawiali się nad tym, co zrobili, jeszcze bardziej zaś nad tym, co się z nimi stanie.

* * *

Wczesnym rankiem obudziło ich poruszenie w Gnieździe. Byli zdrtwiali i nadal wyczerpani. Przyniesiono im bez słowa śniadanie złożone z owoców i gęstego bulionu. W ciągu dnia nikt ich nie odwiedził. Kiedy zaś słońce chyliło się ku zachodowi nad Suchym Morzem, Przymierzu Trojga przyszła na myśl Rada Kobiet, która zebrała się właśnie, by postanowić o ich losie.

Miasto rozbłysło srebrzystymi światłami wewnątrz wielkich drzew i wokół nich, po pewnym jednak czasie zgasły, pograżając Gniazdo w nocnym letargu.

Wtem na końcu kładki pojawiła się latarenka i między klitki wśliznęła się postać otulona obszernym płaszczem z kapturem. Przykucnąwszy, szepnęła:

– Jutro rano zostaniecie wygnani. Broniałam was przed siostrami, ale na próżno.

Blask lampy pieścił jej twarz. Clemantis.

– Czy oddadzą nam sprzęt, broń? – zapytał Matt.

– Nie mam pojęcia. Będziecie musieli zejść na głębinę.

– W takim razie zginiemy, prawda? – przemówił Tobias wystraszonego głosem.

Clemantis nie odpowiedziała. Milczała przez moment, nim dodała:

– Wiem, że nie mieliście złych zamiarów. Niestety, Rada zdecydowała, że nie można wam już ufać, że stanowicie zagrożenie dla naszej równowagi i bezpieczeństwa.

– Rozumiem – rzekła Amber, pozbywszy się rezerwy. – Otworzyliście przed nami drzwi, a my wyważyliśmy te, które miały zostać otwarte dopiero za jakiś czas, tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość. Nasze zachowanie jest nie do przyjęcia. Mimo to ryzykowałam dla nas, przychodząc tutaj.

– Aż do dzisiejszego posiedzenia Rady byliście członkami naszej wspólnoty, a my nigdy nie zostawiamy swoich. – Zawahawszy się, dodała: – Powinniście wiedzieć coś jeszcze. Jeśli nawet jakimś cudem przeżyjecie w głębinach, porzućcie pomysł dotarcia na południowy ląd.

– Niby dlaczego? – zapytał Matt, którego ciekawość nagle uległa rozbudzeniu.

– Prawdę mówiąc, znamy tę całą królową. To pilnie strzeżona tajemnica, o której wie zaledwie garstka z nas, żeby nie siać zamętu i paniki. Kilka dni temu natknęliśmy się na nich, kiedy jeden z naszych patroli zszedł z Suchego Morza na południowy brzeg, żeby zobaczyć, co tam jest. Został otoczony przez jakichś ludzi, dorosłych w czarnych zbrojach, z czerwonymi sztandarami. Chcieli nas pojmać w imię królowej Malroncji, właśnie tak ją nazywają. Ona jest zła, podobnie jak jej ludzie. Patrol zdołał uciec, ale trzech naszych przypłaciło to życiem. Nie należy iść na południe. To niebezpieczne miejsce. Ci ludzie są okrutni. Jeśli to możliwe, wracajcie do siebie, świat się zmienił, nie możemy już liczyć na dorosłych. Tylko spójrzcie, istniejące między nami różnice wywołują w nas tyle podejrzliwości, jeszcze nie jesteśmy gotowi. Teraz muszę was opuścić, nie wolno mi z wami rozmawiać.

– Nie! Zaczekaj! – błagał Matt. – Czego ona chce, ta cała królowa Malroncja? Dlaczego rozkazała porwać wszystkie dzieci?

– Nie wiem. Cokolwiek z nimi robią, na pewno jest to ohydne. Teraz, skoro już wiecie, co was czeka, macie całą noc, żeby się przygotować. Zegnajcie.

Clemantis wstała i zniknęła pospiesznie w labiryncie korytarzy.

– Nie możemy tu beczynn timer czekać! – zawołał Matt. – Musimy się wydostać z tych klatek!

– A co potem? – zapytał Tobias.

– Chyba wiem, gdzie jest nasz sprzęt. Obok sali treningowej jest duży magazyn. Jak myślisz, Tobias, potrafiłbyś poprowadzić jeden z ich statków?

– Dziś w nocy? Nie! Ledwie znam nazwę i przeznaczenie każdego instrumentu, w ogóle bym nie dał rady płynąć!

– Trudno, trzeba spróbować szczęścia.

– ChloroPiotrusiofile udzielili nam gościny – wtrąciła sucho Amber. – Myśmy ich zdradzili, a teraz jeszcze chcecie im zwinąć statek? Nie sądzicie, że dość już narobiliśmy szkód?

– Jeżeli nic nie zrobimy, jutro rano skażą nas na zejście z powrotem w dół! – złościł się Matt, wyciągając ręce przez szczeble i pokazując wierzchołek lasu. – Co oznacza, że jeszcze przed zachodem słońca będziemy martwi!

– Zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu – burczała Amber.

– Idąc z nami, tak? Za późno na żale, dziś w nocy stąd wychodzimy, i to wszyscy, nikogo tu nie zostawię. Jeżeli nie pójdiesz, jutro wygnają nas razem, jesteśmy przecież Przymierzem Trojga. Wszyscy razem bez względu na to, co się stanie. Decyzja należy do ciebie.

Amber przysunęła się bliżej celi Matta.

– Jeżeli się stąd wydostaniemy, chciałabym, żebyście mi obiecali, że przestaniecie się zachowywać jak... jak faceci! Jesteście za bardzo impulsywni! To się źle skończy! Wczorajszy plan mi się nie podobał, ale wy nie chcieliście mnie słuchać.

– Obiecujemy – odparł natychmiast Tobias przeproszającym tonem. – Masz rację, nie posłuchaliśmy cię.

Matt wymruczał coś, co przypominało zgodę.

Następnie złapał za drewniane szczeble w swoich drzwiach i zaczął ciągnąć z coraz większą siłą. Zanim zdążył użyć całej mocy, rozległ się suchy trzask – wyrwał część szczebli. Wymknąwszy się na zewnątrz, uwolnił swych towarzyszy w ten sam sposób.

– Lecę do magazynu po nasz sprzęt i broń – powiedział. – W tym czasie, Tobias, przygotujesz statek, a ty, Amber, zdobędziesz zapas prowiantu w kuchni. Pasuje wam to?

– Nie wydaje mi się, że bym zdołał uruchomić statek – przyznał się Tobias.

– Musisz to zrobić.

Matt zagłębił się we wnętrznościach głównego dębu i wcale nie musiał forsować drzwi do magazynu – były otwarte. Ich plecaki, broń i wszystko, co posiadali, leżało w kącie. Obwiesiwszy się ładunkiem, pomknął korytarzem z pełnymi rękami, uginając się pod ciężarem wspólnego wyposażenia.

Tobias pokazał im, na którym okręcie rozpoczął naukę, Matt przemierzył więc w milczeniu nabrzeże z zamiarem wejścia na pokład. Najbliższy posterunek znajdował się tak wysoko, że wartownik, aby go dojrzeć, musiałby się wychylić. Matta ścisnęło w żołądku ze strachu. Wystarczyłoby tyle szelest albo jakiś nocny marek, żeby wszczać alarm. Co by się wtedy z nimi stało?

Zastał Tobiasa w głównej ładowni; zajęty był upychaniem liści do dwóch wielkich szklanych klatek.

– Karmię Dmuchaczy, żeby wytwarzały gorące powietrze i napełniły balony – wyjaśnił.

– A długo to potrwa?

– Nie mam bladego pojęcia!

– Tobias, musimy ruszyć przed wschodem słońca.

– Wiem, wiem!

Tobias pobiegł zebrać jak najwięcej liści dla pomrowików, następnie jął sunąć palcem po odchodzących od akwariów rurkach, aż dotarł do zaworów. Przykręciwszy je wszystkie, wdrapał się znów na pokład.

Matt martwił się o Amber, która jeszcze nie wróciła.

– Pomóż mi! – rozkazał Tobias. – Rozwiąż wszystkie liny Uwolnimy balony.

Matt spełnił polecenie, jednocześnie regularnie omiatając niespokojnym wzrokiem keję w nadziei, że pojawi się na niej Amber.

– Wartownicy nas zobaczą, jak będziemy opuszczać Gniazdo, prawda? – dopytywał Tobias.

– Księżyc jest częściowo zasłonięty przez chmury. Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się niezauważeni, jeśli w ogóle nie będziemy palić świateł. W najgorszym razie zyskamy trochę czasu, zanim zdążą wszczać alarm i przygotują statek do ścigania nas.

– Myślisz, że by to zrobili?

– Nie ze względu na nas, ale żeby odzyskać to, co im ukradniemy. Tobias, masz pojęcie, ile czasu i energii zabrało im skonstruowanie tego żaglowca?

Balony wokół nich zaczynały się napełniać. Cała operacja powinna potrwać o wiele krócej, niż Matt dotąd przewidywał. Pomógł Tobiasowi przygotować żagle. Przyjaciel dawał sobie radę o wiele lepiej, niż twierdził, mimo że zdarzyło mu się trzy razy wiązać i rozwiązywać ten sam węzeł, nie mógł się bowiem zdecydować, czy należy wiązać ze sobą określone liny czy też nie.

Po godzinie długi jak wagon okręt zaczął się unosić. Przytwierdzające go do nabrzeża

cumy napięły się ze zgrzytem.

– Tobias! – syknął przez zęby spanikowany Matt. – Trzeba je natychmiast odczepić, zanim obudzą całe Gniazdo!

– Jeśli to zrobimy, nie dam rady utrzymać statku przy kei!

Liny napinały się coraz bardziej, aż cała bakburta przechyliła się z jękiem.

– Odetnij je! – rozkazał Matt, chwytając drugi bosak.

Wczepił znajdujący się na jego końcu hak w deski nabrzeża. Tobias przeciął po kolei wszystkie cumy nożem myśliwskim, krzywiąc się z wysiłku. Uwolniony statek odzyskał równowagę i już miał się oddalić od Gniazda, gdy Matt szarpnął bosakiem, by przyciągnąć go do mola. Zaskrzyphiały deski, jedna pękła, za nią druga.

– Amber! – krzyknął Tobias. – Idzie Amber!

Matt ścisnął drewniany bosak ze wszystkich sił, ale statek był zbyt ciężki. Długo tak nie wytrzyma.

Amber wrzuciła na pokład kilka worków, następnie ciężkie manierki, po czym wdrapała się na statek przy pomocy Tobiasa.

Kiedy trzecia i ostatnia deska ustąpiła, Matt przewrócił się na plecy

– Trzeba postawić żagle! – ostrzegł Tobias. – I to szybko! Bez tego nie popłyniemy!

– A jeśli nie będzie wiatru? – przeraził się Matt, wstając.

– Nie zapominaj, że jesteśmy na wysokości około tysiąca metrów, tu zawsze jest wiatr. No dalej, chodźcie, sam nie dam rady.

Postępując zgodnie z instrukcjami Tobiasa, wypuścili trzy duże latawce, które z kolei pociągnęły za sobą następne liczniejsze żagle, im bardziej zaś te ostatnie nabierały wysokości i nadymały się, tym mocniej ciągnęły nowe, coraz większe żagle. W ciągu kwadransa na niebie przed okrętem było dość żagli, by pociągnąć ponad listowiem tonę drewna.

– Zaraz opuszczę płetwę sterową do wierzchołka! – zawołał Tobias, ledwie się znaleźli jakieś sto metrów od Gniazda.

Matt przysunął się do Amber.

– Wszystko poszło dobrze? – zapytał. – Straszliwie się guzdrałaś i przyznam, że trochę się martwiłem.

– Tak.

Odpowiedź była zbyt lakoniczna. Matt zadał sobie pytanie: czy Amber ma do niego żal, że wpakował ich w to bagno, czy też coś przed nim ukrywa?

– Jaki obieramy kierunek? – odezwał się z tyłu Tobias.

Matt przyglądał się Amber przez chwilę, nim dołączył do sternika z kompasem w

dłoni.

– Południe! Południowy skraj Ślepego Lasu. W drogę do kraju Cyników i na ziemię tej całej Malroncji.

Jeszcze raz obrzucił Amber spojrzeniem. Dziewczyna wpatrywała się w Gniazdo i w jego ostatnie światła.

Śmierć w kolorze czerwonym

Przymierze Trojga żeglowało po Suchym Morzu przez całą noc. Tobias stał przy sterze, Matt wykonywał jego rozkazy, pociągając za tę czy inną linę, by złapać wiatr w żagle. W gruncie rzeczy sterowanie okazało się mniej skomplikowane, niż sądzili.

Amber zasnęła w kajucie.

Niebo na wschodzie jęło powoli bieleć.

– Jak myślisz, Amber naprawdę ma do nas żal? – zapytał Tobias.

– Prawdopodobnie.

– Rzeczywiście zachowaliśmy się jak idioci.

– Wcale nie żałuję – odrzekł z determinacją Matt. – ChloroPiotrusiofile są tajemniczy, oni mają jakiś sekret: Rada Kobiet występuje w maskach, ich historia i pochodzenie to tematy tabu, czułem, że nie mówią nam wszystkiego. Tylko popatrz: wiedzieli o królowej i Cynikach!

– Trzeba ich zrozumieć. Jedyni Piotrusie, jakich spotkali, próbowali na nich napaść!

Matt wzruszył ramionami.

– Przyznaję, że byłem trochę niecierpliwy i wpadłem w paranoję – powiedział, kiedy po chwili znalazł właściwe słowa.

Tobias delektował się chłodnym wiatrem rozwiewającym mu włosy. Nie obcinał ich od kilku miesięcy, toteż powoli przybierały kształt okrągłego hełmu.

– Jaki jest teraz plan? – zapytał.

– Odnaleźć Cyników, a jeśli nie da się ich podejść bez wywoływania wojny, śledzić ich, aby się dowiedzieć, co robią z porwanymi Piotrusiami. Jestem pewien, że w końcu dowiemy się czegoś więcej o tej całej Malroncji i jej zamiarach. No i o liście gończym, który za mną wysłała.

Widząc, że Matt się martwi, Tobias poklepał go po plecach. Wydawało mu się, że dobry przyjaciel właśnie tak powinien postąpić w podobnej sytuacji.

Milczeli, gdy nastawał świt, powieki jeły im ciężyc pod wpływem zmęczenia, kończyny ścierpły, obaj zapadli w odrętwienie. Trzymali kurs, posuwając się w szybkim tempie ponad wierzchołkami drzew. Pokażny ster, zrobiony z drewna i z kawałków stali z odzysku, stanowił ich jedyny kontakt z lasem, znacząc drogę połamanymi gałęziami. Wskazawszy ręką ślad, jaki po sobie zostawiali, Matt burknął:

– Nie pomyślałem o tym! W ten sposób będą mogli nas łatwo namierzyć.

– Naprawdę sądzisz, że będą próbować?

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Amber wstała późnym rankiem świeża i cała w skowronkach.

– Jeżeli mi wyjaśnicie, jak to działa, zastąpię was, żebyście mogli się przespać.

Tobias nie dał się prosić. Nauczył ją, jak trzymać kurs za pomocą steru i manewrowania żaglami, i przykazał, by regularnie sprawdzała, czy Dmuchacze mają dość liści, żeby dostarczać gorące powietrze do balonów. Po czym popędził do kajuty, ziewając. Matt został przy dziewczynie. Przyglądał się, jak kręci kołem sterowym.

Ślicznie wyglądała, siedząc tak w promieniach południowego słońca, które rzeźbiły jej piegi.

– Chciałbym cię przeprosić – rzekł po kilku minutach wahania. – Miałaś rację, powinniśmy cię częściej słuchać.

Amber się nie odezwała.

– Przecież powiedziałem, że mi przykro! – zawołał ze złością Matt.

– Słyszałam i bardzo się z tego cieszę, ale powinniśmy wyciągnąć z tego nauczkę. Pewnego dnia może się zdarzyć, że nie dostaniemy drugiej szansy.

Ależ ona potrafi być wkurzająca! To on robi wysiłek, żeby przyznać się do błędu, a ona zamiast pogratulować, prawi mu morały! Już miał się oddalić, kiedy dodała:

– Dajesz dowód inteligencji, zastanawiając się nad własnym zachowaniem. Kiedy powiedziałam w nocy, że żałuję, że z wami poszłam, wcale tak nie myślałam.

– Wiem. Jazda, zawrzyjmy rozejm! – zażartował Matt, podając jej rękę.

Uśmiechnęła się szeroko i chwyciła wyciągniętą dłoń. Przytrzymała ją nieco dłużej, niż to było konieczne. Popatrzyli na siebie. Dotyk był przyjemny.

Amber wypuściła jednak dłoń Matta. On zaś upewnił się, że niczego jej nie brakuje, i poszedł spać.

Kiedy znów się spotkali późnym popołudniem, Amber nadal siedziała za sterem. Matt sięgnął do wielkiej sieci na końcu żerdzi, by uzupełnić zapasy Dmuchaczy, i nabrał sporo liści, które wrzucił do ładowni przez otwarty luk. Zjedli posiłek pod koniec dnia, po czym

prędko zapadła noc.

Wieczorem, gdy siedzieli we trójkę na rufie obok steru, Amber dostrzegła w oddali na północy jakieś światła.

– Masz lornetkę? – zapytała Tobiasa.

Chłopak wyjął z plecaka żądany przedmiot i podał jej.

– Tak mi się właśnie zdawało – oświadczyła po długim wpatrywaniu się w horyzont. – Płynie za nami statek. Bardzo duży.

– Statek Matka – odrzekli chórem Tobias i Matt.

– Jeśli nas dogonią, nie mamy żadnych szans z ich kuszolitrami – dodał Tobias.

– Będą próbowali abordażu – sprostował Matt. – Chodzi im o to, żeby odzyskać statek. Za to wcale mnie nie zdziwi, jeżeli po tym wszystkim, cośmy im zrobili, wyrzucą nas za burzę, kiedy już nas złapią... Toby, jest sposób, żeby płynąć szybciej?

Chłopiec pokręcił głową.

– Już mamy maksymalną prędkość.

Amber wskazała sześcian miękkiej substancji oświetlającej ich na rufówce i powiedziała:

– Skoro my możemy ich zobaczyć, to znaczy, że oni nas też. Może powinniśmy to zgasić, nie sądzicie?

– Musimy trzymać kurs na południe – przypomniał Matt. – Tak czy inaczej ster pozostawia za nami smugę, więc bez trudu mogą nas śledzić. Nie, naszą jedyną szansą jest jak najszybsze dotarcie do brzegu Suchego Morza. Jeśli się da, zostawimy statek, żeby mogli go sobie zabrać, i zejdziemy na ląd.

W nocy zmieniali się przy sterze.

O świetle cień Statku Matki odcinał się na tle krajobrazu bliżej niż dotąd. W tym tempie Przymierze Trojga zostanie pojmane jeszcze przed następną nocą.

Przez cały dzień wpatrywali się w imponujący kształt, który powoli się zbliżał. O zmierzchu okręt flagowy floty ChloroPiotrusiofilów znajdował się w odległości pięciuset metrów od nich. Matt zdołał dojrzeć głowy przechylające się przez reling, żeby ich obserwować.

Suche Morze przed nimi zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

Jeśli zamierzają się stąd wydostać, powinni znaleźć jakieś cudowne rozwiązanie.

– Tobias – odezwał się Matt – jak myślisz, czy jeśli będziemy bez przerwy karmili Dmuchać, dając im coraz więcej liści, to statek nabierze wysokości? Czy mamy szansę przepłynąć nad Statkiem Matką?

– Nie, osiągnęliśmy już prawie pułap; wielkość balonów została obliczona w zależności od ciężaru, który mają unieść, już są całkiem napelnione gorącym powietrzem, nie da się go wpuścić więcej. Chyba że bardzo obniżymy wagę statku.

Matt pobiegł do ładowni, by sprawdzić, co mogliby wyrzucić, lecz wrócił rozczarowany.

– Trzeba wymyślić coś innego. I to szybko!

Zanim zdążyli wpaść na jakiś pomysł, z głębin Suchego Morza wyłoniło się potężne czerwone światło.

Las poruszył się na przestrzeni kilku hektarów, czerwone pulsowanie się nasiliło.

– Czerwone Requiem! – wrzasnęła Amber.

– O nie! – zawołał Tobias, ściskając ster.

Wtem spomiędzy roślin wystrzeliły olbrzymie macki, wrywając po drodze gałęzie, i zawirowały w powietrzu na wysokości dwudziestu metrów, emanując czerwonym pulsującym światłem.

Wszyscy na pokładzie wstrzymali oddech, czekając, co zrobi istota ciesząca się sławą tego, co najgorsze w całym Ślepym Lesie. Czerwone światło pulsowało z tak dużą częstotliwością, że nie pozostawiało żadnych wątpliwości: stwór właśnie polował. Jego macki roztrącały rośliny na wszystkie strony, po czym nagle zastygł w bezruchu. Nibynóżki się skuliły, czerwone światło zniknęło.

Kiedy zapłonęło ponownie jeszcze mocniej, Czerwone Requiem natarło na Statek Matkę.

W promieniach księżycy oświetlających to ponure widowisko potężny okręt na oczach Przymierza Trojga wykonał spektakularny manewr: nagle zawrócił, na potwora zaś spadł deszcz pocisków wystrzelonych przez kuszolitry. W pierwszej chwili zdawało się, że Requiem nie doznało uszczerbku, po czym zniecka zwolniło, powiększając dystans.

Spokój nie trwał długo. Requiem rzuciło się w pościg za Statkiem Matką. Było tak rozwścieczone, że czerwone światło przestało pulsować, płonąc teraz równomiernie, równie silnie jak determinacja stwora, by zniszczyć ofiarę.

Kuszolitry przypuściły kolejny szturm z kasztelu rufowego, tym razem jednak było ich mniej i wykazały się mniejszą precyzją. Requiem zbliżało się coraz szybciej. Nagle na niebie pojawiły się płomienie, których źródłem okazał się Statek Matka – najwyraźniej powstrzymały drapieżcę, lecz ten po chwili znów zaatakował.

Po kilku minutach Przymierze Trojga widziało już tylko srebrzyste światła Statku Matki, karmin pod liśćmi i ogniste smugi, które w porywach rozświetlały niebo.

– Jeżeli przez nas zginą, nigdy sobie tego nie wybaczę – oświadczyła Amber.

– Chyba udało im się je przepędzić ogniem, powinni z tego wyjść – stwierdził Matt.

Po chwili wszelkie niebezpieczeństwo zniknęło, oddalili się i wszyscy odzyskali namiastkę spokoju. Podobnie jak poprzedniego dnia zmieniali się przy sterze.

Nazajutrz rano Matt wpatrywał się w Suche Morze z dziobu statku.

Jak długo jeszcze będą płynąć?

Z zamyślenia wyrwał go krzyk Amber, toteż chłopak pognał na rufę. Dziewczyna wskazała palcem czerwone światło, które zbliżało się od północy.

– To znów Czerwone Requiem, odnalazło nas! – zawołała.

– Musimy koniecznie nabrać prędkości! – przeraził się Tobias. – Wyrzucicie za burtę, co się da, a jeśli wystarczy prześcieradeł, spróbujcie je powiązać lekką liną, żeby zrobić dodatkowe żagle!

Amber i Matt szybko kursowali w tę i z powrotem, pozbywając się zbędnych sprzętów: taboretów, stołów, pustych skrzyń... Następnie czym prędzej zabrali się do wiązania pokładowych prześcieradeł bandażami, które Amber wzięła ze sobą do opatrywania ran.

– Gotowe! – powiedziała po godzinie pracy – Nie wytrzymają burzy, ale lepsze to niż nic.

Posługując się latawcami, podnieśli prowizoryczny żagiel na wzór tych, które już stanowiły wyposażenie statku, i zyskali w ten sposób kilka metrów kwadratowych ożaglowania.

Requiem było coraz bliżej, niecały kilometr od nich.

Kiedy godzinę później odległość zmalała do zaledwie pięciuset metrów i nie było już żadnych wątpliwości, że stwór zaraz ich dorwie, Matt uprzedził swych towarzyszy:

– Włóżcie ekwipunek, żeby w razie czego być gotowym do opuszczenia statku. Nie możemy z nim walczyć, jeśli zaatakuje, trzeba będzie uciekać przez Ślepy Las i mieć nadzieję, że je zgubimy w gąszczu.

Matt odnalazł kamizelkę kuloodporną, której nie nosił prawie od tygodnia, miecz i duży plecak. Amber popędziła do kajuty, skąd wyszła z zapasami żywności, które wraz z pełnymi manierkami rozdzieliła między wszystkich.

Requiem znajdowało się teraz w odległości dwustu metrów i parło naprzód, wzbijając chmurę zielska.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że nic ich już nie uratuje. Matt się wahał. Jeżeli będą zbyt długo zwlekać, Requiem dorwie ich lada moment, z kolei jeżeli wyskoczą teraz,

mogą się pokaleczyć z powodu pędu.

Podszedł do burty. Liście rosły gęsto. Wystarczająco gęsto, by zamortyzować uderzenie.

– Jesteście gotowi? – upewnił się.

Amber i Tobias przytaknęli nieśmiało.

Matt przełożył nogę przez reling.

– Musimy wyskoczyć wszyscy naraz, bo inaczej się pogubimy na dole! – ostrzegł.

Tobias powstrzymał go, chwytając za ramię, z dłonią wyciągniętą przed siebie.

– Patrzcie! – wykrzyknął drżącym głosem, w którym strach mieszał się z nadzieją.

Suche Morze nagle się urywało. Niecały kilometr dalej niebo zdawało się schodzić pod linię horyzontu.

Widok ten dodał im siłę, by ciągle wierzyć. Pobiegli na dziób, usiłując dojrzeć, co jest dalej, nic jednak nie zobaczyli. A jeśli nic tam nie ma? Matt przypuszczał, że będą nadal płynąć w powietrzu dzięki balonom. Wówczas wystarczy zmniejszyć przepływ gorącego powietrza, dokręcając zawory, żeby móc stopniowo usiąść na ziemi.

Mają szansę się z tego wyplątać!

Matt oszacował dystans dzielący ich od Requieru.

Dobre sto metrów. Ile czasu minie, nim osiągną ich macki? Pięć minut?

Zbliżali się do brzegu Suchego Morza.

I oto gdy mijali ostatnie drzewa, ich oczom ukazała się panorama: las opadał stromym zboczem ku olbrzymiej równinie. Niecałe pięć kilometrów dalej majaczył widowiskowy skraj Ślepego Lasu, który przekształcał się w skromny zagajnik.

Czerwone Requiem było tuż-tuż.

Kiedy statek szybował nad otchłanią, ogromna macka wyciągnęła się, usiłując ich trafić. Na widok przyssawek Matt pojął, że zaraz zostaną szarpnięci do tyłu. Requiem ich utopi, a potem pożre.

Jednak potwór, zaskoczony, że jego środowisko się niespodziewanie kończy, owinał macki wokół ostatnich pni i przerwał naraz swój szalony pościg. Macka rąbnęła w statek z fenomenalną siłą, wrywając całą ładownię i rozorując delikatną konstrukcję. Uderzenie odrzuciło Amber, Tobiasa i Matta. Uczepiony kurczowo Tobias zdołał się utrzymać na miejscu, za to Amber i Matt poszybowali dalej i jak nic wylecieliby za burtę, gdyby Matt nie zdążył chwycić się poręczy i złapać za plecak Amber.

Requiem się wycofało, gąbczasta masa zanurzyła się z powrotem w trzewiach swojego świata ciemności.

Tylko że statek został pozbawiony jednej trzeciej kila. Klatki Dmuchaczy zniknęły, a z uszkodzonego kadłuba dobiegał niepokojący świst.

Matt szarpnął ramieniem, którym przytrzymał Amber, kiedy zaś zdołał ją wciągnąć na pokład, poturlali się po deskach. Oczy wychodziły jej z orbit, była oszalała ze strachu. Już widziała własną śmierć.

Statek zaczął gwałtownie spadać.

Liny podtrzymujące balony pękały jedna po drugiej, wypuszczając gorące powietrze.

Tonęli, uderzając o znajdujące się poniżej wierzchołki drzew. Żagle nadal pchały ich naprzód, jęli więc pędzić w dół z szybkością błyskawicy; przy każdym uderzeniu czubki wysokich świerków coraz bardziej rozorywały kadłub, dziobnica się rozpadała na kawałki, to, co zostało ze steru, gdzieś odfrunęło, wywietrznik oderwał się i odleciał, przecinając po drodze pozostałe liny odciągowe przytwierdzające balony i o mało nie pozbawiając głowy Tobiasa.

Następnie pokład się rozsypał, ostatnie balony się pozrywały, zaś rufówka, gdzie znajdowało się Przymierze Trojga, nadziała się na pagórek, wyrzucając całą trójkę kilka metrów dalej.

Nad wrakiem uniosła się chmura pyłu w kształcie grzyba, podczas gdy żagle uwolnione od ciężaru na końcach lin kontynuowały swój lot w powietrzu. Nabrawszy wysokości, wkrótce stały się tylko punktami na błękitnym niebie.

Trójka nastolatków rozciągnęła się jak długa bez czucia.

U stóp południowych zboczy Ślepego Lasu.

Na ziemiach Malroncji.

Część druga

Miejskie królestwo

Tropem karawany

Tobias odzyskał przytomność z powodu bólu.

Czuł silne rwanie w lewym boku. Otworzywszy oczy, najpierw stwierdził, że już nie jest na statku. Jego szczątki leżały dziesięć metrów dalej porozrzucone wśród skał. Amber i Matta nigdzie nie było widać.

Zamierzał się podnieść, ból okazał się jednak tak mocny, że aż jęknął.

Z biodra sterczał mu długi kawałek drewna. Widząc, jak zwisa w aureoli krwi, która poplamiała mu ubranie, Tobias o mało nie zemdlął; zdołał wziąć się w garść, oddychając głęboko. Jedną ręką pociągnął za palik, drugą przycisnął ranę. Na szczęście bardzo ostry koniec nie utkwiał zbyt głęboko. Mimo wszystko musiał oczyścić ranę.

„Najpierw kumple!”

Zostawił plecak i przejrzał szczątki statku w poszukiwaniu przyjaciół. Znalazł nieprzytomnego Matta w trawie, nieco dalej zaś Amber; oboje mieli mnóstwo krwiałków i zadrapań. Gdy ochlapał im twarze wodą, odzyskali zmysły i uświadomili sobie doznane szkody.

– Mieliliśmy diabelny fart, że cała trójka wyszła z tego bez szwanku! – zdziwił się Matt. Tobias podniósł podkoszulek, odsłaniając paskudną, obficie krwawiącą ranę.

– Mówcie za siebie! Ja chyba zaraz zemdleję!

Matt obejrzał uważnie ranę, uspokoił się jednak, stwierdziwszy, że jest zaledwie powierzchowna.

– Amber, możesz mi podać apteczkę? – zapytał. – Lepiej, żeby nie wdało się zakażenie.

Właśnie kończył przykładac opatrunek, gdy Amber wskazała słup dymu na niebie, mówiąc:

– Wygląda na to, że za tym wzgórzem coś się dzieje.

– Zostańcie tutaj, pójdę rzucić okiem.

Podczas gdy Matt wdrapywał się na pagórek, sadząc dużymi susami, Tobias i Amber zbierali swoje rzeczy.

Po chwili ujrzeli, że Matt pędem wraca.

– Mamy gości! Patrol Cyników, musimy się gdzieś szybko zadekować! – zawołał.

Ledwie zdążyli podbiec do kępy kolczastych krzewów, pod które się wczłógali. Za takim labiryntem cierni nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Kto szedł ostatni? – zapytał Tobias. – Ty, Matt, nie? Pamiętałeś, żeby zatrzeć ślady? Żeby nas nie wysłedzili tutaj!

– Spoko.

Wtem pojawiło się pięciu czarnych jeźdźców z włóczniami. Przemierzyli całą strefę wypadku, bacznie przepatrując szczątki.

– Wygląda zupełnie jak statek! – wykrzyknął jeden z nich.

– Co on tu robi? Przecież w promieniu co najmniej dziesięciu kilometrów nie ma żadnej rzeki!

– Nie jest cały, to tylko fragmenty! – zdumiał się trzeci. – To jeden z tych latających statków! Taki jak ten, na który nasz patrol natknął się w zeszłym miesiącu! To te szatańskie dzieciaki o zielonych włosach i dziwnych oczach. Leśne diabły!

– W takim razie gdzie są ciała? Skoro się rozbił, na pewno gdzieś muszą być ciała! Bo przecież chyba nie przeżyli?

– A skąd ja mam wiedzieć? Wystarczy, żebyś zsiadł z konia i obejrzał wrak! Reszta za mną! Zrobimy okrążenie na szczycie wzgórza i sprawdzimy, czy nie spadli na równinę, jazda!

Konie ruszyły galopem, tymczasem cynicki żołnierz przeszukiwał szczątki. Wkrótce dołączyli doń towarzysze.

– Z tej strony nikogo nie ma. Chodź, wracamy do karawany.

– To wszystko? Pewnie są na przedprożu lasu, jeśli się pospieszymy, możemy ich złapać.

– Nie ma czasu, musimy wracać z ładunkiem do Babilonu. Co rzekłszy, spiął konia i odjechał wraz ze swoimi ludźmi.

Kiedy zniknęli, Przymierze Trojga wyczłogało się z kryjóvky i otrzepało.

– Jeśli pójdziemy za nimi, oczywiście trzymając się w odpowiedniej odległości, doprowadzą nas do jednego ze swoich miast – podsunęła Amber.

– To potwornie niebezpieczne! – odparł Tobias, cały drżąc.

Matt, któremu pomysł dziewczyny zdążył przypaść do gustu, czym prędzej ruszył w drogę.

Dotarłszy na drugą stronę wzgórza, ujrzeni całą karawanę koni, wozów ciągnionych przez niedźwiedzie i jakichś pięćdziesięciu mężczyzn posuwających się na piechotę. Nad pełnymi tobołów wozami łopotały czarno-czerwone sztandary. Po minucie Cynicy ruszyli dalej, wzbijając tuman brunatnego pyłu.

Odczekawszy, aż karawana stanie się zaledwie widoczną w oddali czarną linią, Przymierze Trojga podążyło za nią, kierując się ulotnymi śladami, jakie pozostawiła na niebie. Mieli obolałe ciała, z każdą godziną marszu nasilały się bóle głowy, żadne z nich się jednak nie skarżyło, zbyt bowiem skupili się na wpatrywaniu w horyzont.

Jakież było ich zdziwienie, gdy wkroczyli na bezkresne pole ognistoczerwonych maków; szkarłatna piana owego morza tańczyła na wietrze na tle błękitu nieba. Nie spodziewali się zobaczyć tego wspaniałego widowiska na ziemiach, które wyobrażali sobie jako pępne i jałowe.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie mieli pojęcia o tym miejscu ani o zwyczajach dorosłych barbarzyńców. Mieszkają w miastach czy w obozach? Czy potrafią się wykazać sprytem w innej dziedzinie niż sztuka wojenna? Czy są wśród nich kobiety? Dzieci?

Pod koniec dnia karawana przystanęła i pojawiło się kilka ognisk. Przymierze Trojga także rozbiło obóz, na zboczu wzniesienia, w zagłębieniu terenu. Ukryci w ten sposób mogli również rozpaść ogień i upiec trochę mięsa, które zabrali z Gniazda.

W blasku płomieni pocerowali ubrania podarte podczas upadku. Tobiasz przemyślał sobie ranę, Matt zaś skorzystał z okazji, żeby zdjąć kamizelkę kuloodporną, która mu ciążyła. Kiedy kładł się spać, brak Kudłatej wydał mu się jeszcze bardziej dotkliwy. Matt lubił zasypiać przytulony do psa. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła wypełnić pustkę, którą Kudłata po sobie zostawiła, czy zdoła o niej zapomnieć. Zamknął oczy, słysząc pohukiwania sowy w pobliżu.

Była to ich pierwsza noc na łonie natury po tygodniu spędzonym w wygodnych łóżkach, toteż mimo miękkich śpiworów twarda ziemia i nocna wilgoć przeszkadzały im w spaniu.

O świcie Amber gdzieś zniknęła, po czym wróciła zawiedziona, nie znalazłszy nigdzie wody do umycia. Ledwie na niebie ukazał się słup dymu, podjęli wędrówkę na nowo.

Przed południem w promieniach oślepiającego słońca bolały ich stopy, a plecaki zdawały się ważyć tonę. Zdążyli przywyknąć do chłodu, jaki panował w Gnieździe, wysoko na szczycie Ślepego Lasu, zapomniawszy, że na równinie właśnie jest lato. Pocili się obficie, dużo pili, toteż zapasy wody malały.

Od kilku kilometrów posuwali się czymś, co przypominało ścieżkę: trawa była tu

zgnieciona, o ile jej miejsca nie zajmowała spękana ziemia. Częste wędrówki wyźłobiły brudę, która przecinała lasy i polany zarośnięte wysokimi paprociami, a dalej pięła się zboczem wzgórza. Ich oddziałek był oczarowany różnorodnością kwiatów ścielących się wzdłuż drogi i olśniewających szeroką gamą jaskrawych kolorów we wszelkich możliwych odcieniach, od błękitu poprzez niebieską zieleń aż do fioletu, zmieszanych z purpurą, żółcią i oranżem; prawdziwa paleta barw wydzielala słodkie zapachy, które nasilały się jeszcze pod wpływem słońca.

Tobiasz szedł pierwszy z kciukami zaczepionymi o paski plecaka, ze źdźbłem trawy w kąciku ust, z przewieszonym przez plecy łukiem, który kołysał się w takt jego kroków. Zupełnie jak dzielny mały skaut, którym kiedyś był. Matt zazdrościł mu wyraźnej beztroski graniczącej z nonszalancją.

„To tylko na pokaz – pomyślał. – Przecież Tobie jest z natury lękliwy... Miał wszystko, żeby czuć się dobrze na Wyspie Carmichaela, mimo to znalazł się w tej okropnej sytuacji razem ze mną, bo się przyjaźnimy, bo jestem wszystkim, co mu zostało z dawnego spokojnego życia...”

Nagle Matt sobie uświadomił, że gdyby zniknął, Tobiasz nie miałby już nic. Trafivszy w sam środek tego gigantycznego oceanu, na którym czuł się zagubiony, uczeplł się go niczym koła ratunkowego.

„Co on zrobi, jak zginę?”

Matt nieczęsto myślał o śmierci. A jeszcze mniej o własnej. Prawdę powiedziawszy, to było dziwne. Wyobrazić sobie samo umieranie to jedno, ale co potem? Koniec, nicosc... „A jeśli potem istnieje życie? Raj, piekło? Nie...” Nie wierzył w to. Biblijna wizja wydawała mu się zbyt prosta jak na tak skomplikowany świat. Była tylko sposobem na pokonanie lęków przed życiem i śmiercią. „Jak to określają dorośli? Anksjolityk! Właśnie tym jest!”

Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanawiał, Matt doszedł do wniosku, że tworząc rozmaite cywilizacje, ludzkość ewoluowała dopóty, dopóki nie wypracowała pamięci i projekcji przyszłości. A zatem celu „W takim razie to człowiek nadał sens własnemu życiu, nie Bóg!”

Matt nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Bóg zdołał wszystko przygotować, poczynwszy od mały i na dzisiejszym człowieku skończywszy. „Jakaż by to była katastrofa dla wszystkich pokoleń, które istniały przed nadejściem cywilizacji...”

Następnie pomyślał o bohaterstwie, które tak cenil.

O to właśnie chodzi. By nadać cel własnej egzystencji. Być gotowym do wszelkich poświęceń, byleby zaspokoić swoje dążenia. Czyżby bohaterstwo stanowiło inną odpowiedź

człowieka na pustkę własnej egzystencji? Inną alternatywę dla religii? Nawet jeśli również dającą się pogodzić...

Co się stało tamtego grudniowego dnia, kiedy wszystko się zawaliło? Czy krył się za tym jakiś bóg? Podobała mu się hipoteza wszechmocnej Natury. Nagle przypomniał sobie, jak na wyspie Amber poradziła mu, by bardziej szanował cudze wierzenia.

„Uważam, że ona ma rację. Ziemia w pewnym sensie nas urodziła, byliśmy czymś w rodzaju... eksperymentu, nośnikiem tego, czym ona w istocie jest: życia. Kiedy zaś sprzeniewierzyliśmy się temu, do czego zostaliśmy stworzeni, kiedy zaczęliśmy stanowić raczej zagrożenie dla życia niż środek do jego szerzenia, wtedy Ziemia, Natura ostro przywołała nas do porządku. Były ostrzeżenia, zmiany klimatyczne, powtarzające się kataklizmy. Nie posłuchaliśmy. Wówczas rozzłościła się na dobre. Teraz trzeba zacząć od nowa w oparciu o mocne fundamenty, dostaliśmy drugą szansę, nie wolno jej zmarnować”.

Znienacka zadał sobie pytanie, co się stanie z ludzkością, a przynajmniej z tym, co z niej pozostało, jeśli wojna między Cynikami a Piotrusiami będzie trwała nadal.

„A jeżeli to rodzaj jakiejś gigantycznej próby?”

Niemożność dojścia do porozumienia oznaczałaby kolejną Burzę. Tym razem ostatnią.

Matt był całkowicie pochłonięty wątpliwościami, rozmyślaniami i szybkim marszem, gdy wtem Tobias stanął jak wryty, po czym podbiegł do swych towarzyszy i zepchnął ich na pobocze.

– Kryj się! – krzyknął, skacząc w gęste zarośla.

Ledwie zdążyli się schować, zza zakrętu wyłoniły się dwa galopujące konie, których dosiadali żołnierze w czarnych zbrojach. Tobias odczekał dobrą minutę po ich odjeździe, nim wychynął z powrotem.

– Zdaje się, że za tym lasem jest jakieś miasto, chodźcie!

Wróciwszy na wierzchołek pagórka, skąd dostrzegł zagrożenie, pokazał ręką dolinę.

– Nie do wiary! – zawołał. – Nie do wiary!

Amber z Mattem dołączyli do niego i zapatrzili się na rzekę, przez którą przebiegał kamienny most.

W oddali rozciągało się miasto z bielonej gliny, ze słomy i z drewna; wszystkie budowle były niskie z wyjątkiem neogotyckiego kompleksu, który przypominał kilka kościołów.

– To był uniwersytet – domyśliła się Amber. – Przed Burzą. Cynicy postawili wokół miasto.

Kolejna rzeka, szersza od tej pierwszej, przecinała miasto na pół. W porcie stał

zakotwiczony statek. Natomiast najwyższa wieża uniwersytetu została przerobiona w ten sposób, że dobudowano do niej długie konstrukcje podobne do zawieszonych w powietrzu nabrzeży.

Cynicy okazali się bardziej pomysłowi, niż się wydawało.

Nad całym miastem zaś łopotał czarno-czerwony sztandar królowej Malroncji.

Plan, który dzieli

Uzupełniwszy zapasy wody nad brzegiem rzeki, Amber, Tobias i Matt odczekali, aż nie będzie nikogo na horyzoncie, by przejść przez kamienny most wiodący do miasta. Niecałe pięćset metrów dalej namierzyli idealny punkt obserwacyjny. Przycupnęli więc w szerokim dole między korzeniami i kwitnącymi krzewami. Stamtąd mogli śledzić główną drogę do miasta.

Cynicy wydarli to miejsce ziemi szybko i dokładnie. W całości okalał je wysoki na pięć metrów mur. Zdaniem Matta była to raczej osłona przed drapieżnikami niż ochrona na wypadek wojny. Z tego co zauważył, domy były wąskie i wysokie, o białych fasadach i z widocznym belkowaniem, zwieńczone szpiczastymi dachami i kominami. Wszystko to bardzo przypominało średniowieczne miasto.

Pod łukiem bramy rozprawiali o czymś w najlepsze wartownicy, nie zwracając szczególnej uwagi na ludzi, którzy krążyli w tę i z powrotem, ani tym bardziej na towary, które przewoziły skrzypiące wozy ciągnięte przez osły, konie, a czasami niedźwiedzie.

– Musimy znaleźć inne miejsce, żeby wejść – powiedział Matt. – Mimo że nie są czujni, to i tak zbyt ryzykowne.

Amber przyjrzała mu się uważnie.

– Matt, czy mogę zapytać, co masz nadzieję tutaj znaleźć? – odezwała się.

– Odpowiedzi na nasze pytania.

– Ale my jesteśmy Piotrusiami! Nigdy nie pozwolą nam się zbliżyć!

– Jesteśmy dostatecznie wysocy, żeby udawać dorosłych, wystarczy, że schowamy twarze pod kapturami.

– Przypomnijcie sobie Colina – wtrącił Tobias. – Był Piotrusiem, a mimo to Cynicy go zaakceptowali.

– Cynicy z całą pewnością akceptują nastolatków, którzy niedługo staną się dorośli – oświadczył Matt.

– Myślisz, że jak dorośniemy, wszyscy staniemy się Cynikami? – przeraził się nagle Tobias.

– Mam nadzieję, że nie!

Amber wychyliła się, by zobaczyć wyraźniej bramy miasta, i zawołała:

– Patrzcie! Piotrusie!

Pod nadzorem Cynika miasto opuszczało właśnie, powłócząc nogami, pięć drobnych postaci niosących drewniane cebry. Coś nie grało w ich postawie. Martwe spojrzenie, ściągnięte rysy twarzy; dzieci nie zachowywały się jak uwięzione, tylko raczej jak bezwolne marionetki.

Wówczas Matt zauważył łańcuszek biegnący od pasa Cynika do każdego z dzieci i niknący pod fałdami ich brudnych koszul.

Przeszli niedaleko Przymierza Trojga, by napełnić cebry wodą z rzeki, po czym wracali pod baczynym okiem strażnika. Piotruś na końcu nie posuwał się dość szybko, co bardzo nie spodobało się Cynikowi, który zbliżył się doń z westchnieniem.

– Znowu zaczniesz marudzić? – zdenerwował się. – Jazda, cholerny dzieciaku!

Co powiedziawszy, rąbnął go otwartą dłonią w tył głowy, chłopiec zaś zainkasował cios bez szemrania.

Matt się wyprostował; wszystkie mięśnie jego ciała były gotowe do walki. Zaraz rozedrze tego Cynika na strzępy.

Tobias i Amber chwycili go i wciągnęli pod osłonę liści.

– Odbiło ci? zirytowała się Amber. – Chcesz, żeby nas pozabijali? Przecież strażnicy mogli cię usłyszeć!

Gniew Matta natychmiast opadł; chłopak uzmysłowił sobie, że całkiem utracił panowanie nad sobą. Na widok zastosowanej przez Cynika przemocy oszalał z wściekłości, miał bowiem teraz dość siły, by stawić mu czoło. Wzbudziło to w nim lęk. Czy to cena krwi, którą przelał? Czyżby przemoc, której musiał się dopuszczać w ciągu minionych tygodni, żeby się bronić, skaziła go jakoś?

„Nie, jestem zmęczony i trochę porywczy, to wszystko...” – próbował sam siebie uspokoić.

Tkwili tak godzinę, obserwując miasto, nim obmyślili strategię: zaczekają do świtu, po czym wejdą otuleni płaszczami, z kapturami na głowach. Przy panującym po południu upale nie mogli się tak ubrać, nie budząc podejrzeń strażników. Jeśli nieszczęściem ktoś ich zagadnie, będą udawać, że są nowymi Cynikami, którzy zdradzili klan Piotrusiów. Musieli trzymać kciuki, żeby plan zadziałał.

Korzystając z tej nieoczekiwanej przerwy, odpoczywali, rozmasowując sobie stopy, jedząc kawałek suszonego mięsa albo coś zielonego, co przypominało chleb. Gdy zapadła noc, jej dobroczynny chłód pozwolił im szybko zasnąć.

O brzasku, zanim jeszcze niebo na wschodzie zdążyło się rozjaśnić, Amber obudziła swoich towarzyszy. Podeszli bliżej lasem, który okalał mur, aż znaleźli się ledwie kilkadziesiąt metrów od budki wartownika.

Po obu stronach siedzieli strażnicy, z których jeden najwyraźniej drzemał na stołku.

Czekając na pierwsze promienie słońca, Amber spostrzegła w końcu poźółkłe obwieszczenia zdobiące łuk pod murami obronnymi. Ponieważ z tej odległości nie mogła ich wyraźnie zobaczyć, skoncentrowała się na własnym przeobrażeniu. Czuła, że jest w stanie to zrobić. Kiedy Tobias wypuszczał strzały, potrafiła je poprowadzić odpowiednio daleko. Tylko że tym razem trzeba było postąpić odwrotnie, wychwycić odległy przedmiot i ściągnąć go do siebie, co wcale nie było byle igraszka.

Po kilku minutach skupienia i bezowocnych prób udało jej się odkleić najpierw jeden, potem drugi róg obwieszczenia, które zsunęło się po murze na ziemię. Nikt wokół tego nie zauważył.

Za cenę kolejnego wysiłku sprawiła, że arkusz prześliznął się mozolnie między nogami wartownika aż na trawę. Ostatnie trzydzieści metrów okazało się znacznie łatwiejsze, toteż obwieszczenie przemknęło po ziemi, aż wpadło wprost na otwartą dłoń Amber.

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie o lornetkę? – skarcił ją Tobias.

– Jak mam doskonalić swoje przeobrażenie, jeśli nie będę trenować?

– Co to jest? – zaciekawiał się Matt.

– Nie mam pojęcia, ale całe mury są tym obwieszzone – odparła, rozwijając rulon papieru pergaminowego.

Nagle ich oczom ukazała się czarno-biała twarz Matta. Bardzo realistycznemu rysunkowi towarzyszył odręcznie napisany tekst:

„Z rozkazu Jej Wysokości Królowej każdy, kto spotka tego chłopca, ma obowiązek niezwłocznie powiadomić władze Jej Wysokości. Każdy, kto dostarczy jakąś wskazówkę, która pozwoli go zlokalizować, otrzyma sowitą nagrodę.”

– Kurczę! – zaklął Tobias. – Sprawy się komplikują.

– Już po ptakach! – pokręcił głową Matt. – Nie mogę tam wejść, skoro całe miasto jest oklejone plakatami z moją podobizną!

– Nasz plan nie ulega zmianie prócz tego, że zaczekasz na nas tutaj – oznajmiła Amber.

Matt właśnie miał dać gestem do zrozumienia, że się nie zgadza, Amber pogroziła mu więc palcem, dodając władcym tonem:

– Obiecaliście, że będziecie mnie słuchać, w takim razie coś wam powiem: to miasto tak naprawdę jest okazją, żeby dowiedzieć się czegoś więcej przed powrotem do domu. Tutaj będziemy mogli zebrać wszelkie potrzebne informacje. Tobias i ja wejdziemy do środka, ty tymczasem na nas zaczekasz i obiecasz, że nie zrobisz nic głupiego!

– Nie jestem już dzieckiem – odrzekł za złością Matt. – Nie trzeba mi powtarzać, co mam robić.

Wyczuwając rosnące napięcie, Tobias wołał się nie mieszać do rozmowy, która i tak już została przerwana. Zaczekali jeszcze godzinę. Pogasty latarnie zasilane zwierzęcym tłuszczem, który dawał żółty płomień o lekko czerwonym zabarwieniu. W chłodzie świtu ukazali się pierwsi przechodnie: mężczyzna ciągnący zmęczoną krowę, potem dwaj goście pchający drewniane taczki.

Kiedy Amber i Tobias włożyli płaszcze z kapturem, dziewczyna rzekła do Matta:

– Spotkamy się tam, gdzie spaliśmy, będziesz tam bardziej bezpieczny. Czekaj na nas do wieczora. Jeśli do tego czasu nie wrócimy, to znaczy, że nas złapali albo coś gorszego. Nie próbuj nas ratować, lepiej, żeby zginęło dwoje niż troje.

– Nie mów tak.

Amber wpatrywała się weń przez chwilę, Matt nie potrafił jednak określić, jakie targają nią uczucia. Następnie szybkim krokiem oddaliła się w białym świetle brzasku, w ślad za nią zaś czym prędzej podążył Tobias, który ledwie zdążył się pożegnać z przyjacielem.

Matt patrzył, jak się zbliżają do wielkiej bramy obrzucani nieufnym spojrzeniem żołnierza. Już mieli ją przekroczyć, gdy strażnik ruszył w ich stronę.

W tym samym momencie jego miecz sam się odczepił i spadł mu na stopy, wywołując okrzyk zarówno bólu, jak i wściekłości. Żołnierz schylił się, nie zwracając uwagi, gdy mijali łuk bramy.

„To sprawka Amber, jestem tego pewien!”, pomyślał z uznaniem Matt.

Amber i Tobias znajdowali się w fortecy.

To wszystko, co zdołał zobaczyć, nim zniknęli w labiryncie ulic.

Sklep inny niż wszystkie

Ulice, chociaż wąskie, zastawione były kramami, które kupcy wypełniali owocami, wyrobami ze skóry i drewna oraz plecionymi ubraniami. Targ otwierał się wraz ze wschodzącym słońcem, które stopniowo zastępowało latarnie na tłuszcz. W uliczkach roznosił się zapach pieczonego mięsa, po nim zaś bardziej; słodka woń ciepłego miodu. O tak wczesnej porze główną część populacji stanowili handlarze, którzy głośno rozmawiali pomiędzy kramami, śmiejąc się lub utyskując z byle powodu.

Amber i Tobias posuwali się ostrożnie wśród tego jarmarku odgłosów i zapachów. Widok Cyników bez hebanowych zbroi i obsesji na punkcie pojmania bądź zabicia wszystkich Piotrusiów działał na nich pokrzepiająco. Mało brakowało, a oboje by uwierzyli, że to zwyczajni dorośli w dzień targowy i że wszystko w końcu się ułoży.

Po czym ujrzeni kobietę, pierwszą od czasów Burzy, i doznali szoku. Wstrząs był tym większy, że prowadziła na smyczy ledwie dziesięcioletnie dziecko. Właściwie nie na sznurku, tylko na stalowym łańcuszku przyczepionym do skórzanej bransoletki na jej nadgarstku. Łańcuszek przechodził pod kubrakiem dziecka, który rozchylił się nieco na brzuchu podczas marszu. Wtedy oczom obojga ukazało się całe okropieństwo.

Łańcuszek zakończony był czarnym pierścieniem wkłutym w ciało na wysokości spuchniętego pępka.

Czy właśnie to sprawiało, że dzieci były takie bierne?

Kobieta robiła zakupy, oddając wszystkie sprawunki dziecku, które potulnie wyciągało ramiona.

– Zupełnie jak mały zombie – wyszeptał z drżeniem Tobias.

– Chodź, zabierajmy się stąd, robi mi się niedobrze.

Ulice jeły się wypełniać; Amber i Tobias czuli się coraz lepiej zatopieni w tłumie. Kilka razy natknęli się na obwieszzenie z podobizną Matta. Nie mogąc już tego znieść, Tobias zaczepił jakiegoś przechodnia i wskazując portret, zapytał głosem, któremu usiłował nadać

bardziej męskie brzmienie:

– Hej! Wiesz, czego królowa chce od tego chłopaka?

Mężczyzna zmarszczył brwi, próbując dojrzeć pod ciemnym kapturem twarz osobnika, który do niego przemówił.

– Przecież to królowa, nie? – odparł, wzruszając ramionami. – Może robić, co chce!

Tobias wydał z siebie pomruk, który miał oznaczać aprobatę, po czym oboje się oddalili, za bardzo roztrzęsieni, by ciągnąć tę rozmowę.

– W końcu nas namierzą – oświadczył złowieszczo Tobias.

– Nie, jeśli będziemy się trzymać planu! Wyprostuj się i zapanuj nad strachem w głosie. Musimy znaleźć jakąś karczmę albo coś w tym stylu, żeby posłuchać, co mówią.

– A niby jak zapłacimy? Widziałaś, wymieniają między sobą małe monety! Zdążyli już uruchomić cały system gospodarczy wraz z pieniądzem!

– Czy to cię dziwi u dorosłych? Wystarczy, że w karczmie nie będziemy nic jeść. Jazda, chodź.

Podążali w kierunku uniwersytetu zaledwie od pięciu minut, kiedy Tobias znów znalazł powód do narzekań:

– Mimo wszystko trzeba było zostawić plecaki Mattowi, bo biją po oczach! Na dodatek mój łuk to przecież broń; czuję, że im się nie podoba...

– Przymknij się trochę, dobra? I nie zapominaj, że jesteśmy podróżnymi, ekwipunek pasuje do naszej roli!

– Sorki, kiedy się denerwuję, za dużo mówię.

Wtem w całym mieście rozległ się dźwięk syreny, a wtedy część przechodniów ruszyła w tym samym kierunku; Amber i Tobias postanowili pójść za nimi. Dotarli do dużego brukowanego placu, gdzie zgromadziło się ponad trzysta osób. Do wysokiej bramy w murze wiodła szeroka aleja. Właśnie przejechały przez nią trzy ogromne bambusowe klatki, kierując się na plac. Owe dziwaczne, sięgające niemal dziesięciu metrów wysokości wozy ciągnięte były przez dziesiątki niedźwiedzi. Tobias i Amber rozpoznali w nich klatki na Piotrusiów. Okrągłe i pełne przerażonych dzieci.

– Niedźwziemaki! – zaryczał rozentuzjasmowany tłum. – Niedźwziemaki!

Otoczyło je z pięćdziesięciu żołnierzy w czarnych zbrojach.

Gdy konwój stanął pośrodku gawiedzi, wojownicy otworzyli klatki i zmusili dzieci, by weszły do wielkiego budynku bez okien; jego fasadę zdobiły te same czerwono-czarne sztandary, które widniały w całym mieście, tylko że te miały jeszcze pośrodku srebrne jabłko. Wśród Piotrusiów znajdowały się niespełna pięcioletnie dziewczynki, chłopcy, którzy płakali

rzewnymi łzami, kilku sprawiało nawet wrażenie złośliwie okaleczonych. Nikt jednak się tym nie przejmował. Wepchnięto ich bez ceregieli do owego budynku oświetlonego przez cuchnące latarnie, po czym zatrzaśnięto drzwi.

„Ilu ich jest? – zastanawiał się Tobias. – Co najmniej setka więźniów!”

Jako że tłum się nie ruszał, najwyraźniej czekając na coś jeszcze, Amber i Tobias zrobili to samo. Wreszcie po długich minutach drzwi się otworzyły i wyszły przez nie po kolei łkające, zupełnie nagie dzieci. Zaprowadzono je na podest górujący nad placem i rozpoczęła się licytacja Piotrusiów.

Amber i Tobiasa ogarnęły mdłości.

Gawiedź rozdzieliła w ten sposób między siebie około trzydzięściora dzieci w wieku od pięciu do trzynastu lat. Pokazywano je jak bydło, zachwalając młody wiek, który gwarantował lata dobrej służby, siłę, drobną posturę przydatną w szczególnych pracach, dopóki ostatnie z nich nie zostało sprzedane.

Najgorsze miało dopiero nadejść.

Po uiszczeniu zapłaty każdego Piotrusia ciągnięto siłą ku budzie na kółkach, z której wydobywał się szary dym i odór siarki. Tam chwyciło go mocno dwóch umięśnionych tłuściochów, podczas gdy trzeci, z zepsutymi zębami, wbijał mu w pępek długie rozżarzone szczypcy, które przy akompaniamencie wrzasków biednej ofiary zamykały się nagle, pozostawiając w jej ciele mały czarny pierścień.

Co ciekawe, z chwilą umieszczenia pierścienia krzyki natychmiast cichły. Życie zdawało się uchodzić z drobnej, wykrzywionej strachem twarzyczki, ból i łzy ustawały. Do pierścienia przyczepiano łańcuszek, po czym właściciel się oddalał, prowadząc na nim nowego służącego.

Cynik, który pełnił funkcję licytatora, oświadczył na koniec:

– To wszystko na dzisiaj, resztę trzeba poddać bardziej szczegółowym badaniom związanym z Poszukiwaniem Skór. Zapraszam was na jutro rano i chwała naszej królowej Malroncji!

Spora część gawiedzi powtórzyła chórem:

– Chwała naszej królowej.

I ludzie się rozeszli.

– Chyba zaraz zwymiotuję – mruknęła na odchodnym Amber.

– Oni poszaleli. Są całkiem stuknięci – skwitował Tobias, ocierając dyskretnie mokre policzki.

Kiedy zbliżali się do bardzo uczęszczanej strefy, zapytał przyjaciółkę:

– Jak myślisz, co to jest Poszukiwanie Skór?

– Po tym, co widziałam dziś rano, spodziewam się najgorszego. Znajdźmy jakąś karczmę i opuśćmy to przeklęte miejsce!

Mimo że zauważyli w końcu szyld, na którym widniał chwiejny napis: Tawerna Browar&Żarełko, Tobias przystanął na środku ulicy.

– Co jest? – wystraszyła się Amber.

Tobias skrzył ku zakurzonej witrynie, której szyby były ciemne od brudu.

– Znam ten sklep! – powiedział niemal z radością.

– Bazar Balthazara – przeczytała na głos Amber.

– Już tutaj byłem! W Nowym Jorku! Razem z Mattem i Newtonem! Chodź, trzeba sprawdzić, czy to rzeczywiście ten sam sklep!

Rok wcześniej Tobias oddałby dosłownie wszystko, byleby nie przekraczać jego progu, tymczasem dzisiaj nie mógł się doczekać, by tam wejść, pełen nadziei. W pewnym stopniu kramik stanowił łącznik z przeszłością. Dowód, że tamto życie nie było tylko snem, że naprawdę istniało jakieś przedtem.

Tobias wszedł pierwszy, rozpoznał tajemniczą atmosferę i zapach. Regały się zmieniły, podobnie jak oferowane towary; teraz było tu dużo starych książek i stosy dawnych przedmiotów: zapalniczki, pudełka zapalek, wszelkiego rodzaju okulary, noże różnej wielkości, sztuce, naczynia, porcelanowa umywalka, aluminiowe okna, skrzynki z narzędziami... Gdziekolwiek Tobias spojrzeł, odkrywał fragmenty dawnego życia.

Balthazar siedział na końcu sklepu wsparty na obitej blachą cynkową ladzie. Zmarszczył krzaczaste brwi, podniósłszy wzrok na parę zakapturzonych klientów.

To był ten sam człowiek. Z pobrużdżoną twarzą, kępkami siwych włosów nad uszami, długim wąskim nosem i świdrującymi oczami spoglądającymi przez stare okulary.

Na jego widok Tobias przypomniał sobie powiedzonko, którego jego przyjaciel Newton używał zawsze w takich sytuacjach: „Ale masz brzydką gębę!”, odnoszące się do jednego z ich ulubionych filmów: „Predatora”. Uśmiechnął się z rozbawieniem, nim dopadł go smutek.

„Co się stało z Newtonem po Burzy? Czy naprawdę... nie żyje?” – zadawał sobie pytanie Tobias.

– Czego tu? – odezwał się ochrypłym głosem mężczyzna.

Tobias podszedł wystarczająco blisko, by nie musieć krzyżeć, pozostał jednak w dostatecznej odległości, by jego twarz nie była widoczna w półmroku. Chociaż raz uznał własny kolor skóry za praktyczny.

– Pan jest tym starym Balthazarem, który mieszkał w Nowym Jorku, zgadza się?

– W Nowym Jorku? A co to takiego? – odparł starzec.

Tobias i Amber wymienili szybkie spojrzenia. Czyżby Cynicy stracili pamięć o dawnym życiu?

– Gdzie pan był, zanim otworzył pan sklep tutaj? – naciskał Tobias.

– Zawsze byłem tutaj, od czasów Kataklizmu! Kim jesteś, żeby zadawać takie pytania?

– Proszę wybaczyć, nie pochodzimy z tych stron. Przybywamy z Zachodu – improwizował Tobias. – I pragniemy do was dołączyć.

– Nie widzieliście Ognia Zjednoczenia?

– Nie, a co to takiego?

– Jakies dwa miesiące po Kataklizmie przez kilka tygodni na niebie ukazywały się olbrzymie słupy dymu. Każdy, kto przeżył Kataklizm, całe grupy ocalałych podążały ku tym ogniom. Rozpaliła je królowa Malroncja. To ona nas poprowadziła. Nic wam to nie mówi?

– Nie, na Zachodzie nic na ten temat nie wiadomo – zmyślił Tobias.

Starzec szczęśliwy, że wreszcie może z kimś zamienić parę słów, dodał:

– Wytłumaczyła nam, że z powodu naszych dawnych błędów, grzechów, spadło na nas straszne nieszczęście. Pokazała, jaką drogą powinniśmy podążać, żeby przetrwać. To ona nam wyjaśniła, że przyczyną wszystkich naszych nieszczęść są dzieci!

– Dzieci? – powtórzyła z niedowierzaniem Amber. – Jak to?

– To przez nie wszystko się stało! Z powodu ich beztroski, kaprysów, wybryków! Wszystko to doprowadziło nas do chaosu! Żeby się przypodobać dzieciom, ciągle chcieliśmy więcej, zawsze robiliśmy więcej, aż doszło do Kataklizmu!

– Ale dzieci nie mają z tym nic wspólnego – oburzyła się Amber.

– Oczywiście, że tak! Królowa to wie! Ona ma sny, wiecie... Widziała przyszłość.

– Jaką przyszłość? Poszukiwanie Skór, zgadza się? – dopytywał się Tobias.

Nagle Balthazar stał się nieufny. Wyciągnął szyję, by się lepiej przyjrzeć gościom.

– Powiedzcie no, ile wy macie lat? – zapytał podejrzliwie.

Amber, która wcale nie straciła animuszu, postąpiła krok do przodu i zdjęła kaptur, pokazując twarz.

– Wkrótce skończę szesnaście – oznajmiła. – Może pan być spokojny, nie jesteśmy tacy jak te wszystkie dzieciaki, postanowiliśmy się do was przyłączyć, bo to wy macie rację. Trzymanie z Piotrusiami nie ma przyszłości.

Balthazar żywo przytaknął.

– Ach! Osiągnęłaś Wiek Rozumu! Prawda, że dobrze jest odzyskać wzrok po długim

okresie ślepoty?

– Co to takiego Wiek Rozumu? – zapytał Tobias z mniejszą pewnością siebie niż Amber.

– To, co właśnie przeżyłeś, chłopcze! Kiedy młodzieniec uświadamia sobie w końcu stawkę, o którą toczy się życie, przekracza pewną granicę, przejmuje na siebie odpowiedzialność i staje się jednym z nas. Co tydzień przychodzą do nas podobni do was młodzi mężczyźni i młode dziewczyny, którzy zdradzili swój klan i wreszcie przejrżeli na oczy.

– Colin... – mruknął Tobias.

Najwyraźniej Balthazar miał nadzwyczajne zdolności, bo mimo dystansu odparł:

– Colin? Owszem, znam pewnego młodzieńca o tym imieniu, który niedawno porzucił swój klan.

Amber i Tobias znów wymienili ukradkowe spojrzenia.

– Krościasty szatyn z długimi włosami – podsunął Tobias.

– Zdaje się, że ten krótki opis bardzo do niego pasuje!

– Ha! A wie pan, gdzie go można znaleźć? – dopytywała się Amber.

– Żeby być przyjętym w nasze szeregi, musicie udowodnić swoją przydatność. On obiecał, że odda w ręce naszych żołnierzy cały klan. Ponieważ zawiódł, powinien zostać wygnany, ale pewien człowiek w tym mieście bierze pod swoje skrzydła odrzuconych nastolatków.

– Jak on się nazywa?

– Lepiej się do niego nie zbliżajcie, wierzcie mi, to ktoś, z kim nie należy się zadawać! Nazwaliśmy go Spijaczem Niewinności. Mieszka w wysokiej kamiennej wieży w centrum miasta. Ale jeżeli szukacie Colina, idźcie do tawerny naprzeciwko; zagląda tam prawie codziennie, kiedy Spijacza nie ma w mieście.

– Naprawdę nic pan nie pamięta z przeszłości? – odezwał się Tobias, postąpiwszy krok do przodu.

Balthazar zatarł ręce pod brodą zaintrygowany ciekawskim przybysem.

– Niby dlaczego, mały?

– Po... po prostu tak się zastanawiam, to wszystko.

– Nie, nic nie pamiętam. Teraz opuście mój sklep. Jesteście nowi w mieście, na dodatek młodzi, musicie się jak najprędzej zgłosić do Ministerstwa Królowej. To wasz obowiązek, bo inaczej mogą was aresztować. To w samym sercu miasta, te stare budynki, które wyglądają jak zamek.

Podziękowawszy, Amber pociągnęła do tyłu Tobiasza, chcąc go wyprowadzić. Kiedy byli w progu, Balthazar zawołał:

– Wiecie, powinienem donieść władzom o waszej obecności w mieście! Ale nie uczynię tego. Ufam wam. A teraz spieszcie zalegalizować swój pobyt albo uciekajcie stąd!

Gdy wychodzili na ulicę, Tobiaszowi wydawało się, że oczy mężczyzny nabierają żółtego koloru, źrenice stają się podłużne i pionowe jak u węża. Mrugnął do nich, po czym drzwi się zamknęły.

Stary znajomy

Amber siedziała na kamiennej ławce zdruzgotana.

– To nieuniknione – powiedziała ze smutkiem. – Kiedy dorośniemy, wszyscy się zmienimy i przyłączymy do klanu Cyników.

Tobias opadł obok niej i pozwolił sobie wziąć ją w ramiona, mówiąc:

– To nie pewnego! Popatrz na nas: mimo wszystkiego, co przeszliśmy, wcale nie czujemy się im bliscy! A przecież co do dojrzałości, chyba mi wolno stwierdzić, że absolutnie nic nam nie brakuje!

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to coś więcej niż dojrzałość, to także kwestia... fizyczna.

– Jak to?

I – Pociąg, Toby! Pożądanie! Sprawy, które zaczynają nas przytłaczać; obawiam się, że to nas oddala od młodszych Piotrusiów i że w końcu przestaniemy pozostawać z nimi w harmonii. Seksualność zaburza naszą wewnętrzną równowagę, a jeśli hormony sprawiają, że powoli skłaniamy się ku Cynikom, wtedy nie ma już żadnej nadziei, bo nie da się walczyć z naturalnym rozwojem każdego.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło tylko o to, bo... na przykład mnie zdarzają się czasem sny trochę... Rozumiesz, co mam na myśli? No cóż, to typowe dla chłopców, od dawna już o tym myślę, wiesz? I... eee... nie odnoszę wrażenia, żebym z tego powodu przechodził na złą stronę, rozumiesz?

Amber powoli skinęła głową.

– A poza tym – dodał Tobias – przecież się mówi, że niektórzy dorośli to duże dzieci! Może jeśli zachowa się bez troskę, można się będzie uchronić! Powiedz szczerze, czujesz się bliska Cynikom? Posłuchaj, przyrzeknijmy coś sobie: jeśli jeden z członków Przymierza Trojga zacznie się łamać, pozostali będą musieli go sprowadzić z powrotem na właściwą drogę, OK? Jazda, weź się w garść, taka mina zbitego psa to do ciebie niepodobne! Moim

zdaniem powinniśmy odnaleźć Colina i porozmawiać z nim.

– To ryzykowne, już raz nas zdradził i mógłby to zrobić znowu.

– Och, możesz być pewna, że już nigdy więcej mu nie zaufam! On zabił wujka Carmichaela! Na dodatek uknuł z Cynikami atak na wyspę, już samo to wystarczy, żebym pragnął jego śmierci! Ale jeżeli można by go wykorzystać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, to mi pasuje, dalej, w drogę!

Weszli do tawerny, w której cuchnęło potem i tytoniem. Zamiast okien były tam maleńkie otwory dachowe, lampy na tłuszcz wydzielaly zaś zarówno drżące światło, jak i zjełczały odór. Trzy czwarte pomieszczenia zajmowali mężczyźni, którzy siedzieli rozwaleni za stołami lub grali w karty, głośno rozmawiając. Tobias bez najmniejszego trudu rozpoznał Colina, który siedział samotnie nad pękatym glinianym dzbanem wina. Jego zatopiony w naczyniu wzrok zdawał się stanowić jedność z purpurowym trunkiem. Nadal miał długie kasztanowe włosy, straszliwy trądzik i żółte zęby.

– Niespodzianka – rzucił Tobias, siadając obok niego.

Colin wyprostował się niezdarnie, kiedy zaś wróciła mu pamięć, chciał się zerwać do ucieczki, jednakże stojąca za jego plecami Amber wcisnęła go w krzesło, chwytając za ramiona.

– Spokojnie – powiedziała. – Nie przybywamy tu jako wrogowie. To ty miałeś rację.

– Tak, jesteśmy ci winni przeprosiny – dodał Tobias. – Ci głupi Piotrusie nie zasługują, żeby się za nich bić. Przyszłość jest tutaj, z dorosłymi!

Colin wydał długie westchnienie ulgi, któremu towarzyszyło głośne beknięcie.

– Aleście mi napędzili stracha! – przyznał się, dolewając sobie wina.

– Wchodząc tu, myślałam, że widzę ducha – roześmiała się Amber. – A my sądziliśmy, żeś się utopił!

– O, mało brakowało! Wszelkie możliwe ryby z rzeki pożarły żołnierzy albo to, co z nich zostało, to było piekło! Tamtej nocy opilem się wody tak bardzo, że już nigdy nie będę jej mógł wziąć do ust! – rzucił, podnosząc szklankę i wychylając ją duszkiem.

Obraz rannych żołnierzy schwytyanych przez głębinowe stwory przyprawił Tobiasa o dreszcz zgrozy. Przemoc ta jeszcze dzisiaj wywoływała u niego mdłości.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytała Amber.

– W Babilonie? Prawdę mówiąc, raczej dzięki szczęściu. Przez tydzień błąkałem się po lesie, Żarłocy o mało mnie żywcem nie połknęli, aż w końcu, kierując się dymem, doszedłem do obozu Cyników, którzy patrolowali okolicę. Właśnie oni mnie tu przyprowadzili.

– I przyjęli cię?

Colin znów przechylił szklanę.

– Niezupełnie.

– Więc jak ci się udało tu zostać?

– Mam protektora.

Kolejny łyk. Na widok jego miny Tobiasowi nagle zrobiło się przykro. Colina najwyraźniej coś gryzło. Kimkolwiek był jego protektor, już na samo wspomnienie o nim chłopak pił więcej, niż nakazywał rozsądek.

– Z nami jest inaczej – oznajmiła Amber. – Czujemy się trochę zagubieni w tym mieście, może mógłbyś nam pomóc?

– Tak – poparł ją Tobias. – Powiedz na przykład, co oni robią z Piotrusiami, którzy pętają się po mieście z tymi jakimiś kolczykami w pępkach?

– To pierścienie pępkowe. Na początku żołnierze przeprowadzali wszelkie możliwe eksperymenty na Piotrusiach, których schwytali. Pewnego dnia właściwie przez przypadek odkryli, że umieszczenie w pępku Piotrusia pierścienia ze specjalnego stopu, z którego robią broń, sprawia, że dziecko całkowicie pokornieje. Teraz każdy niewolnik ma taki pierścień.

– A ty nie masz? – zapytał Tobias.

– Nie jestem niewolnikiem! – wykrzyknął Colin, który aż się zapluł. – Przyszedłem tu z własnej woli! Chcę się na ochotnika przyłączyć do armii Malroncji!

Kilka par oczu spojrzało w ich kierunku. Amber przysunęła się do Colina, skłaniając go do ściszenia głosu.

– A kim jest ta cała królowa?

– To ona poprowadzi nas ku przyszłości, ku odkupieniu. Bez niej jesteśmy jedynie dzikusami. Ona się zna, ona wie!

– Co wie? – zapytał Tobias, nie rozumiejąc, do czego Colin zmierza.

– Wszystko! Na temat tego, co się nam przytrafiło, i jak odwrócić tę klątwę, która na nas ciąży! Właśnie dlatego wszyscy ją uwielbiają i służą jej.

– Czy wiesz, dlaczego chce dopaść Matta? Widzieliśmy listy gończe w mieście.

Colin zasepił się, widząc, że wino w dzbanie się skończyło.

– Nie, nie mam pojęcia – wyjąkał. – Tylko królowa wie.

– A czy ty... – zaczęła Amber.

– Za dużo pytań! – przerwał Colin jękliwie. – Zadajecie za dużo pytań! A czy po przybyciu do miasta zameldowaliście się w Ministerstwie?

– Tak, oczywiście – skłamała Amber pewnym głosem.

– W takim razie pokażcie bransoletki! Każdy nastolatek, który zostaje przyjęty, nosi bransoletkę na dowód, że go zwerbowano!

Na widok ich strapionych min twarz Colina wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu.

– Wiedziałem. Jeszcze tam nie byliście. – Wstał z trudem i zachwiał się. – Zaraz na was doniosę, dzięki temu zarobię parę punktów!

Amber i Tobias poszli za nim aż do drzwi, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, ledwie zaś znaleźli się na ulicy, dziewczyna stanęła przed Colinem.

– Nie rób tego, dopiero cośmy tu przybyli, to by mogło nam zaszkodzić w integracji.

– To... nie mój... problem – wybełkotał mocno podchmielony. – Odsuńcie się...

Wtem jakiś cień przysłonił mu twarz.

I całą ulicę. Następnie całą dzielnicę.

Nisko nad miastem krążył olbrzymi sterowiec. Gondola była szeroka niczym trójmasztowiec, żagle zaś miały... Tobias zamrugał kilka razy, aby się upewnić, że nie śni.

Żagle wykonane były z bardzo długiej jasnoróżowej błony o fioletowych refleksach poprzecinanej niebieskimi żyłkami. Jej drgania i pulsowanie wprawiały w ruch białą koronę, z której odchodziły setki przezroczystych włókien ze zwisającą na nich gondolą.

W rzeczywistości balon był gigantyczną podłużną meduzą.

Wówczas Tobias poczuł kwaśny odór i wtedy do niego dotarło, że Colin właśnie zsikał się w spodnie.

– O nie! Wrócił wcześniej – powiedział cały w strachu. – Muszę spadać, muszę wracać!

Wyglądał, jakby w mgnieniu oka wytrzeźwiał.

– Kto to jest? – zapytała Amber.

Colin ruszył biegiem w stronę dawnego uniwersytetu.

– Spijacz Niewinności! – wrzasnął. – Spijacz Niewinności.

Zginać z miłości do zwierzęcia

Noc dłużyła się Mattowi w nieskończoność.

Siedząc na dnie dołu, czekał na powrót przyjaciół i wmawiał sobie, że nie mogło im się przydarzyć nic strasznego. Nikt ich nie zna, nie wyznaczono ceny za ich głowy, tak jak za jego głowę, nie ma więc żadnego powodu, by spodziewać się najgorszego.

Nawet jeśli paru Cyników naprawdę się skrzywi na ich młody wiek, zawsze mogą udać zdrajców, którzy przybywają powiększyć zastępy armii Malroncji.

Tak, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większej nabierał otuchy. Nie grozi im żadne poważne niebezpieczeństwo.

Jednak mimo wszystko! Słońce prawie w zenicie, już południe i ciągle nie ma żadnych wieści...

Od czasu do czasu wspinał się na wzgórze, by popatrzeć na ścieżkę wiodącą do bram miasta. Panował tam większy ruch, niż przypuszczał; wielu ludzi wybierało się do lasu na polowanie, niekiedy w grupach uzbrojonych w łuki, inni wracali, prowadząc osły objuczone ciężkimi tobołami, jeszcze inni nieśli bambusy Tylko że wśród tych wszystkich kręcących się osób nie było ani śladu Amber i Tobiasa.

„Jest jeszcze wcześniej – powtarzał sobie w kółko. – Kazali mi czekać do wieczora. Obiecałem, że nic nie zrobię do tego czasu. Cierpliwości...”

Już dłużej nie mógł. Nie mógł znieść, że nie wie, co się z nimi dzieje, czy nic im nie grozi, czy akurat w tym momencie go nie potrzebują.

Rzucił okiem na bramę. Dwaj strażnicy na warcie. I dwaj kolejni nieco dalej. Istniała szansa, że na szczycie murów nie ma żadnego wartownika. Czy byłby w stanie wdrapać się na te mury?

„Nie ma punktów zaczepienia, a ja jestem kiepski we wspinaczce!”

Przebiegło mu przez myśl, by okrążyć miasto, obejrzeć rozmaite przejścia i może nawet rozważyć wślizgnięcie się rzeką, która przecinała je na pół... Bez sensu, jeszcze go

złapią, w najlepszym razie zwróci na siebie uwagę i nie stawi się na umówione spotkanie, jeśli jego towarzysze zaraz wrócą. To było wręcz kompletne kretynstwo, a przecież obiecał, że podczas ich nieobecności nic podobnego nie zrobi.

Matt gryzł się, czekając. Dla zabicia czasu wyjął plasterek szarego mięsa i zaczął żuć.

Wcześniej, rankiem, nad miasto przybył olbrzymi sterowiec, to było dopiero widowisko, mimo że trwało tylko parę minut. Matt podążał za nim wzrokiem, po czym wdrapał się na drzewo, skąd patrzył, jak cumuje przy najwyższej wieży w mieście, tej z wiszącymi pomostami.

Potem nie było więcej nic ciekawego.

Przełykając ostatni kęs, pomyślał o tym, że nie ma już snów, a raczej koszmarów. Rauperoden... Ślepy Las z pewnością skutecznie powstrzymał jego zapędy! Matt zaczął się zastanawiać, czy on jest śmiertelny... Czy któryś z leśnych stworów mógł zabić Rauperodena? W każdym razie jeśli to w ogóle było możliwe, należało trzymać kciuki, żeby właśnie tak się stało...

Jego myśli podążyły ku Wyspie Carmichaela, którą opuścili już miesiąc temu. Wydawało mu się to mało, chociaż od tamtej pory tak wiele się wydarzyło. Co słysząc u braci Douga i Regiego?

Następnie przed oczami stanął mu obraz rodziców. Serce mu się ścisnęło. Przez te wszystkie miesiące nauczył się o nich nie myśleć, chronić się przed bólem. W głębi duszy wiedział, że nigdy więcej ich nie zobaczy. Burza rozdzieliła ich, podobnie jak miliony ludzi.

Ocalała ledwie garstka, okrutni dorośli barbarzyńcy i porzucone dzieci.

Matt upił łyk chłodnej wody, odpędzając te smutne myśli.

Wyciągnął się na leżących na ziemi rzeczach i splótł dłonie pod głową, wpatrując się w niebo. Powieki jeły mu ciężać, aż całkiem się zamknęły.

Śniła mu się Kudłata, chociaż gdy się obudził, nie pamiętał żadnego konkretnego obrazu oprócz dalekiego, przepelnionego żalem skowytu.

Rozprostował nogi i zrobił kilka kroków, gdy nagle cały zeszywniał.

Rzeczywiście słyszał z daleka psi skowyt. To nie był sen.

Matt wygramolił się z dołu i położył wpatrzony w horyzont.

Właśnie zbliżała się karawana, o wiele skromniejsza od tej, za którą wcześniej podążali: wszystkiego ze dwa wozy i z dziesięciu strażników. Na wozach znajdowały się klatki pełne zwierząt. Psi skowyt dobiegał z jednej z nich.

Konwój przejechał na oczach Matta, który musiał wbić paznokcie w ziemię, by nie rzucić się naprzód, gdy spostrzegł ogromną klatkę z gigantycznym psem w środku.

„Kudłata!”

Jak to możliwe? To niesłychane, taki wielki świat, a ona jest tutaj, pod samym jego nosem, parę kroków dalej.

„Pewnie, że możliwe! – tłumaczył sobie Matt. – Kontynuowała wędrówkę w pojedynkę, idąc ciągle na południe, tak jak my. Może wyczuła mój trop aż tu! Albo schwytał ją cynicki patrol i zabrał tutaj, do ich najbardziej wysuniętego na północ miasta”.

Pies skowyczał.

„To ona! Nie ma cienia wątpliwości! To na pewno ona! Przeżyła w Ślepym Lesie! Kudłata żyje!”

Matt już nie mógł wytrzymać. Rozpierała go radość.

Wtem jeden ze strażników, znużony wyciem zwierzęcia, chwycił kij i rąbnął w kraty.

– Zamknij pysk! – warknął.

Matt wpił się w niego wściekłym wzrokiem.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów i pierwszy wóz znajdzie się w polu widzenia wartowników przy bramie. Co się stanie z Kudłatą? Czy zrobią z niej zwierzę pociągowe? Sprzedadzą ją na jarmarku? Czy mogą się posunąć do tego, żeby ją... zjeść?

Matt nie chciał się pogodzić z myślą, że znów ją straci. Odnalezienie jej teraz było czymś niespodziewanym, wiedział, że nie dostanie drugiej szansy. Musiał działać.

Policzył dokładnie strażników: w sumie było ich trzynastu.

„Dzięki efektowi zaskoczenia to możliwe”.

Ściągnął kamizelkę kuloodporną najciaśniej, jak się dało, złapał miecz i prześliznął się między paprociami i drzewami.

– Zamkniesz się wreszcie? – krzyknął wartownik, dźgając kijem w bok psa, który zawył z bólu.

Tego już było dla Matta za wiele. Zacisnąwszy palce na jelcu miecza, aż pobiełały mu kostki, odgarnął ostatnie gałęzie, stając twarzą w twarz z żołnierzem.

Tamten ujrzał nad głową srebrny błysk i poczuł ból. Oślepił go kipiący strumień czerwonej barwy, po czym strażnik zwałił się na ziemię, wrzeszcząc z bólu.

Nie zostawiwszy żadnej szansy kolejnemu cynickiemu wojownikowi, Matt zamłynkował i odrąbał mu rękę, następnie zamknął gardę. Cynicy nie pojęli jeszcze, co się dzieje, tymczasem Matt wskoczył na wózek i dopóty z całej siły walił w klatkę, dopóki nie rozleciała się na kawałki. Kudłata podniosła łeb i otworzyła szeroko oczy na widok Matta.

Jednakże na wóz wdrapało się właśnie dwóch Cyników uzbrojonych w topór i wekierę.

Matt wykonał półobrót, dzierżąc w dłoni miecz, którego ciosy mężczyźni starali się sparować swoją ciężką bronią.

Żadnemu z nich nigdy by nawet nie przyszło do głowy, że na stolatek może być obdarzony tak wielką siłą.

Potężny cios poderwał ich do góry, kiedy zaś turlali się po ziemi, wekiera, spadając, rozkwaślała twarz jednemu z nich.

Matt zdążył już zeskoczyć z wozu, by stawić czoło drugiemu żołnierzowi, którego powalił dwoma uderzeniami miecza. Nadzwyczajna siła pozwoliła mu rozbroić następnego, natomiast do pozostałych, którzy obserwowali całe widowisko, zaczęło docierać, że z tym chłopakiem dzieje się coś dziwnego. Utworzywszy szereg, ruszyli nań z bronią w rękach.

Matt chwycił topór i cisnął w pierwszego z taką mocą, że Cynik nie zdążył zrobić uniku i oberwał styliskiem w sam środek głowy; drugi został przeszyty na wylot mieczem, który tańczył ze świstem w powietrzu; trzeciemu szczęka wyleciała z zawiasów za sprawą fenomenalnego ciosu pięścią, dwaj pozostali jęli się cofać, trzymając przed sobą miecze niczym tarcze.

Matta zaślepił gniew.

Za każdym razem gdy walczył z Cynikami, ogarniała go taka sama wściekłość. Zmuszali go do przemocy, nie chcąc pokoju i nastając na Piotrusiów. Sami wybrali rolę wrogów, nie sprzymierzeńców.

Ilekcóż stał, która stanowiła przedłużenie jego ramienia, przebijała ludzkie tkanki, wiedział, że wspomnienie tego gestu będzie go dręczyć w snach, że cała przelana krew będzie mu ciążyć na sumieniu. I właśnie to wywoływało w nim ślełą furię.

Nie mógł się wahać, zadawać lekkich ciosów. Poznał to na własnej skórze: nie da się walczyć inaczej niż na śmierć i życie. Żeby zwyciężyć, trzeba się zaangażować na całego, bez półśrodków. I przelewać krew.

Oni go do tego zmuszali.

Nie istniała bowiem żadna inna alternatywa.

Chłopak nie zauważył dwóch Cyników, którzy otoczyli go z pałkami i sztyletami. Kiedy się zamachnęli, jęki rannych zagłuszył dziki ryk. To Kudłata wskoczyła na plecy napastnikom. Dwoma kłapnięciami połamała im ręce.

Matt i Kudłata już mieli uciec do lasu, gdy wtem spostrzegli dziesięciu żołnierzy, którzy właśnie nadbiegli od strony miasta, zdyszani i zdumieni na widok pola bitwy.

– To sprawka tego dzieciaka? – zapytał w osłupieniu jeden z Cyników.

– Co cię napadło, chłopcze? – wykrzyknął ten, który prawdopodobnie dowodził

oddziałem. – Chyba nie narozrabiałeś tak z powodu tego zwierzaka?

– Zejdźcie mi z drogi! – rozkazał Matt.

– Nie bądź idiotą, nie masz żadnych szans, przecież nie oddasz życia za zwierzaka!

Trzech Cyników ruszyło na niego, zanim zdążył odpowiedzieć. Matt trafił jednego z nich czubkiem miecza, rozcinając mu policzek. Wykonawszy obrót, by dodać uderzeniu siły, zranił drugiego w ramię, trzeci zaś nadbiegł tak szybko, że Matt nie zdążył zmienić pozycji broni, by zadać cios klingą, za to rąbnął jelicem tak mocno, że usłyszał pękające kości czaszki.

Cynik runął na plecy sztywny jak deska.

U stóp Matta leżał ponad tuzin mężczyzn: jedni byli martwi, inni w agonii.

Nie dawali jednak za wygraną, sprawiając, że z każdym ciosem chłopak był coraz bardziej wyczerpany. Kudłata powaliła kilku, gryząc i drapiąc każdego, kto się zbliżył.

Nagle w jej boku utkwiała włócznia. Krzyk ранego zwierzęcia podwoił siły Matta, który rozgniół przeciwnika jak muchę.

Rzucił się pędem na pomoc Kudłatej, która próbowała się pozbyć włóczni.

Nie zauważył dwóch jeźdźców, którzy wyrosli jak spod ziemi, trzymając dużą sieć.

Roztrzaskawszy w drobny mak hełm Cynika, który zagrażał mu drogę, Matt już miał pomóc Kudłatej, gdy naraz spadła nań sieć, pozbawiając go równowagi.

Kiedy koziółkował po ziemi, miecz wypadł mu z rąk, kończyny zaplątały mu się w oczka sieci. Chcąc wstać, znów stracił równowagę, po czym z okrzykiem rozpaczony chwycił sieć i spróbował rozerwać ją gołymi rękami.

Konopna lina pękła na oczach oniemiałych żołnierzy.

Jakiś oficer rzucił się na Matta i zaczął go okładać pałką. Kiedy chłopak wyprowadził w zamian prawy prosty, poleciały wszystkie zęby.

Nadbiegł drugi wojownik, po nim następny. Wkrótce na Matta spadł grad ciosów zadawanych kijami przez ośmiu żołnierzy.

Po pół minucie skulony chłopak przestał się ruszać.

Stracił przytomność.

Pies był uwięziony w drugiej sieci.

Jeden ze strażników pochylił się nad Mattem, by posłuchać jego oddechu, i zarechotał:

– Zdaje się, że śmieć dostał za swoje! Nie żyje!

Z satysfakcją splunął na ziemię.

Na widok okaleczonych ciał swoich towarzyszy przestał się wszakże uśmiechać.

Pod ciosami tego dzieciaka padło niemal dwudziestu Cyników.

Bardzo długi dzień

Wczesnym popołudniem w mieście dosłownie wrzało; mali roznosiciele wody nieustannie robili rundki do przecinającej gród rzeki, dostarczyciele drewna układali stopy przed drzwiami domów, a piece do chleba rozgrzewały się przed wieczornym wypiekami.

Amber i Tobiasz krążyli po ulicach, nadstawiając uszu, by wyłowić jak najwięcej informacji.

Dowiedzieli się w ten sposób, że Malroncja ma swą siedzibę daleko na południu, pod czerwonym niebem, w otoczeniu nawiedzonych ziem, w miejscu zwanym przez Cyników WyrdLon-Deis. Już sama nazwa bardzo się Tobiaszowi nie spodobała. Cynicy przybrali czarno-czerwony sztandar, kiedy zaś pośrodku flagi widniało srebrne jabłko, było jasne, że należy ona do królowej, jabłko stanowiło bowiem jej godło. Nieco później Amber i Tobiasz podsłuchali pewną rozmowę: każdy mężczyzna, który zaciągnie się do armii Malroncji, otrzyma sositą zapłatę, a czasem nawet ziemię uprawną na zachodzie. Dowiedzieli się również, że budową domów kierują kobiety oraz że o zamożności rodziny decyduje liczba posiadanych niewolników Piotrusiów.

– Te same dobre stare zachcianki co kiedyś! – żołądkowała się Amber.

Po kilku godzinach stało się też oczywiste, że Cynicy całkowicie stracili pamięć o życiu sprzed Burzy, którą sami nazywali Kataklizmem.

Sterowiec-meduza nie przestawał urzekać Tobiasza, który podziwiał go spomiędzy fasad budynków, jak mógł najczęściej.

Ostatecznie nie dostali się do dawnego uniwersytetu, musieliby bowiem w tym celu przejść przez most nad zieloną rzeką, do czego zniechęciła ich obecność wartowników na obu jego końcach. Teraz, kiedy już wiedzieli o bransoletkach, cały plan wydał im się bardziej ryzykowny.

– W najgorszym wypadku, jeśli nas przyskrzynią, zawsze możemy powiedzieć, że właśnie szukamy Ministerstwa – rzekła Amber do Tobiasza, który zamierzał opuścić miasto.

Głód doskwierał im coraz dotkliwiej, tym bardziej że na ulicach roznosiła się nieustannie woń pieczonego kurczaka i gorącego chleba.

– To mi przypomina Nowy Jork – oznajmił Tobias. – W całym mieście śmierdzi spalonym tłuszczem! Brakuje mi tego zapachu...

Od jakiegoś czasu mijali coraz więcej patroli.

– Mam zwidy czy naprawdę się rozmnożyli? – zapytał Tobias, wskazując strażników.

– Rzeczywiście wygląda na to, że podwoili czujność.

– Nie podoba mi się to. Chodź, pora się zbierać, już i tak sporo się dowiedzieliśmy.

Wrócili na główną ulicę i właśnie zbliżali się do bramy, gdy wtem dostrzegli oddział straży w hebanowych zbrojach. Tobias pociągnął Amber w cień nadwieszenia domu, chcąc zaczekać, aż żołnierze ich miną. Ujrzeni dwa wozy ciągnące klatki.

– Trzeba go spalić! – ryczał tłum. – Niech spłonie na stosie!

– Tak! Podpalić go! Za to, że zabił naszych mężów! – krzyknęła jakaś kobieta.

Kiedy Tobias i Amber zobaczyli, że w klatce leży Matt, serca im zamarły. Kudłata też była za kratami.

Znajdujący się na wozie oficer wywrzaskiwał rozkazy:

– Podwoić liczbę straży i wzmocnić kontrolę! Zaraz zawiadomię doradcę, że możemy mieć intruza!

Tobias trącił Amber łokciem, kierując jej uwagę na bramę: dostępu do niej broniło ośmiu żołnierzy, którzy przyglądali się bacznie każdemu, kto wchodził lub wychodził. Przeszukiwali nawet wozy, wbijając włócznie w słomę albo kopiąc tobołki z towarem.

– Toby, powiedz, że on nie jest martwy.

– Matt? Niemożliwe! On nie może umrzeć.

– Jednak źle wyglądał. Chodź, musimy pójść za nimi, dowiedzieć się, gdzie go zabierają.

Tobias rzucił ostatnie spojrzenie na bramę.

– I tak ucieczkę z tego piekielnego miejsca mamy już z głowy – powiedział cicho.

Pamiętając o tym, by trzymać się w bezpiecznej odległości, podążali za oddziałem żołnierzy otaczających Matta. Wówczas Tobias zauważył, że drugi wóz jest wypełniony trupami Cyników.

– Jak nic, nadziali się na Matta! – mruknął pod nosem.

Konwój rozdzielił się na rynku, gdzie rano odbyła się licytacja, Matta zaniesiono zaś do budynku, nad którym powiewały sztandary z jabłkiem.

– Coś mi tu śmierdzi – oświadczył Tobias. – To budynek królowej. Na pewno go

rozpoznali!

– Może nie. Zaraz go rozbiorą i przeprowadzą badanie do tego ich Poszukiwania Skór. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, nie ruszy się z tego miejsca co najmniej do jutra rana. To nam daje trochę czasu.

– Czasu na co?

– Żeby się zorganizować. Chodź!

Amber cofnęła się w labirynt krętych uliczek przecinających północno-wschodnią część miasta, następnie poszukała na terenach niezabudowanych stosu desek i gruzu. Pozbierała wszystko, co im ciążyło, łącznie z łukiem Tobiasa, i ukryła pod spodem, pozostawiając pod płaszczem tylko niezbędne minimum.

– W ten sposób mniej się będziemy rzucać w oczy – skwitowała, podczas gdy Tobias sprawdzał stan noża myśliwskiego.

– Widziałas? – odezwał się Tobias. – Tam była Kudłata! Ona żyje! Kiedy Matt się o tym dowie, oszaleje ze szczęścia!

– Wątpię, żeby już o tym nie wiedział. Myślę nawet, że dał się złapać, próbując ją uwolnić.

Tobias przytaknął; wydawało się to logiczne i bardzo pasowało do tego, do czego był zdolny jego przyjaciel.

– Zastanawiam się – przemówił po chwili milczenia – dlaczego złapani Piotrusie nie wykorzystują swojego przeobrażenia, żeby uciec.

– Przypuszczam, że większość nad nim nie panuje; to nadal jest obca, prawdopodobnie przerażająca siła. I tak zaraz po założeniu pierścienia pępkowego stają się potulni. To coś najwyraźniej odbiera im całą wolną wolę. Już na samą myśl o tym dostaję mdłości. Tobias, obiecaj mi, że cokolwiek się wydarzy, nigdy nie zostawisz mnie z czymś takim w ciele! Już wolę umrzeć.

– Nie łam się. Nie dostaną nas.

Nim ruszyli dalej, Tobias zapytał, wskazując obydwu plecaki:

– Mamy jakieś jedzenie?

– Nie, zostawiłam wszystko Mattowi, żeby mi było lżej.

– Ja tak samo! – skrzywił się Tobias. – Muszę coś zjeść, bo inaczej nie wytrzymam.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Ale nie mamy pieniędzy!

Amber nie odpowiedziała, tylko pociągnęła go za ramię na brzeg rzeki, gdzie zgromadzili się handlarze pieczonym mięsem i warzywami. Odczekała dobrą chwilę, gdy zaś

nie było już ani jednego klienta i nikt nie pilnował towarów, skoncentrowała się na pieczonym kurczaku, podniosła go na odległość i sprawiła, że przyjechał do nich. Ze skradzioną zdobyczą w rękach skręcili pędem w jakąś uliczkę, żeby ją spałaszować.

Ledwie skończyli jeść, pojawiła się przed nimi masywna postać.

Właściciel kramu z pieczystym stał z siekierą w dłoni.

– Wiedziałem! – zagrział.

Rzucił się na nich, lecz Tobias, który okazał się znacznie szybszy, rzucił mu kości kurczaka w twarz, a nawet zdążył go rąbnąć w żołądek, zanim grubas zdołał pojąć, co się dzieje.

Oboje czmychnęli na drugi koniec ulicy, kiedy zaś sprzedawca zaczął im deptać po piętach, Amber otworzyła pierwsze lepsze drzwi, żeby się na nie nadziać, co skończyło się upadkiem prześladowcy.

Przyczaili się na tarasie domu z płaskim dachem, po czym upewniwszy się, że już nikt ich nie ściga, wreszcie mogli odpocząć.

– Długo tak nie damy rady, zaraz nas namierzą – oświadczył Tobias.

– Właśnie dlatego nie ruszamy się stąd aż do wieczora. Jak znam dorosłych, w nocy wyjdą na ulice i będą pić wino, a wtedy ich czujność osłabnie.

Ucięli sobie drzemkę trwającą aż do zmierzchu, podrywając się na najłżejszy szelest na drodze poniżej.

Zapłonęły lampy na tłuszcz, rozpraszając mroki nocy, wkrótce też w ciemnościach zatańczyły setki świateł.

Ze swej kryjówki Amber i Tobias mogli dojrzeć przeciwległy brzeg, dawny uniwersytet i jego kamienne budowle nadgryzione zębem czasu, łuki i gargulce. Nad najokazalszą, Ministerstwem Królowej, łopotał sztandar z jabłkiem. Wyżej wznosiła się wieża Spijacza Niewinności, na której szczycie falowała gigantyczna meduza. Tobias podziwiał ów widok, zastanawiając się, co to za cienie migają niekiedy za oświetlonymi oknami.

Uniwersytet otaczał duży park tak dziki, że wyglądał jak las, dalej miasto ciągnęło się aż do zachodnich murów.

Widząc to wszystko, Tobias uświadomił sobie, że Cynicy są o wiele bardziej rozwinięci, niż Piotrusie przypuszczali. I co ważniejsze, bardziej liczni.

Jeśli postanowią ruszyć wszyscy naraz, żaden klan Piotrusiów nie zdoła im się oprzeć.

Tobiasa przeszył dreszcz.

– Czas zejść na dół – ostrzegła Amber.

Z kapturami nasuniętymi na oczy wrócili na rynek i stanęli naprzeciwko miejsca, gdzie

więziono Matta.

– I co teraz? – zapytał Tobias.

– Teraz wchodzimy i uwalniamy przyjaciela.

Bóle głowy i stalowa czaszka

Dźwięki przebijały się przez długi tunel, który je zniekształcał. Głosy zdawały się niższe, słowa urywane.

Na zmianę było to za gorąco, to za zimno.

Matt potrzebował czasu, nim zdołał zrozumieć najpierw jedno słowo, potem drugie, wreszcie całe zdania.

Ktoś mówił głośno, bardzo głośno, zbyt głośno:

– Więc gdzie on jest? A, tutaj! Pokażcie mi jego twarz. Tak! To on! Nie ma żadnych wątpliwości! Jesteś pewien, że nie umarł?

– Całkowicie, wielmożny doradco. Oficer, który go badał, nie jest zbyt kompetentny, nie dał rady wyczuć pulsu, ale ja sam go osłuchałem i mogę cię zapewnić, panie, że żyje. Ta dziwaczna kamizelka prawdopodobnie ocaliła mu życie. Niedługo dojdzie do siebie.

– A czy to, co mi mówiono o jego nadzwyczajnej sile, jest prawdą?

– Obawiam się, że tak, panie. Z tego co słyszałem, niewielu ludzi na naszych ziemiach mogłoby się z nim zmierzyć! To nie do wiary!

– Czy wiadomo, dlaczego zaatakował nasz oddział?

– Żeby uwolnić psa. Tak, wiem, to dziwne. Trzeba przyznać, że to raczej wyjątkowy pies; w kłębie mierzy ponad półtora metra.

– Znaleźliście jego rzeczy? To jego plecak?

– W istocie niewiele miał przy sobie, ale przeszukując okolice, natknęliśmy się na to.

– Doskonale. Wezmę to. Psa też; skoro był dla niego taki ważny, chcę go mieć przy sobie.

– Jeszcze go nie rozebrałem na Poszukiwanie Skór, czy muszę to zrobić?

– Nie trzeba, zajmie się tym wyższa instancja. Pójdę teraz odpocząć, powiadom mnie, jak się obudzi.

Matt usłyszał oddalające się kroki, trzaskanie drzwiami, po czym wrazenie gorąca i

zimna znowu wróciło.

Na przemian to drzemał, to miewał chwile półprzytomności, podczas których nie zdołał się poruszyć, mógł jednak słyszeć i czuć. Wszędzie panował spokój. Wokół niego unosił się dość nieprzyjemny oleisty zapach.

W końcu udało mu się otworzyć oczy. Znajdował się na stole pośrodku dużego pomieszczenia, które oświetlały lampy na tłuszcz – to właśnie one wydzielały ów mdlący odór.

Całe jego ciało było obolałe. Wydawało mu się, że mózg tłucze się o wnętrze czaszki.

– O, widzę, że odzyskujesz przytomność, to świetnie. Może chcesz wody? Musisz pić, bo się odwodnisz.

Czterdziestolatek z bujną czupryną i gęstą brodą podniósł mu głowę i przytknął do ust kubek czystej wody.

Kiedy tamten się odwrócił, Matt zamierzał wstać, a wówczas dotarło doń, że jest przypięty do stołu. Szerokimi skórzanymi pasami. Nawet przy użyciu całej swojej mocy nie zdołał ich zerwać. Poczul rozdzierający potężny ból w plecach, żebrach i ramionach, toteż zaprzestał wszelkich wysiłków, aby znów nie stracić przytomności, był bowiem bardzo słaby.

Człowiek zniknął. Po chwili wrócił w towarzystwie innej osoby, otulonej szeroką peleryną z czerwonego aksamitu. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, o chudej wysuszonej twarzy i oczach drapieżnego ptaka spoglądających spod siwych krzaczastych brwi. Do głowy idealnie mu przywierał stalowy czepiec.

– Jak masz na imię? – zapytał, nie siłąc się na łagodność.

Mattowi udało się przełknąć ślinę, ale głosu nie dał rady wydobyć.

Mężczyzna chwycił go za nadgarstek i jednym ruchem wykręcił mu rękę, sprawiając potworny ból chłopcu, który wrzasnął przenikliwie.

– No więc? – naciskał oprawca.

– Matt... – wyjęczał nastolatek. – Matt Carter.

– Co tu robisz?

– Ja... ja...

Ponieważ mówił cicho, mężczyzna musiał się pochylić, żeby go usłyszeć.

– Staram się... napluć w ucho najgłupszemu Cynikowi, jakiego spotkam – powiedział Matt, strzykając odrobiną śliny, jaką miał w ustach.

Mężczyzna się wyprostował, sięgnął po ścierkę, wytarł się i stanął nad Mattem.

Nagle rąbnął go w brzuch, dokładnie tam, gdzie chłopak miał największe siniaki.

Po czym zaczął na nowo, tym razem mocniej.

Matt zawył.

– No więc co tu robisz?

Matt usiłował złapać oddech z sercem łomoczącym z bólu.

– Zgubiłem się – rzucił między dwoma sapaniami.

Mężczyzna zacisnął pięść, ponownie mu grożąc.

– Przysięgam! – upierał się Matt. – Szukałem drogi na południe i trafiłem tutaj!

– Dlaczego na południe?

– Żeby spotkać się z Malroncją, waszą królową.

Zaskoczony mężczyzna uniósł gęstą brew.

– Czego od niej chcesz?

– To raczej ja powinienem zapytać, czego ona chce ode mnie, widziałem list gończy z moim portretem – wyjaśnił Matt ze łzami w oczach.

Mężczyzna bacznie mu się przyglądał. Próbował oddzielić prawdę od fałszu.

– Doskonale – rzekł na odchodnym. – Niech go przeniosą na mój statek. Wkrótce spełnię twoje życzenie, chłopcze. Spotkasz się z Malroncją. – Wykrzywiwszy twarz w grymasie, w którym wstręt mieszał się z okrucieństwem, dodał: – Ale nie sądzę, żeby ci się to spodobało.

Włamanie

Nad miastem latały nietoperze; krążyły, muskając mury i dachy, następnie chowały się w ciemnych kryjówkach, aby połknąć schwytane owady.

Tobias oglądał ów taniec, myśląc o Colinie, który potrafił się porozumieć z ptakami. Przedtem chłopak zareagował tak gwałtownie na powrót swego rzekomego protektora, że zdaniem Tobiasa określenie to raczej tu nie pasowało. Ten cały protektor bardziej terroryzował Colina, niż go bronił.

Tobias skupił uwagę na budynku, w którym przetrzymywano Matta. Już mieli się puścić pędem, by się tam wśliznąć, gdy wtem na moście ukazał się liczny oddział wojska pod dowództwem osobnika w szkarłatnej pelerynie i wmaszerował do środka.

Amber postanowiła opóźnić wejście.

– Przecież nie zjawili się tu dla Matta! – zniecierpliwiał się Tobias. – Proponuję, żebyśmy zakradli się do środka, a jeżeli naprawdę nie damy rady się do niego zbliżyć, zadekujemy się gdzieś i ruszymy do akcji w nocy.

Amber bez słowa pokręciła głową.

Tobias westchnął, krzyżując ręce na piersi.

Wcześniej zabrał łuk z kryjówki, teraz zaś był rozczarowany, że musi beczynn timer czekać.

Przez rynek przeszło pięciu pijaków, którzy śpiewali, podtrzymując się wzajemnie i z trudem łapiąc równowagę.

Nagle z budynku wyłonili się żołnierze i skierowali się tam, skąd przyszli, przez most do Ministerstwa Królowej.

– Nie ma z nimi faceta w płaszczu – zauważyła Amber.

– Nie on mnie niepokoi, tylko te wszystkie typy w zbrojach! Tym razem droga jest wolna, jazda!

Amber chwyciła go jednak za ramię.

Z boku domu otworzyła się właśnie wysoka brama. W stronę mostu pomknęła ciągnięta przez dwa konie karoca. Gdy mijala Amber i Tobiasa, dziewczyna przelotnie zobaczyła jej wnętrze.

W środku znajdował się mężczyzna w czerwonej pelerynie, obok niego zaś nieprzytomny Matt.

– Chodź! – zawołała, przekrzykując rumor, jaki robiły stukające o bruk kopyta. – Nie możemy ich zgubić!

Zbliżywszy się do mostu, zobaczyli wartowników, którzy strzegli doń dostępu. Amber gwałtownie popchnęła Tobiasa, dzięki czemu nikt ich nie zobaczył, wykazała się za to taką siłą, że chłopak wpadł w stos skrzynek śmierdzących kapustą.

Na szczęście stukot końskich kopyt zagłuszył hałas, strażnicy więc nawet nie mrugnęli.

– Na litość boską! – zdenerwowała się Amber. – Jak go zgubimy, będzie po ptakach!

Szukała jakiegoś rozwiązania, wpatrując się bacznie w nabrzeża i fasady domów, które wznosiły się nad rzeką.

Karoca zatrzymała się na drugim brzegu przed wielkim trój masztowcem pod królewską banderą.

Pomimo odległości Amber dostrzegła dwóch strażników, którzy wnosili Matta na pokład.

– Rozpoznali go – pojęła. – Zabiorą go na południe, do królowej Malroncji!

– O nie – odparł Tobias z zaciętą miną. – Wyciągniemy go stamtąd.

– Musimy się dostać na drugi brzeg.

– Oni tu pilnują! – odrzekł Tobias, wskazując wartowników na pokładzie statku. – Nie da się podejść niezauważonym, trzeba pokonać co najmniej pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, zanim się dotrze do trapu! I zapomnij o wejściu na pokład z wody: wygląda na to, że z tamtej strony są jeszcze bardziej czujni.

– Zaczniemy od znalezienia sposobu, żeby przejść przez most – oświadczyła Amber, wstając.

– Dokąd idziesz?

– Znam tylko jedno miejsce, gdzie mamy szansę zdobyć sprzęt. Tobias czym prędzej podążył za nią.

– Nie, tylko nie mów, że zamierzasz się włamać do... Bazaru Balthazara?

– Właśnie że tak!

– Nie, nie, nie! – zaciętrzewił się Tobias. – Nie masz pojęcia, do czego ten gość jest

zdolny! To bardzo zły pomysł! Najgorszy ze wszystkich, jakie ci kiedykolwiek wpadły do głowy! A miałas już sporo dziwacznych pomysłów!

– Ale zawsze działały, prawda?

– Tym razem to co innego... Balthazar to coś w rodzaju... ogra, rozumiesz? W Nowym Jorku każdy dzieciak wiedział, że on jest zły, że facet nie jest normalny, i mogę cię zapewnić, że był dziwny już przed Burzą! On jest podejrzany!

– To jeszcze jeden powód, żeby tam wpaść.

Tobiasowi brakowało argumentów.

– Zachowujesz się jak Matt – jęknął. – To typowa zuchwała decyzja, jaką by podjął.

– Z tego wniosek, że brak mi go tak bardzo, że zajęłam jego miejsce.

Tobias maszerował dalej w milczeniu, zastanawiając się nad jej ostatnią uwagą i nad tym, co Amber miała na myśli.

Bazar Balthazara był pogrążony w ciemnościach. Świeciło się tylko w dwóch oknach nad szybą wystawową.

– Jak nic to on mieszka na piętrze! – ostrzegł Tobias.

– Spróbuję otworzyć zamek. Masz przy sobie miękka substancję?

– Została w plecaku, ale mam coś lepszego.

Tobias wyciągnął kawałek świecącego grzyba, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Świetnie! – zawołała Amber i ruszyła w stronę sklepu, upewniwszy się przedtem, że są sami na niewielkim placu.

Tobias stanął na czatach u wylotu ulicy.

Uzbrojona w grzyb Amber uklękła przed zamkiem, który, jak wiele rzeczy odtwarzanych w pośpiechu przez Cyników, okazał się niezbyt skomplikowany. Dzięki odrobinie koncentracji, obserwacji i dedukcji zdołała przekreślić mechanizm, który głośno szcęknął, budząc nadzieję. Nacisnąwszy klamkę, otworzyła drzwi.

Wtedy przybiegł Tobias i weszli do środka.

W nocy słabo oświetlony białym grzybem sklep robił duże wrażenie.

– Właściwie czego szukamy? – odezwał się chłopiec.

– Czegoś, co pomoże się nam przedostać przez rzekę: kapoków, pontonu albo materiałów do budowy prowizorycznej tratwy.

Krążyli po nieposprzątanym alejkach, podnosząc plandeki, odsuwając sterty składanych krzeseł, przepatrując dokładnie plastikowe skrzynie.

– Nic nie ma – stwierdził Tobias po uważnych poszukiwaniach. – Wszystko na próżno.

– No dalej, odwagi, jeśli będzie trzeba zajrzeć w każdy zakamarek tego piekielnego

miasta, zrobimy to, chodź.

Zbliżali się do wyjścia, gdy wtem w blasku grzyba ukazały się para kapci i długi szlafrok, które zagraadzały im drogę.

Balthazar mierzył ich błyszczącym wzrokiem. Bruzdy na jego twarzy zniecka się pogłębiły, źrenice zaś zwęziły, przybierając podłużny kształt i ustawiając się w pionie, gdy tymczasem białka oczu pożółkły.

Balthazar wystawił cienki drżący język jak u węża i powiedział:

– Nigdy nie znosiłem tych, co to wszędzie wściubiają nos!

Niespodziewane zwierzenia

Balthazar trzymał w dłoniach ciężką laskę.

Tobias był zbyt blisko niego, by dobyć łuku.

Amber podniosła przed siebie ręce przepaszającym gestem, mówiąc:

– Naprawdę bardzo nam przykro, panie Balthazarze, zamierzaliśmy zostawić panu liścik, w razie gdybyśmy coś wzięli, żeby się wytłumaczyć i przeprosić...

– Nie zgłosiliście się do Ministerstwa – rzucił. – Jesteście przestępcami!

Tobias położył dłoń na rękojeści noża myśliwskiego, który miał pod płaszczem.

– Zaraz to zrobimy – skłamała Amber. – Po prostu boimy się reakcji, proszę nam dać trochę czasu.

– Żebyście mi okradli sklep?

– Chcieliśmy się tylko przespać! Szukamy schronienia przed wilgocią!

Balthazar zacisnął szczęki. Jego przerażające wężowe ogromne oczy wędrowały błyskawicznie od Amber do Tobiasa.

– Okłamujesz mnie, moja panno – powiedział cicho. – Dam ci jednak szansę wyjawić prawdę, całą prawdę. Dopiero wtedy zobaczymy, co z wami zrobię.

Amber i Tobias siedzieli przy zniszczonym stole na zapleczu; przed każdym z nich stał kubek gorącego mleka. Mimo że Balthazar się gniewał, zachowywał się uprzejmie. Jego twarz znów przybrała ludzki wyraz, siedział po drugiej stronie stołu w wielkim wyściełanym fotelu i wpatrywał się w nich.

– No więc? – ponaglił, gdy umoczyli wargi w gorącym mleku.

Amber i Tobias spojrzeli po sobie ukradkiem pełni zakłopotania.

– Jest tutaj nasz przyjaciel – zaczęła Amber na oczach zdumionego Tobiasa. – Został uwięziony przez żołnierzy królowej, którzy zamierzają go zabrać daleko od nas. To nasz przyjaciel, nie zrobił nic złego!

– Skoro królowa go chce, możecie być pewni, że ma dobry powód – odparł Balthazar.

– Wyda nas pan? – jęknął Tobias przybity.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Nie była to odpowiedź, jakiej spodziewał się Tobias. Poprawił się na krześle.

– Bo... jest pan Cynikiem?

– Cynikiem? Właśnie tak nas nazywacie na Północy? Cynicy! Ach!

Balthazar wybuchnął hałaśliwym śmiechem, po czym się opanował.

Amber i Tobias sami nie wiedzieli, jak się zachować, nie rozumieli, z kim mają do czynienia.

Odnaczał się wyjątkową przebiegłością, której Cynicy nigdy dotąd nie przejawiali. Jakby na potwierdzenie tego dodał:

– Czy wszyscy rodzice byli aż do tego stopnia obojętni, że wytworzyliście sobie tak zły obraz dorosłych? Mówiąc to, nie chcę was potępiać... Tym bardziej jeśli się weźmie pod uwagę brak ciekawości intelektualnej, który ich teraz cechuje! Oni nie czytają! Z wyjątkiem duchowych doradców królowej, którzy mają swoją biblię... Chociaż dysponujemy tak wieloma dziełami bogatymi w wiedzę, nikt do nich nie zagląda! Mają zbyt dużą obsesję na punkcie odkupienia i przemów Malroncji!

– Skoro stracili pamięć i nie czytają, jakim cudem budują miasta i wytwarzają broń? – zadała sobie pytanie Amber.

– O, w tej dziedzinie jesteśmy mocni! Wspomnienia zniknęły, ale umiejętności nie: murarze, kowale czy po prostu dobrzy majsterkowicze są na wagę złota. Nie mają zielonego pojęcia o własnej tożsamości, o dawnym życiu, za to cięcie kamieni nie sprawia im żadnych kłopotów. Ulotniła się bardzo konkretna część wspomnień.

Nagle do Amber dotarło.

– Pan pamięta, prawda? Burza, przepraszam Kataklyzm nie wymazał panu pamięci!

Usta Balthazara rozciągnęły się w szyderyczym uśmiechu pełnym podziwu.

– Ładna i na dodatek rzeczowa! – stwierdził.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Tobias. – Och! Już wiem! Pan uprawia czary! Więc wszystko, co opowiadano o panu w Nowym Jorku, było prawdą.

Balthazar znów się roześmiał, dzięki czemu wydał się niemal sympatyczny.

– Miałem aż tak złą reputację? – zapytał z rozbawieniem. – Proponuję wam układ, dzieci: moja historia w zamian za waszą. Pasuje wam to?

Amber i Tobias przytaknęli po krótkiej naradzie.

– Doskonale. Powiedzmy, że zawsze pasjonowało mnie to, co ukryte. Zostałem neurologiem na długo przed narodzinami waszych rodziców. Bardzo szybko zaciekała mnie ta rozległa część mózgu, którą nie potrafimy się posługiwać. Badania zawiodły mnie w różne strony świata, sporo pracowałem z antropologami wśród indiańskich plemion, szamanów amazońskich, azjatyckich, indonezyjskich, a nawet australijskich. Wyobraźcie

sobie, że wytworzywszy inną kulturę, inne podejście do życia, niektóre ludy wypracowały odmienny model wykorzystania mózgu, mają inną percepcję niż my! Ostatecznie nabrałem przekonania, że można wykorzystać plastyczność ludzkiego mózgu, aby odkrywać jego nowe obszary, aby znaleźć dla niego inne zastosowanie.

– Więc to nie czary? – zapytał Tobiasz zawiedziony.

– Z pewnością nie! Na co dzień człowiek wykorzystuje zaledwie znikomą część możliwości swojego mózgu, a to, co odkryłem, pozwala opracować codzienną gimnastykę, która ma poprawić ten stosunek. To trochę tak, jakbyśmy zamieszkali w zamku, ale używali tylko środkowych komnat; moje prace umożliwiły odnalezienie drzwi i korytarzy ukrytych za meblami i w zapomnianych zakamarkach, a prowadzących do kolejnych, jeszcze większych pomieszczeń!

– Czy teraz potrafi pan czytać w myślach? – zapalił się Tobiasz. – I podróżować za pośrednictwem umysłu?

– Nie – odrzekł z uśmiechem starzec. – Nic z tych rzeczy. Moja praktyka otworzyła mi umysł, zacząłem inaczej postrzegać własny świat.

– Co? To wszystko?

Balthazar długo przyglądał się Tobiaszowi, nim odpowiedział.

– Moja wrażliwość na ludzi, na wzajemne relacje, a przede wszystkim na przyrodę pozwoliła mi przetrwać Kataklyzm. To i tak dużo, nie sądzisz?

Tobiasz wzruszył ramionami niezbyt przekonany. Nagle zmarszczył brwi.

– Pan nie mówi nam wszystkiego! Pan potrafi się zmieniać w węża!

Na twarzy starca pojawił się kolejny uśmiech.

– W Nowym Jorku byłem w stanie wyrzucić silną presję na twoje postrzeganie, abyś w to uwierzył. Środowisko, siła umysłu i wzroku...

– Nie, nie! – sprzeciwił się Tobiasz. – Widziałem pana przed chwilą, to nie była autosugestia! To się działo naprawdę! Pańskie oczy! Język!

Balthazar żywo przytaknął.

– Wszystko się zmieniło po Kataklyzmie – rzekł. – Dawniej miałem jeszcze inną pasję: węże. Spędzałem z nimi całe godziny, owijały mi się wtedy na rękach lub nogach. Pomagały mi się skupić, wyczuwać swoje wibracje... Tamtej nocy po uderzeniu tej dziwnej burzy nastąpiły gwałtowne zmiany genetyczne. O świcie nie tylko huragan porwał mnie z miasta i przeniósł setki kilometrów dalej, aż tutaj, ale na dodatek sam stałem się... inny. Moje węże zniknęły. Weszły we mnie.

– Połączył się pan z nimi? – wyjąkała Amber.

Starzec pokiwał głową.

– To obrzydliwe! – skwitował Tobias bez ogródek.

– Teraz jestem trochę nimi, a one trochę mną – wyjaśnił Balthazar.

– To dlatego nie jest pan podobny do reszty Cyników – stwierdziła Amber.

– To z powodu pamięci – sprostował. – Oni już w ogóle nie wiedzą, kim są. Są zagubieni, dręczą ich lęki i gniew, które królowa potrafiła uśmierzyć, obiecując im odkupienie i pokazując palcem winnych: was, dzieci.

– I to wszystko dlatego, że stracili pamięć? – zdziwił się Tobias.

– Pamięć to twoja tożsamość, wartość, zaś brak wiedzy uczynił z nich puste skorupy. Malroncji wystarczyło, że zapełniła je uspokajającymi pewnikami, aby zrobić z nich swoje marionetki.

– Zdaje się, że pan się z tym nie zgadza – zauważyła Amber.

– Zachowałem wiedzę. Nie jestem pustą skorupą, którą można dowolnie napęlić, żebym służył i słuchał rozkazów.

Tobiasowi, który odzyskał iskierkę nadziei, wyrwało się znienacka.

– Więc nas pan nie wyda?

Balthazar rozsiadł się wygodnie i odchrząknął.

– Jeśli przestaniecie mnie okłamywać, przemyślę to. Teraz wasza kolej na opowieść, kim jesteście.

Amber zaczęła opowiadać, nie wdając się w szczegóły i nie wspominając o przeobrażeniu; opisała wędrowkę przez Ślepy Las i to, jak trafili tutaj, do Babilonu. Matta schwytano, chociaż nie mają pojęcia dlaczego. Na wzmiankę o mężczyźnie w czerwonej pelerynie Balthazar aż się skulił.

– To duchowy doradca królowej – wyjaśnił. – Ma na imię Erik, to okrutny fanatyk. Jeżeli zabierze waszego przyjaciela ze sobą do WyrdLon-Deis, możecie się z nim pożegnać już teraz.

– To włości królowej, prawda? – zapytała Amber.

– Nazwę tę wybrała Malroncja. Właśnie tam znajdują się kopalnie, w których pracują najsilniejsze dzieci i mutanci. Niebo tam jest czerwone i zasłonięte czarnym dymem z wielkich kuźni, gdzie produkuje się broń. Malroncja ma tam swoje królestwo; krążą słuchy, że jest nawiedzona. Wie, że tam jest bezpieczna, że nikt nie ośmieli się do niej zbliżyć.

Amber wstała, mówiąc:

– Matt nie może popłynąć na południe. Pan nie jest taki jak oni, wyraźnie to widzę, musi nam pan zaufać, nie może nas pan wydać, Cynicy rozgnietliby nas na miazgę, bardzo

pana proszę, niech pan nie postępuje jak...

– Wolnego, mała! Wolnego! Nigdy nie miałem zamiaru rzucić was na pożarcie. Przyznaję, że zabawiłem się w okrutny sposób, żeby was skłonić do wyznań... Kiedy przyszlście tu wczoraj, ogarnęły mnie wątpliwości, nie wiedziałem, czy rzeczywiście jesteście zdrajcami, tak jak powiedzieliście, czy włóczęgami samobójcami. Namawiałem was nawet do opuszczenia miasta, póki czas. Nie musicie się niczego obawiać z mojej strony.

Tobias schował nóż myśliwski do futerału pod stołem. Wcześniej przygotował się na każdą ewentualność.

– Może i jestem dorosły – ciągnął Balthazar. – W każdym razie moim zdaniem bardzo się różnię od tych łatwowiernych baranów.

– Może pan przystać do Piotrusiów – podsunął Tobias. – Bardzo by nam się przydał ktoś pańskiego pokroju.

– Mam dość roboty tutaj! Proszę jedynie o to, żeby zostawiono mnie w spokoju. Jestem obserwatorem, jeśli wolisz. Zobaczę, co da się zrobić, żeby pomóc wam w ucieczce z Babilonu, a tymczasem możecie się przespać na piętrze.

– Nie pójdziemy bez Matta – sprzeciwiła się natychmiast Amber.

– Jest na statku doradcy, już nic nie możecie zrobić.

– Nie odpuszczę. Proszę nie próbować nas od tego odwieść, tworzymy Przymierze Trojga i nic ani nikt nie jest w stanie nas rozdzielić!

– Zdaje się, że niezbyt dobrze rozumiesz: już za późno. Wasz przyjaciel trafił w ręce Erika i...

– Niech pan się nie wysila – ucięła Amber zdeterminowana bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie zostawimy Matta w potrzebie.

Balthazarowi to się nie spodobało.

– Ależ z was uparciuchy! – Pokręcił głową urażony. – A kiedy zamierzacie skoczyć w paszczę lwa?

– Jeszcze dziś w nocy – odparła Amber. – Lepiej nie czekać, aż statek odbije od brzegu.

Muł, porost i ważka

Balthazar zaprowadził Amber i Tobiasa do małej szopy obok swego sklepu.

– Tutaj składuję nadwyżki towaru, specjalne zamówienia i wszystko to, czego nie mogę wystawić w sklepie, bo nie mam miejsca – oznajmił.

– Skąd pan to wszystko bierze? – zapytał Tobias, wpatrując się w materace, meble i skrzynie pełne wspomnień o życiu sprzed Burzy.

– Mam swoje małe sekrety – wyznał tajemniczo. – Więc czego wam potrzeba?

– Czegoś, czym da się przepłynąć rzekę – wyjaśniła Amber.

Balthazar się zachnął.

– Rzekę? – powtórzył, krzywiąc się, jakby samo to słowo było niemiłe. – To niebezpieczne! W tej wodzie jest pełno lepkich groźnych rzeczy!

– Trudno, chyba że może nam pan pomóc przejść przez most?

– Niestety nie, po złapaniu waszego przyjaciela podwojono strażę, a żołnierze nie przepuszczają niczego bez dokładnej inspekcji, tym bardziej w pobliżu Ministerstwa.

– A gdybyśmy się podali za Piotrusiów zdrajców? – zaproponował Tobias. – Że niby domagamy się posłuchania w Ministerstwie, żeby nas przyjęto.

– Tylko nie to! – sprzeciwił się Balthazar. – Natychmiast by was eskortowano do budynku, poddano całej serii testów, to prawie pranie mózgu! Widziałem podobnych wam nastolatków, którzy wchodzili tam pełni wątpliwości, a wychodzili gotowi podrzynać gardła dawnym kolegom! Spędzilibyście tam kilka dni, a zanimby was wypuścili, statek doradcy byłby już daleko.

Balthazar wcisnął się między wysokie regały i długo szperał w wielkich walizkach, nim wrócił z kawałkiem żółtego kauczuku.

– To nadmuchiwana łódź – powiedział. – Pewnie, że nie najlepszej jakości, niestety to wszystko, co mam.

– Idealnie się nada – orzekła Amber, oglądając łódź.

– A kiedy już dotrzemy na drugi brzeg? – zapytał Tobiasz. – Problem dostania się na pokład jest ciągle otwarty! Nie damy rady iść dziesięć metrów nabrzeżem, żeby nas ktoś nie zauważył. Tam nie ma żadnej kryjówki.

– Ścieki – wtrącił Balthazar. – Rzeką możecie się dostać do głównych kolektorów, wystarczy się trochę potaplać, aż znajdziecie kratkę blisko statku i wyjdziecie tuż obok. Kanały są wszędzie, żeby zbierać wodę. Pochodzą jeszcze sprzed Kataklizmu, to najlepszy sposób.

Amber zatarła ręce.

– No i proszę, Tobiasz, teraz mamy już plan!

* * *

Księżyc przesłoniły czarne chmury, w jednej chwili pogrążając Amber, Tobiasza i Balthazara w mroku.

Właśnie kończyli napełniać powietrzem żółty ponton za pomocą pompki, którą naciskało się stopą. Tobiasz tak szybko pompował, że Balthazar nawet nie patrzył w jego stronę, by go ponaglić. Czoło chłopca pokrywała warstwa potu, toteż delektował się nocnym chłodem.

Była już późna noc, niemal wszystkie światła w mieście pogasły z wyjątkiem latarek wartowników i wysokich okien na szczycie potężnej wieży, gdzie przyczepiono sterowiec.

– Kto to taki Spijacz Niewinności? – odezwał się Tobiasz, podziwiając olbrzymi cień meduzy unoszącej się nad dawnym uniwersytetem.

Balthazar się skulił.

– Mielście z nim do czynienia? – zapytał natychmiast przerażony.

– Nie, po prostu jestem ciekaw.

– Tu nie ma nic ciekawego poza tym, że nie należy się do niego zbliżać.

– To ktoś z otoczenia królowej?

– Nie, z pewnością nie, Spijacz Niewinności pracuje wyłącznie dla siebie. Sprzymierzył się, bo mu to pasuje, chociaż nie lubi królowej.

– Więc on też zachował pamięć? – podsunęła Amber.

– Nie wydaje mi się, ale oprócz wiedzy i pamięci istnieją jeszcze inne rzeczy, które sprawiają, że nie jest się pustą skorupą.

– Na przykład?

Balthazar odetchnął głęboko, po czym odparł półgębkiem:

– Podłość. Istota przesiąknięta złem nie jest skorupą, którą można napełnić dowolnie

czymś innym; zło zajmuje w niej zbyt dużo miejsca i mocno się trzyma. Spijacz Niewinności należy właśnie do takich istot. Nie zbliżajcie się do niego!

Tobias nie dawał za wygraną, za bardzo go bowiem intrygował ów osobnik, który posiadał tak wysoką wieżę i tak wyjątkowy sterowiec.

– To potężny człowiek, prawda? Jak on sobie daje radę, skoro nie jest w służbie Malroncji?

– Ma przemożne wpływy, a jeśli cokolwiek mu zawdzięczasz, możesz być pewien, że któregoś dnia każe ci spłacić dług! Każdy kto jest w potrzebie i nie może czegoś zdobyć, przychodzi do niego, a on zawsze znajduje jakąś radę.

– Mógłby dla nas uwolnić Matta? – zapytała Amber.

– Nie! – wykrzyknął o wiele za głośno Balthazar.

Chłopak i dziewczyna padli na ziemię, po czym wszyscy troje odczekali dobrą minutę, nim nabrali pewności, że żaden patrol ich nie usłyszał.

– Nie – powtórzył ciszej Balthazar – bo cena byłaby zbyt wysoka! W ostatecznym rozrachunku nikt nie wygrywa ze Spijaczem Niewinności.

Ponton był gotowy, zaczekawszy więc, aż znów wyjdzie księżyc, spuścili go na wodę, trzymając na linie.

– Powtarzam wam: zrezygnujcie! – nalegał Balthazar. – Jesteście wolni, jeszcze możecie opuścić to miasto!

– Nie bez Matta – odparł Tobias, schodząc po drabince, która zanurzała się w rzece na trzy metry.

Amber stanęła ponad starcem i rzekła:

– Przepraszam za nocne włamanie. Dziękuję za pomoc. Pewnie się więcej nie zobaczymy.

Balthazar wziął rękę dziewczyny w dłoń.

– Gdybyście przypadkiem potrzebowali kryjówki, wiecie, gdzie mnie znaleźć. Powodzenia!

Gdy tylko Piotrusie wsiedli do pontonu, Balthazar rzucił im linę, która ich łączyła z nabrzeżem, po czym oboje chwycili za wiosła i zanurzyli je w mętnych wodach rzeki.

Wkrótce końce wiosel pokryła ciemna lepka błona, Tobias zaś stwierdził, że całą powierzchnię rzeki osnuwa warstwa gęstego mułu.

– Przy czymś takim chyba nie ma tu za dużo ryb – oznajmił ze zdęglowaną miną.

– Mogły przeżyć tylko te największe i najbardziej odporne. To dla nas raczej zły znak.

Na szczęście prąd nie był tak wartki, jak się obawiali, udało im się zatem trzymać kurs.

Wyruszyli z punktu najbardziej wysuniętego na północ w nadziei, że dotrą na drugi brzeg, zanim ich zniesie w kierunku mostu, gdzie mogły ich zobaczyć strażę.

– Jak tylko odbijemy Matta, wskakujemy do łodzi i płyniemy z prądem aż na koniec miasta, całkiem na południe! – zapowiedział Tobias.

– Musimy zdążyć przed wschodem słońca! Patrz, tam, gdzie rzeka wpływa do miasta i gdzie z niego wypływa, są wieże strażnicze. Na pewno nas zauważą i wszystkich zaalarmują.

– Możesz unieść ponton albo chociaż przyspieszyć dzięki przeobrażeniu?

– Jest za duży, a przede wszystkim za ciężki, dam radę najwyżej na kilka metrów, nie więcej.

Tobias wzruszył ramionami.

– W takim razie trudno, będziemy improwizować!

Co pewien czas powierzchnię wody muskały od spodu jakieś ponure kształty, wydając gulgoczące dźwięki. Tobias wołał nie zwracać na nie uwagi.

Stary Balthazar ciągle tkwił w cieniu budynków, śledząc ich wzrokiem. Na myśl o tym nietypowym osobniku, o jego samotności, Tobiasowi ścisnęło się serce. Nie do wiary, że w Nowym Jorku uważali go za tyrana...

Przez dwadzieścia minut wiosłowali jak mogli najszybciej w kierunku lądu, kiedy zaś nabrzeże znalazło się w zasięgu ręki, Tobias nabrał wyraźnej otuchy. Nie zaatakował ich żaden potwór.

Na widok okrągłego otworu kolektora ścieków Amber posłużyła się wiosłem jak sterem, chcąc się zbliżyć do czarnego oka ziejącego w murze. Po kilku wygibasach zdołali się wcisnąć do dziury, Tobias znalazł nawet gwóźdź, o który zaczepił linkę od łodzi.

Chłopiec wyjął z kieszeni świecący grzyb i podniósł przed sobą.

Kolektor miał dwa metry średnicy, jego ściany były pokryte żółtozielonym porostem przypominającym zmierzwione owcze runo.

– Nie dotykaj tego – ostrzegła Amber. – Jeden Długodystansowiec mi opowiadał, że niektóre porosty w podziemiach stały się bardziej parzące niż trujące sumaki.

Tobias odsunął się gwałtownie od ścian.

„Nie mamy odpowiedniego wyposażenia jak na akcję komandosów”, pomyślał. On dysponował jedynie łukiem i nożem myśliwskim, Amber zaledwie scyzorykiem. To za mało, żeby się obronić przed mieczami, toporami i wekierami!

„Dzięki przeobrażeniu może być inaczej”, próbował dodać sobie odwagi.

Pośrodku tunelu stały resztki zgniłej wody, jeśli jednak chcieli uniknąć zetknięcia z porostem, musieli do niej wejść, powodując mimo wszystko głośniejszy plusk, niżby sobie

życzyli.

W labiryncie tuneli rozległo się głuchoe buczenie.

Po chwili jęło narastać i Tobiasowi przemknęło nawet przez myśl, że to może być metro, zanim drgania przybliżyły się na tyle, aby pozbawić go wszelkich wątpliwości.

– To zwierzę! – podsunął. – Na dodatek pruje prosto na nas!

Nagle dopadła ich cała chmara, setki stworzeń rzuciły się na nich, czepiając się włosów lub ubrań. Amber wymachiwała w panice rękami, natomiast Tobias zakrył sobie nos i usta w obawie, że zwierzaki przedostaną się do środka.

Przyświecając sobie grzybem, zdołał się dokładnie przyjrzeć owadom. Były długie, wyposażone w dwie pary skrzydeł... „Ważki. To tylko ważki!”

Nie zabawiwszy długo nad nimi, chmara ruszyła dalej, ledwie zwalniając, po czym wypłynęła na zewnątrz i zniknęła nad rzeką.

Tobias uspokoił Amber, wyjaśniając, że to tylko duże ważki, najwyraźniej jednak to wcale nie zmniejszyło jej obaw.

Skręcili w lewo zaraz na pierwszym rozwidleniu, aby mieć pewność, że będą się posuwać wzdłuż nabrzeża. Widząc pojawiające się co dwadzieścia pięć metrów kratki, które przepuszczały promienie księżyca, Tobias nabrał ufności. Naliczywszy ich siedem, postanowili wdrapać się na górę i sprawdzić swoją pozycję.

Tobias pchnął z całej siły klapę, która podniosła się ze zgrzytem, i powoli wystawił głowę.

Statek królewskiego doradcy, Charon, stał zaledwie trzydzieści metrów od nich.

Chłopiec zszedł z powrotem na dół i pobiegł do następnego włazu.

– Prawie jesteśmy na miejscu – oświadczył.

Prześliznęli się przez kolejną kratkę na powierzchnię. Jeszcze tylko ze sześć kroków i dotrą do trapu...

– Coś tu nie gra – uświadomił sobie naraz Tobias.

– Co takiego?

– Trap! Nie ma już trapu!

Wtedy ujrzeli, że cumy zostały poluzowane, wielkie żagle były opuszczone.

– Odpływają! – zawołał przerażony Tobias, stając.

Statek powoli oddalał się od nabrzeża.

Zapomniawszy o wszelkich środkach ostrożności, Tobias tkwił na widoku, patrząc z najgłębszą rozpaczą, jak Matt im się wymyka.

Płynął na południe.

Prosto w łapy Malroncji.

Tajna broń

Żagle wydymały się na wietrze, wydając przyjemny dźwięk. Ryk oddechu pełną pierśią. Przy łagodności nocy dla Rogera była to magiczna chwila.

Kłęczał w bocianim gnieździe na fokmaszcie, na wysokości dwunastu metrów nad głównym pokładem, mając dzięki temu doskonały widok na nabrzeże i mur obronny, podczas gdy statek opuszczał miasto.

Jako pierwszy oficer i dowódca straży lubił być wysoko w czasie bardziej delikatnych manewrów.

Wydawało mu się jednak przez parę sekund, że widział na nabrzeżu jakąś postać z łukiem przewieszonym przez plecy. Kiedy zaś postać rozplynęła się w półmroku, Roger zapomniał o niej. Teraz, gdy właśnie zostawiali za sobą Babilon, nie był odpowiedni moment, by się tym przejmować.

Na statku nic im nie groziło.

Roger znał na pamięć każdy zakamarek, podobnie jak jego ludzie; byli potężnie uzbrojeni, toteż życzył odwagi każdemu, kto ośmieliłby się na nich napaść!

Mimo wszystko Rogera ogarnęły wątpliwości. Dlaczego u diabła wyobraża sobie najgorsze? Dlaczego myśli o ataku? Przecież nigdy dotąd nie nastąpił...

– Z powodu cennego ładunku – powiedział na głos.

Tym razem to nie był rejs taki jak inne. Przewozili wyjątkowego pasażera.

Roger chwycił się wanty i zszedł na główny pokład, by się upewnić, że wszystko w porządku. Zaraz będą mijać wieże strażnicze stanowiące południową granicę miasta.

Znajdujący się na najbliższej wieży wartownik wychylił się przez blanki i pomachał latarenką, życząc im szczęśliwej podróży.

Wszystko zapowiada się świetnie – pogratulował sobie Roger. – Jak zwykle”.

Musi się pozbyć uczucia niepokoju. Obecność tego chłopca na statku w niczym nie zmieni ich rejsu.

Na pokładzie pojawił się duchowy doradca królowej. Trudno było go nie zauważyć z powodu długiej czarnej szaty i metalowego czepeca przylegającego do głowy.

– Piękna noc na wypłynięcie, doradco – rzekł Roger, chcąc zagaić rozmowę.

– Wypłynięcie mało mnie obchodzi, zupełnie nie mogę się doczekać, aż dotrzemy do WyrdLon-Deis i ofiarujemy królowej to dziecko, którego tak bardzo poszukuje! Czy rejs potrwa krócej niż w przeciwną stronę?

– Skoro będziemy płynąć z prądem, na pewno, panie. Niecałe trzy dni, żeby się dostać do Henok, chyba że zdołamy tam dotrzeć przed zmrokiem, wiesz, panie, chodzi o Zjadaczy Cieni, w takim wypadku odczekamy jedną noc więcej, nim się zbliżymy. Następnie trzeba liczyć dwanaście do dwudziestu czterech godzin, żeby przeprowadzić statek przez Wysokie Śluzę Pięć dni później padniemy do stóp jej wysokości.

– Dziewięć dni! Do diaska, jak długo!

– Czy to właśnie ten chłopiec, którego szukaliśmy, panie?

– Nie ma najmniejszych wątpliwości.

– I rzeczywiście jest tak ważny, jak mówią?

– To sprawa królowej, nie mogę ci powiedzieć.

– Chodzi o Poszukiwanie Skór?

– Zrobiłeś się bardzo ciekawy, Rogerze, co się z tobą dzieje?

– Nic, panie, na statku krążą plotki, to wszystko.

– Jakiego rodzaju plotki?

– No cóż, podobno ten dzieciak może nam zapewnić tak bardzo wyczekiwane odkupienie. Nie chcielibyśmy go utracić.

– Możesz być pewny, że nie utracimy! Każ swoim ludziom podwoić czujność i środki ostrożności, nie pływajcie przez najdziksze regiony, omijajcie Zakażone Bagna w pobliżu WyrdLon-Deis, trudno, jeśli trochę zmitrężymy.

– Możesz na nas liczyć, panie.

– A co z psem? Jest w ładowni?

– Na dziobie, w dużej klatce. Bez przerwy się liże, jest ranny w bok.

– Zróbcie, co trzeba, żeby go wyleczyć, nie chcę, żeby zdechł. Nigdy nie wiadomo, skoro dzieciak ryzykował dla niego życie, może się okazać, że ma znaczenie, królowa to oceni.

Stwierdziwszy, że statek wystaje dobry metr ponad poziom rzeki, Roger powiadomił zwierzchnika:

– Dźdżownica kilu właśnie się wynurzyła, zaraz nabierzemy prędkości. Każę postawić

żagle, możesz pójść odpocząć, panie, za minutę będziemy płynąć szybciej niż wszystkie statki świata!

– Znakomicie. Niech nikt nie wchodzi do kajuty chłopca.

Roger pożegnał zwierzchnika i już miał wydać odpowiednie rozkazy, gdy doradca go zawołał:

– Roger! Odpręż się. Ten chłopiec nie zagraża statkowi. Wręcz przeciwnie, jedyne, co mogę powiedzieć, to że dzięki niemu wkrótce będziemy w stanie zgnieść wszystkich Piotrusiów na ziemi. Stanowi coś w rodzaju tajnej broni, jeśli wolisz...

Słowa te uspokoiły Rogera, na którego twarz powrócił uśmiech. Tajna broń.

Pomysł ten bardzo mu się spodobał.

Pakt z diabłem

Nad linią horyzontu, na której rysowały się dachy i kominy, jutrzienka rozpościerała biały welon.

Amber i Tobias byli zmordowani. Po zbyt burzliwym i zbyt krótkim śnie zdrzemnęli się w pontonie u wylotu ścieków, w otoczeniu smrodu i porostów, niezdolni przemierzyć rzekę na nowo i wrócić do Balthazara.

Czuli się naprawdę przybici, że nie zdołali dotrzeć do Matta.

Tobias obudził się dręczony głodem i rozpaczą.

Ujrzał Amber, która przypatrywała się domom na przeciwległym brzegu szeroko otwartymi oczami.

– Nie da się tu dłużej zostać – oznajmiła. – Ludzie mogliby nas zobaczyć.

– Więc co robimy? Tu nie ma nic prócz przycumowanych łodzi. Nawet jeśli zdołamy nimi popłynąć, nigdy nie dogonimy trójmasztowca!

– Mam pewien pomysł.

Tobias ożywił się nieco i wyprostował. Amber miała zaciętą, zmartwioną minę.

– No więc? – niecierpliwiał się Tobias. – O czym myślisz?

– Zapukamy do bramy wysokiej wieży i poprosimy Colina, żeby zaprowadził nas przed oblicze Spijacza Niewinności.

– Co? Nie słyszałaś ostrzeżeń Balthazara? Pod żadnym pozorem nie wolno się zbliżać do tego typu!

– Tylko on jest w stanie nam pomóc. Bez względu na to, czego zażąda, znajdziemy jakiś sposób, żeby go przekonać.

– A jeśli nas sprzeda Cynikom?

– To ryzyko, które musimy podjąć. I tak nie mamy innego wyjścia. Albo to, albo zostawimy Matta w łapach Malroncji!

– Wolałbym zdechnąć!

– No to jazda.

* * *

Pokonawszy trzy kamienne stopnie schodów, chwyciła w obie dłonie potężną kołatkę zdobiącą drzwi wieży.

Dwa uderzenia rozległy się głośnym echem w całej budowli.

Minęły niemal trzy minuty, nim jedno skrzydło otwarło się wreszcie, po czym ukazała się dziobata twarz Colina.

– Potrzebujemy twojej pomocy – powiedziała na powitanie Amber. – Żeby załatwić nam rozmowę ze Spijaczem Niewinności.

Colin zmarszczył brwi.

– Po co?

– Chcemy mu zaproponować układ.

Colin zerknął ukradkiem przez ramię i wyszedł na zewnątrz.

– Nie róbcie tego – rzekł ciszej. – Nie wchodźcie tu, nic na tym nie zyskacie, wierzcie mi!

– Nie mamy wyboru, naprawdę musisz nas do niego zaprowadzić. Colin długo im się przyglądał.

– Musieliście znaleźć się w rozpaczliwej sytuacji, żeby trafić aż tutaj. Jeśli to dlatego, że Cynicy was nie przyjęli, lepiej zrobicie, wracając do lasu.

– Przyszliśmy z własnej woli – odrzekł z naciskiem Tobias.

– W takim razie zwariowaliście!

Niechętnie ich przepuścił i zaprowadził ku szerokim białym schodom. Minęli kilka pięter i przy każdym czuli zdumienie panującą tam atmosferą. Ściany miały kolor różowy brzoskwiniowy, jasnobrązowy albo morski, a żółte, pomarańczowe i niebieskie dywany ubarwiały dodatkowo już i tak jaskrawy wystrój. We wnękach stały nawet szklane słoje napelnione słodyczami. Tobias, który czym prędzej zanurzył dłoń w jednym z nich, podzielił się z Amber radością:

– Są jeszcze dobre! To miejsce jest genialne!

Amber nie mogła się wszakże pozbyć nieufności.

– Co do mnie, to mi przywodzi na myśl bajki dla dzieci, no wiesz, chatkę z piernika i Babę-Jagę, która czyha w środku na swoje ofiary, koszmarki w tym guście.

Na ostatnim piętrze mięśnie im płonęły i brakowało tchu. Colin kazał im zaczekać na pokrytej niebieskim mchem ławce, a sam wśliznął się przez duże drzwi.

– Jaką mamy monetę przetargową? – zapytał Tobiasz. – Bo nie bardzo wiem, co możemy mu zaproponować.

Amber ciągle miała zmartwioną minę.

– Nie przejmuj się tym – odparła tajemniczo.

Kiedy drzwi się otworzyły, w progu stanął Colin, który skinął na nich, by się zbliżyli.

– Jest gotów udzielić wam audiencji.

Weszli do długiego pomieszczenia wyłożonego fioletowym aksamitem pozszywanym złotą nicią. Na jego końcu znajdowały się mały stolik i wielki fotel, którego oparcie wznosiło się na ponad trzy metry.

Siedział w nim rozparty całkiem zasuszony mężczyzna z cienkim siwym wąsikiem nad górną wargą, ze zbyt blisko osadzonymi oczami w stosunku do wąskiego nosa i z wysokim czołem, nad którym widniała czerwona czupryna przypominająca biret kardynalski.

– Oto oni, panie – oświadczył Colin, zginając się wpół.

Spijacz Niewinności z pewną pogardą odwrócił ku gościom tkwiącą na chudej szyi głowę.

– Zbliżcie się! – rozkazał. – Żebym was lepiej widział.

Na widok Amber i Tobiasza, dwojga nastolatków, pozbył się rezerwy, na jego wargach pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Kto was przysłał? – zapytał.

– Nikt – odrzekła Amber. – Przychodzimy z własnej woli, żeby prosić pana o przysługę. Powiedziano nam w mieście, że jest pan osobą, która potrafi wszystko załatwić.

– Rzeczywiście, tak o mnie mówią. A czego może sobie życzyć dwójka młodych ludzi tutaj, w Babilonie?

– Dziś w nocy naszego przyjaciela zabrano statkiem na południe, a my go musimy jak najprędzej odnaleźć.

Uśmiech zastygł na twarzy Spijacza Niewinności.

– Tylko tyle? W nocy mógł odpłynąć tylko jeden statek: Charon, należący do Erika, duchowego doradcy królowej. Tego rodzaju pościgu nie organizuje się ot, tak!

– Na jego pokładzie jest nasz przyjaciel, to chłopiec, którego podobizna okleja całe miasto! Ten, którego królowa Malroncja tak usilnie szuka.

– W czym mogłoby mnie to dotyczyć?

– Musi być kimś ważnym, skoro królowa aż tak bardzo chce go dostać! Nie chciałby pan się z nim spotkać, zanim królowa go uwięzi?

Spijacz Niewinności poskrobał się po brodzie, zaciskając usta.

Tobias skorzystał z okazji, żeby przysunąć się do Amber i szepnąć:

– Co ty wyprawiasz? Chyba nie oddamy Matta temu porąbańcowi?

– Wszystko w swoim czasie – odparła również tonem spiskowca. – Najpierw trzeba wydostać Matta z rąk Cyników!

– Co proponujesz? – zapytał Spijacz Niewinności.

– Jeżeli pan... – zaczęła Amber.

– Stop! – przerwał jej. – Połóżcie na stole przed wami to, co ofiarujecie mi w zamian za pomoc. Ja właśnie tak działałam. To stół ofiar. Stół podarków.

Amber wydawała się zbита z tropu. Zawahała się, po czym wzięła z powrotem w garść i wyjaśniła, nie zwracając uwagi na stół:

– Pan nam pomoże dogonić statek i odzyskać Matta, a następnie my odpowiemy na wszystkie pana pytania. W ten sposób zdobędzie pan mnóstwo cennych informacji, które będzie pan mógł sprzedać w mieście.

– I otwarcie sprzeciwić się Malroncji? Ach, cóż za wspaniały pomysł! – stwierdził z przekąsem.

– To wszystko, co mamy! Ale skoro królowa chce go aż tak bardzo, to znaczy, że on coś wie, prawda?

Spijacz Niewinności skrzywił się zawiedziony.

– Nie podejmę tak wielkiego ryzyka bez gwarancji.

– Nie mamy nic innego... – rzekła błagalnie Amber.

Wtem Spijacz Niewinności zerwał się z tronu, podszedł do dwójki nastolatków i okrążył ich, szacując niczym towar. Po czym z energią i zdecydowaniem złapał Amber i posadził na stole.

– Tak jest o wiele lepiej! – zawołał triumfalnie.

– Co? – dziewczyna wpadła w panikę. – Ja? Chce pan mnie? Jako niewolnicę?

– Nie! Oczywiście, że nie! Proponuję wyłącznie układy, które da się zawrzeć, nie jestem głupi! Proponuję wam pomoc w odnalezieniu przyjaciela w zamian za... ciebie

– Co to znaczy? – zdenerwował się Tobias, zbliżając się do Spijacza Niewinności.

– Wolnego, chłopcze, wolnego – hamował go mężczyzna, ociekając słodyczą. – Wystarczy, że stąd wyjdiesz, Colin cię wszędzie oprowadzi, a tymczasem ja i twoja przyjaciółka znajdziemy nić porozumienia.

– Nie opuszczę jej...

Amber odwróciła się do Tobiasa. Z trudem przełknęła ślinę, trzęsły jej się ręce.

– Zostaw mnie, Toby – powiedziała głosem nabrzmiałym od emocji.

– Absolutnie! Nic z tego!

– Nie mamy innego wyboru.

– Ale przecież nie...

– Albo się zgodzimy, albo Matt będzie zgubiony! – zirytowała się. – Teraz wyjdź! Nie martw się, niedługo do ciebie dołączę.

Tobias nie dał się nabrać. Mimo wszelkich wysiłków, by sprawiać wrażenie spokojnej, dostrzegł jej przerażenie.

– Proszę cię, Toby... – dodała z zaczerwienionymi oczami.

Wówczas Tobias uświadomił sobie, że nie powinien jej bardziej utrudniać tej chwili.

Zostali przyparci do muru, nie mieli innego wyboru.

Musi uszanować decyzję Amber.

Tobias pokręcił głową i zacisnąwszy zęby, żeby się nie rozpląkać, ruszył za Colinem ku szerokim drzwiom.

Paskudne bohaterstwo

Tobias przekonał się na własnej skórze, że wszystko jest względne.

Każda sekunda wydawała mu się godziną. Każdy dźwięk: skrzypienie drzwi, wiatr uderzający o szyby, trzask drewna, przywracał mu nadzieję, po czym znów ją go dręczyć cisza.

Co się działo tam, na górze, na szczycie tej przeklętej wieży, gdzie mowa potrafi przypieczętować tak wiele nieszczęść?

Czy Amber cierpi?

Tobias miał własne zdanie na ten temat, lecz nie chciał go przyjąć do wiadomości.

Colin zaproponował mu szklanekę oranżady, on jednak obcesowo odmówił.

– Tak naprawdę nie jesteście tu po to, żeby zdradzić Piotrusiów – dotarło do Colina. – Zgadza się?

Tobias go zignorował. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Marzył tylko o tym, żeby wyważyć drzwi i wyrwać przyjaciółkę z łap tego ohydneho typu.

Tylko że to by oznaczało porzucenie Matta.

„Więc żeby ocalić jedno z nas, jesteśmy gotowi poświęcić część własnej niewinności? Co czyni z nas, Piotrusiów, jeszcze...”

Czy Amber się po tym zmieni? Czy powoli stanie się Cyniczką?

Tobias wolał o tym nie myśleć, to było zbyt wstrętne.

Następnie szerokie drzwi się otworzyły, trzask odryglowanego zamka dotarł aż na piętro, gdzie niecierpliwiał się Tobias. Chłopiec pognął na górę.

Amber stała w progu z ramionami skrzyżowanymi, jakby chciała się bronić. Jej twarz nic nie wyrażała. Ani żalu, ani radości.

Tobias mierzył ją od stóp do głów, szukając powodu, który pozwoliłby mu poczuć ulgę. Kiedy spojrzał jej w oczy, spuściła wzrok.

Wówczas serce mu się ścisnęło, chowając się na dnie piersi niczym w zbyt ciasnej

szkatułce.

Od razu poczuł się lepiej. Mniej bezbronny.

Także mniej bliski Amber.

Podszedł do nich Spijacz Niewinności, rozplywając się w uśmiechu.

– Pomogę wam – oświadczył. – Jeśli chcemy dogonić statek Erika, nie mamy czasu do stracenia, zaraz przygotuję sterowiec. Colin się wami zajmie.

Co powiedziawszy, czmychnął do mniejszej wieży.

Tobiasz zamierzał położyć dłoń na ramieniu Amber, żeby dodać jej otuchy, ona jednak natychmiast się odsunęła.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie będziemy o tym rozmawiać, nigdy nie będziemy o tym rozmawiać. Od tej pory oboje będziemy udawać, że nic się nie stało. Jasne?

Tobiasz powoli skinął głową.

Może miała rację? Tak jest lepiej, nie poruszać więcej tego tematu... Uważał jednak, że pogrzebanie tego typu tajemnicy oznacza zbrukanie ziemi, na której miała powstać Amber, i że wszystko, co zasieje kiedyś w tym obszarze swojej osobowości, może również zostać... zbrukane.

„To jej wybór, nie mogę za nią decydować”, pomyślał z żalem, po czym stwierdził, że szkatułka chroniąca jego serce działa bez zarzutu.

– Więc ruszamy na polowanie? – odezwał się. – Żeby odnaleźć Matta?

Amber rozciągnęła usta w uśmiechu, który wyglądał fałszywie.

* * *

Przygotowania nie trwały więcej niż godzinę, po czym Colin zabrał ich na szczyt wieży, pod spadzisty dach, ku pomostom zawieszonym nad przepaścią.

Dość intensywny wiatr nasilał zawroty głowy.

Na końcu desek unosiła się gondola sterowca przyczepiona dziesiątkami przezroczystych włókien do pływającej po niebie długiej meduzy. Z bliska przypominała Tobiaszowi Nautilusa. W przeciwieństwie do kolegów z klasy zawsze uwielbiał powieści Juliusza Verne'a, uważając je za pasjonujące. Trzydzieści metrów długości, okrągłe szerokie okna i profilowany kształt – była podobna do łodzi podwodnej.

– Ta istota wytwarza w brzuchu gorące powietrze, które pozwala utrzymać wysoką temperaturę, a ponieważ jej brzuch jest głęboki i ogromny, bez przerwy lata – wyjaśnił Spijacz Niewinności, przekrzykując wiatr. – Zupełnie jak balon!

Zajęli miejsca z przodu, w kokpicie, pod wielkim oknem, dzięki czemu mieli wrażenie, że chodzą ponad miastem.

Colin kończył ładować rzeczy. Wcześniej na prośbę obojga nastoletków pobiegł na drugi koniec Babilonu po ich plecaki i teraz obficie się poccił.

– Jak zmuszacie meduzę, żeby leciała tam, gdzie chcecie? – zaciekawił się Tobias, który pragnął wszystko zrozumieć.

Spijacz Niewinności poklepał potężną busołą, następnie wskazując liczne dźwignie z drewna i skóry, które miał przed sobą, rzekł:

– Wystarczy obrać kurs, a potem te przyrządy umożliwiają różny nacisk na najważniejsze włókna, w prawo i meduza skręca na sterburtę, w lewo i skręca na bakburtę. To pokrętko otwiera zawór w jej brzuchu i wypuszcza gorące powietrze, przez co tracimy wysokość. Tamto ją pobudza do produkcji większej ilości gorącego powietrza, żeby wznieść się do góry, a tutaj pociągam, żeby wyrzucić nacisk na jej przód, dzięki czemu zwalnia. Nie ma natomiast żadnego sposobu, żeby ją zmusić do przyspieszenia; przemieszcza się ze stałą prędkością.

Tobias słuchał pełen podziwu, wyzbywszy się wszelkiej nieufności.

– Oczywiście sam to wszystko wymyśliłem – dodał z dumą mężczyzna.

– Czym się odżywia?

– Pokażę ci po drodze, to robi niezłe wrażenie. A teraz zajmijcie miejsca, zaraz ruszamy. Colin! Odczep cumy i zamknij drzwi!

Kiedy Colin spełnił polecenie, Spijacz Niewinności uruchomił kilka dźwigni, po czym gondola zaskrzypiała i jęła się posuwać naprzód.

Za wielką szybkością rozciągał się wspaniały widok. Wieża oddaliła się w mgnieniu oka; błyskawicznie wznieśli się ponad mury, potem nad rzekę i w jednej chwili miasto znalazło się za nimi.

– Co jest na pokładzie? – zainteresował się Tobias, nasyciwszy się widokiem.

– Ten kokpit, obszerny salon, cztery sypialnie, z tyłu hangar. Spokojnie wystarczy dla naszej czwórki.

– Ile nam zajmie doścignięcie statku, na którym przetrzymują Matta? – zapytała oschle Amber.

– Trudno powiedzieć, mają dwanaście godzin przewagi...

– Lecimy o wiele szybciej niż tamten statek, prawda? – upewnił się Tobias.

– To nie jest prawdziwy żaglowiec; wiatr przydaje się tylko do delikatnych manewrów i żeby odstawić dżdżownicę kilu.

– Co to jest dżdżownica kilu?

– Olbrzymi morski robak, który mieszka w ładowni i którego się rozciąga, żeby osiągnąć prędkość marszową. Ten potwór dobrze pływa, mało je i potrafi przenosić na grzbiecie duże ciężary. Tylko jego udało nam się złapać. Obawiam się, że dopóki będzie ich pchała dżdżownica kilu, nie zdołamy pokonać znacznej odległości, ale ten zwierzak musi odpocząć kilka razy w ciągu dnia, więc jeśli wiatry nie będą im sprzyjały, pozostanie im jedynie płynąć z prądem w dół rzeki. Przy odrobinie szczęścia dogonimy ich przed Henok.

Tobias liczył na łatwiejszy pościg.

– Daleko do tego miasta? – zapytał.

– Jakieś trzy dni, więcej nie mamy. Jeśli ich nie dopadniemy wcześniej, będzie za późno! Nie możemy się bowiem zatrzymać w Henok na więcej niż kilka godzin, nim nastanie noc.

– Z jakiego powodu? Bo wtedy jeszcze bardziej pilnują?

– W nocy w tamtym rejonie na polowanie wychodzą Pożeracze Cieni, właśnie dlatego miasto wymiera. Nikomu nie wolno wystawiać nosa po zmierzchu. Tak czy inaczej, za Henok zaczyna się Wyrd Lon-Deis, a ja nigdy w życiu bym się tam nie zapuścił. Nikt tego nie zrobi, żeby wam pomóc. Musimy odnaleźć waszego przyjaciela przed Henok, bo inaczej wszystko stracone.

– A jak już dogonimy statek, jaki jest plan?

Spijacz Niewinności zmierzył Tobiasa, krzywiąc się z pogardą.

– Przecież to wasz przyjaciel, nie? – powiedział. – Sami musicie sobie poradzić! Ja jestem tylko kierowcą.

Tobias opadł na fotel twarzą do wielkiego okna, za którym umykał krajobraz.

Ocalenie Matta nie będzie łatwe.

Po raz pierwszy ogarnęło go zwątpienie. Nie wiedział absolutnie nic o niebezpieczeństwach i przeszkodach, o których wspominał Spijacz Niewinności.

Czy aby właśnie nie lecą na zatracenie?

Zerknął na Amber, która obserwowała z determinacją horyzont.

„Jest daleko stąd, zapatrzona w głąb siebie – pomyślał Tobias. – Usiłuje za wszelką cenę żyć mimo ofiary, jaką złożyła”.

Zdecydowanie w tej przygodzie nie było nic, co wprawiałoby w euforię.

Lecąc na wysokości trzystu metrów z prędkością trzydziestu węzłów, Tobias doszedł do przerażającego wniosku.

Jeżeli w tym świecie naprawdę istnieją jacyś bohaterowie, ich życie jest piekłem.

CZEŚĆ TRZECIA

Z powietrza i wody

Więzienie na rzece

Matt długo spał.

Czyżby zwały go z nóg te pomady i napoje, którymi go raczyli na siłę od wczoraj?

Ciekawe, która może być godzina. Z pewnością późna...

Odrzuciwszy kołdrę, stwierdził ze zgrozą, że cały jest pokryty wilgotnymi kataplazmami, toteż czym prędzej zdarł je wraz z bandażami. Wówczas ukazały się wszystkie krwiaki, guzy i skaleczenia, na szczęście powierzchowne. Powrócił także ból głowy.

Dopadli go.

Usiadł oszołomiony na koi, aby odzyskać zmysły i rozejrzeć się po kajucie.

Nadal jest na statku. Płynącym na południe.

Ku ziemiom Malroncji.

Spostrzegłszy swoje rzeczy leżące na krześle, ubrał się i dokładnie obmacał okna. Nie sposób je otworzyć. Na zewnątrz widniało jaskrawe światło dnia. Prawdopodobnie było popołudnie.

Ból pulsował mu w skroniach. Matt nalał sobie szklankę wody i wychylił ją duszkiem. Najbliższy brzeg leżał ponad sto metrów od statku. Z powodu prądu i żyjących w rzece zwierząt było bardziej niż prawdopodobne, że nigdy nie zdoła do niego dotrzeć. Płynęli środkiem ogromnej rzeki, o wiele szerszej niż ta w mieście.

„A Kudłata? Co z nią zrobili? Jeśli spadł jej choć włos z głowy, przysięgam, że zanim ucieknę z tej przeklętej łajby, wszystkich ich pozabijam!”

W tej samej chwili uświadomił sobie drzemiące w nim skłonności do przemocy. Im bardziej zwalczał Cyników, tym więcej krwi musiał przelać i tym mocniej usypiał własne sumienie. Nie wolno mu pozwolić się zdeprawować.

Przeobrażenie dało mu nadzwyczajną siłę, dzięki czemu mógł teraz stawać w szranki z najpotężniejszymi nawet Cynikami. Za każdym razem na jego korzyść działał efekt zaskoczenia, co w połączeniu ze zwinnością, determinacją i znajomością podstaw szermierki

sprawiało, że Matt rozgniatał przeciwników na miazgę.

To jednak nie powód, by dać się uwieść łatwości stosowania przemocy. Nie może nią szafować w odpowiedzi na każdy problem, każdą frustrację.

Bo inaczej kim wkrótce się stanie?

„Cynikiem! Oto kim się stanę!”

Rzucił się ku drzwiom.

– Prędzej zginę – rzekł do siebie.

Drzwi były zaryglowane od zewnątrz.

Co robić? Nawet jeśli uda mu się wydostać z kajuty, czy może wskoczyć do wody i mieć nadzieję, że dotrze do brzegu? To by było samobójstwo!

„Nie, jeśli natrafię po drodze na ruiny jakiegoś miasta...”

Zostało mu już najtrudniejsze: jak odnajdzie przyjaciół? Co się z nimi stało? Czy czekają na niego w mieście? Czy wrócili do Piotrusiów?

„Gdyby tylko wiedzieli, że jestem tutaj! Jestem pewien, że znaleźliby jakiś sposób, aby za mną popłynąć...”

Wtem w korytarzu rozległy się ciężkie kroki, po czym drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w czarno-czerwonej szacie i stalowym czepcu na głowie.

– Dlaczego zdjąłeś kataplazmy? – zapytał, wskazując leżące na podłodze ubłocone kompresy i bandaże.

– Nagle przejmuje się pan moim zdrowiem?

– Wolę, żebyś trafił przed oblicze królowej w dobrym stanie.

– W jaki sposób zdołała zobaczyć moją twarz, żeby sporządzić list gończy?

– Ona miewa sny.

Wiadomość ta była dla Matta jak cios w żołądek. On też miewał sny. O Rauperodzenie...

– I ja w nich występuję, zgadza się? Czego ona ode mnie chce?

– Królowa widzi w snach naszą przyszłość, podąża za wyższą siłą, rozumiesz? Ona jest naszą przewodniczką, naszym mesjaszem!

– Dlaczego ja? – upierał się Matt.

Duchowy doradca królowej zignorował pytanie.

– Pozwolę ci pójść na główny pokład, żebyś się przewietrzył. Nie chcę, żeby przed obliczem jej wysokości stanął cherlak i słabeusz! Ale wiedz, że jeśli wskoczysz do wody, w jednej chwili pożrą cię krokorytce!

Matt wyobraził sobie chmary zmutowanych krokodyli przemierzających mętne wody

rzeki.

– A jeśli na pokładzie dopuścisz się jakiegoś zuchwalstwa, możesz być pewien, że zapłaci za to pies, którego tak kochasz!

Kudłata! Jest na pokładzie!

– To suka – sprostował Matt. – Chciałbym ją zobaczyć.

– Jeśli będziesz grzeczny, rozważę taką możliwość.

Duchowy doradca królowej poprowadził Matta wąskimi korytarzami na główny pokład, gdzie wczesnopopołudniowe powietrze przywitało go zbawiennym chłodem.

Za dnia Matt ocenił w pełni trójmasztowiec: imponujący okręt transportowy, ale także wojenny. Masywny, z załogą żołnierzy, z wartownikami na wierzchołku każdego masztu i tylko dwiema szalupami. Manewrowanie jedną z nich bez zwrócenia uwagi załogi wydawało się niemożliwe. Może nocą jest tu spokojniej?

„Prawdopodobnie, ale to nie znaczy, że mniej pilnują”, denerwował się chłopak.

Wówczas uświadomił sobie, że nie postawiono ani jednego żagla. W jaki sposób posuwają się naprzód?

– Nadeszła pora, żebyś opowiedział mi coś więcej o swojej podróży – oświadczył duchowy doradca królowej. – Skąd dokładnie przybyłeś?

– Pamięta pan, przed chwilą sam pan stwierdził, że chce, abym stanął przed obliczem królowej w dobrym zdrowiu i abym się porządnie prezentował... Co oznacza, że nie może mnie pan więcej uderzyć, żeby mi rozwiązać język. W takim razie mówię: niech się pan odwali, nie odpowiem na żadne pytanie.

Złe oczy doradcy rozpałił cichy gniew.

– Ciebie nie mogę uderzyć, ale z twoim psem to inna sprawa. Za każde pytanie bez odpowiedzi zwierzak dostanie dziesięć batów! Czy mam zacząć już teraz?

Gniew okazał się zaraźliwy: tym razem ogarnął Matta od czubków palców aż po korzonki włosów. Chłopak zacisnął pięści, żeby nie wybuchnąć.

– Ty popaprańcu! – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Czy mam nakazać dwadzieścia batów?

– Przybyłem z klanu Piotrusiów mieszkającego kilka dni marszu od Ślepego Lasu.

– Spodziewam się, że Ślepy Las to wasza nazwa tego, co my określamy mianem Roślinnych Gór? Ile osób liczy ten klan? Ostrzegam cię: nie kłam, mamy sporo informacji od naszych patroli, więc od razu się dowiem. Pomyśl o psie...

Matt musiał podjąć błyskawiczną decyzję: skłamać, żeby ocalić klan z Wyspy Carmichaela, czy chronić Kudłatą?

– Tylko ze dwadzieścia – skłamał.

Miał nadzieję, że zanim Cynikowi uda się zweryfikować tę informację, on zdąży opuścić statek wraz z Kudłatą.

– A skąd się dowiedziałeś, że jesteś poszukiwany przez królową?

Matt wykorzystał tę rozmowę, by krążyć po pokładzie i sprawdzać różne zabezpieczenia.

– Zaatakował nas jeden z waszych patroli. Zdołaliśmy udaremnić ich podstęp, ukraść im rzeczy i uciec. W plecaku znajdował się list gończy z moim portretem.

– I to ci wystarczyło, żeby się dostać do Wilczej Przełęczy?

– Co to jest Wilcza Przełęcz?

– Jedyne sposoby dotarcia z północy na południe bez przedzierania się przez Roślinne Góry, trzydziestokilometrowy przesmyk między drzewami, na pewno nim przeszedłeś, żeby się dostać na nasze ziemie. Skądinąd to zaskakujące, skoro pilnujemy do niego dostępu, a nasza cytadela jest na ukończeniu.

– Przeszedłem przez Ślepy Las.

Doradca wybuchnął śmiechem, który zamarł mu na ustach, gdy się zorientował, że Matt mówi poważnie.

– Nie, nikt nie jest w stanie pokonać tej ściany drzew!

– Ale właśnie tamtędy przeszedłem. Przecież sam pan mówi, że Wilcza Przełęcz pozostaje pod waszą kontrolą. Jak mogłbym ją przekroczyć niezauważony?

– Z pewnością nie brak ci pomysłów. Zaraz mi opowiesz coś więcej o tym całym Ślepym Lesie...

Matt już dość widział. Wszędzie byli strażnicy. Co najmniej dwudziestu, nie licząc wszystkich tych, którzy nie omieszkali zająć niższych poziomów. Opuszczenie statku będzie bardzo trudne.

Jeśli się dobrze zastanowić, w ogóle nie miał pojęcia, co robić. Liczni i uzbrojeni żołnierze nie dadzą się pokonać w regularnej walce.

W sumie może to i szczęście, że Amber i Tobias nie depczą im po piętach. Przy takiej czeredzie nie mieliby przecież żadnych szans.

– Znowu bardzo boli mnie głowa – oznajmił. – Chciałbym zejść do kajuty.

Matt musiał sobie jasno powiedzieć: nigdy nie uda mu się uciec z tego statku, musi czekać na postój po drodze albo na port docelowy.

Poszukiwanie Skór

Promienie zachodzącego słońca odbijały się w skórze meduzy która lśniła niczym kawałek dryfującego po niebie lustra.

Tobias odwiązał cięciwę łuku, by dać drewnu odpocząć, i schował swoje rzeczy do plecaka. Rytuał upewniania się, że niczego nie brakuje, że jest przygotowany na każdą ewentualność, dodawał mu otuchy.

Kabina nie była zbyt obszerna, za to wygodna. Chociaż Spijacz Niewinności potrafił być bardzo odpychający, umiał uczynić ze swego sterowca luksusowy środek transportu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?

– To ja, Amber.

Kiedy Tobias jej otworzył, dziewczyna wśliznęła się do środka, zanim zdążył coś powiedzieć.

– Chciałabym cię poprosić o przysługę – powiedziała. – Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy spali razem? Nie ufam mu i myślę, że tak byłoby bezpiecznej.

Amber tak bardzo ceniła sobie prywatność, że jej prośba wzbudziła w Tobiasie podejrzenie. Musiała czuć się wyjątkowo zagrożona, żeby posunąć się aż do czegoś takiego.

– Nie ma sprawy.

– Pomożesz mi przynieść tutaj materac? Będę spała na podłodze.

– Nie, zajmij moje łóżko, to mi w ogóle nie przeszkadza...

– Obstawiam przy swoim: śpię na podłodze. Zapomnij o dobrych manierach, teraz są o wiele ważniejsze rzeczy.

Przynieśli materac dziewczyny i położyli koło łóżka Tobiasa. Kiedy Amber przygotowywała sobie posłanie, Tobias pochylił się nad nią i rzekł:

– Zdaje się, że odbicie Matta będzie trudne.

– Wiem.

– A co zrobimy potem? Zapusciliśmy się na ziemię Cyników, żeby zasięgnąć języka, ale nie zostaniemy tu w nieskończoność, prawda?

– Wyobrażam sobie, że wrócimy na Wyspę Carmichaela, żeby zdać relację o tym, czegośmy się dowiedzieli. O wymazanej pamięci Cyników, o pierścieniu pępkowym, o królowej Malroncji...

– Przydałby się jakiś Długodystansowiec, który by zaniósł wieści innym Piotrusiom i do Edenu.

Amber przytaknęła w zamyśleniu. Po chwili wahania dodała:

– Za trzy miesiące skończę szesnaście lat i wtedy pójdę do Edenu, żeby zostać Długodystansowcem. Osiągnę odpowiedni wiek.

– Opuścisz nas? – zdumiał się Tobiasz, zupełnie jakby mówił o jakiejś ohydnej zbrodni.

– Od początku o tym marzę. A poza tym... nie zostaniemy razem do końca życia, prawda?

– Ale... A co z Przymierzem Trojga?

– Będzie istniało nadal, na odległość, a może jako pamiątka po tym, czym byliśmy.

– Zakochałaś się w Benie, mam rację? – dotarło nagle do Tobiasza. – Przypominam sobie, za każdym razem kiedy widziałem cię w jego towarzystwie, spijałaś mu słowa z ust i pożerałaś go wzrokiem!

– Nie! Nic podobnego! Bycie Długodystansowcem to przygoda w pojedynkę. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Masz zbyt bujną wyobraźnię, Toby! Będę po prostu przemierzała kraj, żeby skrzykiwać Piotrusiów, żeby szerzyć postępy jednych i odkrycia drugich, żeby uczestniczyć w tworzeniu mapy świata, żeby współtworzyć encyklopedię nowych roślin i zwierząt, krótko mówiąc, chcę się czuć potrzebna!

– A my? Co z nami będzie?

– Każdy musi znaleźć swoje miejsce, nie możemy być we troje przez całe życie...

– Myślałem, że właśnie taką sobie daliśmy obietnicę, zakładając Przymierze Trojga.

Amber spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Przykro mi, Toby.

– Za trzy miesiące, zgadza się? Dobrze, mamy jeszcze czas, aby cię przekonać, żebyś tego nie robiła – rzucił Tobiasz, któremu wróciła isierka nadziei. – A poza tym praca Długodystansowca bardzo przypomina to, co robimy od początku tej przygody!

– Między innymi właśnie dlatego z wami poszłam. Wszystkie informacje, jakie zbieramy o Cynikach, mogą się nam przydać później.

Amber przyniosła plecak i urządziła sobie własny kącik w rogu kabiny. Ponieważ

zamierzała się przebrać, Tobias ją zostawił i udał się do salonu.

Cały pokój był pokryty czerwoną materią, od podłogi aż po sufit. Za dwoma olbrzymimi oknami po obu stronach sterowca rozciągał się niesamowity widok, Tobias usiadł więc na kanapie, aby go podziwiać.

Potem drzwi się otworzyły, stanął w nich Spijacz Niewinności i poprosił chłopca, aby poszedł za nim. Wspięli się po drabinie pośrodku głównego korytarza, podnieśli klapę i przedostali się na dach.

Wiał tu silny wiatr, toteż Tobias z ulgą stwierdził, że cały taras jest otoczony balustradą. Kilka metrów nad nimi znajdowała się fioletowo-niebiesko-różowa meduza. Tańczyła w powietrzu, posuwając się naprzód.

Chłopiec zauważył dziesiątki przezroczystych włókien pełniących funkcję olinowania. Każde było zaczepione do gondoli żelaznym pierścieniem. Gdy Tobias się zbliżył, chcąc dotknąć jednego z nich, dłoń Spijacza Niewinności powstrzymała go gwałtownie.

– Chociaż widowisko może być zabawne, wątpię, żebyś to docenił – ostrzegł mężczyzna. – Patrz!

Spijacz Niewinności pokazał palcem ptaka, który właśnie przysiadł na włóknie, w rzeczywistości mającym właściwości pajęczej sieci: było lepkie i kleiste. Ptak miotał się, aż z jego piór wyłoniła się smużka dymu. Biedne stworzenie zaczęło kwilić, jednocześnie zostało wciągnięte do góry, ku meduzie. Dymiło coraz bardziej, wkrótce też jedno skrzydło się oderwało i zostało połknięte przez włókno.

– Nie dość, że jest lepkie, to na dodatek kwasy pokarmowe meduzy mogą cię pożreć – oświadczył Spijacz Niewinności. – Pochłania wszystko, co się nawinie. Głównie muszki, muchy i ptaki, ale jeśli jakiś ssak popełni błąd i muśnie jej włókna, spotka go ten sam los. Straszne.

– Obrzydliwe! – stwierdził Tobias.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile wysiłku kosztowało złapanie tego stwora! A tym bardziej udomowienie go!

Mówiąc, mężczyzna gładził sobie wąsy. Tobias zerkał nań kątem oka, zaintrygowany tą równie odpychającą co tajemniczą postacią.

– Spijacz Niewinności to pańskie imię? To znaczy nie ma pan innego?

Mężczyzna uniósł brew i zmierzył Tobiasa wzrokiem.

– To przezwisko, które mi nadano w Babilonie. Ale możesz mi mówić Bill, jeśli chcesz.

– Bill? – powtórzył Tobias.

Tym razem to wcale nie było przerażające. Świadomość, że Spijacz Niewinności naprawdę ma na imię Bill, od razu dodała otuchy chłopcu, który poczuł się mniej wstrząśnięty.

– To było moje imię przedtem.

– Przedtem? Ma pan na myśli Kataklizm? Pamięta pan dawne życie?

– Zostało mi tylko parę wspomnień.

– Myślałem, że wszyscy Cynicy stracili pamięć.

– Najwyraźniej nie.

Nagle Tobias przypomniał sobie ostrzeżenie Balthazara. Niektórzy Cynicy byli tak zepsuci i przesiąknięci złem, że w pewnym sensie to ich ochroniło, za mocno bowiem tkwiło w ich umysłach. Wszechobecne u niektórych zepsucie zadziało jak tarcza, pozwalając zachować cząstki pamięci. Tobias powrócił myślami do pierwszego Cynika, jakiego w ogóle spotkał: Johnniego. Mężczyzna zamierzał na niego napaść, Matt zaś go zabił, aby ich chronić. Johnny także zachował część pamięci.

„Co to za świat, w którym tylko ci najbardziej nikczemni zachowali osobowość, a reszta stała się dzika i pełna przemocy?”

– Chodź, za bardzo tutaj wieje, żeby się nawzajem słyszeć – powiedział Spijacz Niewinności, po czym zszedł z powrotem na dół.

Ledwie znów się znaleźli w salonie, mężczyzna nalał sobie szklankę czegoś, co wyglądało jak whisky.

– Czy czasem pracuje pan z żołnierzami królowej? – chciał wiedzieć Tobias.

– Nie. Za to biorę udział w roznegliżowaniu.

– Co to takiego?

– Kiedy żołnierze przywożą ładunek dzieci, wystawiają je w hangarach zupełnie nagie, a wtedy porównujemy ich skórę z rysunkiem królowej: z Wielkim Planem.

– Czy to jest właśnie Poszukiwanie Skór?

– Zgadza się. Królowa miewa dziwne sny i za ich pośrednictwem prowadzi nas ku odkupieniu. Już na samym początku widziała Wielki Plan, który ciągle powracał, więc go narysowała. Później zrozumiała. To było boskie przesłanie. Mieliśmy znaleźć dziecko, które nosi na skórze ten rysunek.

– Po co?

– Królowa zbudowała swoją kryjówkę wokół osobliwego stołu, na którym obudziła się po Kataklizmie. Ten stół to mapa świata. A w swoim śnie zobaczyła, że jeśli położy się na nim skórę dziecka, wtedy pojawi się miejsce, gdzie się znajduje Raj Utracony.

– Ale to okropne! To znaczy, że trzeba... zabić dziecko!

Twarz Spijacza Niewinności rozciągnęła się w obleśnym uśmiechu.

– Owszem – odrzekł słodkim tonem.

Wówczas Tobiasa olśniło. Skoro Matt jest taki ważny dla Malroncji, znaczy, że to on jest tym dzieckiem.

Cynicy zamierzają go żywcem obdrzeć ze skóry.

Boskiej natury

Stół duchowego doradcy królowej był suto zastawiony. Przed Mattem pyszniły się pasztet w cieście, terrina, pieczony kurczak i mnóstwo owoców. Jednak zapach zjełczałego tłuszczu w lampach odbierał mu apetyt.

Z początku Matt zamierzał się wymówić od kolacji pod pretekstem bólu, jaki sprawiały mu rany, lecz doradca się uparł, grożąc, że każe wychłostać Kudłata.

– Czy wasza królowa ma powody, żeby mnie znać? – zapytał Matt, usiłując pokierować rozmową.

– Chodzi ci o listy gończe? Już ci mówiłem: ona o tobie śni.

– Czy to coś w rodzaju sennego przesłania?

– W rzeczy samej.

– Skąd ono się wzięło?

Skoro sam był dręczony snami o Rauperodzenie, miał nadzieję, że zdobędzie jakieś wyjaśnienia co do ich natury.

– Jak to skąd? Od Boga!

Matt o mało się nie udławił kawałkiem mięsa, który włożył właśnie do ust.

– Od Boga? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Oczywiście! To On prowadzi naszą królową, teraz ona jest mesjaszem, który zmyje nasze grzechy.

– Jakie grzechy?

– Rozpasanie, zepsucie i... was! – ryknął doradca. – Wszystkie dzieci to owoc naszych dawnych grzechów, tych, które ściągnęły na nas gniew Boży!

– Przecież nic nie zrobiliśmy!

– Wszyscy jesteśmy dziećmi starszych grzeszników, którzy przekazali nam własne przekleństwo! Malroncja położy temu kres! Udowodnimy Bogu, o ile raczy nas wysłuchać, że zasługujemy na wybaczenie! Kataklizm był sygnałem do zmiany! Ponieważ pierwsza para

zgrzeszyła, wszyscy jej potomkowie mieli za to zapłacić. Otóż to się wkrótce skończy! Ścigając owoc własnych błędów, niedługo wyzwolimy się z minionych pomyłek!

– Zabijając własne dzieci? – oburzył się Matt. – To w ogóle nie ma sensu, wszyscyście powariowali!

– Dzieci są złe, dzisiaj wszyscy to stwierdzamy, są zatem symbolem tej pomyłki, naszego grzechu!

– Kto powiedział, że jesteśmy źli? To bzdura! Myśmy tylko chcieli być z wami.

– Nieprawda! Skoro każdy dorosły w obecności dziecka czuje się taki stłamszony, skrepowany i przepełniony gniewem, to znaczy, że one są przesiąknięte złem! Można was kontrolować jedynie za pomocą pierścienia pępkowego, bo inaczej przez cały czas nic, tylko wszystko podważacie, chcecie wszystko zmieniać. Jesteście zmienni jak chorągiewki na wietrze!

– To idiotyzm! Zachowujecie się jak maszyny, słuchacie rozkazów jak barany, nie myślicie, boicie się wszystkiego, czego nie znacie, za to my przeciwnie, jesteśmy spragnieni wiedzy, poznawania, odkrywania, bezustannie się rozwijamy!

– Powodujecie anarchię!

– Po co żyć, skoro się zabija własne potomstwo? W ten sposób ludzkość wkrótce wyginie!

– Nie, jeśli zapewni nam to miłosierdzie Boga, jeśli dzięki temu dowodowi miłości przebaczy nam nasze dawne grzechy, a wtedy otworzy przed nami bramy do życia wiecznego!

– Pan oszalał...

Zaślepiony swą litanią doradca zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Od tej pory musimy się pogodzić z tym, że dzieci służą już wyłącznie do tego, byśmy kontynuowali Poszukiwanie Skór, byśmy okazali się godni, byśmy zasłużyli na przebaczenie, zabijając je wszystkie, wymazując z tej ziemi wszelki ślad naszych błędów. I tylko jedno jedyne dziecko poprowadzi nas poprzez własną skórę do świątyni, tam, gdzie przebaczenie jest możliwe, tam, gdzie staniemy się na powrót pełnymi istotami. Królowa to wie, królowa obudziła się z tą pewnością, że gdzieś u stóp jabłoni kryje się nasze odkupienie. Jest naszą królową, dlatego że jako jedyna dorosła miała wspomnienia, pewność po obudzeniu. I dlatego jej znakiem jest jabłko. Malroncja ujrzała je w swoich snach! – Wyjął spomiędzy fałdów szaty małą Biblię i rzucił na stół. – Ta księga jest we wszystkich ruinach, znajdowaliśmy ją absolutnie wszędzie! Jest przekaźnikiem przeszłości ku przyszłości. A królowa ją dla nas rozszyfruje!

„Fanatycy! – pomyślał Matt. – Oto kto rządzi Cynikami! Garstka nawiedzonych, ślepo podążających za wariatką, która sama się obwołała królową! Muszę się stąd wyplątać, zanim to się źle skończy...”

Jakby na potwierdzenie doradca złapał nóż, wbił go w udo kurczaka i obwieścił:

– Niedługo ty też uwierzysz, kiedy królowa otworzy ci oczy, uwierzysz jak my wszyscy!

* * *

Nad meduzą zapadła noc, okna gondoli rozświetlone były lampami na tuszcz.

– Co to takiego ten Raj Utracony, o którym pan wspominał? – zapytał Tobias.

– Wieczny odpoczynek i wieczne przebaczenie. Eden, z którego wypędzono nas dawno temu z powodu grzechu.

– Chodzi o to z Adamem i Ewą? Jeszcze pan to pamięta po Katakliźmie?

– Garstka mężczyzn i kobiet, przewodników duchowych głęboko zakorzenionych w religii, również zachowała pamięć. W każdym razie mają Biblię, żeby nas poprowadzić.

„Coraz lepiej! – zirytował się w duchu Tobias. – Jedyne istoty, które zachowały częściową pamięć, to zboczeńcy i fanatycy! Można by pomyśleć, że zło jest bardziej odporne niż dobro! Chyba że... zepsucie to forma takiego zaślepienia, że wytrzyma niejedno sprzątanie...”

– Jest coś, czego nigdy nie mogłem pojąć w całej tej historii o grzechu pierworodnym – rzekł. – Otóż niby dłaczego mielibyśmy żyć z ciężarem czegoś, co popełnili nasi przodkowie? Mam na myśli, że to tak samo głupie jak wsadzenie dziecka do więzienia tylko dlatego, że jego rodzice są przestępcami.

Spijacz Niewinności pogroził mu palcem.

– Jesteś bardzo bezczelny! – powiedział, choć w rzeczywistości wcale się nie rozgniewał. – Duchowi doradcy królowej spaliliby cię na stosie za takie zuchwalstwo.

– To tylko pytanie, które sobie zadaję...

– Malroncja twierdzi, że to właśnie chwila, żeby się wyzwolić od grzechu pierworodnego. Wyprzeć się dzieci, złożyć je w ofierze Bogu. Bo to On zsyła na nią sny.

– A jeśli za tym wszystkim nie stoi żaden bóg?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A jeśli ta nieprawdopodobna burza była rodzajem reakcji Ziemi zwróconej przeciwko nam? Amber ma arcyciekawą teorię na ten temat! Ona uważa, że naturą kieruje energia, której jedynym celem jest propagowanie życia. My, gatunek ludzki, staliśmy się

idealnym przekąźnikiem, owocem tak daleko posuniętej ewolucji, że byliśmy bliscy propagowania życia poza Ziemią, w kosmosie. Tylko zbytne ekscesy, zanieczyszczenie środowiska, wycinanie lasów, krótko mówiąc, całkowity brak poszanowania dla środowiska na dłuższą metę zniszczyły planetę. Więc żeby nas ukarać, natura się zbuntowała, zsyłając na nas Kataklizm, który był dostatecznie potężny, aby postawić nas pod znakiem zapytania, ale nie zniszczył całkowicie wszystkiego, aby dać nam jeszcze jedną szansę, tym razem wraz ze świadomością, że będzie bacznie obserwować, w jaki sposób przebiegnie nasza ewolucja.

– Mów dalej – zachęcił Spijacz Niewinności, gdy Tobias przerwał, żeby przełknąć ślinę.

– Aby umożliwić zwierzętom i roślinom przetrwanie naszego panowania, Burza posiadała kolosalną moc, tak wielką, że mogłaby przeobrazić kod genetyczny, żeby gatunki stały się silniejsze, bardziej odporne. Po drodze przemianie uległa też garstka dzieci, które okazały się dość silne i przeżyły Kataklizm, a po nim rozwijały się szybciej, jakby także dostały szansę. Przeczytałem zresztą w jednej książce, że często ewolucja odbywa się skokowo, a nie tylko po stałej krzywej. Burza byłaby jednym z takich potężnych skoków.

– Po co w takim razie rozdzielać dorosłych od dzieci?

– Eee...

– Żebyśmy się stali bardziej niezależni, żeby pobudzić nasze zdolności przystosowawcze – wyjaśniła Amber, wchodząc do salonu. – Albo to był sprawdzian.

– Jaki sprawdzian? – zapytał Spijacz Niewinności.

– Czy człowiek rzeczywiście zasługuje na to, by przetrwać. Czy zasługuje na to, by kontynuować swoją misję przekazywania życia. Czy ludzie nadal będą się nawzajem zabijać, jak to mają w zwyczaju, czy też zdołają się porozumieć, żeby wykorzystać swe nowe umiejętności.

– Królowa ma sny! Nie wymyśla ich!

– Przeobrażając nasz kod genetyczny, Burza mogła także ukryć pewne obrazy w umysłach niektórych albo uwrażliwić tę kobietę na otoczenie do tego stopnia, że poczuła układ atomów we wszechświecie i znalazła w nim sens. Oczywiście to tylko przypuszczenia.

Spijacz Niewinności pomasaował sobie brodę, wyraźnie zafascynowany poglądami obojga nastolatków.

– Z waszych słów wynika – rzekł – że istnieje jakiś dokładny zamysł, jakiś plan, czyli jakaś forma wszechmocy. Bóg!

– Nie, nie bóg w znaczeniu istoty wszechwiedzącej – zaprzeczyła Amber – raczej pierwotna postać egzystencji, energia: życie. Rządzi ona podstawowymi mechanizmami

wszechświata bez żadnych ukrytych myśli, to tylko system akcji i reakcji, który sunie do przodu bez przerwy z taką samą łatwością, jak kropla wody ulega przyciąganiu ziemskiemu, jeśli się ją spuści z wierzchołka góry.

Spijacz Niewinności skrzyżował ręce na piersiach, mówiąc:

– Wobec tego zadam ci pytanie inaczej: kto stworzył tę kroplę wody? Kto ją spuścił z wierzchołka góry i dlaczego? Właśnie tutaj jest miejsce dla istnienia Boga!

– Być może – zgodziła się Amber, wzruszając ramionami. – Nie neguję tego, po prostu staram się wykazać istnienie innej teorii. Możliwość naturalnej harmonii, aby człowiek rozważył, że jest tym, czym jest, i nie otaczał się wątpliwymi barierami moralnymi, które raczej go osłabiają, niż pozwalają mu rozwinąć skrzydła. Moja teoria nie odrzuca samego istnienia Boga, tylko umieszcza go gdzie indziej, dalej.

– Bóg to nie sklep samoobsługowy, z którego się bierze, co się chce! – zagrzmiał Spijacz Niewinności. – Nie możecie wybierać trochę tego, trochę tamtego, żeby sobie stworzyć boga jak obiad z karty.

– Właśnie to mnie w was, dorosłych, denerwuje: wszystko musi być idealnie poukładane, nie zostawiacie miejsca dla fantazji, dla wyobraźni, dla zadowolenia. Bo jeśli chce pan poznać moje zdanie, Bóg jest tym wszystkim naraz!

Czując, że mężczyzna traci cierpliwość, Tobias zmienił temat:

– A czym dokładnie jest ten Wielki Plan, o którym pan wspominał?

Spijacz Niewinności długo mierzył Amber wzrokiem, nim odpowiedział:

– To szczególny rysunek utworzony przez pieprzyki pewnego dziecka. Malroncja kazała rozpowszechnić kopie tego rysunku w Babilonie. Wszystkich Piotrusiów prowadzi się do sali, rozbiera do naga i porównuje rozmieszczenie ich pieprzyków z Wielkim Planem. Kiedy znajdziemy właściwe dziecko, będziemy musieli je odesłać do Malroncji.

– Żeby je obdrzeć ze skóry – rzekł z naciskiem Tobias.

– Ponieważ jego skóra – ciągnął Spijacz Niewinności – rozciągnięta na stole, na którym królowa obudziła się po Katakлизmie, wskaże położenie Raju Utraconego.

– A jak wygląda ten stół? – wtrąciła Amber.

– To kawał czarnego kamienia, mapa świata. Nazywamy go Skalnym Testamentem.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytał Tobias.

– Uczestniczę w roznegliżowywaniu Piotrusiów. To moje... hobby.

– Po co?

Twarz Spijacza Niewinności wykrzywiła się w uśmiechu, na którego widok Tobiasowi zrobiło się niedobrze.

– Powiedzmy, że bardzo lubię towarzystwo dzieci. Kiedy tylko się potwierdzi, że Piotrusie nie pasują do mapy, sprzedaje się ich na aukcji, żeby służyli jako niewolnicy. Kolekcjonuję ich. Ot i wszystko.

– Ale widzieliśmy u pana tylko Colina – zdumiał się Tobiasz, nie rozumiejąc.

– Tak... rzeczywiście. Reszta... Cóż, reszta bawi tam jedynie przejściowo, ot i wszystko.

Spijacz Niewinności wybuchnął sprośnym śmiechem, od którego Tobiasza zemdliło, po czym wstał i ruszył do kokpitu.

– Idę sprawdzić, gdzie jesteście, a tymczasem weźcie sobie coś do jedzenia, dołączę do was później.

Ledwie zniknął, Amber wskoczyła na kanapę obok Tobiasza.

– Pieprzyki! – wykrzyknęła. – Zawsze uważałam, że ich rozmieszczenie jest przypadkowe! Ale nie, oczywiście, że nie! One mają znaczenie! Natura jest zbyt dobrze pomyślana, żeby zostawić to przypadkowi! To jasne, każdy pieprzyk jest formą komunikacji!

– Czyli że rodzimy się z czymś w rodzaju przesłania?

– Być może z imieniem nadanym przez naturę, być może ze wskazówką, dokąd się udać, żeby pozostać w harmonii, albo z fragmentem zdania, który trzeba by połączyć ze wszystkimi innymi istotami ludzkimi, żeby stworzyć księgę skór i pieprzyków opowiadającą o życiu; nie wiem! Ale to niezwykle.

– Jednak trudno mi uwierzyć, że któreś z nas urodziło się z mapą na ciele!

– A dlaczego nie? W każdej komórce ciała zawarty jest cały nasz kod genetyczny, a to ni mniej, ni więcej tylko wspinała książka z przepisami na stworzenie nas! Natura jest zbyt doskonała, żeby produkować zbędne elementy, a pieprzyki stanowią formę komunikacji. Ta poszukiwana przez Malroncję „mapa” z pewnością wskazuje położenie czegoś o pierwszorzędym znaczeniu!

– Nie wierzysz w teorię Raju Utraconego?

– Jeśli Raj Utracony to sposób, żeby pozostać w harmonii z naturą, z Ziemią, dlaczego nie?

– Myślisz, że to rodzaj klucza do samej istoty Ziemi?

– Zastanów się, skoro natura tak starannie ukrywa to miejsce, można przyjąć, że to coś fundamentalnego. Coś związanego z naszymi ciałami, z naszą egzystencją. Coś fundamentalnego, a jednak tajemniczego. Moim zdaniem to samo źródło życia!

Tobiasz aż rozdziawił usta. Był tak osłupiały, że dosłownie go zatkało.

– O cholera – powiedział. – Wyobrażasz sobie, co będzie, jak Cynicy położą na tym

łapę?

Otworzył kredens i wyjął jabłko.

– Takiej możliwości nie możemy brać pod uwagę – sprostowała Amber.

– Matt musi się o tym dowiedzieć! Wszyscy Piotrusie muszą to usłyszeć! – zapalił się Tobias, podnosząc do ust jabłko.

Amber powstrzymała go przed wbiciem zębów w owoc.

– Na twoim miejscu nie jadłabym niczego, co pochodzi od Spijacza Niewinności. Dzieci, które przekraczają próg jego domu, nigdy go nie opuszczają, pamiętasz?

I dwa metry, które wiele mówią...

Amber obudziła Tobiasa.

Potrząsała chłopcem łagodnie za ramię, lecz dopiero jej gorący oddech wybił go ze snu. Bliskość dziewczyny natychmiast napełniła go dziwną energią, wprowadzając w stan euforii i zarazem elektryzując.

– Jazda, Toby! Wstawaj!

– Co się dzieje? – zapytał, nie zdążywszy się jeszcze rozbudzić.

– Chciałabym, żebyśmy coś sprawdzili.

Amber trzymała w dłoni świetlistego grzyba, Tobias zaś spostrzegł, że za oknem jest jeszcze całkiem czarno.

– Teraz? – zaprotestował.

– Tak, Spijacz Niewinności śpi, jazda, wstawaj!

Tobias spełnił polecenie i włożył spodnie, gdy tymczasem Amber stała na czatach, wyglądając na korytarz.

– Co właściwie chcesz sprawdzić? – nie ustępował chłopiec.

– Dziś po południu, kiedy rozmawiałeś ze Spijaczem Niewinności na dachu, zajrzałam do hangaru i zauważyłam, że brakuje dwóch metrów.

– Dwóch metrów? Nic nie rozumiem!

– Hangar jest za mały w stosunku do mojej kajuty! Jej ściana od strony korytarza ma co najmniej sześć metrów długości, natomiast od środka zaledwie cztery! Zaglądałam do hangaru i nie znalazłam tam brakujących dwóch metrów. To oznacza, że między moją kabiną a hangarem znajduje się jakieś pomieszczenie.

– I odkryłaś to wszystko w dwadzieścia minut?

– Nie miałam szansy, żeby dokładnie przeszukać hangar, bo za bardzo się bałam, że zejdziesz na dół.

– Amber, sam nie wiem, czy powinienem ci pogratulować zmysłu obserwacji, czy się

martwić swoją obsesją, żeby wszystko sprawdzać!

– Taka już jestem, i co z tego? No dalej, chodź, droga wolna, Colin jest w kokpicie, a ten rozpustnik śpi.

Wymknęli się na korytarz, mijając zaś kabinę Spijacza Niewinności, a na końcu dochodząc do hangaru, starali się jak tylko mogli, żeby nie robić najmniejszego hałasu.

Tobias chwycił świecący grzyb i ruszył pierwszy.

Pomieszczenie ciągnęło się na osiem metrów; wewnątrz stało kilka drewnianych skrzyń, na końcu był otwór.

– Tędy – oświadczyła Amber, wskazując palcem ścianę pokrytą olinowaniem.

Tobias ukląkł i dokładnie obejrzał podłogę, przyświecając sobie grzybem.

– Masz rację – stwierdził po minucie. – Tutaj rzeczywiście jest pozioma szczelina, jakby drzwi albo... Zaczekaj, zdaje się, że to guzik...

– Nie wciskaj go!

Tobias zdążył już to jednak zrobić – i ściana się rozsunęła z metalicznym szczękiem.

– Myślisz, że o n to usłyszał? – Tobias wpadł w panikę.

– Zaraz się przekonamy...

Na pokładzie nie nastąpił żaden podejrzany ruch, Tobias postanowił więc otworzyć skrzydło.

Ich oczom ukazała się klatka bez okna, za to z łańcuchami przyczepionymi do ścian.

– O mój Boże! – zawołała Amber i zasłoniła dłońmi usta.

– Co to jest? Czy on podróżuje z więźniami?

– Z dziećmi, Tobias! – odparła Amber, pokazując mały siennik. – Z dziećmi...

– Spijacz Niewinności... Więc to prawda, co o nim mówią?

– Nie wolno mu ufać, czaisz?

– Ty... Po tym, co zrobiłaś, powinien nam pomóc, nie?

– Nie, Toby, nie – pokręciła głową Amber. – Chodź, chyba najwyższy czas uciąć sobie pogawędkę z Colinem.

* * *

Kiedy weszli do kokpitu, Colin spał. Po przebudzeniu natychmiast spojrzał na busolę, nieznacznie zmienił kurs i zamrugał oczami, aby odegnać sen.

Amber usiadła na krześle obok niego, Tobias zaś z tyłu. Colinowi to się nie spodobało.

– Co tu robicie?

– Nie możemy zasnąć – odrzekła Amber.

– Co to? – zapytał Tobias, wskazując niesamowity szereg niebieskich i czerwonych świateł, które ciągnęły się po prawej na odległość kilku kilometrów. – Wyglądają jak tysiące policyjnych kogutów!

– Nie poznajesz? – zakpił Colin. – To skarameusze!

– Bez jaj! Słuchaj, z góry robią wrażenie!

– Przemierzają kraj po dawnych autostradach, są ich całe miliardy! Niebieskie po jednej stronie, czerwone po drugiej i...

– Wiem, już je widziałem z bliska! – przerwał mu Tobias. – Tylko że z tej wysokości są jak zaczarowane.

– Nikt nie wie, co dokładnie robią.

– Nawet Cynicy?

– Tym bardziej Cynicy! Mają w nosie te świecące skarabeusze!

– Kiedy zostanę Długodystansowcem – wtrąciła Amber – pójdę za nimi aż do źródła.

– Za którymi? – zapytał Tobias. – Za niebieskimi czy za czerwonymi?

– Co za różnica, skoro wszystkie maszerują na południe?

– Nie – odparł Colin. – Na innej autostradzie, tej prowadzącej na północ, też je widziałem. I też niebieskie i czerwone.

– Na pewno jest jakiś powód, jakiś sens ich obecności – oświadczyła Amber. – Bardzo bym chciała zgłębić to zagadnienie.

W gruncie rzeczy Colin cieszył się ich towarzystwem, a zwłaszcza przypadł mu do gustu wysiłek, jaki wkładali, żeby z nim rozmawiać mimo dzielącego ich antagonizmu, nie chcąc jednak ściągnąć na siebie kłopotów, dał im znak, by odeszli.

– A teraz wracajcie do kabin, pan nie lubi, jak się chodzi po nocy, jeśli was przyłapie, będzie źle! Tylko on i ja możemy krążyć po pokładzie!

– Żeby mógł się znęcać nad dziećmi, tak? – dokończyła Amber nagle nieprzyjaznym tonem.

– Posłuchajcie, przecież was uprzedzałem, samiście do niego przyszedli!

– Dlaczego z nim jesteście? – chciał wiedzieć Tobias.

– A jaki mam wybór? Może mi powiesz? Cynicy mnie odrzucili, bo przejęcie wyspy nie wypaliło, a ich ludzie poginęli. Tylko on mnie przyjął. Gdzie miałbym się podziać według was? Sam jeden w lesie? Żeby mnie wszamali Żarłocy?

– Służenie mu to zaprzędanie duszy diabłu!

– Przynajmniej ten diabeł mnie chroni i karmi!

– W końcu masz to, na co zasłużyłeś – burknął Tobias.

Amber zdążyła się wtrącić, zanim chłopcy przeszli do rękoczynów.

– Colin, nadal masz swoje przeobrażenie? Nadal możesz się porozumiewać z ptakami?

Krościaty nastolatek przygryzł wargę.

– Z trudem – wyznał. – Z biegiem czasu tracę tę zdolność. Myślę, że to właśnie oznacza dorosłość: utracić coś, co sprawia, że się jest wyjątkowym, i na powrót stać się takim jak wszyscy.

– Nie dałbyś rady naprowadzić ptaka na określony punkt? – naciskała Amber.

– Może. Przy dużym wysiłku i na krótki dystans.

– Jak to działa? Mówisz do nich? – zaciekawiał się Tobias.

Colin roześmiał się tępo, drwiąc z uwagi, która jego zdaniem zabrzmiała idiotycznie.

– Oczywiście, że nie! Koncentruję się na wizualizacji obrazu i wysyłam go ptakowi z prostym poleceniem. Na przykład patrzę na jakiegoś ptaka i skupiam się, żeby poczuć bicie jego serca, jego ciepło. Następnie siłą wchodzę w jego umysł, przesyłając mu wspomnienie danej osoby, i próbuję sobie wyobrazić miejsce, w którym ona się znajduje. Wtedy ptak się zrywa i odlatuje w określonym kierunku, aby odnaleźć osobę, którą mu wskazałem. To wszystko.

– Gdybyśmy dogonili statek Matta, mógłbyś nakierować na niego ptaka z wiadomością?

– Mogę spróbować, ale uprzedzam: mojemu panu się to nie spodoba! On nie cierpi zdolności Piotrusiów, boi się ich! Nie założył mi pierścienia pępkowego, bo jestem już prawie dorosły, inaczej zaraz by to zrobił, zapewniam was.

– Nie ma sensu mu o tym mówić – ostrzegła Amber.

– Ale to mój p...

– Posłuchaj – zaczęła dziewczyna pewnym siebie głosem. – W całej tej operacji nie obejdziesz się bez kłopotów, twój pan może się stać przeciwnikiem Malroncji. Jesteś pewien, że chcesz służyć wrogowi publicznemu numer jeden? Jeśli nam pomożesz, będziesz mógł wrócić razem z nami, wstawimy się za tobą u Piotrusiów.

– To twoja szansa na uzyskanie przebaczenia – dodał Tobias.

Colin z trudem przełknął ślinę. Wpatrywał się w ciemny krajobraz za szybą.

– Jaki macie plan? – przemówił.

Amber i Tobias przysunęli się bliżej i zaczęli mu wyjaśniać.

Pomiędzy psem i drapieżnikiem

Rzeka wiła się po równinach, wzgórzach i lasach, rozciągając swą niezgłębioną zieloną wstęgę od brzegu do brzegu niekończącą się serpentyną, która połykała cienie i odbijała słońce.

Na pokładzie Charona marynarze uwijali się przy wantach, rozwijając żagle. Wciągnięto dźdzownicę kilu, żeby dać jej odpocząć, po czym statek błyskawicznie stracił szybkość.

Matt przyglądał się manewrom z rufówki wraz z oficerami, którzy pilnowali operacji. Duchowy doradca królowej pozostał w kajucie, chłopak zaś zdążył się zorientować, że zwracają nań mniejszą uwagę. Wiedzieli, że nie może wyskoczyć za burłę, bo to by oznaczało samobójstwo, nie przejmowali się więc tak naprawdę tym, co robi.

Postawione żagle wymagały więcej pracy, toteż w ciągu trzech, czterech godzin każdy martwił się wyłącznie o własne zadanie.

Nadeszła pora, by działać.

Matt, który wypatrzył przedni luk, zamierzał zacząć oględziny statku właśnie od niego. Nie powinien rzucać się w oczy ani się ociągać – jemu wprawdzie wiele nie groziło, natomiast Kudłata mogłaby przez niego ucierpieć. Nie mogąc znieść tej myśli, postanowił, że wczesnym rankiem ją zlokalizuje.

Skoro ma uciekać, to albo razem z nią, albo wcale.

Z dolnych pokładów Matt znał jedynie część na rufie, czyli swoją kajutę, tuż obok kajuty doradcy Erika, następnie kajuty oficerów. Istniało małe prawdopodobieństwo, żeby Kudłatą zamknięto właśnie tam. Matt wielokrotnie widział otwarty główny luk, a w głębi ładownie pełne skrzyń i zapasów. Z tego co zauważył, Kudłatej tam też nie było, ale to wymagało dokładniejszego sprawdzenia.

Zamierzał zatem rozpocząć od dziobu, czyli części, o której zupełnie nic nie wiedział.

Udając, że chce rozprostować nogi, wszedł na główny pokład i jął błądzić pośród

stosów lin. Oficerowie prowadzili właśnie ożywioną dyskusję na temat głębokości rzeki, skorzystał więc z tego, by otworzyć przedni luk i wśliznąć się do środka.

Nie miał zbyt wiele czasu.

Aby rozproszyć mrok, chwycił pudełko zapalek leżące obok lampy na tłuszcz i zapalił knot.

Przy tej szybkości drewniane podłogi i ściany prawie nie skrzypiały, toteż Matt powinien się poruszać bezszelestnie.

„Trudno, teraz i tak nie mam już wyboru!”

Rzucił się ku pierwszym drzwiom, zamkniętym na klucz.

– Źle się zaczyna – szepnął do siebie.

Za następnymi znajdował się magazyn narzędzi i kufry ze sprzętem. Już miał zbiec po schodach poziom niżej, gdy ktoś zakasłał w pobliżu.

Spanikowany Matt zawrócił i wszedł do magazynu, by się ukryć pod złożonym żaglem. Zdmuchnął lampę i natychmiast przeklął w duchu zwierzęcy tłuszcz za tak silny odór. Jeśli mężczyzna zajrzy do środka, znajdzie go.

Za drzwiami rozległy się kroki.

Po czym się oddaliły.

Matt wydał przeciągłe westchnienie.

W oddali zabrzmiał dwukrotny dźwięk dzwonu.

„Zmiana wachty – pojął chłopak. – Muszę wracać na górę, bo doradca często robi inspekcję przy zmianie wachty!”

Mimo to szedł dalej, aż dotarł do szerokich drewnianych dwuskrzydłowych drzwi, za którymi powinien się znajdować szafka. Kiedy Matt je otworzył, serce zaczęło mu walić jak szalone, poczuł bowiem charakterystyczny zapach psa.

– Kudłata? – zawołał cichutko.

W głębi pomieszczenia poruszył się jakiś potężny kształt. Matt podniósł do góry lampę i popędził w jego kierunku.

Kudłata była zamknięta w bambusowej klatce, tułów miała przewiązany grubym beżowym bandażem.

– Przynajmniej cię leczą! – szepnął Matt ze łzami w oczach. – Gdybyś wiedziała, jak za tobą tęskniłem!

Pies szorował mu po twarzy językiem, jakby lizał smakowite lody. Ponad nimi rozbrzmiały krzyki, Matt nie potrafił jednak odgadnąć, co znaczą.

– Muszę zmykać – powiedział – ale przysięgam, że cię stąd wyciągnę.

Pies zaskowyczał, Matt pogłaskał go więc i pocałował w wilgotny pysk.

– Nie mogę zostać, przykro mi. Jeśli mnie tu znajdą, wszystko skrupi się na tobie!

Podrapawszy Kudłatą po łbie po raz ostatni, już miał odejść, gdy wtem rozpoznał w kacie rękojeść swojego miecza. Cały jego sprzęt leżał tutaj! W pierwszym odruchu chwycił za broń, lecz natychmiast ją odłożył. Nigdy nie zdołałby jej ukryć, a gdyby Cynicy złapali go z mieczem, zorientowaliby się, że znalazł Kudłatą. Niechętnie zrezygnował więc ze swej drugiej skóry.

Nie mógł wrócić tą samą drogą, którą tu przybył, to było zbyt ryzykowne. Gdyby ktoś zobaczył, że się wynurza przez przedni luk, pies miałby kłopoty...

Mattowi udało się dotrzeć do głównej ładowni, stamtąd zaś do kajut rufowych. Odstawił lampę i wszedł na górę z miną niewiniątka.

Ledwie zdążył wychynąć na światło dzienne, czyjaś silna garść chwyciła go za kołnierz.

– Gdzie byłeś? – krzyknął żołnierz.

Mimo ściśniętego gardła Matt udał tak zdziwionego, jak tylko potrafił.

– W kajucie – odparł.

– Nie kłam! – wrzasnął znajdujący się nieco dalej doradca. – Zaglądałem tam minutę temu!

– Byłem w łazience! – skłamał pewnym głosem Matt. – Chyba mi wolno, nie?

Doradca podszedł bliżej, mówiąc:

– Jeśli spróbujesz nas wystrychnąć na dudka, pamiętaj, że twój pies za to zapłaci!

Gdy dłoń w rękawicy go puściła, Matt roztarł szyję, pragnąc się pozbyć wrażenia, że się dusi.

– Niby dokąd miałbym pójść? – odrzekł rozdrażniony bólem.

Po czym się oddalił i usiadł na beczce, skąd obserwował brzegi porośnięte wybujałą roślinnością.

Kudłata żyje, to dobra wiadomość.

Pozostaje jeszcze znaleźć sposób ucieczki.

Wieczorem po kolacji Matt siedział na relingu, rozkoszując się wiatrem pod gwiazdami. Posiłki w towarzystwie duchowego doradcy królowej stały się nie do zniesienia. Mężczyzna bombardował go pytaniami o Piotrusiów, o ich organizację, i chociaż Matt najczęściej kłamał, niekiedy był zmuszony rzucić parę prawdziwych odpowiedzi, aby nie narażać zbyt wiele Kudłatej. Dopóki znajdowali się na rzece, mógł udawać, doradca nie był bowiem w stanie porównać jego kłamstw z informacjami od swoich szpiegów, ale prędzej czy

później wznoszony mur zmyśleń runie.

Jego dni były zatem policzone.

Poza tym to go wyczerpywało; żeby tak bardzo kłamać, a potem samemu sobie nie przeczyć, potrzeba było najwyższego skupienia, musiał wszystko pamiętać.

Na szczęście doradca pozwalał mu po kolacji na godzinkę wytchnienia na powietrzu, żeby lepiej trawił.

Matt nie miał bladego pojęcia, czego chce od niego Malroncja, ale był pewien jednego: życzyła sobie go dostać w dobrym zdrowiu, o co dbał doradca.

„Jeśli po to, żeby mnie własnoręcznie zabić, nie za bardzo mi się to podoba...”

Za sterem rozmawiało szeptem dwóch oficerów. Matt nadstawił ucha.

– Jutro? – zapytał ten w kapeluszu.

– Tak, pozostaje się tylko dowiedzieć kiedy! Jeżeli wczesnym popołudniem, otworzą nam, jeżeli przed nocą, to już po nas. Wtedy lepiej nie ryzykować i nie zbliżać się do miasta.

– A ty już widziałeś Zjadaczy Cieni?

– Odbiło ci? Nigdy nie wystawiłem nosa z Henok po zmroku! Co do śmiałków, tych, co to się uważali za nadzwyczajnych myśliwych, coś ci powiem: właśnie ich głowy zdobią groty Zjadaczy Cieni.

Matt zeskoczył z zaimprovizowanej ławki i przysunął się do obu mężczyzn.

– Co to takiego Zjadacz Cieni? – zapytał.

Mężczyźni przyglądali mu się nieufnie.

– Boisz się nocy? – odezwał się ten, który trzymał ster.

– Nie bardzo.

– Zjadacze Cieni to dobry powód, żeby się bać nocy!

Co rzekłszy, roześmiał się obleśnym śmiechem, który okazał się zaraźliwy dla jego towarzysza.

Duchowy doradca królowej stał na szczycie schodów. Jak zwykle poruszał się bezszelestnie.

– Zjadacze Cieni to potwory mieszkające w grotach nad Henok – oznajmił, po czym śmiech natychmiast umilkł. – Wychodzą wyłącznie po zmierzchu i żywią się cieniami wszelkich istot żywych, jakie spotkają. Polują w stadzie, są szybkie, okrutne i bardzo skuteczne.

– Zjadają... cienie?- powtórzył Matt.

– Wierz mi, istota bez cienia to nie jest ładny widok, zatem to jeszcze jeden powód, żeby się nas trzymać. Na zewnątrz w pojedynkę, nie mając się gdzie schować, nie uchowałbyś

się długo.

– Więc mieszkańcy Henok się barykadują?

– To miasto w dużej części podziemne, służy zamyka się o zachodzie słońca i nikt nie wchodzi ani nie wychodzi aż do świtu. Dlatego Charon stanie na kolejną noc w odpowiedniej odległości, jeżeli nie zdołamy dopłynąć do Henok przed zmrokiem. Zjadacze Cieni boją się światła dziennego, nigdy się zbyt nie oddalają od gniazda.

– To coś na kształt wampirów...

– Nie, Zjadacze Cieni są o wiele gorsi!

Duchowy doradca królowej odszedł i usiadł na uboczu, żeby wypalić wieczorne cygaro. Matt wiedział, że ma jeszcze godzinę, zanim go zamkną na noc w kajucie.

Sytuacja się komplikowała. Nie mógł uciec z płynącego statku, z kolei kiedy znajdą się w mieście, zdoła się wymknąć jedynie za dnia.

Matt spoglądał regularnie na pokładową busolę; od samego początku płynęli w dół rzeki, na południe. Miał przynajmniej świadomość, że aby wrócić do Piotrusiów, trzeba będzie obrać łatwy kurs: prosto na północ.

Tylko czy wiedział dostatecznie dużo na ten temat? Doradca odmawiał odpowiedzi na jego pytania, załoga też nie była szczególnie rozmowna.

Jeżeli naprawdę chce zdobyć ważne informacje, musi ukończyć rejs.

Gdy stanie twarzą w twarz z Malroncją, posypią się odpowiedzi.

„Ale za jaką cenę? I czy potem dam radę przed nią uciec?”

Nagle rozległ się dźwięk, który Matt z początku wziął za łopotanie żagli na wietrze, zanim sobie przypomniał, że nie są postawione, a dżdżownica kilu właśnie daje z siebie wszystko. Odwróciwszy się, ujrzał tuż przed sobą sowę o wielkich żółto-czarnych oczach.

W obawie, że drapieżnik go zaatakuje, Matt się cofnął.

Do czego mogą być zdolne sowy po Burzy?

Ptaka wszakże wcale nie wyglądał na agresywnego, tylko bardzo usilnie się w niego wpatrywał.

Wobec tego Matt spróbował innego podejścia. Zostawił sobie z kolacji jabłko, gdyby w nocy chwycił go głód. Oderwał teraz paznokciami kawałek i podsunął sowie, która ani drgnęła.

Wtem Matt spostrzegł skrawek papieru zamocowany gumką na jej łapie.

„Rozpoznaję tę metodę! To numer Cyników! To cholerna wiadomość!”

Upewniwszy się, że nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na ptaka, podszedł bliżej. Jeżeli ją wystraszy, sowa bez wątpienia ucieknie, a wtedy wiadomość przepadnie – przynajmniej tyle

może zrobić, żeby pokrzyżować plany Cynikom...

Tylko że zamiast się zamachnąć i odpędzić drapieżnika, zastygł w bezruchu.

„Nie, to nie pasuje do Cyników! Postępowali w ten sposób, żeby napaść na Wyspę Carmichaela, bo Colin był z nimi w zмовie, a przeobrażenie pozwalało mu prowadzić ptaki!”

A jeśli teraz Colin jest kimś w rodzaju manipulatora ptaków na usługach Cyników?

„To niemożliwe, przecież on nie żyje!”

Matt musnął liścik koniuszkami palców. Bał się, że sowa go dziobnie.

Świstek się wysunął i chłopak przybliżył go do lampy, by przeczytać.

„Jesteśmy za tobą, przygotuj się do ucieczki. Wkroczy my do akcji, jak tylko się da. Amber i Tobias”.

Nie do wiary. Zdołali popłynąć za nim!

Cała radość Matta jednak zniknęła, kiedy tylko pomyślał o sile wojska obecnego na pokładzie. O uzbrojonych żołnierzach. Musi ostrzec przyjaciół.

Niech niczego teraz nie próbują.

Szukał czegoś do pisania, ale na próżno. Nie mógł pójść do swojej kajuty i wrócić, nie budząc podejrzeń doradcy. Poza tym istniało niebezpieczeństwo, że sowa odleci albo że Cynicy złapią ją na pieczeń.

Nie, trzeba improwizować za pomocą tego, co ma pod ręką. Matt podszedł do wystającego z podłogi gwoźdźca, który zauważył wcześniej, bo o mało się o niego nie potknął. Ukląkł i wbił go sobie w palec wskazujący, aż po paznokiec. Poczł silny ból i ujrzał krople krwi.

Koniuszką palca napisał krótką odpowiedź w kolorze czerwonym: „Nie! Statek zbyt chroniony. Ucieknę w Henok, znajdźcie sposób, żeby opuścić miasto. Fajnie, że jesteście!”.

Zamocował liścik na sowej łapie gumką i popchnął ptaka, żeby odfrunął.

Drapieżnik rozpostarł wielkie skrzydła i wzbił się w ciemne niebo.

Pozostało tylko mieć nadzieję, że rzeczywiście dostarczy wiadomość jego przyjaciołom.

Nocni łowcy

Charon sunął środkiem rzeki, pozostawiając za sobą białą pianę. Tobiasowi wydało się przez chwilę, że dostrzega pod kadłubem trójmasztowca jakiś podłużny kształt. Coś olbrzymiego.

Odłożył lunetę.

– Jesteśmy niecałe dwa kilometry od niego – oszacował z drżeniem.

– Czy strażę pomachały czerwonymi flagami? – zapytał Spijacz Niewinności.

– Nie, dlaczego?

– To znaczy, że jeszcze nas nie namierzili. Tak czy inaczej pomyślą, że lecę do Henok w interesach.

– A jakie pan robi interesy? – zaintrygowała się Amber.

– Wyświadczam przysługi, znajduję to, czego ludzie szukają, przywożę towary sterowcem, tego typu rzeczy.

„I lubię dręczyć dzieci! Lubię napadać na słabszych ode mnie, żeby poczuć się wszechmocny! – pomyślała ze złością Amber. – Jesteś wstrętnym zboczeńcem i tyle!”

Znienacka gondola się zatrzęsła i zaczęła tracić wysokość.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Tobias.

– Meduzie chce się pić.

– Nie może jej pan zmusić, żeby nabrała wysokości?

Wpadłszy w panikę na myśl, że zaraz się roztrzaskają, Tobias tak mocno uczeplił się siedzenia, że aż mu pobielały kostki.

– Przeciwnie, damy jej spokój, dzięki czemu później będzie się lepiej słuchać. A w dodatku to nam pozwoli też napełnić zbiorniki wodą!

Spijacz Niewinności przypilnował, by zejście było łagodne, po czym znieruchomieli dziesięć metrów nad rzeką. Dziesiątki włókien zanurzyło się pod powierzchnię, z czego skorzystał Spijacz Niewinności, który udał się do hangaru, gdzie uruchomił system bloczków,

aby zanurzyć w zielonej wodzie dwie beczki.

Po dwóch godzinach meduza znów ruszyła. Przemierzywszy kilka kilometrów, podczas których igrała z rzeką, jęła stopniowo nabierać wysokości.

Charon znacznie się od nich oddalił – teraz był tylko brązową plamą na szmaragdowej wstędze.

– Może pan prześcignąć statek? – zapytał Tobias.

– Wyprzedzić go? Myślałem, że chcecie jak najszybciej uwolnić przyjaciela. Jaki macie plan?

– Tak naprawdę nie mamy żadnego – odrzekła Amber. – Po prostu chcemy zyskać na czasie, żeby się zastanowić. Jeśli pierwsi dotrzemy do Henok, będzie lepiej.

– Zobaczę, co da się zrobić. Jeśli polecimy bezpośrednio nad tamtymi wzgórzami w oddali, to powinno być możliwe. Ale ostrzegam: dalej nie lecę! Jeżeli w Henok nie odzyskacie przyjaciela, nasza umowa przestanie obowiązywać! Wracam do Babilonu.

Późnym popołudniem jednak, podczas gdy Amber i Tobias właśnie kończyli posiłek składający się z zapasów, które przezornie wyciągnęli z własnych plecaków zamiast z pokładowego magazynu, Spijacz Niewinności przyszedł im powiedzieć, że będą musieli odczekać jeszcze jedną noc.

– Nie zdążymy dolecieć przed zmrokiem, a z powodu Zjadaczy Cieni nie zaryzykuję przybicia do brzegu o zbyt późnej porze.

– Co to właściwie są ci Zjadacze Cieni? – chciał wiedzieć Tobias.

– Lubisz horrory?

– Nie bardzo...

– Więc nie polubisz Zjadaczy Cieni! Jeżeli ciekawość ci nie minie do wieczora, bądź na dachu po zachodzie słońca.

Kilka godzin później Tobias, który nie mógł się oprzeć chęci dowiedzenia się czegoś więcej, przyłączył się do Spijacza Niewinności, chociaż instynkt podpowiadał mu, żeby absolutnie tego nie robił.

Wiatr prawie ustał, panował spokój, podczas gdy ostatnie promienie słońca niknęły powoli na zachodzie, nad hektarami lasu, który ciągnął się jak okiem sięgnąć.

Spijacz Niewinności podał mu lunetę i rzekł, wskazując palcem północ:

– Popatrz na tamtą zatoczkę.

Spełniwszy polecenie, Tobias dostrzegł Charona, który z zanurzoną kotwicą szykował się do spędzenia nocy za nimi, kilka kilometrów od Henok.

– Czy tutaj nic nam nie grozi? – wystraszył się chłopiec.

– Nie, znajdujemy się wystarczająco wysoko, a cień meduzy jest zbyt duży, żeby zainteresować Zjadaczy Cieni. Podejdz z tej strony i podziwiał Henok!

Tobias osłupiał na widok krajobrazu, który rozciągał się na południu. Po pierwsze, stroma urwista góra, wylaniająca się pośród drzew, pięła się obrywami i skalnymi ścianami ku chmurom. Szpiczasty wierzchołek sięgał wyżej niż sterowiec. Rzeka u jej stóp rozszerzała się jeszcze bardziej i rozdzielała na dwie odnogi, z których jedna wpływała do ogromnej grotty pod górą, druga zaś, ta szersza, znikła w ścianie białej mgły.

Potem było tak, jakby świat nagle się zatrzymał.

Biegący dalej na południe łąd zanurzał się na ponad pięćset metrów, tworząc niekończący się basen pod osłoną naturalnej pionowej ściany nie do przebycia.

Wtedy Tobias zrozumiał, czym jest biała mgła: gigantycznym wodospadem!

Na krawędzi przepaści, biegnącej ze wschodu na zachód tak daleko, jak daleko sięgał wzrok, las się urywał, podobnie jak wzgórze i wszystkie potoki wody, których istnienia Tobias się domyślał.

Na owych ograbionych ziemiach rzeźba terenu wydawała się bardziej powykrzywiana, roślinność ciemniejsza, Tobias zaś doznał nagle wrażenia, że na horyzoncie zachodzi właśnie drugie słońce, nim pojął, że to coś innego.

– Co się dzieje tam, na samym dole? – zapytał.

– To siedziba Malroncji, serce WyrdLon-Deis. Niebo tam jest czerwone. Nie wiem, dlaczego niektórzy głoszą, że to krew Boga płynie ze szczytu, żeby zmyć nasze grzechy, ale nigdy nie poszedłem sprawdzić.

– A gdzie jest Henok? Nie widzę go.

– Pod górą, która wznosi się przed tobą. Grota, do której wpływa rzeka, stanowi jedno z wejść. To podziemne miasto.

Przyłożywszy lunetę do oka, Tobias spostrzegł małe otwory w ścianie u stóp wzgórza. Następnie ujrzał liczne budowle bez okien i schody zagłębiające się w kamień.

Z pół tuzina postaci spieszyło zamknąć drzwi domów, które w rzeczywistości służyły jako szopy. Potem ci ludzie puścili się biegiem, by pozostać w promieniach zachodzącego słońca.

Nieco dalej dwaj pasterze przez właz wprowadzili owce do wnętrza góry. Poganiali maruderów uderzeniami kija.

Wszystkie wejścia do góry zostały zamknięte, wszyscy wrócili do środka. W ciągu kilku sekund płonący nimb słońca opuścił zbocze, po czym gwiazda na dobre zniknęła.

Tobiasa zdumiała cisza, jaka potem nastąpiła.

Ani jednego ptaka, ani powiewu wiatru.

Cała przyroda zdawała się wstrzymywać oddech.

Wtedy powychodzili ze swych nor.

Zjadacze Cieni wyprysnęli w półmroku z gniazda na szczycie góry i popędzili po zboczu, jakby to był wyścig przetrwania. Mieli trójkątny kształt, byli trochę wyżsi od ludzi. Tobiasz uzmysłowił sobie, że nie suną po ziemi, lecz szybują! Złożywszy skrzydła, Zjadacze Cieni przysiedli, chudzi i nieruchomi niczym pnie martwych drzew. Tylko białe głowy zdradzały, że żyją. Pozbawione włosów czaszki, żółte duże oczy i olbrzymie szpary zamiast ust. Patrząc przez lunetę, Tobiasz uznał, że są koszmarni. „Jak to musi wyglądać z bliska!”

– Ach! Widowisko zapowiada się ciekawie – ucieszył się Spijacz Niewinności.

Pod jednym z włazów, grzebiąc kopytem w ziemi, czekała owca, która okazała się nie dość szybka.

Kiedy Zjadacze Cieni ją zwietrzyli, u stóp wyrosły im długie pazury, które uniosły ich lekko i spuściły ku ofierze.

– Jest prawie noc – zauważył Tobiasz. – Owca już nie ma cienia, więc dlaczego mówi się na nich Zjadacze Cieni?

– Wkrótce się dowiesz – odrzekł Spijacz Niewinności tonem kogoś, kto napawa się nieszczęściem innych.

Ze szczytu spadli na zbocze kolejni Zjadacze Cieni, którzy rozpostarli błony i poszybowali jak błyskawica w kierunku owcy.

W okamgnieniu biedne zwierzę zostało otoczone; wyczuwając niebezpieczeństwo, zaczęło jeszcze mocniej drapać ziemię pod włazem.

Zjadacze Cieni zbliżali się, zacieśniając koło coraz bardziej.

Wtem jeden z nich uniósł się na pazurach, jego czoło zaś jęło się ruszać; fałdy zniknęły, zmarszczki się rozsunęły, ukazując białe, niemal przezroczyste oko. Wystrzelił z niego błysk, z kolei służąca jako usta szpara otworzyła się i wyłoniły się z niej rzędy żółtych ostrych zębów. Zjadaczom Cieni ciekła ślina.

Jeszcze jeden błysk białego oka i wszyscy Zjadacze Cieni rzucili się na ulotny cień owcy. Z każdym kolejnym błyskiem bardziej się nad nim pastwili, podczas gdy owca sprawiała wrażenie przerażonej.

Kiedy po dłuższej chwili błyski ustały, owca leżała na boku z otwartym pyskiem. Nasyчени Zjadacze Cieni oddalili się.

– Co jest tej owcy? – odezwał się Tobiasz.

– Powiadają, że kiedy Zjadacze odbierają komuś cień, zostaje on skazany na wieczne

życie w ich zbiorowym umyśle, najwyraźniej bowiem wszystkich ożywia jeden i ten sam mózg, działają razem i razem się wałęsają. Pożarcie cienia przez Zjadaczy Cieni to wieczne potępienie!

– To obrzydliwe!

Spijacz Niewinności wybuchnął śmiechem.

Tobias już miał się odwrócić, lecz jego uwagę przykuł jakiś blask. Pięć kilometrów od Henok na samym dole basenu świeciło nieśmiało jakieś światło. Spojrzał przez lunetę i dostrzegł małą fortecę wzniesioną na wapiennej ostrodze. Na szczycie jej wieży obronnej zamiast latarni płonął ogień.

– Co to za zamek w dolinie?

– Cytadela Pierwszej Armii. Są w całym WyrdLon-Deis. To armia Malroncji.

Tobias pokręcił głową. To typowe dla Cyników: w pierwszym rzędzie pobudować fortece i powołać wojsko!

W świecie, który domagał się mostów i pomocnych dłoni, Cynicy otaczali się murami i szykowali wojnę.

„Należy wierzyć, że człowiek jest niereformowalny”, pomyślał z goryczą Tobias.

Henok

O świcie czerwone wykładziny salonu sterowca zdawały się płonąć. Tobiasz naciągnął cięciwę łuku i upewnił się, że ma dość strzał.

– Jestem gotów.

Amber stanęła przed dużym bulajem.

– Będziemy mogli się zbliżyć, Zjadacze Cieni poszli spać.

– Gdybyś widziała, jak pożarli tę biedną owcę! – zawołał Tobiasz.

– Wystarczy mi twoja opowieść.

Do salonu wkroczył Spijacz Niewinności, kończąc wiązać czarny jedwabny szlafrok, który nosił na ubraniu. Nie włożył filcowego beretu, toteż kępy siwych włosów sterczały mu do góry zmierzwione jak u kogoś, kto dopiero co wstał z łóżka.

– No jak tam? Co się tu szykuje? – zdziwił się.

– Schodzimy do miasta – wyjaśnił Tobiasz. – Mamy pewien plan i może pan być spokojny, nie będzie się pan musiał w to mieszać!

– To znaczy?

– Colin idzie z nami, żeby nie budzić podejrzeń. Będzie trzymał łańcuszki, które przyczepimy do pasków, udając, że mamy pierścienie pępkowe.

Spijacz Niewinności wskazał ręką łańcuszki.

– Skąd to wzięliście? – zdenerwował się.

– Z hangaru – odparła Amber.

– Szpe... szperaliście w moich rzeczach?

Dziewczyna wytrzymała jego wściekłe spojrzenie.

– Musieliśmy, żeby przygotować plan bez oglądania się na pana.

Amber skinęła na Tobiasza, żeby poszedł za nią, ale Spijacz Niewinności chwycił ją za ramię.

– Chwileczkę! Dokąd się wybieracie? Chyba nie zamierzacie paradować we trójkę?

Żądam gwarancji, że wrócić na pokład, żebym mógł wypytać waszego przyjaciela!

– A niby jak mielibyśmy opuścić Henok? – odrzekła Amber. – Tylko pan może nas odwiedzić na północ.

– Z natury nie jestem łatwowierny, wobec tego ty, moja panno, zostaniesz tutaj ze mną, podczas gdy twój czarnoskóry przyjaciel wypełni powierzona mu misję.

– Czy kolor mojej skóry stanowi jakiś problem? – odciął się Tobias.

– Nie, ale przecież jesteś czarny, prawda?

– Za to pan jest obleśny, ale nie mówię tego, oszczędźmy więc sobie oczywistości, które niczemu nie służą!

Tobias i Amber zamierzali odejść, lecz dłoń Spijacza Niewinności nadal spoczywała na ramieniu dziewczyny.

– Ona zostaje na pokładzie albo nikt nie schodzi na ląd – upierał się mężczyzna z tłumionym gniewem, który przyprawił Tobiasa o dreszcze.

– Ja nie...

Spijacz Niewinności przerwał Tobiasowi podniesionym głosem:

– To nie podlega negocjacom! Bo inaczej natychmiast zawracam!

Amber zagryzła wargę, po czym spojrzała na Tobiasa i zgodziła się urażona.

Sterowiec zatrzymał się nad skupiskiem baraków i drewnianą wieżą, następnie Colin zrzucił liny. Na dole trzech mężczyzn czym prędzej przywiązało je do ciężkich skał, po czym gondola jęła się zsuwać ku ziemi. Gdy na wysokości piętnastu metrów śluza wejściowa i wierzchołek wieży znalazły się na tym samym poziomie, przyczepiono kolejną cumę. Opuszczając pokład, Tobias położył u stóp Amber swój łuk i kołczan.

– Co robisz? – przeraziła się dziewczyna.

– Bez ciebie nie na wiele mi się to przyda.

– Nie mów tak.

– Trzeba to sobie uczciwie powiedzieć: może i jestem szybki, ale nie potrafię celować!

– Weź to i uwierz w siebie.

– Znam siebie, bez ciebie jestem beznadziejny!

– Weź to, mówię.

Amber włożyła mu sprzęt w ręce i dodała ciszej:

– Liczę na ciebie, nie zostawiaj mnie tu z nim samą zbyt długo, zgoda?

– Obiecuję.

Kiedy przysunęła się, żeby go pocałować w policzek, Tobias całkiem odzyskał animusz.

Colin chwycił łańcuszek, jakby chciał prowadzić go na smyczy, i wyszli prosto w słońce.

Znajdujący się u stóp wieży Cynicy przywitani ich zaciekawionymi spojrzeniami. Wysoki blondyn wystąpił naprzód i zapytał, wskazując palcem Tobiasa:

– Przywiozłeś niewolnika? Bardzo by się nam tutaj przydał!

– O tak! – dodał drugi mężczyzna, drapiąc się po wielkim brzuchu wystającym spod płóciennej koszuli. – Trzeba nam siły roboczej!

– Jest już zarezerwowany! – uciął Colin, podchodząc do schodów zagłębiających się we wnętrze góry.

W środku unosił się charakterystyczny zapach lamp na tłuszcz zawieszonych na hakach co dziesięć metrów. Wykute w skale stopnie zanurzały się w otchłanie wzgórze na kilkaset metrów.

Nagle ściana po prawej stronie zniknęła zastąpiona zwykłą linią, w dole zaś pojawiło się Henok owinięte wokół czarnego jeziora pod osłoną bajecznej grotty.

Białe domy zwieńczone tarasami na dachach albo kopułami, wąskie kręte uliczki, łuki, liczne patia, fontanny pośrodku okrągłych placów, przykryty rynek, wszędzie zaś płonęły lampy na kształt drogi mlecznej. Miasto przypominało marokańskie wioski, które Tobias oglądał na zdjęciach u swego przyjaciela jeszcze przed Burzą. Marokańską wioskę pogrążoną w wiecznej nocy.

– Nie do wiary... – stwierdził, podziwiając krajobraz. – Zbudowali to Cynicy?

– Tak. Jak chcą, są zdolni do pięknych wyczynów, nieprawdaż? Dopiero co je ukończyli. A to, co najwspanialsze, jest ukryte! Ogromny tunel na końcu jeziora, gdzie statki są przycumowane łańcuchami, jakich nigdy nie widziałeś! Skomplikowany mechanizm kół zębatych i bloczków wykorzystujący siłę wody, która spada na sam dół, do doliny, pozwala na spuszczenie i wciąganie statków wzdłuż tunelu na zboczu. Właśnie wtedy będzie przechodził Charon.

– Ile czasu to zajmuje?

– Zaczepienie co najmniej trzy do czterech godzin i chyba tyle samo transport tunelem. Na ogół to się odbywa w nocy.

– A co się w tym czasie dzieje z pasażerami?

– Są kierowani do równoległego przejścia, na niekończące się schody, które stały się bardzo niebezpieczne z powodu wilgoci; potrzeba ponad dwóch godzin, żeby je pokonać! To jest taki wysiłek fizyczny, że nazywają je schodami płaczu.

– Dobra. Zaprowadź mnie do drogi, którą będzie szedł Matt, chcę wszystko obejrzeć,

od miejsca, gdzie się schodzi na ład, aż do tych schodów.

Gdy dotarli wreszcie do miasta, jeszcze zanim minęli innych Cyników, Colin, który niósł łuk Tobiasa, aby nie budzić podejrzeń, przypomniał:

– Pamiętaj, że nosząc pierścień pępkowy, jesteś apatyczny i posłuszny, nie podejmujesz żadnej inicjatywy, rzadko się odzywasz. To bardzo ważne! Ludzie nienawidzą Piotrusiów albo się ich boją, więc jeśli poczują się niepewnie w twoim towarzystwie, zorientują się, że to ściema.

– Co się dzieje po zdjęciu pierścienia pępkowego?

– Z tego co słyszałem, Piotruś odzyskuje niezależność, ale już nie jest taki sam, trochę przypomina ducha, brak mu jakiejś części osobowości i popada w przygnębienie. Cynicy przeprowadzili doświadczenia: połowa Piotrusiów, którym zdjęto pierścień, krótko po tym popełniła samobójstwo.

– To straszne! Jak oni mogą się dopuszczać takich potworności?

– A co ty myślisz? Że wielkich odkryć dokonuje się bez ofiar? To też jest postęp!

Tobias rzucił mu złe spojrzenie, mówiąc:

– Jak nic, ciebie też zdeprawowali!

– Właśnie to mnie w was, Piotrusiach, denerwuje: jesteście tacy naiwni... No chodź.

Akurat mijali grupę kobiet, które niosły kosze pełne warzyw i owoców zerwanych na zewnątrz.

Jedna z nich zawołała do Colina:

– Ej, ty! Może byś kazał niewolnikowi, żeby nam pomógł zanieść te kosze do domu?

– Przykro mi, proszę pani, ale pan na niego czeka, miłego dnia!

Colin przyspieszył kroku, Tobias zaś podreptał za nim jak grzeczny piesek.

Nie cierpiał tej maskarady. Jak można upaść tak nisko? Nawet Colin zdawał się uważać, że to normalne! Trudno by mu było znaleźć sobie na powrót miejsce wśród Piotrusiów, zwłaszcza po tym, co zrobił na Wyspie Carmichaela... W końcu zabił starego wujka!

„Amber i ja obiecaliśmy, że się za nim wstawimy. Jeśli się postara, może znajdzie sobie jakiś kąć i odpowiednie zajęcie...”

Układ był prosty: on im pomoże uwolnić Matta, a kiedy nadejdzie chwila, żeby uciec od Spijacza Niewinności, przyłączy się do nich. Jego życie wśród Cyników było tak wielką porażką, że nie wahał się długo. Ten chłopak o długich tłustych włosach dojrzał, odkąd mieszkał wśród dorosłych. Nie sprawiał już wrażenia takiego głupka, jakim był na Wyspie Carmichaela.

Colin zaprowadził Tobiasza do portu, a w każdym razie do czegoś, co pełniło taką funkcję: na długie nabrzeże z białego kamienia, po czym pokazał mu szeroki otwór w oddali, po drugiej stronie jeziora, prowadzący do następnej jaskini.

– Tam jest początek tunelu – oznajmił. – Tylko że Matt i żołnierze wysiądą tutaj, zanim rozpocznie się spuszczenie statku. Niewykluczone, że zanocują w tamtej gospodzie na rogu ulicy, przyjezdni często wpadają do tej speluny.

– Zabierz mnie tam.

Wczesnym rankiem w lokalu nie było prawie nikogo z wyjątkiem trzech pijaków i właściciela, który zamiatał główną salę. Odór potu, tytoniu, spalonego tłuszczu i wina tworzył smrodliwą mieszankę, która już w progu wywróciła Tobiasowi żołądek na drugą stronę. Jednakże kosztem bolesnego wysiłku zdołał się opanować i przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Co ty tu robisz ze swoją zabawką, chłopcze? – zapytał inkwizytorskim tonem właściciel.

– Chciałbym zamówić piwo. To była długa podróż, muszę się odprężyć, zanim dostarczę przesyłkę – odrzekł Colin, szarpiąc za łańcuszek Tobiasa.

Właściciel wrócił po chwili z wilgotną butelką, którą odkapslował przy kliencie.

– Skąd przybywasz?

– Z Babilonu.

– Aha. Jakie wieści z północy?

– Nic specjalnego. Ludzie się organizują, właśnie skończyli budować mury obronne.

– A u nas skończyli funikular!

– Co to takiego?

– System wagonów, żeby nie musieć się wdrapywać po schodach płaczu! Szybszy i bardziej praktyczny.

– Nie wiedziałem.

– Komu masz dostarczyć swojego chłoptasia?

– To poufne, nie wolno mi mówić.

– Ach! – zadrwił właściciel. – To dobre! To teraz w Henok są ludzie, którzy dochowują tajemnic?

– Nie ja ustalam zasady.

– Domyślam się. To będzie pięć monet, do usług.

– Aż tyle? – oburzył się Colin.

– Poszukiwacze przywożą go coraz mniej, zapasy się kurczą, a zbiory z naszych pól będą dopiero za dwa miesiące. Nie licząc czasu potrzebnego na fermentację. Więc ceny rosną.

Colin niechętnie zapłacił pięć monet, które jak się domyślał Tobiasz, musiały stanowić prawie cały jego majątek. Kiedy wszyscy znów się zajęli własnymi sprawami, Colin przysunął się do Tobiasza i powiedział:

– Na piętrze są pokoje, w których podróżni mogą spędzić noc, kiedy ich statek jest wprowadzany do doliny w WyrdLon-Deis.

– Trudno się będzie tu zakraść, kiedy zostaną, jeśli będzie ich dużo. Pokaż mi dalszy ciąg.

Colin powoli popijał piwo, delektując się nim, co zdumiało Tobiasza, który pewnego dnia już zdążył spróbować resztek z butelki ojca i uznał je za tak gorzkie, że raczenie się podobnym napitkiem uważał za masochizm.

Opuścili miasto od południowej strony, słabiej oświetlonej, gdzie jedyną konstrukcję stanowiła wybrukowana ulica. Grota kończyła się tutaj bramą wielkości budynku. Na prawo jezioro przepływało przez tunel tak szeroki, że mógłby się w nim zmieścić liniowiec, jak ocenił Tobiasz. Przejście było strome, jedyne zaś, co zdołał dojrzeć, to kolosalne bloczki. Huk wodospadu zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

– Za tą bramą – wrzasnął Colin, przekrzykując łoskot – są schody płaczu!

– Chcę rzucić okiem! Zobaczyć, jak wygląda ta cała kolejka linowa.

Colin się skrzywił.

– Byłem pewien, że to powiesz. Chodź, spróbujemy się przecisnąć przez właz pod bramą.

Przedostawszy się bez trudu na drugą stronę bramy, prześliznęli się między zwojami łańcuchów i wielkimi kołami, które obracały się napędzane siłą wody płynącej w głębokich korytach.

Kiedy Tobiasz znalazł się u szczytu schodów, niespodziewanie zakreśliło mu się w głowie.

Tysiące stopni pośrodku malejącej perspektywy: prostokątny tunel bez końca zagłębiał się stromo we wnętrze ziemi. Po obu stronach schodów kanały wlewały miliony litrów na minutę, napierając na czerpaki uczezione łańcuchów i wprawiając w ruch cały skomplikowany mechanizm. Tobiasz domyślił się, że to sposób na wciągnięcie do góry wagonów funikularu. Oprócz tego, że dudniło mu w uszach z powodu hałasu, nie był w stanie swobodnie oddychać. Cała ta wilgoć zatykała mu płuca.

„Jak by powiedział Matt, nigdy nie miałem astmy – powtarzał sobie dla dodania otuchy. – To nic takiego... Normalka... To nie astma...”

Nawet płomienie lamp z trudem zachowywały żywotność.

Stopnie pokrywały kropelki wody. Bał się choćby pomyśleć, co by się stało, gdyby się pośliznął... Spadanie bez końca, połamane kości, pewna gwałtowna śmierć.

Z zadumy wyrwała go obecność dwóch Cyników jakieś sto metrów niżej. Byli tak bardzo pochłonięci zdrapywaniem łopatami mchu ze stopni, że nie zwrócili na nich uwagi.

– Nie możemy tutaj zostać – powiedział Colin.

– Uwolnienie Matta nie będzie możliwe – oznajmił zniechęca Tobias. – Nie w ten sposób. Nie tutaj, to zbyt niebezpieczne. Z kolei w gospodzie będą prawdopodobnie wszyscy żołnierze z Charona. We dwójkę nigdy nie damy rady. Musimy wymyślić coś innego. I to szybko!

– Nie ma nic innego, będą tędy przechodzić i tyle!

– Nie rozumiesz? Jeżeli zaczniemy akcję tutaj, rozedrą nas na strzępy! Nawet jeśli jeden z nas ich zmyli, drugi będzie musiał odbić Matta w pojedynkę. To niemożliwe!

Colin położył ręce na biodrach wpatrzony w rozciągający się u jego stóp widok.

– A jeśli znajdę kogoś, kto nam pomoże?

– Musiałby być wyjątkowy!

– O, jeżeli o to chodzi, Jon jest wyjątkowy, możesz mi wierzyć. Pozostaje go tylko znaleźć!

– Miasto nie jest zbyt duże...

– Nie mówię o fizycznym znalezieniu, tylko umysłowym.

Przeciąć sznurek

Colin zaprowadził Tobiasa do pieca chlebowego, następnie do szop, w których Cynicy krzątali się, zwijając słomę, na koniec zaś do małej pralni nad brzegiem jeziora.

Woda w nim była czarna, spieniona i pachnąca proszkiem do prania, dziesięcioro Piotrusiów prało bowiem ubrania w rytm uderzeń kijanek.

– Nareszcie są! – ucieszył się wreszcie Colin.

Na taborecie drzemał Cynik oparty plecami o murek przed wejściem. Okrążywszy go, Colin i Tobias musieli brodzić przez zimną wodę, chcąc się zbliżyć do pralni. Zajęci pracą Piotrusie w ogóle nie zwrócili na nich uwagi, kiedy dwaj intruzi okraczyli łańcuszki ich pierścieni pępkowych leżące wprost na kamieniach.

– To prawdziwe zombie – stwierdził Tobias, który nie mógł się otrząsnąć.

Jak przypuszczał, mieli od dziesięciu do piętnastu lat, w większości byli to chłopcy. Colin ukląkł obok pewnego rudzielca, na oko trzynasto-, czternastolatka.

– Jon, to ja, Colin, pamiętasz mnie?

Jon przestał walić w lniane spodnie, które trzymał w ręce, i spojrzał na swojego rozmówcę. Wcale nie zareagował. Następnie powrócił do wykonywanej czynności.

– Jon! – powtórzył Colin cicho, by nie zbudzić strażnika. – Popatrz na mnie! Wiem, że mnie pamiętasz, no dalej, wysił się trochę!

Rudzielec jął się przyglądać temu, który doń przemawiał, po czym podjął przerwana pracę.

– To ten wielki strateg, który ma nam pomóc? – zakpił Tobias. – Tak się nie wydobędziemy z kłopotów!

Rozzłoszczony Colin chwycił chłopaka za ramiona, chcąc go zmusić, by spojrzał mu w oczy.

– Hej! Jon! Pozwól wypłynąć na powierzchnię swojemu drugiemu „ja”! Musisz się obudzić! No jazda, stary!

Rudzielec zamrugał powiekami i błyskawicznie wyswobodził się z uścisku Colina.

– Co cię napadło? – zagrzmiął.

Colin czym prędzej zatkał mu usta.

– Cśśś! Strażnik jest tuż za murem!

Jon wyszarpnął rękę i zaprotestował o ton ciszej:

– Czego ode mnie chcesz? I co to za jeden?

Reakcja ta zaskoczyła Tobiasa – pierścień pępkowy w ogóle przestał działać. Machnął przyjaźnie ręką na powitanie:

– Mam na imię Tobias.

– Jesteście sami? Nie ma z wami Cyników?

– Tylko my dwaj – przytaknął Colin.

– Jak to możliwe?

– Zamierzamy uwolnić kumpla, którego uwięzili. Być może to twoja szansa, żeby się do nas przyłączyć.

– Na dobre? Opuścić to miejsce? Jak tego dokonacie?

– Mamy za miastem środek transportu – wtrącił Tobias. – Zmieścisz się tam i ty, i twoi kolesie.

Kiedy wzrok rudzielca spoczął na pozostałych praczach odrabiających swoją pańszczyznę, nappełnił się smutkiem.

– Z nimi to co innego, oni nie są tacy jak ja. Ich prawdziwa osobowość nigdy nie powraca na powierzchnię.

– W takim razie jak ty to robisz?

Jon wybuchnął szyderyczym śmiechem.

– Ja to co innego. Już przedtem byłem trochę narwany.

– Narwany? To znaczy szalony?

– Jak zostałem wylany ze szkoły, rodzice wsadzili mnie na pół roku do kliniki! Podobno mam rozdwojoną osobowość! W moim umyśle są dwa różne „ja”. Czy to nie genialne? A ten cholerny pierścień pępkowy paraliżuje tylko jedno z nich!

– A czy możesz kontrolować tę osobowość, która jest u steru? Twarz Jona pociemniała.

– Nie zawsze. Z powodu pierścienia prawie ciągle jestem warzywem, tak jak inni. A poza tym od czasu do czasu... – Nagle zmarszczył czoło i brwi. – A propos, Colin, twój pan jest gdzieś w okolicy?

– Tak.

Rudzielec splunął do wody z rozdrażnienia i gniewu.

– Niech no go tylko spotkam!

– To mój pan kupił Jona na licytacji – wyjaśnił Tobiasowi Colin. – Ale kiedy Jon miał atak rozdwojenia osobowości, dostał cykora i z miejsca go odsprzedał tutaj.

– Chciał mi robić podejrzane rzeczy – dodał Jon. – Ten gość to prawdziwy zbok!

– No to jak, wchodzisz w to? – ponaglił Colin.

– Jeszcze pytasz, czy w to wchodzę, skoro jest okazja, żeby nawiać z tej dziury?!

– Czy w przeblysku świadomości nigdy nie próbowałeś się pozbyć pierścienia? – zapytał Tobias.

– Na pewno nie bez dobrego planu! Kiedy ci to zakładają, jest taki ból, że nie chciałbym tego przeżyć po raz drugi! To najgorsze, co ci mogą zrobić! A poza tym podobno od tego można umrzeć. Zresztą co miałbym potem zrobić? Nie sposób stąd uciec w pojedynkę bez środka lokomocji.

– Proponujemy ci bilet na północ, żebyś wrócił na ziemie Piotrusiów – zapewnił Tobias. – Niestety, będziesz musiał zaryzykować i zdjąć pierścień; lepiej, żeby twoja potulna osobowość nie przejęła kontroli akurat wtedy, kiedy trzeba będzie działać.

– To dotyczy także reszty – powiedział Colin. – Będziemy potrzebowali wszystkich.

Wtem w umyśle Tobiasa zrodziły się wątpliwości.

– A jeśli umrą w czasie zdejmowania pierścieni? – przestraszył się.

– Szczerze mówiąc, gorzej niż teraz już być nie może! – oświadczył dobitnie Jon. – Skoro dysponujecie jakimś planem ucieczki, to jest warte każdego ryzyka!

– Zdecydujemy za nich?

– Ja wiem, co to znaczy żyć z takim okropieństwem wbitym w pępek. Podejmę decyzję w ich imieniu. Bez względu na to, co się stanie, dla każdego z nich będzie to oznaczało wyzwolenie.

Uwinęli się raz-dwa, po czym Colin wyszedł uzbrojony w wielki kamień, którym trzasnął Cynika w głowę. Tamten zsunął się z taboretu, spod hełmu zaś popłynęła strużka krwi.

Colin odpiął mu od pasa krótki miecz i dał znak, że droga wolna.

– Jak tylko się zorientują, że was nie ma, całe miasto wpadnie w panikę – sprzeciwił się Tobias.

– Właśnie, najpierw zaczną szukać na zewnątrz, domyślą się, że chcemy iść na północ. W tym czasie będą mniej pilnować ulic. Znam dobrą kryjówkę położoną trochę wyżej, zdarza mi się tam chodzić w nocy, po przebudzeniu.

Jon złapał za łańcuszki pozostałych dziewięciu Piotrusiów, którzy od razu posłusznie ruszyli za nim. Objąwszy prowadzenie, przystanął po drodze przed małym warszatem, skąd wydobył obcęgi i piłę do metalu.

– Sprzęt do cięcia!

Godzinę później znajdowali się nad urwistą drogą wiodącą ponad miastem i grota.

Jon podał narzędzia Colinowi i Tobiasowi.

– Zaczniecie ode mnie. Jeśli coś pójdzie źle, będziecie wiedzieli, jak postąpić z innymi.

– Nie wiem, czy dam radę... – zawahał się Tobias.

Jon chwycił go za kark i przysunął czoło do jego czoła.

– Facet, sam do mnie przyszedłeś, więc teraz udowodnij, że dobrze zrobiłem, ufając wam!

– Tak... to prawda... Mo... możesz na nas liczyć – wydukał Tobias.

– Mam nadzieję!

Jon położył się i podciągnął brudny podkoszulek. Pierścień tkwił w żywym ciele spuchniętego pępka.

– Ale od tego można się porzygać! – wyrwało się Tobiasowi, który ścisnął kurczowo obcęgi.

– Trzeba go przepiłować – wyjaśnił Colin. – Pomóż mi i trzymaj go prosto.

Przy każdym ruchu piły pierścień wyslizgiwał się spomiędzy wilgotnych dłoni Tobiasa, a z różowej opuchlizny na brzuchu, w której tkwił, tryskały krople krwi. Jon zaciskał zęby, odważny i zdeterminowany.

Kiedy pierścień wreszcie ustąpił, Tobias chwycił jeden jego brzeg obcęgami, podczas gdy Colin złapał drugi i każdy pociągnął w swoją stronę.

Jon zaczął jęczeć, na czoło wystąpił mu pot.

Pierścień rozchylił się dostatecznie, aby go wysunąć z rany, próba wywołała jednak zduszone jęki Jona, który nie mógł już tego znieść.

Po czym odzyskał wolność.

Mały rudzielec zwinął się w kacie, żeby odetchnąć głęboko i przeczekać ból. Trzymał się za brzuch.

– Jeden z głowy – oznajmił Colin. – Zostało jeszcze dziewięcioro.

Operacja na następnej osobie wydawała się prostsza, ponieważ dziewczyna się nie wrywała, nie machała rękami i w ogóle się nie skarżyła. Zupełnie jakby nic nie czuła.

Tylko że w chwili, gdy wyjmowali pierścień, jej ramiona pokryły się gęsią skórą.

– Zdaje się, że zaczyna reagować – stwierdził pobladły Tobias.

– Nie przerywajcie, to normalne – odparł Jon, ocierając czoło. – Powraca do życia.

Kiedy zaś wyjęli jej z pępka pierścień, musieli się na nią rzucić i zatkać jej usta, gdy wydała z siebie ryk rannego zwierzęcia.

Płakała i cała się trzęsła. Jon przytulił ją i zaczął uspokajać.

– Chyba twój przyjaciel wchodzi do miasta – oświadczył Colin, wskazując na jezioro.

W grocie ukazał się właśnie Charon. Kiedy przecinał wodę, prując ku nabrzeżu, jego wysokie żagle chwyciły promienie słońca. Wierzchołek grotmasztu niemal dotykał skalnego sklepienia.

– Nie ma ani chwili do stracenia – rzekł Tobias.

Nie palił się, żeby kontynuować usuwanie pierścieni, ale nie miał wyboru. Po dwóch kolejnych zabiegach nabrał nieco otuchy.

Piątego Piotrusia złapały drgawki; wygiął się, mięśnie stwardniały mu na kamień.

– Zaraz połknie język! – przeraził się Colin.

Najpierw usiłovali go przygwoździć do ziemi, żeby nie spadł z urwiska, następnie wsunęli mu kawałek drewna w zęby, pomiędzy których wydobywała się złowróźbna biała piana.

Nie potrafiąc opanować drgawek, patrzyli, jak się miota na wszystkie strony, po czym zniecka nieruchomieje.

Colin obejrzał go dokładnie i pokręcił głową.

– Nie żyje – stwierdził.

– O, nie – powiedział Tobias.

Stali wpatrzni w jego ciało, jakby to mogło mu przywrócić życie, aż wreszcie Tobias zapytał głosem łamiącym się z żalu i poczucia winy:

– Jak miał na imię?

– Nie wiem, nie znałem go – wyznał Jon. – Jak tylko nam założą pierścień, przestajemy mieć imiona. Na co by się nam zdały, skoro nie mamy osobowości?

– Umarł przez nas.

– Nie – zaprzeczył Jon. – Umarł przez Cyników! Nie przestawajcie, trzeba zwrócić reszcie godność.

Tobias zamknął zmarłemu powieki.

– Przykro mi – powiedział cicho.

Cenny dokument

Zanurzenie się w ciemności wymagało czasu, żeby się przyzwyczać.

Mattowi pozwolono się przyglądać wejściu do Henok z głównego pokładu. Zmieniwszy kurs w ostatniej chwili, porzucili najszerszą odnogę rzeki, płynąc inną, węższą, ku stromej górze.

Rzeka wpadała do niesamowicie wielkiej groty. Charon obrócił się wokół własnej osi, by płynąć wzdłuż jej naturalnego kolana, podczas gdy marynarze pobiegli pozapalać lampy. Nagle ściany się rozstały, Matt zaś poczuł się jak przed gigantycznym skarbem, w którego złocie odbijały się ich własne światła.

Kiedy wzrok mu się przyzwyczał, lśniące tysiącnym blaskiem klejnoty okazały się płomieniami i ogniem, kufry przybrały wyraźniejsze kształty i pojawił się zarys zbudowanego pod ziemią miasta.

W czasie przymusowego rejsu Matt nauczył się rozpoznawać najważniejsze osobistości na pokładzie. Rzecz jasna duchowego doradcę królowej, ale także kapitana, a zwłaszcza pierwszego oficera, dowódcę straży, niejakiego Rogera. Najczęściej właśnie on pilnował, żeby Matt niczego nie kombinował. Dowodził żołnierzami, jego spojrzenie zaś zdradzało nieufność, jaką żywił w stosunku do Piotrusiów.

W tej chwili, o dziwo, na horyzoncie nie było ani duchowego doradcy królowej, ani Rogera. A przecież wykonywali właśnie kluczowy manewr; Matt domyślał się, że wkrótce przybiją do miasta, toteż ich nieobecność go zdenerwowała.

A jeśli teraz, kiedy są już tak blisko celu, zrobią krzywdę Kudłatej?

„Nie, nie odważą się... Ona jest gwarancją, że będę grzecznie czekał na rozkazy, że odpowiem na wszystkie pytania, pozbycie się jej byłoby głupotą!”

Doradca był okrutny, owszem, ale nie był idiotą.

Matt przyjrzał się badawczo wartownikowi, który go pilnował. Mężczyzna był całkowicie pochłonięty obserwacją miasta.

Chłopak podszedł dyskretnie do drzwi prowadzących do kajut pod rufówką i bezszelestnie wśliznął się do środka.

Jego przetrwanie w dużej części zależało od tego, czy potrafi przewidzieć poczynania wroga; im będzie wiedział więcej na temat doradcy, tym dłużej zdoła trwać przy swoich kłamstwach, a przez to zyska na czasie.

Po pierwszej wiadomości sowa nie przyniosła mu już żadnej odpowiedzi, toteż obawiał się, że przyjaciele przestali podążać jego śladem. Co zrobi, jeżeli okaże się to prawdą? I w jaki sposób ma się przedostać do grotty i do miasta? Jego uwolnienie stawało coraz bardziej pod znakiem zapytania.

Musi liczyć wyłącznie na siebie.

Wykorzystać każdą, nawet najdrobniejszą okazję, żeby odzyskać Kudłatą i uciec jak najdalej od tego piekielnego statku.

Matt przytknął ucho do drzwi salonu, nie usłyszawszy zań nic, ruszył ku kajutom. Z kabiny doradcy dobiegały jakieś głosy.

Przyklęknął i zajrzał przez dziurkę od klucza. Widział jedynie szerokie bary doradcy.

– ...chłopca ze mną – mówił właśnie tamten. – Królowa chce go mieć jak najprędzej. On nam zdecydowanie przysporzy korzyści!

– W takim razie dlaczego chcesz mnie tutaj wysadzić, panie? Bardziej się przydam, mając na niego oko!

Matt od razu rozpoznał ten głos: należał do Rogera, dowódcy straży.

– Chcę ci powierzyć bardzo ważne zadanie, mój drogi. Zaniesiesz to do cytadeli Pierwszej Armii.

Matt wiał się jak piskorz, usiłując zobaczyć, co doradca trzyma w dłoniach.

– Co to jest? – zapytał Roger.

– Strategia, którą nasi generałowie będą musieli przygotować przed wielkim natarciem. Wszystko zostało opracowane przez Malroncję i jej wojskowych doradców; trzeba, aby na dany sygnał nasze wojska wiedziały, co dokładnie robić. Pierwsza Armia będzie koordynowała całość. Proszę wręczyć ten dokument generałowi Goldingowi, który przekaze go wszystkim pozostałym armiom. Niech pozostaną w gotowości.

Mattowi zabrakło tchu.

Natarcie? O czym on mówi?

– Czy to nastąpi wkrótce, doradco?

– Wszystko będzie zależało od królowej, myślę jednak, że dzięki dziecku, które jej wieziemy, inwazja nastąpi szybko. Wystarczy zgromadzić wojska i dokonać ostatniego

załadunku broni; dałbym sobie rękę uciąć, że do zimy ani jeden Piotruś nie zostanie przy życiu!

Serce Mattowi aż podskoczyło. Wojna! Przeciwno Piotrusiom! Cynicy przygotowywali wojska, żeby podbić wszystkie dziecięce osady!

– Okażę się godzien twojego zaufania, panie!

– Strzeż tego dokumentu jak oka w głowie. Od tego zależy twoje życie.

Trzeba działać. Matt nie może zachować równie ważnej wiadomości dla siebie. Należy powiadomić Eden.

„Amber i Toby, jesteście mi potrzebni, przyślijcie mi natychmiast swojego ptaka!”

Wtem drzwi na korytarz się otworzyły i ktoś wszedł szybkim krokiem.

„To po mnie!”

Matt wpadł do ubikacji przylegającej do jego kajuty i zamknął się w niej akurat w chwili, gdy duchowy doradca królowej wyrzwał na zewnątrz zaalarmowany tupotem nóg.

Matt odetchnął głęboko, by się uspokoić, i wybiegł z powrotem.

– Ej, ty! – wrzasnął strażnik. – Wszędzie cię szukam!

Wzrok doradcy powędrował od żołnierza do chłopaka, w jego oczach zaś zapłonęły złośliwe iskierki.

– Co ty tu robisz? – wykrzyknął.

Matt zrobił minę niewiniątka, starając się go wywieść w pole.

– Ja? No... nic – odparł, wskazując ubikację za swymi plecami.

Mijając kajutę doradcy, obrzucił ją ukradkowym spojrzeniem. Roger właśnie wychodził, trzymając w rękach drewniane pudełko przypominające szkatułkę do palenia kadzidła.

– Przykro mi, mam mały pęcherz – dodał drwiąco Matt.

* * *

Trzy czwarte załogi zeszło na białe nabrzeże zastawione beczkami i skrzyniami. Widząc, że nie ma z nimi Kudłatej, Matt zwrócił się do doradcy:

– A co z moim psem?

– Podróż jeszcze się nie skończyła, zostaje na pokładzie, ale nie martw się, dołączysz do niej już jutro. Naprzód!

Otaczało ich ze dwudziestu żołnierzy, którym towarzyszył Roger. Kiedy wkroczyli do gospody, Matt dostrzegł uśmiechy malujące się na twarzach strażników. Zaprowadzono go na piętro i zamknięto w małym pokoiku, gdzie pozostał aż do wieczora.

Zjadł kolację wraz z duchowym doradcą królowej przy okrągłym stole, w rogu głównej sali. Podano im potrawkę z jagnięciny, ziemniaków i marchewki oraz pękaty dzbanek wina. Matt wolał nic nie pić, zamiast tego więc dokończył rosół.

Żołnierze zawładnęli sporą częścią gospody, pijąc i weseląc się. Kiedy większość dobrze sobie podchmieliła, duchowy doradca królowej rzekł, popychając Matta.

– Pora spać. Jutro musimy wstać bardzo wcześnie.

Chłopca odprowadzali dwaj strażnicy i Roger, który sprawiał wrażenie przybitego.

Kiedy wspinali się po schodach, Matt zapytał:

– Popsułem wam zabawę, prawda?

– Nie przejmuj się nami.

– Doradca kazał panu ze mną zostać? Wie pan, nie ma obawy, że odejdę daleko, powinien pan wrócić do przyjaciół.

Roger chwycił go za kołnierz i przyparł do muru.

– Przestań robić z nas idiotów! Może doradca jest dla ciebie miękki, ale ja nie mam jego cierpliwości! Jeżeli w jakikolwiek sposób zakłócisz mi nocny spokój, obetnę ci uszy! Zrozumiałeś? Jestem pewien, że królowa chętnie położy na tobie łapę nawet bez uszu!

Zwolnił uścisk, Matt zaś pomyślał, że zaraz dostanie kolejny cios, gdy wtem minął go w korytarzu Colin, który prowadził na łańcuszku... Tobiasa! Ten ostatni sprawiał wrażenie przygnębionego, pojawił się jednak natychmiast, że to podstęp, Matt nie zareagował.

Wtem Tobias się zniecka potknął i przewrócił na Matta, po czym obaj chłopcy poturlali się po podłodze, Colin zaś, klnąc, rzucił się ku strażom.

Korzystając z tych paru sekund, Tobias szepnął przyjacielowi na ucho:

– Bądź gotowy dzisiaj w nocy.

Matt zamachał rękami, udając, że chce się podnieść, ale nie daje rady, gdyż przygniata go bezwładne ciało.

– Daj mi przedtem trochę czasu – odrzekł. – Każcie przynieść wina do kajuty przylegającej do mojej. I zrealizujcie swój plan przed świtem.

– Posuń się! – warknął Roger, odpychając Colina, po czym chwycił Tobiasa pod pachy i rzucił na ścianę. – A ty wstawaj! Pospiesz się!

Matt spełnił polecenie i od razu został zamknięty na klucz. Słyszał, jak Roger złorzeczy i trzaska drzwiami do swojego pokoju. Strażnicy stali na korytarzu, zagrządzając przejście.

Nie sposób będzie się przedostać tą drogą.

Matt odczekał kwadrans, po którym usłyszał czyjeś kroki. Ktoś zapukał do drzwi

Rogera. Przez cienkie ściany dobiegały głosy

– Wino dla ciebie, panie – odezwała się jakaś kobieta. – Od towarzyszy z dołu.

– Dziękuję. Ale proszę nie dawać nic wartownikom w korytarzu!

Znakomicie, plan działa! Nie dość, że Tobias jest w mieście, to na dodatek nie sam, przynajmniej wtajemniczył Colina. Jeśli się dobrze zastanović, to ostatnie raczej nie dodało Mattowi otuchy. Po pierwsze, myślał, że chłopak nie żyje, a poza tym to podły zdrajca! Jak Tobiasowi i Amber udało się go przekabacić?

Łóżko Rogera zaskrzypiało, gdy oficer opadł na nie z butelką w dłoni, Matt odczekał więc cierpliwie, aż alkohol zacznie działać.

Wrzaski z parteru przenosiły się stopniowo na piętra, w miarę jak pijani w sztok żołnierze wchodzili na górę. Następnie zaległa cisza.

Matt dostrzegł przez okno, że większość świateł pogasła. Na ulicach już nikogo nie było.

Odczekał jeszcze godzinę, sam walcząc z sennością, po czym ruszył do akcji.

Przyłożywszy ucho do drzwi, usłyszał westchnienie jednego z wartowników, którzy odzywali się co jakiś czas. Popędził do okna i otworzył je. Znajdowali się na drugim piętrze, na wysokości ponad siedmiu metrów. Z braku ostrza, którym mógłby pociąć prześcieradła, trudno by mu było związać odpowiednio długą linę.

„Zajmę się tym później, teraz ważny jest pokój Rogera!”

Matt wychylił się, szukając punktów podparcia. Wzdłuż całej fasady biegł gzyms – to było realne.

Wystawił nogę za parapet i zawisł nad przepaścią.

„Jeśli nie zostawił otwartego okna, jestem załatwiony!”

W grocie było gorąco. Bardzo gorąco.

„Po wypiciu wina będzie w dodatku potrzebował odrobiny powietrza...”

Matt posuwał się po wąskim kamiennym występie, nie mając zielonego pojęcia, jaki jest wytrzymały.

Widział okno Rogera.

Uchylone.

„Już prawie jestem na miejscu! Jeszcze odrobina wysiłku...”

Wtem stopa mu się ześliznęła i przez moment myślał, że zaraz spadnie, lewy kciuk utknął mu jednak w jakimś małym wgłębieniu i to wystarczyło, by zachował równowagę.

Wreszcie dotarł do okna i wsunął się do środka.

Roger chrapał na materacu, trzymając w ręce pustą butelkę po winie. Pokój był

nędznie umeblowany, toteż Matt nie miał zbyt wiele do przeszukania. Zaczął od szafy. Nic. Rzucił okiem na coś, co pełniło rolę biurka, i znowu nic.

Pod łóżkiem leżał skórzany pancerz wraz z sakwą.

„Oczywiście! Ten papier jest taki ważny, że się z nim nie rozstanie!”

Chwytał pudełko z uśmiechem na ustach. Nie mógł go ze sobą zabrać; Cynicy zmieniliby wszystkie plany, gdyby się tylko zorientowali, że nastąpił przeciek. Musi go przeczytać i zapamiętać.

Otworzył pudełko i rozwinął zapisaną kartkę. Podeszedł do okna, by skorzystać z oświetlenia, jakie dawała uliczna latarnia.

Rzeczywiście Malroncja szykowała się do wymierzonej przeciwko Piotrusiom kampanii, jakiej jeszcze nie było. Do całkowitego podboju. Pięć armii. Ponad piętnaście tysięcy żołnierzy. Wozy bojowe. Obfitość broni i zbroi.

Dokument przedstawiał szczegółowy plan bitwy, który Matt przeczytał kilka razy, aby niczego nie przeoczyć.

Wilcza Przełęcz.

Pięć armii.

Odwrócenie uwagi przez Trzecią Armię.

Zdobycie Edenu.

Przezesanie terenu, aby pokonać każdą osadę po kolei. Nagle Matt pojął, że nie ma sensu tego ciągnąć.

Piotrusie nie mają żadnych szans. Nawet gdyby znali zamiary Cyników z wyprzedzeniem, to i tak walka byłaby przegrana.

Piętnaście tysięcy ludzi!

Eden to zdecydowanie największe miasto Piotrusiów, a ilu ich jest? Na początku było tysiąc, teraz może dwa, trzy razy tyle, ale to o wiele za mało. I nawet gdyby zjednoczyli wszystkie klany, i tak nigdy by się nie mogli zmierzyć z takim ogromem sił.

„Już tak było na Wyspie Carmichaela! I daliśmy radę!”

Tym razem jednak musiał sam przed sobą przyznać, że teraz jest inaczej. Pięć doskonale zorganizowanych armii. Nie ma żadnego sposobu, żeby z nimi rywalizować.

„Możemy uciec! Jeśli ostrzegę Eden, Długodystansowcy uprzedzą resztę klanów i będziemy mogli odejść jeszcze dalej na północ...”

Tylko dokąd?

Matt przełknął zawód; nie jemu decydować za innych. Najpilniejszą sprawą jest przekazać te wieści do Edenu.

Upewniwszy się, że dobrze się zapoznał z planem, czym prędzej odłożył dokument na miejsce, lecz na widok noża się zawahał.

Mógłby mu się bardzo przydać w ucieczce.

„Ale wtedy Roger by się domyślił, że byłem w jego pokoju! Zorientowaliby się, że ich strategia wyszła na jaw, i zmieniliby ją”.

Nie wziął więc nic ze sobą, a nawet porzucił myśl, żeby wymknąć się przez drzwi, skoro strażę były tuż obok.

Znalazłszy się z powrotem na występie, Matt stracił animusz. Nie miał już wcześniejszej pewności w dłoniach. Dotarcie do własnego pokoju zajęło mu pięć długich minut, kiedy zaś przechodził okrakiem przez parapet, był zlany potem.

Niespodziewanie z mroku wyłonił się jakiś kształt, nacierając nań tak błyskawicznie, że nie zdążył się obronić czy chociaż cofnąć.

Ręce duchowego doradcy królowej chwyciły go za ramiona i cisnęły o ścianę.

– Myślisz, że możesz nam tak łatwo uciec? – wrzasnął tamten oszalały z wściekłości. – Że nie zamknąłem tego budynku razem z moimi ludźmi? Oni są wszędzie! Nawet na ulicy wokół gospody! Następnym więc razem, kiedy będziesz się bawił w linoskoczka, sprawdź, czy nikt cię nie namierzył! Masz szczęście, że nie spadłeś!

W pokoiku znajdowało się sześciu żołnierzy, z których żaden nie sprawiał wrażenia pijanego. Matt uświadomił sobie, że dotąd widział jedynie czubek góry lodowej.

Na szczęście najwyraźniej nikt nie odgadł, co naprawdę robił.

– Podwoimy strażę – zapewnił jeden z oficerów.

Wkrótce zjawił się Roger, którego obudził hałas; był zaniepokojony i zarazem jeszcze nie bardzo przytomny.

– To nie będzie konieczne, wyruszacie wraz z więźniem – oświadczył doradca. – Skoro jesteście na nogach, natychmiast wsiadajcie do kolejki! Resztę nocy spędzicie na pokładzie Charona.

Tym razem do Matta dotarło, że nie ma już żadnej nadziei na ucieczkę.

Gorzej, właśnie zepsuł plan swoich przyjaciół.

Potwory

Tymczasem nieco wcześniej wieczorem Tobias wyłuszczył swą taktykę Colinowi, fonowi i ośmiu innym wstrząśniętym Piotrusiom, którzy przyglądali mu się ciekawie.

– Colin i ja wynajmiemy pokój w gospodzie. Jeżeli Matt będzie tam nocował, zaczekamy, aż wszyscy zasną...

– Na ogół marynarze korzystają z postoju, żeby pić, i przed północą są już ululani – dodał Colin.

– Otworzymy wam służbowe drzwi, dwóch odwróci uwagę strażników, którzy na pewno będą pilnować piętra, gdzie zamkną Matta. W tym czasie reszta przeczesze wszystko w poszukiwaniu naszego kumpla. Jon przyniósł nam dość sieci rybackich, żeby związać wszystkich Cyników z przyległych pokoi. Zanim uda im się wszczać alarm, będziemy już daleko!

– A jak się wydostaniemy z miasta? – zapytał Piotruś o imieniu Stu.

– Zwiejemy funikulem, a na dole będzie czekał sterowiec.

Colin przyjrzał się uważnie Tobiasowi.

– Czeka na górze – poprawił.

– Właśnie, to dalszy ciąg planu. Żeby nie wychodzić w środku nocy, kiedy krążą Zjadacze Cieni, wsiądziemy do kolejki. Zanim zjedziemy w dół, słońce zdąży wstać, a Cynicy nie pomyślą, żeby tam zacząć szukać.

– Ale przecież sterowiec nie czeka w dolinie, tylko ponad naszymi głowami! – upierał się Colin.

Tobias wstał.

– Wiem. Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny. Tylko że najpierw trzeba uprzedzić Matta.

W gospodzie Tobias odstawił mały cyrk, żeby zamienić z Mattem dwa słowa. Jego widok sprawił mu nieocenioną radość. Przyjaciel nie tylko nie zginął, ale na dodatek był gotów do ucieczki. Zwłoka, o którą prosił, nie stanowiła problemu, ponieważ Tobias zamierzał ruszyć do akcji późną nocą. Kiedy Colin zamówił pokój, odeszli energicznym krokiem.

Tobias zdawał sobie sprawę, że goni ich czas i że nie mają ani chwili do stracenia.

* * *

Kiedy Tobias ruszył długimi schodami wiodącymi do wjazdu, którym wcześniej się przedostali, Colin zniecierpliwiony przystanął.

– Nie! Zwariowałaś? Już noc! Zjadacze Cieni polują!

– Tak trzeba! Mamy pięć minut, nie więcej, żeby uwolnić ptaka i wysłać wiadomość Amber.

– Nie wychodzę! Nie dam sobie pożreć cienia!

– Albo to, albo niedługo wszyscy się zamienimy w marionetki z pierścieniami w pępkach!

– Chyba wolę to od Zjadaczy Cieni...

Tobias przysunął twarz do jego twarzy tak blisko, że poczuł zgniły odór potu.

– Colin, dopiero co jeden z naszych zmarł! Jeżeli teraz się poddasz, okaże się, że stracił życie na próżno!

– Nie jestem jednym z waszych – odrzekł cicho Colin. Tobias cofnął się o krok.

– Budzisz we mnie wstręt – oświadczył, biorąc łuk i kołczan. – Znajdź pozostałych i zaczekajcie na mnie, zajmie mi to godzinę.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie dajesz mi wyboru: pobiegnę do sterowca!

Po czym Tobias zniknął na schodach.

* * *

Był sztywny ze strachu. Położył dłoń na klapie wjazdu. Zdążył już odryglować zamek, pozostało więc ją tylko pchnąć, by wyjść na światło księżyca.

„Nie czas na panikę, będę potrzebował całego zapasu sił. Szybko bieć. Nie oglądając się za siebie. Zasuwać aż do wieży!”

W nadziei, że sterowiec ciągle tam jest.

Nagle do Tobiasa dotarło, że Spijacz Niewinności nie należy do nieostrożnych. Przecież nie mógł zostawić swojej gondoli na pastwę Zjadaczy Cieni!

„Meduza niczego się nie boi, a on na pewno pozamykał wszystkie wejścia. Te potwory nie potrafią otworzyć drzwi ani okna, bo inaczej już dawno by zdewastowały całe Henok! Z pazurami zamiast stóp nie są w stanie nawet się wspiąć na wieżę! Mam spore szanse odnaleźć sterowiec!”

Tak czy inaczej sam musiał się o tym przekonać.

Odłożył łuk i cały swój sprzęt, aby mu niepotrzebnie nie ciążył, i jednym ruchem ramienia pchnął klapę, która odchyliła się w noc.

Nad rzeką, płynącą pod długim, porośniętym wysokimi iglakami zboczem, świeciły gwiazdy. Stały tam trzy szopy i drewniana wieża.

Obok unosił się w ciszy sterowiec.

„Czas start!”

Tobias przemknął wśród traw; nie dostrzegając Zjadaczy Cieni, i to go właśnie niepokoiło. Wolałby ich zlokalizować.

Do wieży jeszcze tylko ze sto metrów.

Nie podobała mu się ta cisza. Gdzie są potwory?

„Nigdy się nie oddalają od gniazda, bo się boją słońca, co oznacza, że mimo wszystko mogą być po drugiej stronie...” Tobias dodawał sobie otuchy jak mógł.

Pięćdziesiąt metrów.

W końcu Zjadacze Cieni nie byli nieomylni; chociaż groźni, pozostawali zaledwie formą życia wraz ze swymi niedostatkami. Nie mieli pewności, że namierzą każdą zdobycz przemieszczającą się po ich górze... Takie myśli uwolniły Tobiasa od pewnego ciężaru; czuł się lżejszy, płynniejszy w ruchach.

Wreszcie dopadł do wieży i wspiął się po schodach, przeklinając skrzypiące schody. Zanim zdążyło do niego dotrzeć, co właśnie zrobił, już zamykał za sobą śluzę gondoli.

Wszystkie światła na pokładzie były pogaszone. Znalazłszy się pod kabiną Amber, Tobias powoli nacisnął na klamkę. Coś blokowało drzwi.

„Zastawiła je krzesłem!”

– Psssst! – powiedział cicho. – Amber! To ja, Toby! Obudź się! Spodziewał się, że będzie musiał chwilę poczekać, krzesło jednak błyskawicznie zniknęło, po czym Amber wpuściła go do środka.

– Jesteś sam? – zdziwiła się.

– Tak. Zamierzamy odbić Matta dziś w nocy i właśnie w tym celu jesteś mi potrzebna.

Musisz przeprowadzić sterowiec na drugą stronę klifów, na samo dno doliny. Będziemy tam o wschodzie słońca. Myślisz, że dasz sobie radę?

– Pamiętam objaśnienia Spijacza Niewinności, nie wydawało się to zbyt skomplikowane.

Tobias zawahał się moment, po czym wypalił:

– Pewnie będziesz musiała go zamknąć, wiesz?

– Nie przejmuj się mną.

– Nic ci nie zrobił? Przynajmniej nie próbował?

– Unikam go, od kiedy poszedłeś. Ale nie potrafię spać. Rób, co masz zrobić, a ja się zajmę sterowcem.

Tobias energicznie przytaknął.

– Przymierze Trojga, tak?

– Tak – odparła z mniejszym zapalem Amber. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro rano znowu będziemy razem.

Tobias czym prędzej zbiegł z wieży i wszedł w wysokie trawy.

Byli tuż-tuż, dwieście metrów nad włazem. Ze dwadzieścia chudych postaci, strachy na wróble o białych głowach.

Wpatrywały się weń złotymi ślepiami, Tobiasowi zaś wydawało się, że widzi, jak szpary służące im jako usta rozchylają się w łapczywym uśmiechu.

– O, nie! Tylko nie to! Nie teraz!

Nikt nie zdołałby dopaść włazu przed nimi, nawet gdyby się rozpędził. To było niemożliwe.

„Jak chcę, mogę szybko biec. Bardzo szybko”.

Czy wystarczająco szybko, żeby postawić na to własne życie?

Wszyscy Zjadacze Cieni opadli na zbrocze jak jeden mąż, następnie poszybowali kilka centymetrów nad zaroślami. Po drodze strącali kielichy kwiatów.

Tobias nie miał już wyboru. Wybił się i rozpoczął sprint.

Biegł pod górę, nie był więc w stanie jeszcze bardziej wydłużyć kroku.

Mimo to przebierał nogami z zawrotną szybkością. W nadpobudliwym chłopcu dokonało się zaskakujące przeobrażenie.

Obawiał się jednak, że to nie wystarczy.

Zjadacze Cieni już prawie dosięgli włazu.

Tobias zacisnął zęby, pędząc co sił w nogach, choć brakowało mu tchu.

Prostokąt zbawczej ciemności był coraz bliżej.

Podobnie jak potwory.

Uświadomiwszy sobie, że go wyprzedzą, przygotował się do skoku.

Zjadacze Cieni wyprostowali się nagle i utworzyli koło. Tobias wskoczył do włazu, przywarł do ściany i w ogóle nie zważając na ból, zerwał się na równe nogi, aby przytrzymać klapę w tej samej chwili, gdy pojawiły się pierwsze błyski.

Zdażył wszakże dostrzec napierające nań czerwone dziąsła i szpiczaste zęby.

Zjadacze Cieni rozpląszczyli się na zamkniętej klapie.

Improwizacja w ostatniej chwili

Ucieczka Matta była prawie przygotowana.

Tobias od dobrych czterech godzin czekał w pokoju w gospodzie wraz z Colinem. Po epizodzie ze schodami i Zjadaczami Cieni obaj chłopcy niewiele rozmawiali. Tobias opatrzył na nowo bok, wysilek wywołany biegiem sprawił bowiem, że rana zaczęła z powrotem krwawić.

Jon z resztą Piotrusiów przyczaili się w pobliskiej owczarni, mając widok na służbowe wejście do gospody. Tobias czekał tylko na odpowiedni moment.

Zorientował się, że najtrudniejsze jest właśnie uchwycenie tego odpowiedniego momentu. Wprawdzie w budynku od dawna panowała idealna cisza, to mu jednak nie wystarczyło. Wolał działać późno, bardzo późno, aby mieć pewność, że gdy funikular zjedzie na dół, słońce zdąży już wstać. Gdyby na nich polowano, lepiej, żeby zdołali opuścić grotę i dotrzeć do sterowca.

Tobias ledwie się wymknął Zjadaczom Cieni, serce jeszcze nie przestało mu walić, toteż nie zamierzał tego powtarzać.

Niepokoilo go także zachowanie nowych towarzyszy. Od kiedy Piotrusie pozbyli się pierścieni, dziwnie reagowali, z opóźnieniem, tak jakby ich umysły były gdzieś daleko, bardzo daleko, ukryte w głębi ciała. Nie przejawiali żadnego entuzjazmu, nawet gdy Tobias im oznajmił, że są całkowicie wolni i jeśli mu pomogą, wkrótce uciekną. Pierścień odebrał każdemu z nich jakąś jego część, spontaniczność.

}on miał rację: głębokie przygnębienie stanowiło wyraźny objaw. Te pierścienie były prawdopodobnie czymś najgorszym, co człowiek mógł wymyślić przeciw drugiemu człowiekowi.

„Może oprócz bomby atomowej”, powiedział sobie w duchu chłopiec.

Tobias wypytał każdego Piotrusia, aby poznać jego tożsamość oraz okoliczności pojmania przez Cyników. Właśnie podczas tego przesłuchania uświadomił sobie, że nie może

na nich liczyć. Stanowiliby wsparcie, dopóki by im się mówiło, co mają robić.

Liczył, że z czasem skutki uboczne pierścieni ustąpią. Całkowity brak inicjatywy musiał być okropny. Zwłaszcza dla niego, który zawsze przejawiał jej zbyt dużo, przez co pakował się niekiedy w kłopoty.

– Więc jak, idziemy? – zapytał Colin.

– Jeszcze nie, jest za wcześnie.

– Wszyscy śpią!

– Jeszcze nie, mówię!

Colin westchnął.

Dziesięć minut później Tobias właśnie walczył z sennością, gdy w korytarzu piętro wyżej nastąpiło jakieś poruszenie. Colin zerwał się na równe nogi.

– Pójdę sprawdzić!

Czym prędzej wrócił z przygnębioną miną.

– Odchodzą! Nie wiem, co się stało, ale prowadzą Matta do kolejki!

– Niech to szlag! Spadamy! Zdążymy tam być przed nimi, zanim pozbierają swoje rzeczy.

Na dworze Tobias zamachał energicznie w kierunku owczarni, na co podbiegło dziewięć postaci.

– Zmiana planu – oznajmił. – Będziemy musieli się bić.

– Tym lepiej, muszę załatwić parę porachunków – wyznał Jon.

Inni nie podzielali jego entuzjazmu. Byli uzbrojeni w sieci rybackie, harpuny, łopaty i oskardy, które zwinęli w miejskich magazynach.

Colin i Tobias, podążając na czele grupy, czym prędzej wydostali się z uliczek, starannie unikając dwóch patroli, które przeczesywały miasto w poszukiwaniu dziesięciorga zaginionych niewolników, następnie dotarli do krańców groty i olbrzymiej bramy funikularu. Podeszli na kolanach do włazu i wśliznęli się między zwoje i łańcuchy.

– Co teraz? – zapytał Colin.

– Zepsujemy kolejkę, żeby ich zmusić do pójścia schodami płaczu, a tam ich zaatakujemy.

– W jedenaścioro przeciwko całej straży? Rozniosą nas na strzepy! Widziałeś, w jakim stanie jest nasz oddział?

Przyjrząwszy się minom nędznie uzbrojonych Piotrusiów, Tobias przyznał Colinowi rację. Nie należało się po nich spodziewać heroicznych wyczynów.

– Ejże! – zawołał Tobias. – Jakie są wasze przeobrażenia?

– Przeobrażenia? – powtórzył Jon.

– Tak, specjalne umiejętności, moce, jeśli wolisz!

Colin pokręcił głową.

– Tracisz czas, oni już ich nie mają! Pierścień niszczy także to.

– To diabelstwo to prawdziwy horror!

Skoro nie mogą walczyć, muszą przynajmniej wykorzystać własne ramiona, żeby zasiać wśród wrogów niezgodę.

– Wiem, co zrobimy. Stu, zostaniesz na czatach przy wejściu, reszta za mną.

Poprowadził ich w stronę długiego baraku z płaskim dachem, w którym mieściły się wagony funikularu, i po pobieżnym przestudiowaniu systemu podtrzymujących je łańcuchów poprosił wszystkich o pomoc.

– Ciągnijcie w swoją stronę, żeby podnieść każdy wagon; to powinno wystarczyć, żeby je odłączyć od podstawy! A potem pchajcie!

Wprowadzając słowa w czyn, Tobias popchnął swój wagon ku wierzchołkowi wzgórz, który natychmiast go pochłoniął. Wkrótce wszystkie wagony pomknęły niekończącym się tunelem. Metaliczny łoskot zagłuszył szum strumienia na długie minuty.

– Zdaje się, że chociaż to mamy z głowy – ucieszył się Tobias. Wtedy nadbiegł Stu, krzycząc:

– Opuszczają miasto! Co najmniej dwunastu żołnierzy!

– Tylko dwunastu? – zdziwił się Colin.

– Pozostali wyruszą o świcie – domyślił się Tobias. – Za ile tu będą?

– Za niecałe pięć minut!

– Pomóżcie mi wziąć te beczki, trzeba je doturlać do krawędzi schodów i zrzucić chociaż jedną trochę niżej.

– Naprawdę ich zaatakujemy? – upewnił się Jon.

– Liczę na to, że jesteście zwinni.

– Bo co?

– Bo trzeba będzie dokładnie wycelować, żeby wydostać Matta. W nadziei, że zauważy wskazówkę, którą mu zostawię.

Spijacz Niewinności

Amber nie odrywała wzroku od ciemnego nieba. Wypatrywała jakichkolwiek przejaśnień na wschodzie, śledząc tor Księżyca i licząc godziny.

Gdy nie mogła już dłużej wytrzymać, wymknęła się na korytarz i przeczesała hangar w poszukiwaniu sposobu, jak zamknąć Spijacza Niewinności w jego kabynie. Mogłaby do niego pójść i oświadczyć, że trzeba przesunąć sterowiec, w końcu jeśli naprawdę chce im pomóc, aby następnie wypytać Matta, powinien się zgodzić. Instynkt podpowiadał jej jednak, że lepiej go nie wtajemniczać, a zwłaszcza nie ufać mu.

Kiedy się natknęła na przymocowane do deski imadło, ogarnęła ją radość.

Wepchnęła klamkę od drzwi kabiny w szczękę imadła i zacisnęła z całych sił. Deska zablokowała drzwi. Jeśli Spijacz Niewinności pociągnie za klamkę, żeby je otworzyć, deska zakleszczy się z obu stron na ścianie.

Następnie przemknęła przez służę. Trzeba przeciąć cumy.

Spojrzała w ciemność przez małe okno. Nie było widać nic oprócz drewnianego trapu wiodącego do wieży. Ani jednego koszmarnego kształtu.

Odblokowała klamkę i wyszła uzbrojona w nóż. Uwolniona meduza jęła powoli nabierać wysokości. Amber popędziła do trapu i wskoczyła na pokład, zanim sterowiec wzniosł się zbyt wysoko.

Po czym zajęła miejsce w kokpicie.

Nie było tam zbyt wielu dźwigni ani pokręteł, skupiła się więc na tym, by sobie przypomnieć, co im tłumaczył Spijacz Niewinności.

– To jest do skrętu w prawo, to do skrętu w lewo, to do wznoszenia się... Tak, chyba sobie przypominam. Potrafię to zrobić. No dalej, Amber, dasz sobie radę!

Wtem z tyłu rozległo się głuche uderzenie.

„Ruch gondoli go obudził”.

Kolejne potężne stuknięcie w drzwi. Ile czasu minie, zanim je rozwalą?

Amber starała się o tym nie myśleć, skupiając się na sterach, i pchnęła jakąś dźwignię. Zgodnie z jej przewidywaniami meduza skręciła w lewo.

Amber nie zdążyła sobie jednak nawet pogratulować, bo za jej plecami wyrósł jak spod ziemi Spijacz Niewinności.

– Co ty wyprawiasz? Postradałaś rozum?! Zabijesz nas!

– W dolinie czekają na nas Tobias i Matt, musimy do nich dołączyć!

– I po to mnie zamknęłaś? Odejdź od sterów, ty mała czarownico.

Amber uczepliła się kurczowo stanowiska, toteż Spijacz Niewinności musiał użyć siły, by oderwać ją od siedzenia. Przywrócił gondoli równowagę, widząc zaś, że Amber próbuje uciec, przygwoździł ją do ściany.

– Ja dowodzę na pokładzie! – wrzasnął, opluwając jej twarz.

– Nadal chce pan odzyskać tego chłopaka, którego królowa tak usilnie szuka? Teraz albo nigdy!

– Ach! Aleś ty głupia, moje biedactwo! – parsknął śmiechem Spijacz Niewinności.

– Przecież obiecał pan nam pomóc!

– Właśnie to w was lubię: prostoduszność, słodką niewinność.

– Ale... ja... ja się przed panem rozebrałam!

– O, tak – przytaknął z obleśnym uśmiechem. – I ogromnie ci za to dziękuję! Gdybyś tylko wiedziała, jak wielką mi sprawiłaś przyjemność!

Wściekła i dotknięta do żywego Amber kopnęła go kolanem w krocze. Spijacz Niewinności krzyknął, lecz nie puścił jej. Amber usiłowała się wyswobodzić z jego uścisku, wykręcił jej więc gwałtownie rękę.

– Co za dużo, to niezdrowo! Jestem pewien, że z powodu pierścienia nie stracisz na wartości! Chodź no tu, ty mała zarazo!

Siłą popchnął ją na tył sterowca, szarpiąc za ramię, ciągnąc za włosy, po czym kazał jej wejść do ukrytej komórki. Przykuł ją do ściany i otworzył stalową walizkę, z której wydobył długie zakrzywione obcęgi, szydło i pierścień pępkowy.

– To cię powinno uciszyć raz na zawsze!

– Nie! Proszę tego nie robić! Błagam!

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej!

Oderwał brzeg jej bluzki brutalnym gestem, odsłaniając pępek, i chciał chwycić go obcęgami, co mu się jednak nie udało, ponieważ dziewczyna broniła się ze wszystkich sił, wrzeszcząc.

– Przestań się szamotać!

Wymierzył jej tak siarczysty policzek, że Amber straciła słuch na kilka sekund. Na widok szydła gotowego przebić jej ciało uderzyła Spijacza Niewinności biodrem, zmuszając go do cofnięcia się.

– Zaczynam tracić cierpliwość! – krzyknął.

Na dziewczynę spadł kolejny cios, potem jeszcze jeden. Chęć życia pozwoliła jej wszakże zachować przytomność. Kopnęła go, następnie rąbnęła łokciem, lecz Spijacz Niewinności nie pozostawał jej dłużny.

Niemal całkiem ogłuszona, z płonącymi policzkami, Amber nie przestawała się bronić.

Niestety, jej siły słabły, ogarniało ją wyczerpanie i stopniowo jęła się pogrążyć w nieświadomości.

Kiedy nie była już w stanie wydać choćby najcichszego jęku ani wyprowadzić najsłabszego ciosu, ujrzała, jak Spijacz Niewinności ponownie chwyta narzędzia tortur i pochyla się nad jej pępkiem.

Wówczas przypomniała sobie wszystkie ostrzeżenia, jakie słyszała na temat tego człowieka.

Jeszcze nikt nigdy z nim nie wygrał.

Zła istota.

Do której nigdy nie powinna się była zbliżać.

Dwa tysiące stopni i krew

Każdy żołnierz miał włócznię, miecz i hebanową zbroję. Nawet mimo swojej siły Matt uznał, że nie ma szans. Jeden na dwunastu, w dodatku z gołymi rękami, takiej walki nie był w stanie stoczyć.

„Dostali polecenie, żeby nie robić mi krzywdy – to przewaga, która może mi się przydać!”

Tylko że chętniej by go nadziali na włócznię, niż przyznali się przed duchowym doradcą królowej, że uciekł!

Nieobecność doradcy budziła zresztą niepokój. Tuż przed opuszczeniem gospody Matt nakrył go na rozmowie z Rogerem. Do miasta zawitał sterowiec Spijacza Niewinności, a on chciał się z nim pilnie spotkać. Dla Rogera plan nie uległ zmianie – zaraz o świcie miał zawieźć cenny rozkaz na temat strategii do cytadeli Pierwszej Armii, musiał jednak powierzyć eskortę Matta swemu najlepszemu oficerowi.

Kim jest Spijacz Niewinności?

Mattowi to się nie podobało.

Strażnicy weszli do szerokiego tunelu, w którym ciągle słychać było echo, zaś na widok schodów płaczu Matta aż zatkało. Nie było nawet poręczy, tylko od czasu do czasu palik, żeby zawiesić lampę; należało zachować ostrożność.

– Nie ma wagonów! – wykrzyknął jeden z żołnierzy, którzy wyruszyli na zwiady –
Może jak zaczekamy, to...

– Nie, idziemy schodami, trudno! – przerwał dowódca eskorty.

Matt rozważył w pośpiechu ewentualną ucieczkę. Zepchnąć ze zbocza któregoś z wartowników i pobiec... Tylko dokąd? Nie mógł wrócić na górę, z kolei najdrobniejsze potknięcie czy poślizgnięcie spowodowałoby śmiertelny upadek! To o wiele za duże ryzyko.

Otoczony przez uzbrojone niańki Matt zaczął się posuwać w dół, co zapowiadało się na męczarnię. Strumienie spływające po obu stronach schodów wytwarzały chłodną mżawkę,

która osiadała na kamieniach grot. Ściany obrosły mchem, stopnie zaś były potwornie śliskie.

Każdy w skupieniu patrzył pod nogi, Matt też. Nawet przekleństwa podążających przodem strażników, kilka metrów niżej, nie odwróciły jego uwagi.

- Ostrożnie, na samym środku jest beczka! – krzyknął ktoś.
- No to ją zepchnij, niech się martwi ten, kto ją tam postawił!
- A jeśli to coś ważnego?
- Nasza misja jest ważniejsza!
- Tu jest wyryty jakiś napis! „Przymierze... Trojga”!

Na te słowa chłopak się wyprostował i zastrzygł uszami.

„Amber i Tobias!”

Matt sprawdził pozycje strażników. Sześciu z przodu i sześciu z tyłu. Nie sposób przejść bokiem i nie wpaść do rwącego potoku, który od razu by go zmiażdżył, zanimby dotknął ziemi.

Na szczycie schodów rozległ się gwizd.

To był Tobias z łukiem gotowym do strzału.

Wraz z nim pojawiło się jakieś dziesięć postaci.

* * *

Tobias aż się trząsnął ze zdenerwowania. Miał tylko jedną szansę. Grot strzały wycelowany był w beczkę tuż przed Mattem.

Całkowicie wyłączył umysł, wypuścił z płuc powietrze.

Ramiona przestały mu drżeć. Poprawił nieco celność, podnosząc łokieć.

Kiedy Piotrusie zepchnęli po schodach pierwsze beczki, Tobias puścił cięciwę.

Gdy zaś strzała pomknęła, ciągnąc przywiązany do niej sznurek, ogarnęła go panika. Bez Amber, która by czuwała nad torem lotu, nie dosięgnie celu, za duża z niego niezdarą.

Żelazny grot wbił się w sam środek drewnianej beczki.

„Trafiłem! Trafiłem!”

Czas jednak gonił; beczki toczyły się po schodach całym pędem, żołnierze podnieśli wrzask, pierwsi próbowali przebiec nad nimi, lecz ześliznęli się po zboczcu. Następni uskoczyli w bok i wpadli do kanałów pełnych piany. Chociaż uczepili się łańcuchów, nie wytrzymali zbyt długo strasznego naporu.

Matta także o mało nie porwało, pojawiwszy jednak, na czym polega plan Tobiasa, rzucił się na linę. Jeden ze strażników poszedł w jego ślady, odpychając chłopaka, który wymierzył

mu wściekły cios pięścią. Mężczyzna wyrznął jak długi, ogłuszony, natychmiast przygnieciony przez ciężką baryłkę, przed którą Matt zrobił unik, skacząc do najbliższego strumienia.

Lina napięła się do granic wytrzymałości, świszcząc niczym bat.

– Trzeba go wciągnąć! – rozkazał Tobias. – Prędko! Zanim porwie go woda!

Przyłączyła się doń trójka Piotrusiów, gdy tymczasem reszta spychała ze schodów kolejne beczki.

Znajdujący się niżej żołnierze wrzeszczeli, ciągle podskakiwali, łamiąc kości przy każdym podskoku, wrywając paliki lamp – ich upadku nic nie było w stanie powstrzymać. Inni zdążyli już zniknąć w kanałach, odrzuceni kilkaset metrów w dół w śmiercionośnym zjeździe, uniesieni przez okrutny prąd wody.

Kiedy Tobias i jego towarzysze pociągnęli za linę, Matt wychynął z kipieli, łapiąc powietrze. Jeszcze dwa szarpnięcia i chłopak wynurzył się z koryta, po czym wdrapał na schody bez tchu, z kończynami zeszywniałymi od gwałtownego pędu wody. Leżał obezwładniony zmęczeniem i bólem.

Zawdzięczał życie wyłącznie swojej wyjątkowej sile, która pozwoliła mu utrzymać linę.

Uderzające o krawędzie stopni beczki roztrzaskiwały się jedna po drugiej, wszystkie zaś strażę w pobliżu chłopaka się rozpierzchły. Połamane ciała leżały pięćdziesiąt, sto, a nawet dwieście metrów niżej.

Tobias podbiegł do przyjaciela i pomógł mu wstać.

– Matt! Wszystko w porządku? Oddychasz?

Matt dał znak, że nic mu nie jest. Za długie włosy zasłaniały mu część twarzy. Odzyskiwał oddech.

Nagle w tunelu rozbrzmiał ryk syreny.

Jon obejrzał się za siebie i ryknął do Matta i Tobiasa:

– Dwaj strażnicy!

Wszyscy ruszyli po schodach ku obu chłopcom, Colin szedł pierwszy. Nadal słychać było alarmujący sygnał rogu.

– Pewnie dwóch spóźnialskich! – zawołał Colin. – Ruchy, ruchy, za pięć minut będzie się tu roiło od niezbyt przyjaznych Cyników!

Wszyscy pomknęli po stromym zboczu.

Już po pięciu minutach rozboleły ich łydki, odurzał bieg po stopniach bez końca.

Ledwo znaleźli się niżej, zwolnili, by nie stracić równowagi.

Poleciały pierwsze strzały.

Obaj cynicy strażnicy, dogoniwszy ich z łukami w dłoniach, szyli strzałami.

Jordan, jeden z najmłodszych Piotrusiów, dostał w lędźwie. Zanim koledzy zdążyli go złapać, zniknął w strumieniu z przerażeniem w oczach.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że aż rozdziawili usta ze zdumienia.

Kiedy któraś strzała odbiła się u stóp Jona, otrząsnęli się z odrętwienia i popędzili na dół.

Nie zrobili nawet dziesięciu kroków, gdy jedna z dziewczyn, Mia, upadła z krzykiem, trafiona strzałą w udo. Dwóch chłopaków podniosło ją pod ramiona i pomogło jej biec dalej.

– Tobias, osłaniaj nas, strzelaj z łuku! – rzucił Matt.

– Nie dosięgnę ich, są za wysoko i za daleko!

– Daj mi go!

Matt przystanął i przepuściwszy Piotrusiów, wycelował w żołnierzy w zbrojach. Naciągnął cięciwę tak mocno, że aż zatrzeszczało drewno, i wypuścił strzałę, która poszybowała między obydwojma mężczyznami. Druga, potem trzecia, nawet jeśli nie trafiały do celu, przynajmniej opóźniały pościg.

Matt czym prędzej pognał za resztą Piotrusiów.

Żołnierze nie próbowali się już do nich zbliżać, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Kwadrans później Piotrusie zmienili się przy Mii, która krzywiła się, dzielnie walcząc z bólem.

Ów maraton osłabił wszakże ich wytrzymałość. Jona, który się potknął, ocalał jedynie refleks Tobiasa.

– Trzeba... zrobić... przerwę – poprosił Jon, któremu zabrakło tchu.

– Straże zwolniły, a przed chwilą nawet usiadły – zaraportował Colin. – Jeżeli nie zrobimy tak samo, nigdy nie dojdziemy na dół cali i zdrowi!

Tobias niechętnie się zgodził, wszyscy więc opadli na śliskie stopnie. Obaj Cynicy byli teraz tylko ciemnymi plamami wysoko w górze.

– Pięć minut, nie więcej – ostrzegł Matt.

Pochylił się nad udem Mii i obejrzał ranę.

– Trzeba wyjąć strzałę.

– Nie! Nie teraz – odrzekła błagalnie. – I tak już boli mnie wystarczająco mocno!

Matt obserwował ośmioro Piotrusiów, którzy towarzyszyli Tobiasowi i Colinowi.

– Czy Amber jest bezpieczna?

– Opiekuje się naszym środkiem transportu – odparł Tobias.

– Dziękuję, żeście przyszli mi na ratunek – powiedział z lekkim zakłopotaniem Matt. – Wszystkim dziękuję.

– Czy to prawda, że nas ocalisz? – zapytał jakiś mały Piotruś.

– Opuścimy to miejsce, prawda? – odezwał się inny.

Gdy Matt zaczął coś dukać, wtrącił się Tobias, mówiąc:

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, na dole, na równinie będzie czekał sterowiec, żeby nas zabrać do domu. – Przysunąwszy się do Matta, dodał: – Przykro mi, ale zdaje się, że tutaj jest kres naszej wędrówki po kramie Cyników. Najwyższy czas wracać na północ, nie uważasz?

– Przybyłem tutaj, żeby uzyskać odpowiedzi, i uzyskałem je, muszę się jak najszybciej dostać do Edenu. To kwestia życia i śmierci!

Tobiasowi najwyraźniej ulżyło.

– Cieszę się, że przynajmniej raz wiesz, kiedy przestać! Myślałem, że chcesz dojść aż do końca i zobaczyć tę piekielną Malroncję!

– Po zastanowieniu stwierdzam, że to bardzo zły pomysł.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo! Jak tylko będziemy na sterowcu, muszę ci powiedzieć o czymś strasznie ważnym, co dotyczy ciebie.

– Ale najpierw wstąpimy na Charona – uprzedził Matt. – Nie zostawię Kudłatej w łapach Cyników. A propos, skąd się wziął ten sterowiec?

– Ta historia musi poczekać!

– A on? – Matt pokazał palcem Colina.

– Pomaga nam.

– Jesteś pewien, że można mu zaufać? Ostatnim razem wszystko wskazywało na to, że ten zdrajca utonął!

– Przypuszczam, że jego życie bardzo się zmieniło. Bez niego nigdy bym nie zdołał cię z tego wyciągnąć.

– Mam nadzieję, że nie będziemy żałować.

– Tamci dwaj się zbliżają, musimy iść! – oznajmił Jon, pochylając się ku nim.

Dotarcie do końca tunelu zajęło im kolejną godzinę. Byli zmordowani, zlani potem i otumanieni monotonnym pokonywaniem stopni.

Pięć wagonów dotarło aż tutaj, roztrzaskując się o ścianę i rozsiewając wszędzie odłamki metalu.

Nieco dalej przez środek podziemnego jeziora biegło długie kamienne molo, do

którego stał przycumowany Charon. Grota była równie wielka jak ta w mieście, z ziejącym otworem na końcu. Ciągle jeszcze spowijał ją nocny mrok.

Colin wskazał masywną bramę na końcu nabrzeża, mówiąc.

– To wyjście na równinę.

– Świetnie – stwierdził Matt. – Zaczekajcie tam na nas do wschodu słońca. Jeśli o świcie nie opuścimy Charona, wyjdźcie i zasuwaszcie do sterowca. Idziesz ze mną, Tobias?

– Przecież nie po to dopiero co cię odnalazłem, żeby teraz zostawić!

Obaj chłopcy wśliznęli się na trap. Pokład był pusty, paliły się trzy lampy, w rufówce Matt dostrzegł śpiącego na stołku marynarza.

– Na dziobie – oświadczył, przeciskając się przez luk.

Kudłata była tam, gdzie ją ostatnio zostawił. Kiedy wszedł do klatki, zaczęła go lizać i ocierać się o niego.

– Już po wszystkim, piesku, zabieramy cię z tego wstrętnego miejsca.

Tobias stał się obiektem długiego powitania, gdy tymczasem Matt zakładał wreszcie odzyskany ekwipunek.

Właśnie wracali na główny pokład, kiedy drogę w korytarzu przeciął im jakiś marynarz. Na widok chłopców zastygł w bezruchu, gdy zaś ujrzał za nimi psa, który zajmował całe przejście, w jego oczach pojawiło się przerażenie.

– Alarm! – wrzasnął. – Alarm!

Matt rzucił się nań i uciszył go ciosem lampą w głowę.

– Chyba już za późno – oświadczył z niepokojem Tobias.

Ledwie wyprysnęli na pokład, podbiegło do nich pięciu kolejnych członków załogi. Dwóch trzymało w rękach długie noże, trzeci ostro zakończony bosak. Matt dobył miecza i zacisnął palce na skórzanym jelcu. Uświadomił sobie, że brakowało mu tego.

Z mieczem w dłoni czuł się silniejszy.

Kiedy podeszło doń dwóch marynarzy, przeciął na pół bosak pierwszego, drugiemu zaś przedziurawił stopę, choć celował w udo.

O mały włos dostałby nożem w bok, gdyby wypuszczona przez Tobiasa strzała nie powstrzymała trzeciego napastnika.

Kudłata skoczyła z wyszczerzonymi zębami na dwóch pozostałych, którzy poturlali się po deskach, wrzeszcząc ze strachu.

Matt wyjął ostrze ze stopy swojej ofiary, po czym rąbnął ją mocno łokciem w skroń, posyłając na stos lin.

Ten, który trzymał bosak zredukowany do zwykłego kija, wpatrywał się w nich z

niedowierzaniem. Nagle się cofnął i popędził zamknąć się w kajucie.

Kiedy Matt i Tobias dotarli do czekających przy bramie Piotrusiów, tamci przywitali Kudłatą z mieszanymi uczuciami, zanim wszyscy zdali sobie sprawę, że nie mają się już czego obawiać.

– Ciągłe jest ciemno! – wystraszył się Colin, wskazując brzeg jeziora.

– Nikt nie wychodzi przed świtem – oświadczył Tobias. – Zjadacze Cieni roznieśliby nas na strzepy.

– Podchodzą aż pod klify? – zdumiał się Matt.

– Nie mam pojęcia, ale nie zaryzykuję, żeby to sprawdzić.

Jon spoglądał uważnie w tunel funikularu.

– Jesteś pewien? Bo mnie się zdaje, że będziemy mieli gości!

Na schodach poruszał się rząd świateł, z łoskotem nieokiełznanej wody mieszał się szcęk zbroi wielu mężczyzn.

Cudów nie ma

Na nabrzeżu stało ze sześćdziesięciu cynickich żołnierzy.

Matt, Tobias i reszta Piotrusiów przycupnęli pod bramą, czekając tylko na chwilę, aż zostaną namierzeni.

– Musimy wyjść – powiedział Matt.

– Mowy nie ma! – sprzeciwił się Colin. – Pożrą nas Zjadacze Cieni!

– Myślisz, że damy radę długo się bronić przed żołnierzami?

– Ja już wolę zginąć, niż znowu nosić w brzuchu pierścien! – zaprotestował jeden z Piotrusiów, który pomagał Mii iść.

– Ja też! – wyznała dziewczyna.

Pozostali żywo przytaknęli. Ucieczka przywróciła im werwę i siłę.

Matt chwycił za potężną stalową klamkę.

– Na mój znak pobiegciecie najszybciej jak się da – rzekł.

– Szukajcie sterowca – dodał Tobias.

Skrzypiące skrzydło bramy przyciągnęło uwagę Cyników, którzy ruszyli do ataku.

– Teraz! – krzyknął Matt.

Pozbawiona mżawki wodospadów noc była ciężka. Pod mocno wygwieżdżonym niebem nie panował aż taki mrok jak w grotcie. Piotrusie oddalili się od klifu, okrążając wąski przesmyk, po czym dotarli do górującego nad rzeką cypla. U ich stóp rozciągał się świerkowy las porastający dolinę aż po brzeg. Z tyłu zaś imponujący klif odcinał ich od świata, szczyt przytłaczał potężną masą.

– Gdzie sterowiec? – zawołał Colin. – Tobias, jesteś pewien, że Amber dostała twoją wiadomość?

– Na mur-beton. Czuję, że to raczej Spijacz Niewinności wyciął nam jakiś podły numer!

Zza pleców docierały do nich odgłosy żołnierzy, którzy wahali się przed dalszym

pościgiem na zewnątrz.

– O której się umówiliście? – zapytał Matt.

– O świcie!

– W takim razie jeszcze nie wszystko stracone. Patrzcie, niebo jaśnieje na wschodzie, ona zaraz tu będzie.

– I tak z powodu ściany, która jest tak blisko, sterowiec nie będzie mógł nas stąd zabrać – ostrzegł Colin. – Musimy zejść na tamtą polanę przy brzegu rzeki.

Na klifie rozległy się jakieś dziwne przenikliwe krzyki, podobne do wrzasków drapieżnego ptaka i przechodzące w coś na kształt szyderczego śmiechu.

Z ciemnych wgłębień jęły się wyłaniać podłużne kształty.

– Zjadacze Cieni! – wykrzyknął Colin. – Biegiem!

Ledwie ruszyli, stwory poszybowały co sił nad skałami.

Matt, który zamykał pochód, uświadomił sobie nagle całą grozę sytuacji: Mia i podtrzymujący ją dwaj Piotrusie nigdy nie zdołają dotrzeć do polany. Zagwizdał na Kudłatą i pomógł dziewczynie wsiąść na jej grzbiet. Dzięki temu wszyscy mogli dać z siebie wszystko, żeby uciec przed monstrami o białych głowach.

– A jeśli sterowiec... nie przyleci? – zapytał Jon zdyszany.

– Wstaje świt... Musimy ich odganiać, dopóki słońce nie przyjdzie nam z pomocą! – odparł Matt tak samo zasapany.

Zjadacze Cieni sunęli nad stokiem, zaraz tu będą. Matt coraz częściej oglądał się przez ramię, przygotowując się na walkę.

Gdy tylko przebiegli pod gałęziami świerków, poczuł się raźniej, Zjadacze Cieni nie mogli tam bowiem szybować bez ryzyka zderzenia z pniem drzewa.

Pierwsi kontynuowali jednak lot i wpadli do lasu; Matt ujrzał dwóch, którzy niebezpieczne się zbliżali.

Odłączył się od grupy i odwrócił. Pierwszy Zjadacz Cieni, nie spodiewając się takiego ruchu, wbił się do góry zbyt późno, toteż gdy go mijał, Matt odciął mu głowę.

Drugi złożył swe małe skrzydła i wysunął pazury, żeby stanąć na ziemi. Matt zrobił młynek i w czymś, co zapewne było klatką piersiową zwierzęcia, wyrąbał brzydką szczelinę. W powietrze poleciało kilka warstw czarnej skóry i trysnęła gęsta ciecz. Krew Zjadacza Cieni wypływała z jego ciała, jakby znajdował się w stanie nieważkości albo w wodzie, do atmosfery przedostała się ciemna chmura.

Potwór odsłonił kły i zebrał się w sobie, szykując do skoku na swą ofiarę.

Matt przywitał go ostrzem miecza, które przebiło mu czaszkę. Z lasu doleciały okrzyki

bólu.

„Porozumiewają się telepatycznie?”, zdziwił się chłopiec, któremu po plecach przebiegł lodowaty dreszcz.

Wydostawszy się z trudem spod przygniatającego go Zjadacza Cieni, Matt puścił się pędem z mieczem w dłoni.

Jego towarzysze właśnie dotarli na polanę; za ścianą trzciny i paproci płynęła rzeka.

Czy Zjadacze Cieni umieją pływać? Matt nie bardzo w to wierzył, ale gdyby nie mieli już żadnego wyboru, zawsze będą mogli wskoczyć do wody.

Grupa utworzyła krąg, tymczasem na skraju polany, wśród świerków i sosen, cienie ogarnęła panika.

Na wschodzie niebo jaśniało coraz bardziej. Nie dość szybko jednak, by przywrócić nadzieję Piotrusiom, którzy tulili się do siebie.

Zjadacze Cieni wyszli z ciemności, krocząc na długich pazurach, chroniąc pod skrzydłami, które ułożyły się w rodzaj płaszcza.

Kiedy Tobiasz pokazał palcem najbliższego, Matt ujrzał, jak z czoła potwora wyłania się przezroczyste oko.

– Zaraz nas oślepi! Żeby oświetlić nasze cienie!

Matt wystąpił z kręgu, stając twarzą w twarz z błyskaczem. Po chwili nadbiegli dwaj następni Zjadacze Cieni, oblizując się łakomie lepкими czarnymi językami.

Pierwszy błysk oślepił Matta. Gdy Zjadacze Cieni rzucili się na niego, poczęstował ich dwoma ciosami miecza. Jeden potwór już się więcej nie podniósł.

Kolejny błysk. Matt poczuł potężny ból w plecach, jakby obdzierano go ze skóry. Zawył.

Strzała Tobiasza trafiła Zjadacza Cieni w coś, co służyło mu jako kark. Natychmiast padł martwy na ziemię.

Ni stąd, ni zowąd chłopiec stał się o wiele lepszym strzelcem.

– Nie pozwól im się zbliżyć do swojego cienia! – ostrzegł.

Uwolniony od cierpienia Matt doskoczył do błyskacza i wbił mu ostrze w przezroczyste oko. Ze śmiertelnej rany poleciała ta sama mętna krew, tymczasem wszędzie wokół pojawiali się następni Zjadacze Cieni.

– Jest ich za dużo! – wrzasnęła Mia siedząca na grzbiecie Kudłatej.

Matt zbliżył się do Tobiasza.

– Jesteś gotów pobiec do rzeki?

– Jeśli to zrobimy, na pewno się rozdzielimy i sterowiec nas nie znajdzie.

– Masz lepszy pomysł?

Wtem Colin zaczął się wydzierać jak wariat:

– Jest! Jest! Gondola pana!

Pięćset metrów nad nimi meduza przecięła mgłę powstałą za sprawą olbrzymiego wodospadu.

– Pomóż mi utrzymać ich z daleka – poprosił Matt Tobiasa.

Kilka strzał poszybowało w górę dla odstraszenia Zjadaczy Cieni, Matt zakręcił przed sobą młynka mieczem. Stwory jednak ciągle się przybliżały.

Następny błyskacz wystąpił naprzód, lecz tym razem Matt nie mógł go dosięgnąć, otaczało go bowiem trzech Zjadaczy Cieni. Znow pojawiły się błyski. Matt odcinał i odrąbywał wszystko, co miał w zasięgu ręki; czuł drapanie pazurami, a nawet zgniły oddech tych istot.

Ze wszystkich stron naraz przybywali nowi, w miejsce każdego zabitego Zjadacza Cieni wyrastało dwóch kolejnych.

Za plecami Matta wrzasnęła jakaś dziewczyna – dwóch napastników zaatakowało jej cień. Matt chwycił kamień i cisnął z całej siły, usiłując powalić jednego, niestety chybił.

Wówczas rzuciła się na nich Kudłata, która kłapnięciem najpierw jednemu zmiażdżyła skrzydło, potem załatwiła drugiego.

Z kolei Stu ledwie zdążył krzyknąć, gdy został złapany i zaciągnięty w wysokie zarośla przez trzech Zjadaczy Cieni. Trzykrotnie tam błysnęło, po czym nogi biednego chłopca przestały wierzgać.

Zrozpaczony Matt pojął, że jatka dopiero się zaczęła.

Nagle z nieba spadła drabina sznurowa.

Ponad nimi górowała olbrzymia galaretowata masa, falując bezszelestnie.

Nabrawszy otuchy, Matt i Tobias podwoili wysiłki, żeby osłonić jak tylko się da odwrót swoich towarzyszy, wkrótce więc zostali sami z Kudłatą i Mią. Cała reszta zdążyła już wsiąść na pokład sterowca. Nad trojgiem nastolatków powiewała lina konopna zakończona dwoma szerokimi skórzanymi rzemieniami, zawieszona na bloczku.

Tobias jał energicznie machać w kierunku gondoli.

– Niżej! Niżej!

Tymczasem Matt, otoczony zewsząd błyskami, wywijał mieczem. Zjadacze Cieni podeszli jeszcze bliżej, unikając ciosów i próbując skoczyć na cienie swych ofiar.

Gdy sterowiec jeszcze trochę się zniżył, Tobias pochwycił rzemienie i przywiązał Kudłatą. Pies natychmiast pofrunął do góry. Tobias podtrzymał Mię niezdolną stanąć na

rannej nodze.

– Nie damy rady wejść po drabinie – powiedział. – Zjadacze Cieni są zbyt szybcy!

– Nie pozwól, żeby mnie zabrali! – błagała dziewczyna.

Wtem z hangaru sterowca wypadły dwie wielkie beczki. Tobias się zorientował, że to system zaopatrywania sterowca w wodę.

– Matt! – ryknął na całe gardło. – Skacz do beczek!

Sterowiec zaczął się oddalać.

Tobias złapał w locie pierwszą beczkę i wepchnął Mię do środka, sam wdrapał się na wierzch.

Matt przedziurawił Zjadacza Cieni, który usiłował wysać mu cień, i szczupakiem rzucił się na drugą beczkę.

Sterowiec szybko nabral wysokości i trójka Piotrusiów zakołysała się nad przepaścią.

Wciągano ich na górę, w miarę jak sterowiec się oddalał, a wschodzące słońce rozpościerało nad polaną swe ogniste palce.

Zjadacze Cieni jęknęli, rozległo się ich przeciągłe smutne wycie, po czym zniknęli w lesie.

Znalazłszy się na pokładzie, Matt i Tobias wyturlali się z beczek wyczerpani.

Mieli po parę zadrapań, pięknych siniaków, ale nic poważnego żadnemu się nie stało.

Gdy ktoś w hangarze zaklaskał, Matt wyprostował się zaskoczony.

Stał przed nim rozpromieniony duchowy doradca królowej, uderzając dłonią o dłoń. Towarzyszył mu drugi typ z siwym wąsikiem oraz czterech uzbrojonych strażników.

– Cóż za widowiskowa ucieczka! Obawiam się jednak, że niewiele z niej wynikło. Bill, kurs na południe. Królowa nas oczekuje!

Kombinacja trzech przeobrażeń

Matta i Tobiasa związano i wtrącono do komórki w hangarze, gdzie siedziało już upchniętych siedmiu pozostałych Piotrusiów i leżał jakiś kształt.

Spijacz Niewinności złapał Colina za ucho, mówiąc:

– A ciebie co napadło, żeby pójść z nimi?

– Myślałem, że się ucieszysz, panie! – zaprotestował chłopak, krzywiąc się.

– Od kiedy to pozwalasz sobie myśleć, czego ja chcę? Powinienem cię wyrzucić za burtę!

– Nie, panie! Błagam cię, zrobię wszystko, co każesz! Litości! Litości!

Spijacz Niewinności popchnął go na ścianę.

– Jeszcze zobaczysz! Od tej chwili nie pokazuj mi się na oczy! Nie chcę cię więcej widzieć!

Drzwi komórki się zamknęły, pogrążając Piotrusiów w ciemnościach.

Tobias wygiął się, żeby wydobyć z kieszeni kawałek świecącego grzyba, a wówczas klitkę zalało srebrzyste światło.

Wszyscy zbili się w ciasną gromadkę.

Leżący kształt gestykulował, szamocząc się pod kocem.

Jonowi, który miał ręce związane z tyłu, udało się chwycić róg tkaniny i pociągnąć.

Spod koca wyłoniła się związana i zakneblowana Amber z opaską na oczach.

– Amber! – wykrzyknął Matt, pełznąc w jej kierunku.

Jon wyjął jej z ust knebel, umożliwiając mówienie.

– Matt? Toby? To wy?

– Tak! Jesteśmy tutaj!

– Przykro mi! Zawaliłam na całej linii.

– Przynajmniej nie zrobił ci krzywdy? – zaniepokoił się Tobias, który wiedział, do czego jest zdolny Spijacz Niewinności.

– On... próbował mi założyć pierścień pępkowy. – Wśród więźniów przebiegł pomruk, któremu towarzyszyły zbiorowe dreszcze. – Już myślałam, że ze mną koniec... A potem ostatnim wysiłkiem zdołałam się skoncentrować, żeby wykorzystać przeobrażenie, i odrzuciłam pierścień na drugą stronę hangaru. To go od razu ostudziło! Aż się gotował z wściekłości, a jednocześnie wyraźnie było widać, że się mnie boi. Przeobrażenie go przeraża! Wreszcie zrezygnował i przywiązał mnie tutaj.

– Udało ci się! – pogratulował jej Tobias.

– Ale jesteście tu teraz przeze mnie! – rozzłościła się.

– Duchowy doradca królowej zabiera nas do WyrdLon-Deis – obwieścił Tobias.

– Co wiecie na temat tego miejsca? – zapytał Matt.

Jon odezwał się pierwszy ze spontanicznością kogoś, kto się lęka wypowiedzianych przez siebie słów:

– To serce kraju Cyników, królestwo Malroncji, podobno jej forteca jest nawiedzona, strzegą jej niebezpieczne bagna i przerażające stwory!

– Tam też znajdują się kopalnie i kuźnie, w których produkują broń – dodała Amber. – Oraz stacjonuje część jej wojsk.

– Co oznacza, że jeśli tam trafimy jako więźniowie, nigdy się nie wydostaniemy – uściślił Tobias.

– Nie trafimy – uciał Matt. – Jon, czy jeśli się do ciebie przysunę, dasz radę mnie rozwiązać? Potem mógłbym sforsować zamek.

– Nie ma zamka oświadczyła Amber. – Drzwi otwierają się tylko od zewnątrz i są bardzo ciężkie, nie zdołasz ich wyważyć. Słuchajcie, czy ktoś mógłby mi zdjąć to coś, co mam na oczach?

Jon uwolnił ją od opaski i zajął się Mattem.

– Nie daję rady – przyznał po kilku bezowocnych próbach. – Węzeł jest za mały i za mocno zawiązany.

Nagle w kącie ktoś jęknął.

– To Mia – rzekł Perez, wysoki Piotruś z czarnym meszkiem na twarzy. – Śpi, ale w udzie ciągle jej tkwi strzała i rana bardzo krwawi.

Matt z trudem wstał i rąbnął barkiem w drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, jął uderzać coraz mocniej.

Z drugiej strony dobiegł stłumiony głos strażnika:

– Będzie tam wreszcie spokój?

– Mamy ranną! – odkrzyknął Matt. – Potrzebuje pomocy! Natychmiast!

Strażnik odpowiedział pomrukami niezadowolenia, po czym wrócił wraz ze Spijaczem Niewinności.

– Kto jest ranny? – chciał się dowiedzieć.

– Mia, jedna dziewczyna, jeśli chcecie, żeby przeżyła podróż, trzeba ją opatrzyć!

Kiedy drzwi się otworzyły, Tobias położył się na grzybie, by go ukryć.

– Pokaż mi jej twarz – rozkazał Spijacz Niewinności.

Perez odgarnął Mii włosy jak mógł najbardziej i Spijacz Niewinności przyjrzał się jej z lekkim wahaniem.

Za jego plecami Matt dostrzegł w głębi hangaru uwiązaną na postronku Kudłata.

– Co pan robi? – oburzył się Jon.

– Sprawdzam, czy warto się w ogóle wysilać. Tak, jest śliczniutka. Da się z niej coś wycisnąć. Strażel! Zabierzcie tę dziewczynę i zaprowadźcie do mojej kabiny, zaraz się zajmę jej raną.

Kiedy Mia zniknęła, drzwi od razu zamknęły się z powrotem.

– Nie jestem pewna, czy zostawienie jej z nim sam na sam to dobry pomysł – zauważyła Amber.

– Mieliliśmy do wyboru: albo to, albo śmierć w perspektywie – odparował Matt.

– W takim razie jak stąd wyjdziemy? – wtrącił Tobias.

Matt westchnął.

– Nie mam pojęcia. Ale musimy coś wymyślić. I to szybko.

* * *

Mijały godziny, tymczasem Mattowi nasuwało się tylko jedno rozwiązanie.

Liczyć na pomoc z zewnątrz.

Najwyraźniej Colin nie był skłonny zdradzić swego pana po raz drugi.

– Amber, mogłabyś wykorzystać swoją przemianę, żeby wpłynąć na mechanizm odległy o jakieś dziesięć metrów?

– Jeśli to prosty manewr i będę widziała mechanizm, to możliwe. Co ci chodzi po głowie?

– Kudłata jest na końcu hangaru. Jeżeli dasz radę odcepić postronek, jestem pewien, że nam pomoże.

– Do tego muszą być otwarte drzwi!

– To już moja sprawa. Tędy, kiedy wejdzie strażnik, zatrzymam go jak długo się da, ale ty będziesz musiał się przysunąć do drzwi i pilnować, żeby zostały otwarte, zgoda?

– Zajmę się tym.

Matt znów zaczął walić barkiem, strażnik zaś natychmiast wrócił, równie mało uprzejmy.

– Spokój! Jak nie przestaniecie, zatłukę psa! Zrozumiano?

– Tu jest za gorąco! – krzyknął Matt. – Dusimy się!

– To nie mój problem!

– Proszę! Dajcie nam chociaż trochę wody! Jeśli wszyscy tu pomrzemy, to pan będzie miał kłopoty!

Argument ten najwyraźniej dotknął czulej struny, strażnik bowiem zjawił się po chwili z wiadrem ciepłej wody, które postawił na środku komórki.

Matt skoczył na mężczyznę całym ciężarem i przygwoździł go do przeciwległej ściany. Tobias wyprysnął natychmiast i z zawrotną szybkością pchnął skrzydło drzwi, które uderzyło o skrzynię.

Amber skoncentrowała się na smyczy, następnie na karabińczyku, który więził Kudłatą.

Matt, który ciągle jeszcze miał ręce związane z tyłu, dostał cios w żołądek, a wtedy całkiem stracił oddech i zachwiał się. Tymczasem strażnik chwycił Tobiasa za włosy i cisnął w głąb komórki, po czym przewrócił kopniakiem wiadro z wodą.

– To was oduczysz zabawiania się moim kosztem! – powiedział złośliwie. – Żaden dzieciak mi nie podskoczy!

Już miał ich ponownie zamknąć, gdy wtem Kudłata wierzgnęła tylnymi łapami, jak wór posyłając go na ścianę.

Matt wyciągnął mu zza pasa nóż i przeciął więzy Tobiasowi, który z kolei uwolnił pozostałych.

Związali strażnika w komórcę, przed wyjściem zaś Matt rzucił:

– Jak widać, trafiłeś na nie te dzieciaki, co trzeba!

* * *

Korytarzem zbliżało się nieufnie dwóch kolejnych strażników, których zaniepokoił hałas. Jeden z nich trzymał oburącz miecz.

Stając twarzą w twarz z oddziałem Piotrusiów, Cynicy zawahali się na moment.

Co wystarczyło Amber, by zapanowała nad mieczem i rąbnęła nim w twarz pierwszego strażnika, rozkwaszając mu nos płaską klingą, gdy tymczasem Tobias w niecałe trzy sekundy cisnął cztery puszki konserw wyłowione w hangarze, podcinając nogi drugiemu.

Reszta Piotrusiów rzuciła się na nich, a następnie związała ich i zamknęła w komórce.

– Potrzebujemy broni – stwierdził Matt. – Duży jest ten sterowiec?

– Raczej tak. Obawiam się, że Cynicy mają nasz sprzęt przy sobie, na pewno w salonie – rzekł Tobiasz. – Jeśli niczego nie usłyszeli, po połączeniu naszych trzech mocy możemy go łatwo odzyskać.

– Jesteśmy z wami! – odezwał się chór złożony z dwóch głosów.

Jon chwycił sieć, Perez zaś miecz strażnika. Pozostali trzymali się na uboczu.

Właśnie zmierzali korytarzem w kierunku salonu, gdy z sufitu wyłoniły się czyjeś dłonie i poderwały Amber do góry, ciągnąc za włosy i ramiona. Dziewczyna krzyknęła, po czym zniknęła na dachu gondoli.

Wróg miał teraz zakładnika.

Pojedynek w chmurach

Matt wskoczył na drabinę i popędził na dach gondoli.

Duchowy doradca królowej wyrwał Amber z rąk strażnika i przystawił jej nóż do gardła.

– Nigdy nie przestaniecie? – zdenerwował się, mierząc Matta wzrokiem.

– Zapomniał pan, jak się nazywamy? – zapytał chłopak. – Piotrusie, synowie Piotrusia Pana, dzieci, które nie chcą dorosnąć i które oszalały na punkcie... wolności! Dziwi pana, że buntujemy się przed związaniem i zamknięciem?

– Nie bądź głupcem, Malroncja będzie cię dobrze traktować, nawet sobie nie wyobrazasz, jak piękne czeka cię przyjęcie!

– Poćwiartują go! – wrzasnął Tobias. – I położą jego skórę na Skalnym Testamencie!

Doradca spiorunował Tobiasa wzrokiem.

Błyskawicznie przycisnął ostrze do szyi Amber, przecinając skórę, na której ukazała się strużka krwi.

– Cofnąć się! – ryknął. – Cofnąć się wszyscy albo obedrę ją żywcem ze skóry!

Amber w panice próbowała odepchnąć jego dłoń, ale bez skutku. Tymczasem na dach dotarli Jon i Perez.

Strażnik, który chwycił za łuk, celował teraz w Piotrusiów. Ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania, wprawiając w drżenie grot strzały – Odłóżcie broń! – wrzasnął Erik.

Matt pokręcił głową.

– Proszę wziąć mnie zamiast niej.

– Cofnij się, powiedziałem! Nie ma żadnego „zamiast”. Natychmiast wszyscy się poddacie i położycie na ziemi, bo inaczej zaszlachtuję waszą przyjaciółkę jak świnie!

Matt zacisnął szczęki.

– Niech pan ją puści – ostrzegł.

– Jakim prawem wydajesz mi rozkazy?!

Matt czuł wyraźnie, że ogarnia go szal. Cynik przestał panować nad nerwami, sytuacja wymykała mu się całkowicie spod kontroli. Było to niebezpieczne dla Amber, mógł jej bowiem poderżnąć gardło, ale zarazem działało na ich korzyść, bo powinno wydłużyć czas jego reakcji.

Matt polegał na własnym doświadczeniu, mimo że było ono jeszcze bardzo krótkie.

„Nie powinieneś być atakować Amber!”, usłyszał własne gniewne myśli.

Miał przy sobie sztylet, który zwinął jednemu ze strażników.

Jeśli mocno uderzy, zakłuje duchowego doradcę.

Tylko że nie był dość zręczny, żeby trafić.

Poszukał wzroku Amber.

– Amber! – zawołał. – Zrób ze mną to, co robisz z Tobiasem!

Kiedy dziewczyna mrugnęła, Matt uznał to za „tak”.

„Mam nadzieję, żeśmy się dobrze zrozumieli!”

Jednakże uprzedził go rozdrażniony napięciem strażnik: cięciwa wymknęła mu się z palców, strzała zaś przeleciała między Mattem i Jonem, po czym trafiła w Pereza, który się zachwiał i wyleciał za burtę.

Tobias runął do balustrady, by go złapać.

Perez był już trzy metry niżej, w otchłani. Zniknął w jednej chwili wśród wierzchołków leśnych drzew.

Matt z całej siły wyrzucił dłoń ze sztyletem.

Broń obróciła się, pędząc wprost ku Amber.

Następnie tor jej lotu wyraźnie się zmienił i uderzyła doradcę w samą twarz.

Kiedy rękojeść rąbnęła go w policzek, Cynik wypuścił Amber. Potknął się, wypłuł dwa zęby i trochę krwi, zanim zaś zdążył ponownie złapać dziewczynę za włosy, Matt już przed nim stał.

Chłopak wymierzył mu tak wściekłego kopniaka, że żebra trzasnęły i doradca zwałił się na ziemię jak długi.

Pod wpływem siły upadku o mało także nie wyleciał za burtę, lecz zdołał się uchwycić za jedno z włókien podtrzymujących gondolę.

Tymczasem Jon zarzucił na strażnika sieć i zaczął go okładać pięściami wraz z Tobiasem. Mężczyzna osunął się na kolana skulony.

Amber padła Mattowi w ramiona. Jej rudoblond włosy, powiewając na wietrze, smagały po twarzy chłopaka, który przyglądał się zaplątanemu we włókno szamoczącemu się doradcy.

Kiedy Erik tak wrzeszczał i piszczał, z jego dłoni jęła się wydobywać smużka białego dymu. Następnie włókna zaczęły go wsysać, aż został przyciągnięty przez ciało meduzy.

W żaden sposób nie dało się ocalić doradcy przed potworną śmiercią.

Matt zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście ma ochotę go uratować. Pod wpływem nieznośnych wrzasków Cynika zwątpił. Nie mogą pozwolić, aby tak cierpiał. Nie jest taki jak tamci.

Tobias musiał pomyśleć to samo, bo chwycił za łuk i wypuścił pierwszą strzałę, która chybiła celu. Druga, poprowadzona przez Amber, trafiła prosto w serce.

Niczym pozbawiona sznurków marionetka, która opuszcza scenę, doradca ciągle się unosił na włóknie, póki galaretowata masa stopniowo go nie wessała.

Colin i Spijacz Niewinności zamknęli się w kokpicie. Matt wyważył drzwi i zanim Cynik zdążył chwycić za sztylet, uderzył go w twarz tak mocno, że tamten aż się zachwiał.

Colin podniósł ręce na znak poddania.

– Jestem z wami! – załkał. – To on mnie zmusił!

Matt złapał go bez ceregieli za ramię, Tobias jednak stanął w obronie blondyna o szpetnych rysach:

– Pamiętaj, że bez niego nie zdołalibyśmy cię ocalić.

– Tak, to prawda! – jęknął Colin. – To ja go poznałem z Jonem i jego bandą! Jestem po waszej stronie!

Matt przeszył go niepokojąco przenikliwym spojrzeniem.

– Świetnie, wracasz z nami, rada Edenu zdecyduje o twoim losie!

Tymczasem Amber zajęła miejsce przy sterach.

– Myślę, że na niskiej wysokości dam sobie radę – powiedziała – ale teraz, tak wysoko i przy wietrze, nie gwarantuję, że dowiozę nas do celu.

– A ja mogę! – wykrzyknął Colin.

Matt wahał się przez chwilę, po czym dał mu znak, żeby usiadł za sterami.

– Jaki mam obrać kurs? – zapytał Colin.

– Na północ. Wracamy do domu.

Podróż na północ

Przez całe popołudnie Colin ćwiczył Amber i Jona w pilotażu, pod koniec dnia zaś ten ostatni siedział za sterami, podczas gdy Matt zwołał w hangarze zebranie wszystkich Piotrusiów.

Spijacz Niewinności i czterej strażnicy znajdowali się z tyłu, związani i zakneblowani.

– Czy ktoś jest przeciwko pozbyciu się ich? – chciał wiedzieć Matt.

– W żadnym razie! – odparła dziewczyna o imieniu Nournia.

– Wrzucimy ich do rzeki i niech się sami o siebie martwią.

– Dlaczego nie mielibyśmy ich zabić? – odezwała się Mia, która kulała i cierpiała z powodu obandażowanej rany.

– Już dość krwi przelano! – sprzeciwił się Matt.

– Perez, Jordan i Stu zginęli przez Cyników!

– I jeszcze jeden Piotruś, którego imienia nigdy nie poznaliśmy – dodał Tobias, mając na myśli usunięcie pierścienia pępkowego, które źle się skończyło.

– Nie zabiję nikogo z zimną krwią! – oburzył się Matt. – Nie staniemy się tacy jak oni!

Podniósł klapę wjazdu, odsłaniając trzydzieści metrów otchłani ponad zielonymi wodami rzeki. Cynicy jęli protestować i gestykulować. Matt spuścił ich po kolei w przepaść. Poprzecinał im więzy, żeby mogli pływać, i zepchnął bez ceregieli.

Colin przyglądał się temu widowisku ze zgrozą, prawdopodobnie wyobrażając sobie, że o mały włos zostałby skazany na tę samą mękę.

Wreszcie nadeszła kolej Spijacza Niewinności.

Wówczas Amber przysunęła się bliżej i poprosiła o nóż, który Matt jej wręczył.

Tyle że nie uwolniła mu rąk, lecz od razu przymierzyła się do wypchnięcia go ze sterowca.

Kiedy Cynik zdał sobie sprawę, co się święci, oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki, zaczął wrzeszczeć mimo knebla, Amber zaś postawiła mu na plecach stopę, gotowa go

zepchnąć.

– Za wszystkie perwersje, jakich się dopuściłeś, pozwalam zdecydować rzece, czy masz przeżyć, czy zginąć – powiedziała bez emocji.

I wypchnęła Spijacza Niewinności w przepaść.

Postać Cynika wiła się podczas krótkiego upadku, nim uderzyła o muliste wody, a następnie się w nich pograżyła.

Wszyscy Piotrusie na pokładzie wpatrywali się w Amber z lękiem, a niekiedy z podziwem.

Ignorując ich spojrzenia, opuściła pomieszczenie.

* * *

Wieczorem przy kolacji w salonie Matt opowiedział zgromadzonym historię Przymierza Trojga, gdy tymczasem Amber pilotowała sterowiec. Mówił o wędrowce przez Ślepy Las, o własnym portrecie w liście gończym wystawionym przez Malroncję oraz o ich misji mającej na celu odkrycie, co się dzieje z porwanymi Piotrusiami; nie pominął żadnego szczegółu, zdradził im nawet to, że ściga go jakiś przerażający stwór, o wiele groźniejszy niż wszyscy Zjadacze Cieni razem wzięci: Rauperoden.

– Skoro jak mówisz, przemieszcza się wraz z burzą – stwierdził Colin – w takim razie łatwo przed nim uciec.

– Nie, bo zjawia się w mgnieniu oka, a żaden Piotruś nie biega szybciej od burzy. A jeśli, jak przypuszczam, burza jest jego środkiem lokomocji, on wcale nie musi się przemieszczać z jej pomocą, to tylko strój! Zgubiliśmy go w Ślepym Lesie, niestety wiem, że tak łatwo nie odpuści. Zupełnie jakby miał... obsesję na moim punkcie.

– Czy próbowałeś się z nim porozumieć? Może on wcale nie jest zły? Może istnieje możliwość zawarcia przymierza?

– Zrównał z ziemią całą wioskę na północy, gdzie mieszkaliśmy Wierz mi, nie ma w nim nic przyjacielskiego i nie pragnie rozmawiać.

– Więc czego chce? Dlaczego cię ściga? – nie ustępowała Mia.

– Nie mam pojęcia, pewnie z tego samego powodu co Malroncja.

– A ja wiem! – wtrącił się Tobiasz z nutką dumy w głosie. – Chodzi o Poszukiwanie Skór! To rodzaj przepowiedni, którą Malroncja z upodobaniem powtarza swoim owieczkom. Pieprzyki na skórze nie są rozmieszczone przypadkowo, one stanowią język, natomiast skóra dziecka musi wyjaśnić, gdzie leży coś, co uważamy za źródło życia.

– Źródło życia? – powtórzyła z niedowierzaniem Nournia.

– No właśnie, to znaczy tak wywnioskowaliśmy. A tą bardzo szczególną skórą jest skóra Matta.

Uwaga wszystkich skupiła się na chłopaku, który wcisnął się powoli w fotel.

– Moja? Dlaczego moja?

– Po prostu tak jest, pewnie bez żadnej przyczyny, w każdym razie Rauperoden i Malroncja szukają cię tak bardzo właśnie z powodu przesłania na twoim ciele.

– Masz na myśli plan? – sprostował Colin.

– Owszem, zgadza się, coś w rodzaju planu.

– Wow! – wykrzyknął Jon. – Ale numer, wszyscy chcą cię dopaść!

– A jak się odczytuje ten plan? – dopytywał się Matt.

– Rozkładając... twoją skórę na specjalnym stole, który Cynicy nazywają Skalnym Testamentem. Podobno Malroncja obudziła się na nim zaraz po Burzy.

– Świetnie, to ich sprawa – rzekł Jon. – Dopóki nie podniosą ręki na Matta, to nie nasz problem!

– O, tylko że my też mamy problem – oświadczył Matt. – I to wielki! Cynicy szykują się do ataku. Niedługo zamierzają nam wypowiedzieć wojnę. Poznałem całą ich strategię, dlatego musimy jak najprędzej dotrzeć do Edenu.

Tym razem nikt się nie odezwał. Każde z nich miało wyobrażenie o siłach Cyników i wiedziało, do czego dorośli są zdolni.

Mieli pełną świadomość, co oznacza inwazja.

Piotrusie właśnie stali się ginącym gatunkiem.

* * *

Kiedy wszyscy poszli spać, Matt odciągnął Tobiasa na ubocze.

– Powiedz no, wiesz, co się dzieje z Amber? Wydaje mi się trochę... dziwna. To, co zrobiła ze Spijaczem Niewinności, jest do niej niepodobne!

Tobias przygryzł wargę i westchnął.

– Posłuchaj, nie powinienem ci tego mówić, kazała mi przyrzec, ale moim zdaniem to zbyt poważna sprawa... Żeby polecieć za Charonem, zawarliśmy ze Spijaczem Niewinności układ. I Amber została z nim na trochę sam na sam.

– Co się wydarzyło?

Tobias wzruszył ramionami, woląc nie wyjawiać swoich wątpliwości na temat tego, co dokładnie Spijacz Niewinności odebrał Amber.

– W każdym razie od tamtej pory już nie jest taka jak dawniej – wyznał.

– Spróbuję z nią porozmawiać.

– Nie, nie teraz! – uciął Tobias, chwytając go za rękę. – Daj jej trochę czasu. Ona potrzebuje samotności.

Matt przytaknął i w końcu położył dłonie na ramionach przyjaciela.

– Po Burzy wydarzyło się mnóstwo rzeczy, prawda?

– Taaa... I bardzo się zmieniliśmy.

– Szczególnie ty!

– Nie, ty też, ty... ty się objawiłeś.

– Dlaczego tak mówisz?

Tobias wskazał pomieszczenie, w którym dopiero co odbyło się zebranie, i rzekł:

– Już się nie wahasz przed podjęciem decyzji, widać, że masz duszę przywódcy, jednym słowem, stałeś się bez wątpienia kimś w rodzaju... lidera!

Matt się roześmiał, Tobias zawtórował mu z mniejszym zapalem, ponieważ naprawdę powiedział to, co myślał.

* * *

Niesieni przez sprzyjające wiatry znaleźli się nad Ślepym Lasem zaledwie w ciągu dwóch dni. Amber i Jon zmieniali się za dnia, Colin zaś siadał za sterami w nocy, gdyż jak wyjaśnił, to wymagało większej subtelności.

Przez długi czas krajobraz nie bardzo się zmieniał: jak okiem sięgnąć wszędzie było morze roślinności.

Po czterech dniach Amber zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek w ogóle zobaczą drugi skraj Ślepego Lasu.

Nie mogła wiedzieć, że posuwają się naprzód jedynie w połowie. Każdej nocy Colin zataczał szerokie koła, wcale nie zaprzatając sobie głowy dążeniem na północ.

Czegoś szukał.

I znalazł to siódmej nocy na pokładzie.

Gdzie Colin znajduje swoje miejsce

Na pokładzie Tobias miał lekki sen; nawet po odejściu Spijacza Niewinności nie potrafił spokojnie zasnąć.

Obudził się z uczuciem, że jest chory.

„Żołądek mi się wywraca na drugą stronę...”

Serce załomotało mu na widok błysków wpadających przez okno do kabiny, zanim sobie uświadomił, że to nie Zjadacze Cieni, tylko zwykła burza.

Wstał bezszelestnie, słysząc cichy oddech Matta.

Z nosem przyklejonym do okrągłej szybki ujrzał błyskawice oświetlające wielkie czarne chmury.

„Dlaczego płyniemy prosto pod nimi? Trzeba je ominąć! Co tego Colina napadło?”

Włożywszy spodnie i podkoszulek, Tobias ruszył w stronę kokpitu. Zapukał do drzwi, lecz kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wszedł do środka.

Colin siedział skupiony na sterach z błyskiem w oku.

– Nawet jeśli nam się spieszy – zaczął Tobias – lepiej by było okrążyć to...

Wtem spostrzegł, że część dźwigni została wyrwana, Colin zaś trzyma ją w dłoniach.

– Co się stało?

Colin odskoczył gwałtownie od Tobiasa, patrząc chytrym wzrokiem.

– Nie mam wyboru! – lamentował. – Prędzej czy później spotka mnie z waszych rąk taki sam los jak mojego pana!

– O czym ty mówisz?

– Widzę to wyraźnie po Matcie, on mnie nie lubi, nikt z was nigdy mnie nie polubi. Nigdy nie będzie wśród was miejsca dla takiego chłopaka jak ja, tak samo jak nie było go wśród Cyników.

– O nie – odparł Tobias, domyśliwszy się, że stało się coś złego. – Co zrobiłeś?

– Świat jest dobrze urządzony, prawda? W takim razie musi być gdzieś dla mnie

miejsce!

Colin bredził w przypiływie szaleństwa, Tobias zaś zerknął na pulpit sterowniczy.

– Wszystko umyślnie zepsułeś! Jak teraz polecimy dalej?

– Muszę się z nim zmierzyć! Rozumiesz? Może właśnie przy nim znajdę swoje miejsce!

Tobias wykorzystał własną szybkość, by rzucić się na Colina i spoliczkować go w nadziei, że chłopak się opamięta.

– O czym ty mówisz?

Colin zamilkł w obłędzie. Po czym odwrócił się ku szybie i burzy.

– Jak to o czym? O nim, o Rauperodenie! Słyszałem, jak Matt o nim opowiadał, spróbowałem wszystkiego. Tylko ta istota potrafi mnie zrozumieć.

Tobias zeszytniał. Błyskawice coraz szybciej przybierały na sile. Nie zdążył wcześniej zwrócić na to uwagi, ale elektryczne pazury wiły się w linii poziomej, on zaś przemieszczał się pod wiatr.

Rauperoden!

Zanim Tobias zdołał opuścić kokpit, znaleźli się w samym centrum burzy. Colin zamknął drzwi na klucz, chwycił Tobiasa od tyłu i przycisnął do konsoli.

– Chodź ze mną! Chodź! – wrzeszczał, przekrzykując wiatr targający gondolą.

Próbując się wyrwać, Tobias dostał potężny cios w skroń, po którym zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się fotela, by nie upaść, usiłując odzyskać oddech.

Drzwi wyważone kilka dni wcześniej naprawiono za pomocą tego, co znaleziono na pokładzie, teraz zaś wydawały się mocniejsze niż kiedyś, rozległ się bowiem grad ciosów, a one i tak nie ustąpiły.

Colin roztrzaskał szybę kawałkami dźwigni, do środka wpadł deszcz.

– Rauperoden! – wrzeszczał na wietrze. – Rauperoden!

Tobias wyprostował się akurat wtedy, gdy jego oczom ukazał się wierzchołek świerka. Prawdopodobnie nie byli nad Ślepym Lasem, ale lecieli na małej wysokości. Gondola utkwiała na drzewie, łamiąc je i trzeszcząc ze wszystkich stron. W kokpicie pływały zielone igły, Colin zaś nie przestawał się wydzierać.

Kiedy niebo omiotły potężne reflektory z dołu do góry, Tobias rozpoznał szczudlarzy. Dwie pary świateł wystrzeliły w meduzę, następnie w wiszącą pod nią małą gondolę.

Nagle w sterowiec uderzyła seria błyskawic i burza niespodziewanie ustała. Przed nimi unosił się czarny kształt, długie prześcieradło ciemności falowało mimo braku wiatru.

Po chwili wyłoniła się wypukła twarz, agresywna szczeka i niekończące się czoło

ponad głębokimi oczodołami.

Wpatrywał się w nich Rauperoden.

– Zbliź się – odezwał się gardłowy świszczący głos.

Wystraszony Colin nieśmiało wszedł na konsolę.

– Ja... ja chcę ci zaproponować pomoc – wydukał. – Jeśli weźmiesz mnie ze sobą, mogę ci dostarczyć Matta... Tego Matta, którego szukasz!

Studnie ciemności służące Rauperodenowi jako oczy rozszerzyły się, usta otworzyły na całą szerokość. Prześcieradło przywarło do Colina, który ledwie zdążył krzyknąć, a już został wessany do środka.

Tobias zamrugał. Colin właśnie zniknął w Rauperodeni. Pożarty w okamgnieniu.

Nie może tu zostać.

Wtem drzwi ustąpiły i ukazał się w nich Matt wraz z Jonem i Amber.

W pomieszczeniu rozbrzmiał straszliwy głos:

– Matt! Dziecko Matt! Chodź do mnie!

Zanim chłopak zdołał zareagować, ciemny kształt rzucił się do środka, usiłując go połknąć.

Opuściwszy swą kryjówkę, Tobias skoczył ku nim, w ostatniej chwili wypychając Matta i resztę na korytarz.

Rauperoden wśliznął się za nim, z czarnego prześcieradła zaś wyłoniły się ręce, które podniosły Tobiasa i wsadziły między gigantyczne szczęki zajmujące niemal całą powierzchnię prostokąta tkaniny.

– Pomóście mi! – wrzasnął chłopiec. – Pomóście!

Wszystko jednak potoczyło się zbyt szybko: sekundę później prześcieradło już się za nim zamknęło i Rauperoden wcisnął go w otchłań swego jestestwa.

Na widok Matta stwór zadrżał, niebo przecięły błyskawice, dotykając meduzy, która znieacka się skurczyła. W swojej galaretowatej masie wspięła się ku niebu, wyrzucając Rauperodena na zewnątrz.

Pęd przewrócił wszystkich pasażerów gondoli, przemierzywszy zaś chmury i burzę, meduza pomknęła ku gwiazdom.

Następnie jęły się odrywać cząsteczki jej miękkiej substancji i ranne zwierzę puściło się zygzakiem na północ.

Meduza pokonywała przestrzeń szybciej niż galopujący koń, przelatując nad wzgórzami, jeziorami, a nawet światłami jakiejś wioski Piotrusiów, zanim zaczęła tracić wysokość.

Na pokładzie nikt nie był w stanie się ruszyć, przyspieszenie przygwoździło bowiem wszystkich do podłogi.

Wtem dziób gondoli przedziurawiła wysoka topola, po czym wierzchołek skały rozorał jej prawą burzę. Włókna się zerwały i drewniana konstrukcja zaczęła opadać, aż rąbnęła o ziemię na jakiejś polanie. Roztrzaskała się, a to, co zostało, przekoziółkowało parę razy i skończyło swój bieg, rozbijając się na jednym z pagórków.

Niebieskie błyskawice rozświetlały meduzę, przesywając ją i rozdzierając na strzępy.

Następnie meduza zwała się, wzbijając obłok kurzu.

Jeszcze przez długą minutę świeciła niebieskim blaskiem, po czym umarła.

Zwierzenia wśród płomieni

Sterowiec się zapalił, jego szczątki dymiły jeszcze godzinę po twardym lądowaniu.

Jakaś podobna do człowieka postać podeszła bliżej, aby je ostrożnie zbadać. Na widok dwóch ciał ukłękła i stwierdziła, że są martwe. Nastolatki.

Jej uwagę przykuło zwierzę, które wzięła z początku za konia. Pojawszy, że to olbrzymi pies, postać skuliła się i dobytek toperek, przygotowując się na najgorsze.

Pies lizał po twarzy trzeciego chłopca.

– Nie wyglądasz na zbyt agresywnego, prawda? – odezwała się istota, zbliżając się powoli.

Pies całkowicie ją ignorował, toteż zdołała pospiesznie osłuchać chłopca. Jeszcze oddychał.

– Ejże – powiedziała postać – obudź się! No obudź się!

Matt otworzył oczy, ledwie przytomny i unieruchomiony z powodu bólu.

– Gdzie ja jestem? – szepnął.

– Masz, napij się wody. Mam na imię Floyd, jestem Długodystansowcem. Widziałem z daleka, jak się rozbiliście.

– Co... co z resztą?

– Obawiam się, że tylko ty przeżyłeś.

– Nie, to niemożliwe, oni nie mogli...

Matt podniósł się na raty, czuł zawroty głowy i rwanie w kończynach. Na szczęście nic sobie nie złamał, na całym ciele miał tylko pełno zadrapań i guzów. Kudłata spoglądała nań, dysząc, teraz już spokojna i z błyskiem w oku. Najwyraźniej raczej nie ucierpiała z powodu wypadku.

Błądząc wśród pobojuwiska, Matt spostrzegł zwłoki dwóch Piotrusiów, którzy towarzyszyli Jonowi, nieco dalej ciało dziewczyny. Potem ujrzał Mię przygniecioną kawałkiem ściany, z ramieniem przeszytym na wylot żelaznym prętem. Kiedy Floyd i Matt ją

uwolnili, obudziła się i zaczęła wrzeszczeć, a wówczas Długodystansowiec czym prędzej podsunął jej pod nos kwiatek, który nosił ze sobą w chlebaku. Powąchawszy go, Mia natychmiast z powrotem zasnęła.

– To powinno ją na trochę uspokoić.

Dokuśtykali do nich Jon i Nournia; ich ubrania były w strzępach.

– Xian i Vernon nie żyją – powiedział Jon ze łzami w oczach.

– Wiem – odrzekł Matt. – Chłopak z ogoloną głową też.

– Harold. Jak się czuje Mia?

– Potrzebuje opieki. Nie widzieliście Amber?

Kiedy zaprzeczyli, Matt poszedł przeszukać wrak.

Zauważywszy dłoń Amber wystającą spod skrawka zwiniętej wykładziny, wy dostał ją w pośpiechu. Dziewczyna ledwie oddychała.

Matt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Z tysiąc razy oglądał w telewizji, jak ratownicy stosują oddychanie usta-usta i wykonują masaż serca, zastanawiał się więc teraz, czy powinien zrobić tak samo. Nie! Jej serce ciągle biło, pierś się unosiła. Może brakuje jej powietrza?

W końcu postanowił działać, lepiej zrobić cokolwiek, niż patrzeć, jak umiera na jego oczach!

Przytknął usta do warg dziewczyny i wtoczył w nie powietrze.

Amber zakasłała i natychmiast się obudziła.

– Och! Jak się cieszę na twój widok! – zawołał Matt.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła, nie pojmując, skąd się wziął cały ten apokaliptyczny krajobraz.

– Dlaczego trzymasz mnie w ramionach? – zapytała powoli.

– Boli cię gdzieś?

– Chyba wszędzie.

Mimo to zdołała poruszyć każdą kończyną, nabierając otuchy co do swego ogólnego stanu.

– A co z Tobym? – powiedziała znienacka.

Matt z trudem przełknął ślinę.

Jego oczy napęłniły się łzami.

– Rauperoden... – szepnął niezdolny mówić głośniej, gdyż głos mu się łamał. – Rauperoden go dopadł.

* * *

Było pięcioro rozbitków, w tym Mia, która jeszcze nie doszła do siebie.

Słońce właśnie wstawało, rozjaśniając horyzont i stopniowo przepędzając gwiazdy. W oddali nie było żadnych oznak nawałnicy.

– Widziałeś w okolicy burzę? – zapytał Matt Floyda.

– Nie, nic. W nocy było widać błyskawice, ale daleko na południu.

Amber usiadła obok Matta i przytuliła się do niego, chcąc odegnać dreszcze wywołane zimmem, zmęczeniem i lękiem.

– Co robimy?

– Musimy dotrzeć do Edenu – odparł ponuro. – Nie mamy innego wyjścia.

– A... Toby?

Matt zacisnął pięści. Nagle miarka się przebrała. Kiedy oczyma duszy ujrzał, jak przyjaciel rzuca się, by ich osłonić, i jak wciąga go Rauperoden, po policzkach popłynęły mu łzy.

Amber wzięła go w ramiona. Matt długo płakał.

Gdy szloch ustał, chłopak złożył przyrzeczenie, spoglądając wprost na wschodzące słońce:

– Przysięgam, że cokolwiek się stanie, pewnego dnia go odnajdę i zniszczę.

* * *

Przeszukując całą strefę katastrofy, Piotrusie trafili na sporą część swoich rzeczy, plecaki i broń. Część plecaków się podarła, sporo ostrzy połamało. Matt wyłuskał własny miecz, który pozostał w idealnym stanie, włożył starannie do pochwy i przewiesił przez plecy.

Nadejdzie dzień, kiedy ów miecz przetnie czarną zasłonę Rauperodena. Był tego pewien.

Floyd zabandażował Mii ramię, nie tryskał jednak zbytnim optymizmem.

– Powinien ją niezwłocznie obejrzeć ktoś bardziej kompetentny – stwierdził.

– Jak daleko jest najbliższa wioska?

– Dwa dni drogi stąd.

– A Eden?

– Eden? – powtórzył ze zdziwieniem Długodystansowiec. – Jakieś cztery dni.

– Nie możemy dłużej zwlekać, zaprowadź nas do Edenu.

– Mia wymaga leczenia! Najbliższa wioska jest...

– Idziemy do Edenu, stawką jest przeżycie naszego ludu.

Floyd nie zadawał więcej pytań. Najwyraźniej owi dziwaczni wędrowcy, którzy właśnie się rozbili na pokładzie sterowca-meduzy, wiedzieli o wiele więcej niż on...

Posuwali się naprzód wraz z Mią siedzącą na grzbiecie Kudłatej, rzadko robiąc postoje, Matt zaś ciągle się oglądał na południe w obawie, że zobaczy burzę. Niebo było jasne. Pierwszego wieczoru nie mógł zasnąć, słuchał odgłosów nocy i jej fauny, wyczekując ewentualnego grzmotu.

Kiedy był zbyt wyczerpany, by wytrzymać dłużej, w przebłysku świadomości umysłu, który nie miał dość sił, by snuć zmyśloną opowieść, pojął, że to nie strach każe mu czekać na burzę.

Tylko chęć zemsty.

W gruncie rzeczy brak burzy sprawiał mu zawód.

Pragnął zmierzyć się z Rauperodenem.

Nie będąc w stanie pograżyć się we śnie, Matt w końcu wyczyścił miecz w blasku obozowego ogniska, naostrzył klingę kamieniem i wypolerował zimną stal, myśląc o walce. Pewnego dnia. Obiecał to sobie.

Nawet gdyby musiał w tym celu ścigać Rauperodena przez całe życie.

W głębi duszy jednak wiedział, że wcale nie będzie musiał długo czekać.

Rauperoden sam do niego przyjdzie.

* * *

Następnego wieczoru Floyd bardzo się martwił zdrowiem Mii. Dziewczyna majaczyła odurzona wysoką gorączką. Jon położył się obok niej i czuwał całą noc.

Tymczasem Matt i Amber rozmawiali nieco na uboczu, grzejąc się w ciepłe dogasającego ognia.

– Co zamierzasz zrobić w Edenie? – zapytała.

– Zwołać radę i ostrzec ich przed groźbą, która nad nami wisi. Przed nieuniknioną wojną. Musimy się do niej przygotować.

– Jakie mamy szanse przeżycia?

– Garstka Piotrusiów przeciw piętnastu tysiącom wyszkolonych i ciężkozbrojnych dorosłych? Szczerze mówiąc, żadnych. Tylko że ja znam ich plany. A poza tym... być może mamy w rękę większy atut, pod warunkiem że zrozumiemy jego przydatność.

– Co masz na myśli?

– Poszukiwanie Skór! Malroncja chce za wszelką cenę dopaść dziecko, które nosi na sobie mapę. Według Tobiasa niewykluczone, że to ja jestem tym Piotrusiem, właśnie dlatego królowa wszędzie mnie szuka.

Amber pokręciła głową.

– Nie, Matt. Tobias się pomylił.

Chłopak obrócił się, by lepiej słyszeć.

– Jak to?

Amber podkurczyła nogi i objęła kolana ramionami, siadając w pokrępowanej pozycji.

– Spijacz Niewinności pracuje przy Poszukiwaniu Skór – powiedziała. – Codziennie albo prawie codziennie uczestniczy w kontroli. Ogląda często Wielki Plan, ten rysunek pieprzyków, którego szukają, więc zna go na pamięć.

– No i?

Amber z trudem przełknęła ślinę i dodała cicho:

– Spijacz Niewinności nieprzypadkowo zgodził się nam pomóc odnaleźć ciebie. On wiedział, że to ja jestem tą mapą. Od razu rozpoznał na mnie Wielki Plan.

– Ty? – powtórzył z niedowierzaniem Matt.

– Tak. Naiwnie myślałam, że pragnie wyciągnąć z tego korzyść w dogodnym dla siebie czasie, że najpierw chce dopaść ciebie, więc nic nie mówiłam, sądząc głupio, że zawsze będziemy mogli mu się wymknąć, jak tylko Przymierze Trojga znów się połączy. Niestety, jedyna rzecz, jakiej chciał, to oddać nas w ręce Malroncji! Od początku to planował: spotkać się z duchowym doradcą królowej, żeby go ostrzec, żeby sprzedać to, co znalazł!

– A ty... ty nosisz na sobie mapę, która pozwala dotrzeć do samego serca życia?

– Tak naprawdę nie wiemy, co to jest. Wydawało mi się, że to coś w tym stylu, ale mogę się mylić. Tak czy inaczej nie chciałabym, żeby Cynicy położyli na tym łapę.

– Trzeba zawiadomić o tym Radę Edenu.

Amber przytaknęła w zamyśleniu.

– Kiedy byliśmy razem z Bezlitosną Drużyną, wyznałam, że boję się zestarzeć, stać się pewnego dnia Cyniczką, pamiętasz? Wtedy coś mi przyrzekłeś.

– Że będę cię strzegł. I dotrzymam słowa, możesz być pewna!

Amber wzięła go za rękę, ledwie powstrzymując szloch.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy – powiedziała z trudem. – Wolałabym nie być tą mapą, nie chcę dorosnąć i stać się kobietą, jeśli to by miało ze mnie zrobić Cyniczkę! Nie chcę przejść na ich stronę!

– Ejże, bądź pewna, że nigdy tak się nie stanie! Będę przy tobie, żeby cię chronić, żeby

ci pomóc zostać tym, kim jesteś.

– Oni są zdolni do tak wielu potworności, nie chcę tego...

Wtedy Matt zrobił coś, co zdumiało jego samego: złożył pocałunek na czole dziewczyny.

– Nie jesteś sama, masz mnie.

Trwali tak kilka minut blisko siebie.

Nagle, po przetrwaniu ich rozmowy, w umyśle Matta zakiełkowała oczywista myśl, doprowadzając go do wrzenia.

– Czekaj, czekaj!... Chcesz powiedzieć, że Spijacz Niewinności widział cię całkiem...

Amber ścisnęła dłoń Matta.

– Zmusił mnie, żebym się rozebrała, ale kiedy rozpoznał Wielki Plan, nie tknął mnie.

Natychmiast zgodził się nam pomóc.

– Ale śmieć z tego faceta! Gdybym wiedział, nigdy bym go nie wypuścił!

– Być może rzeka go pokonała – rzekła łagodnie. – Nie zasługiwał na to, żebyś przez niego miał nieczyste sumienie, wierz mi.

– Amber, przykro mi, to wszystko moja wina, to...

Położyła mu palec na ustach.

– Pamiętasz pierwsze słowa, jakie do mnie powiedziałeś? – zapytała po długim milczeniu.

Matt przypomniał sobie śpiączkę i pojawienie się anioła. Oblał się rumieńcem.

– Chyba tak... – odparł bardzo zawstydzony.

– „Amber, bądź moim niebem”. Co miałeś na myśli?

– Eee... nie wiem – skłamał zakłopotany – To pewnie przez gorączkę.

– Ach tak. Rozumiem.

Puścili swoje ręce.

Czując się nieswojo z powodu ciszy, Matt powrócił do jednej z najważniejszych spraw:

– Jutro znajdziemy się w Edenie. Będziemy musieli im wszystko wyjaśnić. Poszukiwanie Skór, wojnę...

– Pozostaje jeszcze jedna bardzo istotna kwestia – zauważyła dziewczyna. – To, czym ty jesteś! Bo skoro ja jestem mapą, której szukają, to dlaczego całe królestwo Malroncji jest obwieszane listami gończymi z twoją twarzą?

Matt zaczerpnął głęboko powietrza.

Uświadomił sobie, że po całej tej wędrówce podstawowe pytanie, które ich do niej

skłoniło, nadal pozostaje bez odpowiedzi.

„To dlatego, że nie dotarłem do jedynej osoby, która potrafiłaby na nie odpowiedzieć”.

Będąc w niewoli, zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła się wydostać z więzienia królowej. Może się tam udać tylko jako wolny człowiek, by uzyskać odpowiedzi.

Natychmiast jednak odrzucił tę możliwość.

– Trzeba się wyspać, jutro czeka nas długi dzień – rzekł, wstając.

* * *

Nazajutrz późnym rankiem dotarli na szczyt wzgórza. W dole ciągnęły się oślepiająco żółte pola pszenicy.

Oraz miasto leżące na samym końcu jak w złocistej szkatule.

Ogromne miasto zbudowane z domów i namiotów, przecięte rzeką, której drobne fale migotały w promieniach słońca.

Miasto z rynkiem pośrodku, z rosnącym na nim wspaniałym drzewem, które rozchylało gałęzie ponad większością dzielnic niczym tysiącletni strażnik.

Część miasta zajmowały obszerne ogrody i kolorowe sady, których krzątały się już drobne postacie zrywające owoce.

Mały raj zagubiony nie wiadomo gdzie.

Eden.

Epilog

Po sali hulał lodowaty wiatr. Wysokie wąskie okna przepuszczały bardzo niewiele czerwonego światła z zewnątrz, pomieszczenie rozjaśniały więc olbrzymie lichtarze wiszące na ścianach.

Jakiś mężczyzna wszedł do środka, niosąc na purpurowej poduszce diadem z kamieni szlachetnych. Przemierzył salę, mijając ukryte w cieniu obicia, po czym ukląkł u stóp schodów wiodących do tronu.

Stojący obok generał Twain budził w nim strach. Wiele o nim słyszał – był to człowiek bezlitosny, okrutny i gwałtowny Prawa ręka królowej.

Twain się zbliżył, wprawiając zbroję w ruch. Podobno składała się z tysiąca części, z których każda gładko się przesuwała, idealnie dopasowując do innych, kiedy zaś szedł, pancerz zdawał się poruszać na jego ciele niczym armia czarnych owadów.

– Co przynosisz, Ralphie? – zapytał.

Ralph był nieco zaskoczony – głos nie brzmiał aż tak przerażająco, jak można by sądzić po wyglądzie Twaina. Nie był głosem zza grobu, raczej głosem zwykłego mężczyzny.

– Prezent dla naszej królowej od mojego pana.

Po czym Ralph uniósł poduszkę w kierunku tronu.

Niewiele widział w tym obszernym, zimnym i słabo oświetlonym holu. Królowa siedziała wszakże wysoko, w ciemnościach. Mógł dostrzec rąbek jej sukni.

– Z jakiej okazji? – chciał wiedzieć generał Twain.

– Mój pan chciałby zaprosić jej wysokość na wieczerzę.

– Wracaj do siebie, Ralphie – odrzekł czym prędzej Twain. – I powiedz swojemu panu, że Malroncja nie należy do tego rodzaju kobiet! Przecież to królowa dziewica, czyżby o tym zapomniał?

Tym razem Ralph wcale się dobrze nie poczuł. Jeśli się głębiej zastanowić, głos generała Twaina był bardzo przerażający, wcale nie taki, jak sobie wyobrażał, za pozornie zwyczajnym wyglądem zaś krył się rzeźnik zdolny do zadawania najgorszych tortur. Potrafił rozszarpać Ralpha na strzępy jednym słowem.

– Tak, oczywiście, generale.

Wtem strażę przy drzwiach odsunęły się, by przepuścić nadbiegającego posłańca.

– Wieści o chłopcu, którego szukasz, królowo! – zawołał, ledwie łapiąc oddech.

Twain odepchnął brutalnie Ralpa, wymierzając mu potężnego kopniaka, od którego tamten zatoczył się aż pod ścianę, diadem zaś roztrzaskał się o kamienną posadzkę.

– Mów! – rozkazał posłańcowi generał.

Posłaniec, który przykląkł na jedno kolano, najwyraźniej struchlał.

– Istnieją wszelkie powody, by sądzić, że dziecko uciekło, królowo. Nie mamy żadnych więcej wiadomości, transport zaś powinien już nadejść jakiś czas temu.

Postać na tronie się wyprostowała. Jej szaty się ześliznęły i spłynęły w dół. Całe jej ciało spowijała czarno-biała suknia zasłaniająca nawet włosy.

Twarz pozostała w mroku, mimo to Ralph miał przez chwilę nadzieję, że ujrzy oblicze owej jakże tajemniczej królowej.

– Uciekł? – powtórzyła.

Jej głos był jednocześnie łagodny i władczy. Ralph sam nie wiedział, czy należy mu ulec, czy się go bać.

– Niestety, po tysiakkroć niestety, królowo, wszystko na to wskazuje.

– Dziecko, którego szuka całe moje królestwo, zniknęło?

Posłaniec skulił się jeszcze bardziej, dotykając nosem pierwszego stopnia schodów.

W mgnieniu oka na hol spadła furia. Kiedy królowa zerwała się z miejsca, jej szaty załopotwały.

– Zwołaj zgromadzenie – rozkazała władczym tonem. – Niech oficerowie zaciągający rekrutów przemierzają wsie i miasta i zwerbują wojska, niech utworzą armię. Skoro nasi ludzie nie są w stanie zatrzymać dziecka, w takim razie przeleją krew, żeby je schwytać! Wyruszamy na wojnę! Chcę, żeby następnej zimy na całym kontynencie nie było ani jednego dziecka!

Przemierzywszy salę energicznym krokiem, podniosła gniewnie pięść i wrzasnęła:

– Na wojnę!